

Wawrzyniec Podrzucki

**Mosty
wszechzieleni**

2010

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2010

Ilustracja na okładce:

Przemysław Truściński

Wydawca:

Agencja Wydawnicza RUNA

A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

ISBN 978-83-89595-60-7

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Prolog

Kilka minut przed dwudziestą szpica przekazała meldunek do żółwia dowódczego o dotarciu na przełęcz: „Jesteśmy przy pierwszym markerze granicznym. Żadnej nieoczekiwanej aktywności, żadnego ruchu w dolinach. Oczekujemy dalszych rozkazów”.

– Przekaż im, niech wyślą śligi za perymetr – powiedział do adiutanta grup-major. – Nadal nie daję temu wiary. A jeśli to wszystko jest jednak prowokacją?

– Niewykluczone. Stara sztuczka Makmuri, choć nie stosowali jej już od bardzo dawna – odparł zapytany subkonwojent.

– W rzeczy samej, od wieków – mruknął dowódca, trąc w zamyśleniu czoło. – I to właśnie napawa mnie niepokojem. Że zdążyliśmy zapomnieć...

– Jaka sztuczka? – wtrącił się quadrankier.

– Symulowany exodus, żeby wy badać, która z locji jako pierwsza się połakomi na opuszczony dobytek. A przy okazji, kto w międzyczasie wyrósł na potencjalnie najgroźniejszego rywala.

– Rywala? – Quadrankier nieco zdziwiony popatrzył na subkonwojenta. – Przecież Porozumienie Siedmiu Wybrzeży Antarktydy z dwa tysiące trzysta sześćdziesiątego...

– ...zostało ratyfikowane przez pozostałe locje pod naciskiem Makmuri, i tylko po to, by utrwalić ówczesny status quo z jej dominującą rolą w Konsensusie – dokończył subkonwojent. – Gdzie on, u zaćmy, zdobywał szlify?

– Academie du Grande Dome! – Quadrankier wyprężył pierś, mimo że pytanie bynajmniej nie było skierowane do niego.

– Pacyfistyczna hołota – prychnął grup-major. – Zwitryfikować całą tę, pozał się Boże, Akademię, ot co! Uczą was tam w ogóle czegoś oprócz nieszczania w majtki?

– Honoru i oddanej służby Trybunałowi!

– Bieli szklista... – Subkonwojent przewrócił oczami. – Siedźcie wy już lepiej cicho, quadrankierze.

– I nie otwierajcie gęby bez wyraźnego polecenia – dorzucił niedbale grup-major. – Jak tam nasz zwiad?

Adiutant połączył się ze szpicą.

– Wypuścili śligi. Na razie jednak nie ma żadnego kontaktu.

– A przekroczyły już granicę?

– Tak.

– Hm... – Dowódca zastanawiał się chwilę. – Niech dodadzą jeszcze dwa i ustawią wektory poszczególnych śligów na Kapitol, pałace Rossa oraz na Abbertum. Drażniki w pozycji sto, autoterm również. Jeśli i to nie spowoduje odzewu, niech ruszają ostrożnie w dół, ale meldunki chcą mieć co minutę, ewentualnie na pierwszy sygnał, że dzieje się coś podejrzanego. Gotowość obronna, i tylko obronna. Aha, krzyż. Żeby mi o tym nie zapomnieli. W razie czego przybywamy z pomocą humanitarną.

– Przyjęte – zakomunikował adiutant po bezgłośniejszym wymianie zdań z forpocztą konwoju.

– No to czekamy. – Grup-major wyprostował plecy. – W imię bieli, czekamy.

Makmuria – *primus inter pares*. Dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych pod bezpośrednią jurysdykcją, plus drugie tyle kontrolowane poprzez mariaże oraz układy lenne. Dwa obłaskawione wulkany, najlepsza ziemia na kontynencie i najwartościowsze złoża surowców w garści. Jedyna locja, która większość swych budowli wzniosła z demonstracyjną dezynwolturą pod gołym niebem, bo w swych Suchych Dolinach mogła sobie na to pozwolić.

Grup-major bezwiednie oblizwał wargi. Gdyby to mimo wszystko była prawda, i do tego przybyli tu jako pierwsi... Myśl bojaźliwie uciekała od fantastycznego obrazu, ale w miarę upływających minut stawał się on coraz trudniejszy do przegnania. Makmuria i Ragnar, Ragnar i Makmuria...

Nie, tylko Ragnar, koniec, kropka. Zasady współistnienia w Konsensusie były w gruncie rzeczy nader proste: co moje, to moje, i wara od tego, choćby cię krew zalewała z pożądania cudzych dóbr. Jeśli jednak tą czy inną drogą zrzekasz się swej własności, jeśli jakaś enklawa pustoszeje, bo jej mieszkańcy wymarli, odeszli z Białego Kręgu albo rozproszyli się po innych locjach, prawo do zajęcia pustostanu formalnie wszyscy mają równe.

W praktyce brał ten, kto zajął pustostan jako pierwszy, pozostawał zaś w jego posiadaniu wówczas, gdy w ciągu zwyczajowego roku i jednego dnia nikt inny nie podważył jego klammatarium, czyli gdy żadnemu z pretendentów nie udało się przegnać go stamtąd siłą, perswazją ani jakimikolwiek innymi metodami.

Tym sposobem Konsensus co prawda nie wyeliminował wrodzonej człowiekowi skłonności do awantur, niemniej ograniczył jej przejawy do epizodów, gwałtownych nieraz, lecz krótkotrwałych i rzadkich, gdyż sposobność trafiała się nie częściej niż raz na półwiecze.

Są jednak sposobności, i są sposobności. Kiedy Argente wywieszali swój sztandar nad ruinami Guspunt – przybiegunowej locji założonej przez nieszczęsnych peregrynatów z Aperbeum – nikt im w tym nie przeszkadzał, bo kilka potrzaskanych kopuł i dwa śmierzące tunele na krzyż nie były warte nawet psiego zaprzęgu.

Copa Hevelius stanowił już znacznie bardziej łakomy kąsek i gdy tylko wieść się rozniosła, że mieszkańcy tej zamożnej enklawy wytrzebili się nawzajem w konsekwencji jakichś quasi-doktrynalnych sporów, ruszył prawdziwy wyścig i krew się polała nie raz.

Ale potężna Makmuria? Wyobrazić sobie, że należy ona do kogoś innego niż spadkobiercy dynastii Feh, było już zuchwalstwem.

Cóż zaś dopiero myśl, nadzieja, ba, nadziei tej cień zaledwie, że tę spuściznę mógłby przejąć Ragnar. Piękny sen, i o jakimś tam prawdopodobieństwie obrócenia się w jawę, o ile sprawy dalej pójdą równie gładko, jak szły dotychczas. Na razie jednak tylko sen...

* * *

– Panowie! – Grup-major zwrócił się do ósemki swoich sztabowców. – Nadszedł czas podjęcia kluczowych decyzji. Subkonwojent wprowadzi was za chwilę w szczegóły, ale powiem już teraz: przedpole jest wolne. A przynajmniej nic nie wskazuje na to, by nie było.

– Oczywiście. – Sztywny jak sopel lodu inflejtant wyprostował się jeszcze bardziej. – Nasze służby nigdy nie popełniają omyłek.

– Wasze służby zazwyczaj nie popełniają omyłek – poprawił go grup-major kąśliwie. – Możemy zobaczyć dane ze zwiadu?

Adiutant powiększył jeden z wizyjnych sześcianów.

– To są okolice Kapitolu. – Obraz był klarowny i wyjątkowo stabilny, bez śladu interferencji. – Kompletna pustka i spokój, brak oznak życia.

– Ani nawet maszyn.

– Ani nawet maszyn – powtórzył niczym echo subkonwojent. – Gdzie indziej podobnie. Śligi nie natknęły się również na żadne czynne urządzenia defensywne.

– Ciała? – spytał komb-komandor, szybko jednak dokonał autokorekty. – Nie, też nie dostrzegam...

– Może są w środku – mruknął eszelon-major. – Może czekają na nasz ruch. Jasny i przejrzysty, niepozostawiający wątpliwości co do naszych intencji. A wtedy hop i cap, zamiast legalnego zaboru pustostanu zostaniemy oskarżeni o próbę wrogiego przejęcia zamieszkanego locji. Nie wytłumaczymy się z tego przed Konwentem, dowody będą przytłaczające. I to nie my zawojujemy Makmurię, ale ona nas.

– Wziąłem to pod uwagę. – Grup-major zmarszczył brwi. – Niemniej stawka jest warta ryzyka, z czym chyba wszyscy tu obecni się zgodzą, czas zaś nie będzie wечно po naszej stronie.

– To prawda – zgodził się dyplomatycznie eszelon-major. – Ostrzegam jednak przed pochopnymi krokami. Dopóki nie ma absolutnej, powtarzam, absolutnej pewności, że teren jest czysty, nie powinniśmy podejmować żadnych działań zaczepnych.

– Tylko ile można zwlekać? – odezwał się milczący dotąd set-major. – Nasza ekspedycja na pewno nie jest jedyną, i kto wie jak daleko bądź jak blisko za nami są inni? Może wyprzedziliśmy ich zaledwie o parę godzin? To bardzo małe okno czasowe i zarazem nasza

jedyna prawdziwa przewaga taktyczna nad potencjalnymi konkurentami. Jeśli nie zrobimy decydującego ruchu teraz, ta przewaga zostanie bezpowrotnie stracona.

– Czyli zasadniczo zgadza się pan ze mną? – bardziej stwierdził, niż spytał grup-major.

– Zasadniczo, tak.

– A ja w dalszym ciągu uważam, że z zatknięciem sztandaru należy się wstrzymać dopóty, dopóki nie zostanie przeprowadzony pełen rekonesans – rzekł eszelon-major.

– Wstrzymać się? – Inflejtant wyzywająco skrzyżował z nim spojrzenie. – A może chciał pan powiedzieć: wycofać?

– Insynuuje pan... – Eszelon-major uniósł się groźnie w fotelu.

– Wystarczy! – Grup-major uciszył obu stanowczym gestem. – Inflejtant niech łaskawie ograniczy swoje uwagi do kwestii operacyjnych. Kto popiera stanowisko set-majora?

Uniosło się pięć rąk.

– Kto jest za przedłużeniem rekonesansu? Dobrze, zwiad ma dodatkowe pół godziny na przeczesanie kompleksu. Jeżeli po tym czasie niczego nie znajdą, flaga idzie na maszt. Czy któryś z panów chciałby jeszcze coś dodać?

Nikt nie chciał. Grup-major skinął na adiutanta, żeby przełączył odczyty zwiadowców na główny pulpit. W przedziale sztabowym zaległo napięte milczenie. Spojrzenia oficerów zaczęły przeskakiwać z jednej kostki wizyjnej na drugą, szukając i zarazem nie chcąc znaleźć niczego, co zburzyłoby wciąż chwiejną piramidę marzeń.

Mikrooki, które polatywały jak diamentowy pył nad Neathene oraz przyległą okolicą, przekazywały obraz zdobyczy niemal już pewnej. Nawet w grup-majorze, znanym z kontroli nad swymi emocjami, zniecierpliwienie rosło w postępie geometrycznym.

Jeden ze śligów przekroczył właśnie kurtynę powietrzną głównej bramy wiodącej do Partenonu i termograf natychmiast zareagował ostrym pikiem – na zewnątrz było minus czterdzieści osiem, w środku zaś tropikalne plus szesnaście. To znaczy, że homeostaty nadal tu funkcjonują, dobry znak. Ale imponująca nawa była pusta od krańca do krańca. Czasze kandelabrow, żeglujące swobodnie w tym katedralnym przestworze niczym wielkie meduzy, nie użyczały swego bezcieniowego światła żadnemu zgromadzeniu, a w taflach polerowanej miki nie odbijała się ani jedna ludzka sylwetka.

– Aha, czujka znalazła chyba drogę do poziomów ujemnych.

– Eszelon-major splótł nerwowo palce. – Ciekawym, jak tu głęboko? W Copa Hevelius zaryli się na półtora kilometra. Pod ziemię, nie pod lód.

Ślig pełznął teraz środkiem przestronnego transtunelu, choć głównodowodzący raczej miał wrażenie, że odbywa wirtualną wycieczkę po jakiejś galerii osobliwości. Ściany pokrywał deseń dosłownie żywy, bo skomponowany z genetycznie zmodyfikowanych owoców morza. Sufitem płynęła sobie rzeka, a źdźbła najprawdziwszych traw zarastających posadzkę co rusz pojawiały się w zniekształconym polu widzenia śligów.

– Ktoś wie, gdzie znajduje się ich centrum zarządzania bądź główny węzeł logiczny?

– W Neathene nie ma czegoś takiego – stwierdził inflejtant autorytatywnie. – Wszystkie systemy są rozproszone.

– Bzdura. – Subkonwojent pokręcił głową. – Zawsze jest jakiś ośrodek, więc i tu musi się znajdować.

– Z naszych danych...

– Panie grup-majorze. – Jeden z sześcianów wizyjnych przeistoczył się nagle w głowę zwiadowcy. – Mamy coś z sensorów dalekiego zasięgu.

– Daj na wizję.

Głowa zniknęła, zastąpiona przez lodowcowy pejzaż z niewielką, rozmytą komą we wszystkich odcieniach ochry.

– Powiększ i wzmocnij.

Koma rozpadła się na kilkaset mniejszych plamek.

– Echa termiczne... – mruknął grup-major bardziej do siebie niż ku oświeceniu pozostałych członków swego polowego sztabu. Każdy z oficerów doskonale wiedział, na co spogląda. – Same duże i średnie jednostki w szyku igrek, co wskazuje na to, że spróbują przejść do natarcia wprost z marszu, bez ultimatum. I co pan na to, set-majorze?

– Pretendenci...

– Bez wątpienia – przytaknął ciężko grup-major. – Jak szybko możemy się ich spodziewać w polu konfliktu?

– Przy obecnym tempie, za osiem do dziewięciu godzin. Warunki meteo mają sprzyjające – odparł zwiadowca z innego sześcianu i dodał pośpiesznie, nim głównodowodzący zdążył wpaść mu w słowo: – Mam jeszcze do zameldowania drugą obserwację.

– Słucham.

– Na północny zachód od Neathene odkryliśmy pas lodu o zmienionej strukturze krystalicznej i znacznie podwyższonej zawartości trytu oraz tlenu osiemnaście. Ponadto wszystkie atomy w przypowierzchniowej warstwie lodowca wykazują tam wyraźny dryf spinarny i są magnetycznie suprakohorentne. Dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent, że jest to ślad po niedawnym przejściu tamtędy dużej liczby transportowców o udźwigu równym bądź nawet przekraczającym sto MT i mocy nośnej rzędu gigaferstena na generator.

– Jak świeży jest ten ślad?

– Ma około tygodnia.

– A kierunek?

– Północny zachód – padła odpowiedź. – I wybiega stąd, panie grup-majorze.

– No, to już chyba wszystko jasne. – Dowódca popatrzył na oficerów. – Ktoś jeszcze wątpi, czy powinniśmy wywiesić sztandar Ragnarusa nad tym miejscem?

* * *

Do przybycia pretendentów zostało niewiele ponad dwie godziny. Nikt już nie usiłował kryć się ze swymi zamiarami, przeciwnie, zgodnie z literą Protokołu Wyzwania grup-major wyekspediował ślig dyplomatyczny z formalną notą „Jam jest, który zajął pierwszy”. Kości zostały rzucone, i w kwestii zasadniczej obyło się bez niedomówień. Jednakże strategia i taktyka obu stron nie podlegały już tym samym regułom jawności. Grup-major wiedział tylko, z jaką koalicją będzie miał wkrótce do czynienia – Austrazon, Enord oraz Vastakka-Yel. To, plus informacje przekazane mu przez inflejtanta, musiało wystarczyć do zaplanowania obrony.

Głównodowodzący wygładził mundur, mrugnął kilkakrotnie dla odświeżenia rogówkowych monitorów taktycznych, i w końcu ruszył na obchód. Neathene, ciche i jak na razie całe jego, nakazał otoczyć wieńcem redut, ale kompleks okazał się rozleglejszy, niż przypuszczał, i z konieczności perymetr był jako tako szczelny jedynie na kierunku spodziewanego natarcia pretendentów. Do zatkania dziur na tyłach potrzebowałyby co najmniej dwóch dodatkowych batalionów, którymi nie dysponował i które przybędą tu w ramach uzupełnień najwcześniej za miesiąc. Ponadto będą musieli stawić czoło siłom w kotlinie, a to koszmar każdego taktyka.

Może jednak należało skoncentrować wszystkie siły w jednej, czołowej formacji, zastanawiał się, idąc ku najbliższemu z posterunków, albo nawet uderzyć na eszelony wroga wycieczką, daleko od przedpola? Taki nieoczekiwany manewr z pewnością zaskoczyłby koalicję, która liczebnie była tylko trochę większa od korpusu ekspedycyjnego Ragnar. Z drugiej strony, grup-major wciąż hołubił nadzieję, że zwiadowcy, wraz z przydzielonym im do pomocy plutonem technicznym przeczesujący stolicę Makmurii, znajdą i przejmą wreszcie kontrolę nad tutejszymi systemami obrony.

– No i jak tam, gotowi? – spytał ojcowskim tonem młodego, wyprężonego na baczność kaprała.

– Całkowicie, panie grup-majorze! – padła dziarska odpowiedź.

– Na każdy komb-wariant.

– Na każdy, hm... A jeśli nieprzyjaciel nie zaatakuje frontalnie, lecz wielowektorowo, przy wsparciu powietrznym typu GRAD i kurtynowców dalekiego zasięgu?

– Tyły mamy zabezpieczone przez węzły drugiej linii.

– Założmy, że zostały unieszkodliwione przez dywersantów.

– Wówczas wiążemy się z sąsiednimi posterunkami transzeją bifurkacyjną, żeby nie dopuścić do oskrzydlenia i odizolowania poszczególnych punktów obrony. Ogień kurtynowców wezmą na siebie zmiennopozycyjne wabiki, natomiast GRAD...

– Sąsiednie posterunki także padły. – Grup-major dorzucił następny obciążnik.

– Wtedy, wtedy, ee...

– W porządku, tak was tylko pytam. Dajcie spocznij. – Dowódca klepnął podkomendnego po ramieniu i przeszedł na subwokal.

– Zwiad, no i znaleźliście cokolwiek?

– Poziom minus siedem i wciąż nic. Może faktycznie szukamy czegoś, czego nie ma?

– Musi być. Ale weźcie poprawkę, że to Makmuria, która technologicznie wyprzedza nas o co najmniej...

Grup-major urwał na dźwięk grzmotu, który przetoczył się nad doliną. I nie był to zwiastun nadciągającej burzy, w antarktycznym klimacie zjawiska raczej mało prawdopodobnego.

– O, wy skarłałe kundle bez honoru! – zaklął, wycofując się do zółwia. – Wszyscy na swoje miejsca! Bal zaczął się chyba wcześniej, niż przewidywaliśmy!

Coś zamigotało w górnym polu jego rogówkowego monitora.

Grup-major, z jedną nogą na rampie, odwrócił się i dostrzegł małą, ciemną kropkę na tle błękitu nieba, mniej więcej czterdzieści stopni nad północnym horyzontem. To nie był kierunek, z którego jawnie nadciągał przeciwnik, ale jeśli on rozważał zaskakujące ruchy, to i po tamtych należało się spodziewać niespodziewanego.

Tajemniczy pocisk mknął z zatrważającą chyżością prosto na nich.

– Powtarzam, wszyscy na swoje stanowiska, gotowość bojowa zero! – Grup-major wskoczył do pojazdu i rzucił w biegu adiutantowi: – Analiza!

– Prędkość trzy i czterdzieści dwie setne macha...

– Dranie wiarołomne. – Głównodowodzący zgrzytnął zębami.

– Nie minęło dziesięć minut, a oni już łamią protokół, atakując z flanki!

– Nie przypuszczam – odrzekł adiutant, przełączając się między terminalami. – Obiekt ma całkowicie niekompatybilny wektor.

– Zatem ktoś się dołączył jako trzeci?

– Też nie. – W głosie podwładnego zabrzmiała nutka zdziwienia pomieszanego ze strachem. – Bo ten obiekt nie wydaje się wyekspediowany z jakiegokolwiek punktu na południe od sześćdziesiątego równoleżnika.

– No to skąd?

– Gdzieś z północnej półkuli – odparł półgłosem adiutant.

– Skąd? – powtórzył grup-major niedowierzająco, po czym wybiegł z zadartą głową na zewnątrz.

Słysząc już było głośny świst i dum-dum-dum fali uderzeniowej, odbijającej się echem po kotlinie, a czarny punkcik zamienił się w wielką kulę ołowiu. Grup-major mrugnął, przełączając rogówki na tryb dalmierza: dystans trzydzieści osiem kilometrów.

Pozostało zaledwie kilka sekund na podjęcie decyzji, nim to „coś” rąbnie w sam środek Neathene. Jaki miał jednak wydać rozkaz?

Wszyscy do wozów? Pod osłonę zabudowań? Pozostać na miejscach? Ognia?

Nie wydał żadnego, nie zdążył, bo obiekt rozpadł się nagle w powietrzu. Nie wybuchł z hukiem jak szrapnel, ale właśnie rozpadł na niezliczoną ilość połyskliwych sfer, które rtęciowym kartaczem uderzyły w opuszczoną metropolię.

– Padnij! – krzyknął grup-major.

To była rozpaczliwie bezsensowna komenda. Srebrny deszcz poleciał bowiem na wszystko, na zabudowania, na pojazdy, na zaskoczonych ludzi i jałowy grunt, a każda kropla rozpryskiwała się przy uderzeniu na miriady mniejszych, energetycznych niczym śrut i lepkich jak smoła.

– Co to jest? – wyszeptał grup-major, patrząc z przerażeniem, jak metaliczna rosa wsiąka mu w uniform.

W kotlinie znów było słycać tylko wiatr. Głównodowodzący rozejrzał się wokół. Zero ofiar, żadnych zniszczeń i najmniejszego śladu po niezwyklej ulewie. Jakby zjawisko w ogóle nie zaistniało.

– Wracać na posterunki.

– A jeżeli to jakaś broń chemiczna albo biologiczna? – odezwał się w słuchawkach adiutant.

– Tak, niech ci z plutonu sanitarnego to sprawdzą – rozkazał grup-major, dorzucając po chwili namysłu: – I połącz mnie z Dyrektoriatem.

* * *

Wiele kilometrów dalej i ponad godzinę później, naczelny strateg Połączonych Sił przygotowywał się właśnie do swojej odprawy z korpusem oficerskim, kiedy na jednym z ekranów pojawiła się twarz jego sztabowego łącznika.

– Przepraszam, panie marszałku, ale mamy sytuację, która wymaga pańskiej obecności na zewnątrz.

– Teraz? Jaką sytuację? Zostaliśmy zaatakowani?

– Nie nazwałbym tego w ten sposób.

– Więc co się dzieje?

– Najlepiej, jeśli pan marszałek sam to zobaczy.

Klnąc pod nosem, naczelny strateg zarzucił połówkę na grzbiet i wyszedł z salonki. Pierwsze, co ujrzał, to niewielki tłumek, który zebrał się na środku obozu. A dopiero w następnej chwili metalową żerdź z przymocowaną do niego białą szmatą.

– Panie marszałku. – Łącznik zsalutował.

– Coś podobnego, emisariusz? Od tych z Ragnarą?

– Raczej tak. W promieniu tysiąca kilometrów nie potwierdziliśmy żadnych innych zgrupowań. Nie to jest jednak najdziwniejsze.

– A co...

Ostatni z gapiów zszedł na bok... i słowa zamarły naczelnemu strategowi na ustach.

– On jest nagi – wyszeptał łącznik.

– No przecież widzę – odparł zdumiony naczelny.

Nagi i prawie tak blady jak śnieg wokół jego bosych stóp „emisariusz” uśmiechnął się i oznajmił:

– Nie chcemy konfliktu. Rezygnujemy z jednostronnego podboju. I proponujemy koegzystencję. *E pluribus unum.*

Rozdział 1

Rozstali się niemal bez słów, w milczeniu spotęgowanym atmosferą chwili, jak wszystkim się wydawało, ostatecznej. Beatrice jedyny ratunek dla nich widziała w Wierzchołku, i nie chciała nawet słyszeć o powrocie do Cytadeli. Remmuerish zasadniczo był podobnego zdania, Farquahart natomiast miał nieco odmienne, nie obstawał jednak przy nim zbyt długo. Sytuacja nie pozostawiała mu wielkiego wyboru.

– Pewnie myślisz sobie, że uciekam jak... – mruknął, nie dokończył zdania, i uściskawszy pospiesznie dłoń Kreuffa, znikł we wnętrzu kogi, jakby się bał, że statek wystartuje bez niego.

Jęzor trapu zwinął się za nim bezszelestnie, zapłonęły pozycyjne aureole i niegdysiejszy okręt handlowy Anhelosów wystrzelił ponad ciemniejącymi grzbietami gór.

Noel wrócił do Hansena. Nieszczęsny matematyk wyglądał tak, jakby uszło z niego całe życie, a na skraju urwiska pozostał jedynie pusty, znieruchomiały zasobnik. Trwał w tej samej pozycji, w jakiej Kreuff zostawił go dziesięć minut temu, zgięty niczym paragraf, z dłońmi zaciśniętymi kurczowo na zimnej barierce i wzrokiem martwo utkwionym w czeluści, którą wyrąbał niebiański pocisk. Wypełniająca ją wcześniej dziwaczna pseudomagma zdążyła już albo wystygnąć, albo spłynęła gdzieś niżej skalnymi szczelinami, ponieważ po rubinowej łunie nie został najmniejszy nawet ślad. Ciekawe, czy Nils to zauważył, albowiem sprawiał wrażenie człowieka, który nie widział absolutnie nic.

Z dna wąwozu poderwał się wiatr, odbił od stromych urwisk, pomknął w górę pomiędzy strzaskanymi fasadami Orlego Gniazda i zawrócił, przynosząc strzępki ludzkich głosów z oddali. Chaos po wstrząsach musiał być wielki, nie będzie jednak trwał w nieskończoność. Prędzej czy później ktoś przypomni sobie również o tym miejscu i znajdzie zdemolowane lochy oraz opustoszałe cele. I jeśli sam Ignacio nie padł ofiarą kataklizmu, to z pewnością rozkaże szukać Noela.

Dokąd logika nakazywała posłać ludzi w pierwszej kolejności?

Tam, gdzie na zbiega czeka jedyny schron i możliwość bezpiecznego wymknięcia się z Gniazda, czyli do zanzura. Właściwie nawet nie było potrzeby ich wysłać. Kreuff był pewien, że de Molher postawił wcześniej straż przy wehikule. No tak, ale to było, zanim tubylcy wyroili się na zewnątrz w panice, jak pszczoły z podpalonej barci, i

najprawdopodobniej każdy stojący jeszcze na nogach gwardzista został skierowany do opanowywania nieoczekiwanego tumultu. A zatem...

Kreuff odwrócił się na dźwięk spadających kamieni. Nie z góry, lecz ze zwałowiska u wejścia do kazamatów. Ktoś próbował wyczołgać się zza niego, jęcząc w agonii. Okaleczone palce przez moment błędziły ślepo w poszukiwaniu punktu zaczepienia, co rusz ześlizgując się z granitowych płaszczyzn po własnej krwi. Noel stał zbyt daleko, by pomóc, i mógł tylko ze zgrozą patrzeć, jak jeden z pochwyconych przez zmasakrowaną dłoń odłamków uwalnia się spod większego głazu i jak ów głaz przetacza się w tył.

Strażnik wrzasnął – krótko, lecz tak przeraźliwie, że z nadwerężonej wcześniejszymi wibracjami ściany skalnej zaczęły odpadać już nie kamyki, lecz całe wielotonowe bloki. Jeden z nich, rozmiarów solidnego obelisku, gruchnął niczym monstrualny ćwiek niemal dokładnie u wylotu więziennego tunelu, szpuntując go na amen.

– Lepiej stąd chodźmy. – Kreuff odciągnął Hansena od barierki, nie tracąc czasu na *savoir-vivre*.

– Dokąd?

– Na razie byle dalej od tych spadających nagrobków.

Tyle że to wcale nie było takie proste. Plac z zaparkowanym wehikułem był gdzieś... tam, on z Hansenem gdzieś tutaj, a pomiędzy punktem A oraz punktem B usiany pretorianami *don Ignacia* wielopoziomowy labirynt. Na domiar złego w niejednym miejscu zamieniony w kupę gruzów. Jedyne, co Kreuff pamiętał, to ten kawałek, jaki przebyli prowadzeni przez Hideoriego. Przynajmniej opuszczenie tarasu nie stanowiło zagadki. Wykluczając skok w przepaść, prowadziła stąd teraz już tylko jedna droga: kilkaset wykutych w skale stopni. Wszystkie były jeszcze na swoim miejscu, więc lepiej, żeby się pospieszyli.

Nils ruszył za nim potulnie, z lunatyczną brawurą wstępując na strome, wąskie i niechronione żadną poręczą schody. Mniej więcej w pół drogi na szczyt klifu, tuman ciężkich myśli, które spowijały jego umysł, przerzedził się jednak i profesor stanął, na powrót skonfrontowany z rzeczywistością.

– Kreuff? Kreuff, zaczekaj, dokąd my idziemy?

– Do góry – padła lakoniczna odpowiedź.

– Tyle to i ja widzę. Jezu! – Hansen przywarł odruchowo plecami do zimnej tafli granitu.

Gzysms na budynku Wydziału Analityki w Rochester był szerszy niż to, na czym teraz stał. Od dziecka miał wstręt do wspinańek i jak na złość musiał trafić do świata, gdzie wszyscy najwyraźniej uwielbiali poruszać się w pionie, dwa pozostałe wymiary traktując jak anachronizm.

– Ale chciałbym przynajmniej wiedzieć po co. Jest tam coś wartego takiej mordęgi?

– Środek transportu, który nas stąd zabierze.

– Przecież mamy ten latający dysk.

– Nie, odleciał jakieś pięć minut temu.

– Jak to? – Tu matematyk otrzeźwiał na dobre. – I nikt mnie nie spytał, czy ja też chcę lecieć?

– Pytaliśmy – odparł Kreuff przez ramię. – Ja raz, a Hannibale nawet dwukrotnie. I za każdym razem uzyskiwał odpowiedź przeczącą. Mieli cię ciągnąć na siłę, profesorze?

– Nie słyszałem, żeby... to jest, nie pamiętam.

– Ale tak właśnie było. – Ze zwinnością kozicy Noel przeskoczył kilkanaście ostatnich stopni. – I na dobre, czy złe, teraz jesteś ze mną. No, chyba że wolisz zostać tutaj?

Hansen popatrzył trwożliwie w dół na zasłany skalnym rumowiskiem taras, na posępne grzbiety górskie, które ledwo odcinały się już od granatowiejącego nieboskłonu, i na widoczny nawet zza ich niebotycznej barykady seledynowy rąbek Drzewa. Gdzie naprawdę chciałby w tej chwili być to najwidoczniej nikogo nie interesowało. Bo i dlaczego, skoro on sam coraz częściej spoglądał na swoje przeszłe życie jak na blaknący sen?

– Raczej nie. – Nils zrobił ostrożny krok naprzód, i jeszcze jeden, i jeszcze... Jakoś dało się iść, gdy człowiek patrzył na ścianę po prawej, zamiast w tył lub pod nogi. – Tylko nie oczekuj ode mnie, że będę tak gnał, jak ty, młokosie!

Śmiech Kreuffa odbił się od skał i stoczył po schodach jak rozsypane perły.

– Co w tym zabawnego? – Hansen zaczął liczyć pokonywane stopnie, w nadziei że to jakoś ułatwi mu wspinaczkę. Nie pomylił się i po piętnastym przystanął, zdziwiony, jak szybko w gruncie rzeczy udało mu się pokonać taki odcinek. Bez śladu zadyszki.

– Psiakrew!

– Profesorze?

– Nic, nic... – Tyle upłynęło czasu od jego rezurekcji, że powinien już dawno przyzwyczaić się i przestawić, a jednak wciąż padał ofiarą zaskoczenia. Czemu? Czyżby jakieś echo podświadomego oporu przeciwko tak nienaturalnej, abiologicznej cielesności? – Daleko stąd jest ten twój środek transportu?

– W linii prostej niezbyt.

– Aha, rozumiem. Podobnie karkołomnych trawersów będzie zapewne więcej – powiedział Nils.

– Tego, szczerze mówiąc, nie wiem. – Noel podał matematykowi dłoń i pomógł mu wejść na półokrągłą galeryjkę wieńczącą schody. – Wiem natomiast, że jeżeli się nie pospieszymy...

– Dobrze już, dobrze, prowadź.

Do wyboru mieli wąski chodnik, który biegł równoległe do krawędzi urwiska, albo następne schody, zdecydowanie szersze od poprzednich, z żelaza kutego *à la* paryski *fin de siècle* i osłonięte daszkiem z abstrakcyjnych witraży, potraskanych w wielu miejscach. Kreuff zignorował pierwszą opcję i ruszył śladem kolorowego szkła, którego kawałek od razu chrupnął mu pod stopą i osypał się po metalu brzękliwą kaskadą okruczeń. Schody proste doprowadziły ich do spiralnych, a te z kolei na sześcioboczny dziedzińczyk ze ścianami tak wysokimi i surowymi, że bardziej przypominał dno studni.

– I dokąd teraz? – Hansen podrapał się po brodzie. – Ślepy zaułek.

– Niemożliwe – mruknął Noel, aczkolwiek i on wyglądał na lekko skonsternowanego.

Czyżby jakiś architektoniczny lapsus? Schody donikąd? Albo po prostu kamuflaż. Mur okazał się solidny w dwóch miejscach dotkniętych przez Kreuffa, ale za trzecim razem jego ramię przeszło przez kamienie i zaprawę na wylot.

– Hologram! – wykrzyknął Hansen, uradowany, że wreszcie coś tu rozpoznał na pierwszy rzut oka i bez wyjaśniania ze strony tubylców. – Projekcja holograficzna, mam rację?

– Niezupełnie, ale mniejsza z tym – odparł Noel, znikając w ścianie.

Nils podążył za nim bez zwłoki. I natychmiast utracił swój dopiero co odzyskany psychiczny komfort, albowiem wirtualny mur nie był tylko zwykłym mirażem, lecz jeszcze jednym z tutejszych zaczarowanych zwierciadeł Alicji, za którym czaiło się niepojęte.

Ledwie przeszedł na drugą stronę, świat wokół fiknął stuosiemdziesięciostopniowego koziołka i Hansen znalazł się w pozycji nietoperza drzemiącego u powały. A ściślej biorąc u stopnia schodów, z których najwidoczniej składała się cała ta dziwaczna budowla.

Zrobienie kroku w tym położeniu wydawało się nierealne, Kreuff jednak maszerował dziarsko do góry. Nie, w dół. Nie, do licha ciężkiego, właśnie do góry!

Hansen zacisnął powieki i spróbował sobie wyobrazić, że wszystko jest w normie. Nieważne, w jaki sposób osiągają te przyprawiające o zawrót głowy efekty – manipulując lokalnym kontinuum czasoprzestrzennym, czy tylko percepcją obserwatora poprzez sprytną grę światła, ale przecież ludzie żyją tu i jakoś nie popadają w obłąd. A zatem może i on. Musi po prostu zmienić punkt widzenia. Nakłonić zmysły do akceptacji pozornie nieakceptowalnego. Używać oczu, uszu i dotyku jako parafernaliów rozumu, i to najpierw, nie zaś poniewczasie. Oto remedium.

Otworzył oczy... i odetchnął z ulgą. No tak, artefakt. Schody cięły po przekątnej sześcienną komorę, jakby stworzoną specjalnie do wywoływania deprywacji sensorycznej. Lazurowa świetlistość poniżej i nieprzenikniona czerń nad głową tworzyły wrażenie, że wisi się do góry nogami, wrażenie potęgowane dodatkowo brakiem jakichkolwiek szczegółów, na których mógłby się oprzeć wzrok.

– Nils?

– Idę, już idę – odpowiedział Hansen i ruszył, podniesiony na duchu mocą swego racjonalizmu.

Komora nie miała żadnych widocznych drzwi. Po prostu w jednej chwili Nils znajdował się jeszcze w jej wnętrzu, a w następnej stał na posadzce z terakoty w cieniu renesansowych krużganków.

I mimo usilnych starań, nie był tym razem w stanie złożyć tego, co ujrzał, na karb czysto iluzjonistycznej sztuczki. Na pierwszy rzut oka było to patio jakiegoś śródziemnomorskiego *maison*, z kwietnym dywanem i urokliwie szemrzącą fontanną w centralnym punkcie. Szkopuł tkwił w tym, że poszczególne części tego surrealistycznego dziedzińca przesuwaly

się swobodnie względem siebie! Łuki podcieni nie zgrywały się ani nawzajem, ani z pozornie wspierającymi je kapitelami, kolumny defilowały w powietrzu niczym procesja skamieniałych mniszek, alabastrowa czasza wodotrysku nie miała pod spodem nic, prócz falujących łagodnie źdźbeł trawy, a ponad tym wszystkim unosił się masywny czworoboczny postument z wieńcem rzeźb przypominających skrzydlatego boga Quetzalcoatla, niepodtrzymywany niczym, prócz technologicznego czarodziejstwa tej epoki.

Kreuff zaczekał, aż profesor do niego doszłusuje, i przez niewielką furtę wkroczył do jeszcze jednej klatki schodowej. Escher czułby się tu jak u siebie, pomyślał Hansen, wstępując na stopnie z geometrycznie doskonałych, malachitowych prostopadłościanów.

Wszędzie schody. Ruchome tym razem, bo płynące samoistnie na podobieństwo eskalatora bez poręczy, ani jakichkolwiek widocznych mechanizmów nośnych. Trzeba było pewnej dozy odwagi oraz wiary, żeby z nich skorzystać, nawet gdy rozum zapewniał, że kamienne płyty nie odfruną spod nóg.

Nic takiego się nie stało i po krótkiej przejażdżce Nils stanął w gotycko sklepionej nawie, prześwietlonej niczym oranżeria.

Skąd jednak padał ten słoneczny blask, trudno było powiedzieć, okien bowiem ów katedralny przestwór nie miał żadnych, a nawet gdyby miał, to przecież na zewnątrz zmierzch zapadł już dawno temu. Mnóstwo za to było tu jakichś abstrakcyjnych kompozycji wyrzeźbionych nie tyle z materii, ile ze światła i ruchu.

– Fascynujące... – Hansen zbliżył się do jednej z takich „rzeźb”.

– Fascynujące i piękne, tylko że... coś tu jest nie tak z topologią, nie uważasz?

Kreuff nawet się nie zatrzymał, zgoła obojętny na walory lokalnej sztuki. Zresztą inne tutejsze niezwykłości też raczej nie robiły na nim widocznego wrażenia. Czemu? Nils założył milcząco, i być może zbyt pochopnie, że Noel jest takim samym jak on rozbitkiem w czasie, wyrzuconym na zupełnie nieznaną sobie brzeg i z luką w pamięci rozmiarów tysiąclecia. To dodawało otuchy, jak nieoczekiwane spotkanie współziomka w obcym kraju. Co tam współziomka – znajomego! I mniejsza, że w ich poprzednim życiu nie spotykali się na gruncie towarzyskim, bo w porównaniu z tłumem indywiduów bardziej Nilsowi odległych niż jego skandynawscy antenaci, Kreuff jawił się teraz przyjacielem, opoką, jedynym ogniwem łączącym go z przeszłością i jedynym, który mógł szczerze zrozumieć wyobcowanie Hansena w tej futurystycznej matni.

Im dłużej jednak Nils obserwował swojego „kumpla”, tym głębiej wżerało się weń podejrzenie, że nie do końca jest z tym Noelem tak, jak pragnął sądzić. To nie był wcale ktoś zagubiony, kto rozglądał się z rozdziawioną gębą na prawo i lewo. Raczej emigrant z długoletnim stażem na obczyźnie, jeśli już pozostać przy zamorskich analogiach. W rzeczy samej, wydawał się bardziej obyty i pewny siebie niż inni, których Hansen do tej pory tu poznał. To zaś nasuwało dwie hipotezy: albo ten Kreuff to wcale nie Kreuff, lecz osobnik tylko się zań podający, albo też Kreuff to rzeczywiście Kreuff, jednak reinkarnowany o wiele

wcześniej. Pierwszy wariant Hansen natychmiast od siebie odepchnął, nie chciał nawet tak myśleć. Drugi był zdecydowanie atrakcyjniejszy i jeśli prawdziwy, to Hansen nie wiedział kiedy zdąży mu zadać wszystkie z nurtujących go pytań.

– Nils?

– Hm?

– No chodź, przecież mają nas tu jak na tacy!

– Kamery?

Noel zdążył przemierzyć już prawie całą długość sali, a mimo to Hansen przysięgłby, że dostrzegł w jego oczach błysk zaskoczenia.

– Coś w tym rodzaju – odparł Noel i dorzucił: – Uważaj na ten złom.

– Widzę.

Trudno było nie zauważyć, cały środek nawy był zawałony jakimiś mocno pokierszowanymi rurami z mosiądzu. A i tak Hansen wlaź na jedną i aż podskoczył, gdy ta wydała przenikliwy dźwięk.

– Rany boskie, toż to piszczałki z jakichś organów kościelnych!

– Nils!

Z przybytku świetlnych posągów przeszli do bocznego korytarza, aczkolwiek słowo „korytarz” nie wydało się Hansenowi zbyt adekwatne. Użył go w myślach jedynie dlatego, że „wawóz” pasował mu do elementu wewnętrznej architektury jeszcze mniej.

Ściany były co prawda wyłożone drewnianymi panelami wydzielającymi subtelny zapach piżma, ale zamiast łączyć się zwyczajnie z sufitem, nikły w chmurach, które przesuwwały się idyllicznie na tle błękitnej wstęgi nieba. Nils zaczął z wolna odczuwać przesyt tymi wizualnymi sztuczkami i gdy po mniej więcej czterdziestu metrach dotarli do rozwidlenia, skonstatował, że kicz i efekciarstwo są chyba ponadczasowe.

– I bądź tu mądry – mruknął Kreuff, bo z jednego korytarza zrobiło się naraz pięć.

– Ja bym poszedł... nie wiem, w lewo?

– Dlaczego w lewo?

– No to w prawo. Tak sobie tylko gadam, przecież ty prowadzisz.

– Jak jednooki ślepeca. – Noel westchnął i skierował się ku lewej odnodze, opadającej w dół na podobieństwo rampy. – Zaczekaj tutaj.

Hansen nawet nie zaczął dobrze czekać, kiedy Kreuff był już z powrotem.

– I co?

– Nic. – Noel pokręcił głową. – Zalane jakimiś ściekami. Wierzyć się nie chce.

Następne dwa korytarze okazały się w rzeczywistości jednym i kiedy po mniej więcej trzydziestu sekundach Kreuff pojawił się niemal dokładnie w tym samym miejscu, z którego wystartował, jego miny nie dało się już określić jako stoickiej. Może jednak powinni byli wtedy pójść tą skalną ścieżką, przemknęło Hansenowi przez myśl. Ale nie wypowiedział jej głośno, w obawie, że Noel jeszcze się z nim zgodzi i zawrócą, co nieszczególnie się

profesorowi uśmiechało. Podobnie chyba jak i Kreuffowi, który bez dłuższego namysłu zagłębił się w środkowy tunel, najwidoczniej zdecydowany systematycznie przebadac wszystkie warianty. Znudzony beczynnym tkwieniem na rozdrożu, Hansen podreptał za nim i po kilkudziesięciu krokach stanął, osłupiały.

– Co, u licha? – bąknął, nie dowierzając własnym oczom.

Albowiem znów ujrzał pogruchotane organowe piszczałki, lecz tym razem jako ścienny ornament. Zaraz, jaki ścienny? To była posadzka, przeklęte rury wciąż leżały w tym samym miejscu, tylko on patrzył teraz na nie prostopadle! Znowu igrano sobie z jego percepcją, i to na tyle skutecznie, że przez kilka długich sekund umysł Nilsa nie potrafił rozsądzić, czy to on wylazł niczym pajak na sufit, czy może jednak cały budynek postawił się sztorcem. Bo w tym wesołym miasteczku niepodobna już było wykluczyć żadnej możliwości.

Wycofali się. Kreuff niemal biegiem, Hansen zdecydowanie ostrożniej, jakby pod nogami miał nie równy chodnik, ale oślizłą i chybotliwą kłodę. Noel zniknął mu już z pola widzenia, nie mógł jednak pójść nigdzie indziej, jak tylko do ostatniej z odnóg, więc i on tam się skierował. Korytarz, z początku poziomy i prościutki jak linijka, wkrótce zaczął się wznosić, jednocześnie zakręcając na podobieństwo ślimaczej muszli. Im dalej Hansen się w niego zagłębiał, tym bardziej to skojarzenie wydawało się na miejscu. Zniknął pretensjonalny firmament z obłoczkami, znikła drewniana boazeria ze ścian i kamienna mozaika spod stóp, zastąpione jednorodną opalescencją i gładkością macicy perłowej. Znikłoby nawet wrażenie, że cokolwiek tutaj jest jeszcze dziełem rąk ludzkich, gdyby nie jedna rzecz. Bardziej zresztą przez Nilsa wyczuwalna niż widoczna, gdyż bezkierunkowe światło i obezwładniająca wzrok tęczowa mora odebrały korytarzowi jakąkolwiek trójwymiarowość.

A mimo to Hansen czuł – ba, wiedział na sto procent, że porusza się po spirali wewnątrz spirali i że to wszystko jest niczym więcej niż następną kuglarską sztuczką miejscowych architektów-dowcipnisiów. I tak jak wcześniej się gubił, tak teraz nie miał żadnych problemów z orientacją. Zupełnie jakby ni stąd, ni zowąd włączył się u niego jakiś szósty zmysł, który nie wymagał współdziałania ze strony pozostałych pięciu. Czemu jednak włączył się dopiero teraz? Bo sytuacja okazała się sensorycznie ekstremalna?

Możliwe. Możliwe były również bardziej prozaiczne wytłumaczenia, których jednak Hansen nie dociekał, ujrawszy fizyczne potwierdzenie swoich odczuć. Na tle puentylistycznej bieli pojawił się ciemniejszy punkcik, który, wirując przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, rósł szybko i przybierał coraz konkretniejsze kształty. Jednocześnie, z każdym krokiem, w otoczeniu dokonywała się transformacja *à rebours* w „zwykły” korytarz z podłogą, ścianami w drewnie, etc. Wirujący przedmiot – wirujący, rzecz jasna, relatywnie w odniesieniu do spiralnej trajektorii Nilsa – okazał się niewielką fontanną. Prosta, terakotowa misa ze swoim żłobkowanym postumentem i trzema glinianymi figurkami na obrzeżu wyglądała jak archeologiczny eksponat, dopóki Hansen nie spostrzegł, że figurki całkiem żwawo sobie pływają, raz po raz zaczerpując powietrze miniaturowymi dzbankami i

wylewając je, cudownie przemienione w wodę, do miski. Kreuff stał kilka metrów dalej, odwrócony plecami.

– I co, tędy też nie przejdziemy? – spytał Hansen nieśmiało.

– Domyśliłeś się. – Noel wykrzywił usta. – Pieprzony potiomkinowski wunderland. Wystarczy mocniej kopnąć i wszystko się rozlatuje. Nie przejdziemy tym korytarzem, bo cały strop się zawalił.

– A zatem musimy wracać?

– Może nie. – Kreuff chwycił za krawędź jednego ze ściennych kasetonów.

Wyglądający solidnie panel uchylił się lekko i bezszelestnie, jak drzwi z dobrze naoliwionymi zawiasami. Hansen zajrzał Noelowi przez ramię.

– No tak, znowu schody...

Kamienne, wążiuteńkie, strome jak drabina, ginące w nieprzeniknionych ciemnościach. I chyba całkiem niedawno przez kogoś używane, jak można było sądzić po śladach odcisniętych w grubej warstwie kurzu, który je zalegał.

– Dokąd prowadzą?

– Pojęcia nie mam. – Kreuff wsunął się głębiej i zadarł głowę, aczkolwiek cóż mógł wypatrzeć w takiej ćmie? – To musi być jakiś stary szyb wentylacyjny. Nawet jest ciąg.

– A te ślady zostawił kominiarz?

– No właśnie. – Noel oparł but na zapyłonym stopniu, cofnął, i przyjrzał się obydwu odciskom. – Ktokolwiek tędy wchodził, zrobił to nie dalej niż godzinę temu.

– Skąd wiesz?

– Przecież widzę – odparł Kreuff. – Ślad jest jeszcze ciepły. Dobra, trzeba to sprawdzić, a nuż, widelec. Tylko się nie poślizgnij.

– Będę uważał. Żeby jeszcze było choć trochę światła... – Hansen oblizał nerwowo wargi.

– Nie masz przynajmniej zapalek?

– Nils. – Kreuff popatrzył nań z pobłażliwym uśmiechem. – Nie potrzebujesz żadnych zapalek. Chodź.

– Już ja tam wiem, czego potrzebuję. – Matematyk starał się bezskutecznie wymacać w mroku jakąś poręcz.

Niestety, jedynym, o co mógł się wesprzeć, była wilgotna, chropowata ściana. Ostrożnie, czubkiem buta sondując nierówności przed sobą, Hansen zaczął się wspinać z cichą nadzieją, że ów „superzmysł”, który tak chwacko sprawił się w ślimacznicy, wspomogę go i tutaj. Jak na razie dopisywał mu jedynie węch, wychwytyjący z powietrza nie tylko zapach jakichś zatechłych sienników, rdzy i mokrego kurzu, ale nawet subtelności składu mineralnego skał.

Najbardziej przytłaczała jednak woń surowizny, zupełnie jakby zmierzali w kierunku rzeźni. Albo raczej prosektorium, bo w jatce chyba nie używa się formaldehydu.

I nie oświetla się stanowisk do ćwiartowania tak rzęsiście.

– Och, szlag! – wrzasnął Hansen, o mało co nie zlatując ze stopnia. Jeszcze przed sekundą otaczały go egipskie ciemności, i nagle jakby ktoś odpalił mu przed oczyma flarę. – Człowieku, co ty wyprawiasz?!

– A co się dzieje? – dobiegło z wysoka.

– Jak to co?! – wyrzucił Nils z irytacją. – Psiakrew, nic nie widzę... nie, zaraz, już jest lepiej, już jest zdecydowanie lepiej... Ale na drugi raz bądź łaskaw uprzedzić. O mały włos przez ciebie nie oślepiłem!

– Nie przeze mnie, tylko co najwyżej przez fachowca, który kalibrował twój neuromotor. – Kreuff zszedł do niego. – Odchyl głowę do tyłu i zaciśnij powieki. Teraz otwórz, jeszcze raz. Hm, źrenice ci się zacinają.

– Jak to zacinają? – Hansen się przestraszył.

– Drobną usterka, nie przejmuj się. – Noel klepnął go uspokajająco po ramieniu. – Jak tylko dotrzemy do Cytadeli, każę cię obejrzyć specjaliście.

– Oftalmologowi czy raczej mechanikowi precyzyjnemu? – Spojrzał na Kreuffa, który wyszczerzył zęby w uśmiechu, nie zdając sobie sprawy, że Nils pyta go najzupełniej poważnie. – Przepraszam, ale wciąż nie mogę przyzwyczaić się do tego... do tego...

– Czas wszystko zmieni – rzucił Noel sentencjonalnie i ruszył z powrotem w górę szybu.

– Czas! – parsknął Hansen. – Tylko ile będę go potrzebował?

– Nie wiem, zależy. Mnie wystarczyło kilkadziesiąt lat.

– Kilkadziesiąt?! – Matematyk znowu zamrugał, tym razem jednak z niedowierzania. – Ha, wiedziałem, wie-dzia-łem! Czekaj no, ale kiedy dokładnie... Noel?

Szyb okazał się tylko przejściem do większej, kwadratowej w przekroju sztolni, opasanej węzownicą schodów wrębionych w skałę. I jak zwykle bez barierek ani poręczy. Wpierw tylko dla odwrócenia uwagi od coraz to przepastniejszej dziury, którą okrążał, a później już zwyczajnie z nudów, Hansen zaczął liczyć pokonywane stopnie. Gdzieś przy siedemsetnym dał sobie jednak spokój. Siedemset razy trzydzieści parę centymetrów na stopień dawało ćwierć kilometra. To jak wysokie może być to cholerstwo?

I dokąd ich w końcu zaprowadzi, na sam szczyt masywu? Chyba nie taki był cel Kreuffa i zapewne teraz pluje sobie w brodę, że nie zawrócił w ślimacznicy. Co za uparciuch!

Prawdę mówiąc, chyba przede wszystkim dlatego zapamiętał Kreuffa jeszcze w Princeton, gdzie Hansen wykładał jako *visiting professor* wiele lat przed rozpoczęciem Projektu. Nie zapamiętał go z powodu ponadprzeciętnych walorów intelektualnych, bo takowymi musieli wykazywać się wszyscy tamtejsi naukowcy, ale ze względu na determinację, wobec której musiał skapitulować nawet sam Leonid „Maczuga” Artwiejewski.

Wśród ludzi zajmujących się układami nieliniowymi, Artwiejewski miał status półboga i może dlatego, że Kreuff był niemal kompletnie zielony w tych zagadnieniach odważył się kiedyś wytknąć staremu kilka błędów na wykresie oraz niepoprawne, jego zdaniem, zastosowanie macierzy Heuzinga. Zamiast rzeczowej riposty, Artwiejewski po prostu go

wyśmiał i jeszcze nawrzucał przy pełnym audytorium od nieuków, skąporowkowych dyletantów, pasożytniczych grantopijców i naprzykrzających się seminaryjnych trolli, by wspomnieć tylko najbarwniejsze z określeń. No i słono za to zapłacił. Po pięciu miesiącach przegryzania się przez wszystko, co na temat układów nieliniowych ktokolwiek, a zwłaszcza Artwiejewski, napisał, po dziesiątkach zarwanych nocy, kilku ostrych kłótniach ze współpracownikami i puszcanych mimo uszu grózb kierownictwa, że go wywalą, jeśli nie zacznie z powrotem realizować swoich podstawowych zadań badawczych, Noel odpałił ładunek. Jak to po jego wystąpieniu ujął dziekan: „Powinniśmy częściej obrażać młodych, bo dopiero wówczas pokazują, na co naprawdę ich stać”. I Kreuff niewątpliwie pokazał, w ciągu dwóch godzin rozkładając teorię Artwiejewskiego na łopatki i jednocześnie proponując własną, o wiele elegantszą i bardziej spójną.

Godne podziwu oraz utrwalenia w długoterminowej pamięci, bez dwóch zdań. Czym innym jednak szlachetna wytrwałość w dążeniu do prawdy, a czymś zupełnie innym ślepy upór, który nie reaguje na głos rozsądku. Nie tyle z fizycznej mitręgi, bo tej nie odczuwał wcale, ile z rozdrażnienia przedłużającą się wspinaczką, Hansen zapragnął naraz klapnąć tyłkiem na te zimne, opuszczone schody prowadzące diabli wiedzą dokąd i wyrąbane w granicie diabli wiedzą przez kogo i w jakim celu. Prawdę powiedziawszy, miał gdzieś przeznaczenie tej dziury. Ale może z Noelem było inaczej? Może szukał tu jeszcze czegoś oprócz wyjścia?

Z głębi szybu dobiegł dźwięk przypominający klangor żurawi albo postukiwanie kijem w blaszany garnek. Hansen wychylił się ostrożnie i zobaczył jakieś stalowe liny, które kołysały się leniwie w przeciągu, zardzewiałe i wystrzępione na końcach. To one, do spółki z łańcuchem, tak szerniałym od sadzy bądź smaru, że w pierwszej chwili profesor go nie zauważył, były źródłem owej klekotliwej muzyczki. Musiała tu kiedyś kursować winda, choć raczej nie ostatnimi czasy. Skoro zaś była winda, to gdzieś musiały być również i przystanki. Upór Kreuffa miał zatem swoje uzasadnienie, a człowiekiem małej wiary okazał się on. Mimo wysiłków Hansen nie potrafił dojrzeć punktu zaczepienia dyndających kabli, trudno było więc orzec, jak wiele pozostało im jeszcze do przejścia. Zauważył natomiast coś, co wziął za nietoperza polatującego niemrawo między ścianami sztolni, dopóki ów „nietoperz” nie trafił na jedną z lin i nie zawisł na niej martwo. To była po prostu jakaś kolorowa szmata, biała z czerwonymi i granatowymi akcentami. Tylko skąd tutaj coś takiego? Ten człowiek, który przeszedł wcześniej...

– Jesteś tam? – Twarz Noela ukazała się ni stąd, ni zowąd kilka pięter wyżej.

– Jestem, jestem! – odrzyknął Nils. – Znalazłeś coś?

– Powiedzmy.

Trupa.

Hansen zobaczył najpierw tylko nogi w czarnych, wypolerowanych na glanc cholewach. Dopiero gdy Kreuff się przesunął, Nils ujrzał resztę i z jego gardła wyrwał się mimowolnie okrzyk grozy.

To stąd rozchodził się smród surowizny. Nawet skojarzenie z rzeźnią było na swój makabryczny sposób właściwe. Nieszczęśnik został bowiem przerąbany mniej więcej w okolicy krzyża, równiuteńko jak gilotyną. Potworna śmierć i niewyobrażalne cierpienie, sądząc po pozycji górnej partii zwłok, która leżała dobre parę metrów od drzwi. Jak ów człowiek zdołał przeczłagać się aż tak daleko, tak krwawiąc?

– Rany boskie... Co tu się stało?!

– Głupiec wlał prosto na kurtynę fazotranslacyjną, chociaż zabijcie mnie, jeśli rozumiem czemu. Przecież to jeden z gwardzystów de Molhera, powinien był o niej wiedzieć. – Kreuff ukląkł przy zwłokach. – Gdzie ty ją masz, chłoptasiu? A, jest...

– Okradasz zmarłych?

– Jemu już na nic się nie przyda, a nam może. – Noel zważył w rękach coś, co, jak się Hansen domyślał, było bronią. – Na przykład, żeby sprawdzić, czy czujniki nadal są aktywne. Jak widać, nie są.

Hm, no to zobaczmy, dokąd nas przyniosło.

Z bronią w pogotowiu, Kreuff przestąpił nad zmasakrowanym ciałem gwardzisty... i oniemiał.

– Jasna zaraza, niemożliwe!

– Znowu coś nie tak? – Hansen westchnął, próbując jakoś ominąć kałużę krwi.

– Ja już tutaj byłem.

– No, to chyba dobra wiadomość.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Przysadzista kolumnada, wielkie kasetony na suficie i gargantuiczne biurko z wypolerowanego niczym lustro czarnego obsydianu. Jak mógłby zapomnieć to miejsce? Jak mógłby nie rozpoznać gabinetu *don* Ignacia de Molhera?

* * *

Dzień szybko zamieniał się w noc, gwiazd jednak nie było widać prawie wcale, albowiem przy pierwszych oznakach nadciągającego zmierzchu plac rozświetlił się rzęśniętymi aureolami publicznych latarni i stale powiększającą się liczbą przenośnych lamp. Instynkt wygnał ludzi na otwartą przestrzeń i wszystko wskazywało na to, że pozostaną tutaj co najmniej do świtu. Linneus poczuł delikatne szturchnięcie w ramię i pomyślał, że znalazł ich ktoś od *don* Ignacia. Ale to był tylko jakiś litościwy przechodzień, który spytał, czy mu nie zimno. Owszem, górski chłód zaczynał doskwierać i Linneus z nieukrywaną wdzięcznością przyjął ofiarowany mu koc.

Wody pocziwina nie miał, niestety, nic mu też nie było wiadomo o sytuacji w prywatnych częściach Gniazda.

– Tam chyba największe zniszczenia. – Westchnął. – Ale powtarzam jedynie, co słyszałem od innych. Jeśli *senhor* bardzo spragniony, to mogę przynieść wodę z fontanny. Jest zdatna do picia.

– Dziękuję. – Linneus odmówił uprzejmym tonem. – Moja siostrzenica niebawem przyjdzie.

– A jeśli nie? – Mężczyzna spytał nagle z przekorną nutką hazardzisty w głosie. Przy tym wznosił oczy ku niebu. – Nadziei tracić nie można, oczywiście, ale też w każdej chwili musimy być gotowi przyjąć i zaakceptować wyroki boskie, choćby nie wiem jakby nam się okrutnymi i niesprawiedliwymi wydawały.

Linneus przyjrzał mu się nieco uważniej. Niczym egzotycznej orchidei, która przy bliższych oględzinach okazuje się pospolitym ziółkiem.

– Kleryk?

– *Compañero*, na razie. Święcenia będę przyjmował dopiero w przyszłym roku.

– Ach, rozumiem. – Linneus odrzekł najogólniej, jak mógł. – Nie, siostrzenicy nic się nie stało. Kręci się gdzieś tu w tłumie i pomaga opatrywać rannych.

– Siostra-samarytanka z naszej kongregacji, jak rozumiem?

– Bynajmniej. To jej własny pomysł. Ma prawdziwy dar mobilizowania ludzi w sytuacjach kryzysowych i sporo empatii, niech więc je wykorzystuje. Ja jej nie zabraniam, a i wam to chyba nie wadzi?

– Każda miłosierna dusza jest łzą Pańską spadającą na pustynię grzechu – wyrecytował młodzian z niemiłosiernie sztuczną emfazą, a po chwili dodał: – A zatem twoja siostrzenica, *senhor*, musi być jedną z tych szczęśliwych istot bożych, w której płomień Ducha Świętego gore ze szczególną mocą. Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa...

– Raczej wrodzone przymioty charakteru w kombinacji z odpowiednim wychowaniem – przerwał mu Linneus, widząc, jak niewinna dotąd pogawędka przeistacza się w kazanie ad hoc. Kazań zaś nasłuchał się w swym życiu aż nadto i kolejna porcja religijnej frazeologii była mu w tej chwili najmniej potrzebna. – Mogę zatrzymać pled?

– Ależ tak, proszę. – Młodzieniec zgodził się skwapliwie, lecz spoglądał już gdzie indziej.

Sprytny mały szakal, który szuka najsłabszych osobników. I dziś w nocy z pewnością uda mu się coś upolować. Tyle biednych, sponiewieranych, przerażonych i podatnych na bałamucenie dusz w jednym miejscu. Cóż za idealny teren łowiecki dla sekciarskiego naganiacza! Gdyby nie ta przekłeta noga, pomyślał Linneus z nagłą złością. Gdyby nie ta noga...

– No to zostań z Bogiem, *senhor*. I przypilnuj swojej siostrzenicy.

To ostatnie zabrzmiało niemal jak zawołowana groźba. W rzeczy samej było groźbą, nawet jeśli ów gołowąsy *compañero* nie wyartykułował jej świadomie. Kości zostały rzucone,

przeznaczenie się wypełniało, a on, Linneus, mógł już tylko na to wszystko patrzeć oczami dziecka, któremu wiatr wyszarpnął z rąk latawiec.

Można powiedzieć, że plan Hilgara powiódł się aż za dobrze.

To Hilgar, Wielki Strażnik Pieczęci, był *spiritus movens* całego tego szaleństwa. On wykradł sarkofag Heleny z tabernakulum i niewybrednym szantażem zmusił Linneusa do wykonania świętokradczego transferu. On także wpadł na pomysł, by zaprogramować receptakl nie w formie jednorazowego mannekena, lecz ontogenetycznej paraleli ludzkiego płodu. W ten sposób, przekonywał, dokonają czegoś na kształt sublimacji jej jaźni, w wyniku której Helena odrodzi się dziewiczo czysta. Jednakże od samego początku Linneus nie miał złudzeń co do prawdziwych intencji Hilgara, któremu wcale nie chodziło o żadną czystą esencję ich patronki, tylko o władzę, koniec, kropka. Mniemał naiwnie, że tą drogą uzyska nad nią pełną kontrolę, kształtując ją *de novo* podług własnej wizji, jak rzeźbiarz glinę.

Helena sprawiła mu jednak bolesną niespodziankę, bo wyrosła na kobietę zupełnie inną od tej z kart Pisma, zresztą nie bez wydatnego udziału Linneusa. Trudno się zatem dziwić, że to właśnie Hilgar, a nie Linneus, z początku w zdecydowanej opozycji do całego planu, zaczął żywić do niej niekłamaną antypatię. Irracjonalnie i niesprawiedliwie, być może, ale poczuł się przez nią oszukany, a życie, które dla niej poświęcił, uznał za zmarnowane. Nie umiał się pogodzić z klęską swojej *idée fixe* ani zaakceptować Heleny jako równorzędnej partnerki i istoty ludzkiej, tak jak to uczynił Linneus.

– Wuju?

– O, jesteś... – Pogrążony w zadumie, nawet nie zauważył, kiedy i z której strony nadeszła.

– Przyniosłam coś na rozgrzewkę. – Usiadła obok niego na kamiennym stopniu. – Zimno się robi.

– A do chłodu żadne z nas nie przywykło, prawda? – Linneus wziął od niej porcelanową czarkę z parującą, aromatyczną zawartością. – Co to jest?

– Tutejsze wino z dodatkiem jakichś ziół czy przypraw. Wystawili taką wielką kadź i rozdają wszystkim. Jak tam noga?

– Wciąż ją czuję, więc chyba nie najgorzej. – Uśmiechnął się z przymusem. – Nawiasem mówiąc, ten kawał mebla, którym ją unieruchomiłaś, jest raczej zbędny i trochę mi przeszkadza. To tylko stłuczenie, nie złamanie.

– Przykro mi, ale dopóki nie obejrzy cię fachowiec, będziesz miał trzy nogi, w tym jedną stołową. – Uwielbiał jej cięty język. – Przed chwilą rozmawiałam z jednym, który...

– Zaraz, chyba nie kazałaś mu do mnie przyjść? – Linneus zmarszczył brwi. – Tutaj są setki ludzi potrzebujących lekarza o wiele bardziej niż ja...

– Mówię, że z nim rozmawiałam, a nie że kazałam mu wszystko rzucić – przerwała mu Helena ciepłym, acz stanowczym tonem.

– I dobrze, bo byłoby mi wstyd.

- Niemniej obiecał, że się zjawi, kiedy tylko znajdzie trochę wolnego czasu.
 - Dziewczyno!
 - Spokojnie, on sam się zaoferował. W końcu ma u mnie dług.
 - Jakiego rodzaju?
 - Pomogłam mu odebrać dziecko. Kobieta była już martwa, ale...
 - Oszczędź mi szczegółowego opisu, z łaski swojej. – Linneus skrzywił się. – A w ogóle, jak to wygląda?
 - Co? Poród?
 - Nie, sytuacja.
 - Koszmarne. – Z miejsca zmarkotniała. – Nikt się tutaj czegoś podobnego nie spodziewał, nie wyłączając służb.
 - Widziałaś może kogoś od de Molhera?
 - Nie widziałam żadnych mundurowych. Nikogo, kto próbowałby zapanować nad chaosem. – Helena zmarszczyła czoło.
 - Ktoś jednak zapanował – rzekł Linneus.
 - Znalazło się w końcu paru przytomnych ludzi.
 - I ty.
- Helena zamilkła na moment, a potem wyrzuciła z siebie niemal jednym tchem:
- Tak, ja. Zdaję sobie sprawę, że jesteśmy tu tylko gośćmi i doskonale pamiętam, co mi tylekroć powtarzałeś, zwłaszcza o trzymaniu mojej empatii w ryzach, choć, szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego. Nie mogłam tak po prostu patrzeć na ludzi, którym nagle jakby odebrało rozum, na to wyszarpywanie jeden drugiemu tych paru drobiazgów, które zdążyli wynieść z domu, zanim się zawalił. Na obojętność, z jaką przechodzą obok rannych!
 - Oczywiście.
 - Jesteś na mnie zły?
 - Ależ nie, kwiatuszku!
 - Taką zrobiłeś dziwną minę.
 - Minę człowieka zatroskanego, nie rozzłoszczonego. Myślałem, że będę miał czas na wyjaśnienie ci paru rzeczy, zanim...
- Trzymana przezeń czarka wyleciała mu nagle z dłoni, ciepłe jeszcze wino chlusnęło mu w twarz, a kamienna ława, na której siedział, pękła na dwoje.
- Jasna macierz!
 - Wujku!
 - Następane wstrząsy! No, to tego już, obawiam się, nie przetrzymamy!

* * *

– Czego ty właściwie szukasz? – zniecierpliwiał się Hansen. – No, powiedz, może ci pomogę. Będzie szybciej.

– Mnemoteki tego padalca – odparł Kreuff, krążąc niczym śledczy po całym pomieszczeniu. – I nie, raczej mi nie pomożesz.

Usiądź i poczekaj, bo chwilę to potrwa.

– Ta... mnemoteka naprawdę jest taka ważna? – Nils przymierzył się do jednego z ogromnych foteli, które otaczały potężne biurko. Mebel był jednak zbyt przepastny i pewnie zaraz zmorzyłaby go w nim senność.

– Nie wiem, dopóki nie znajdę i nie oddam analitykom do sprawdzenia. Wiem natomiast, że druga taka okazja już mi się nigdy nie trafi.

Hansen wzruszył ramionami i przysiadłszy na krawędzi biurka, zaczął je z nudów studiować. Wystrój całego pomieszczenia był eklektyczny, ale jednorodnie staroświecki – szlachetne drewno, snycerka, skórzane obicia i intarsjowany parkiet. Tylko ta nagrobna płyta nie pasowała tu ni w ząb. Kojarzyła się Nilsowi z prostopadłościanem z „Odysei kosmicznej” i w tym miejscu sprawiała równie obce wrażenie. Zwykły dąb albo mahoń komponowałyby się z resztą sali o wiele lepiej. Skoro jednak blat był, jaki był, to zapewne nie bez powodu. Hansen przesunął dłonią po lśniącej gładzi, zimnej jakby dopiero co wydobytej z antarktycznego lodowca i pod opuszkami palców wcale nie aż tak gładkiej, jak się na pierwszy rzut oka wydawało.

– Noel? Czy mógłbyś tu...

– Chwileczkę. – Kreuff majstrował coś hałaśliwie przy jednej z kolumn.

Hansen kucnął i przyglądając się blatowi pod światło, odkrył wiele dziwnych regularnych zagłębień na jego powierzchni. Były niewidoczne, gdy patrzyło się na biurko z wysoka. Okrągła depresja w punkcie centralnym, dwie prostokątne u szczytów i kilkadziesiąt mniejszych w trzech rzędach, które biegły równoległe do dłuższej z osi. Jak klawiatura widziana lilipucimi oczami, pomyślał, i przesunął rękę nad jednym z prostokątów.

Ciekawe, co by się stało, gdyby go dotknął? Pewnie nic. Raz, bo to nie żaden komputerowy terminal, a tylko on, korzystając z jedynych dostępnych jego wyobraźni schematów, tak rzecz sobie interpretuje. Dwa zaś, nawet jeśli istotnie ma przed sobą panel sterujący jakiegoś mechanizmu, to najprawdopodobniej zabezpieczony przed dostępem niepowołanych osób. Technologia technologią, a ludzie wciąż pozostają tacy sami, o czym zdążył się już boleśnie przekonać. Uspokoiwszy się, że niczym nie ryzykuje, jeżeli wciśnie domniemany klawisz, Nils przyłożył dłoń do prostokąta. Z zerową, jak się słusznie domyślał, efektywnością.

Zamiast jednak na tym poprzestać, zaczął, tknięty jakimś kapryśnym impulsem, wystukiwać ciąg Fibonacciego... i przerwał po liczbie 55 na widok pulchnawego rudzielca płci odmiennej, który zmaterializował się nagle w fotelu naprzeciw. Dziewczę mogło mieć pod trzydziestkę, ale niechlujna aparycja zdecydowanie dodawała jej lat. W jednej ręce

trzymała mocno sczytany egzemplarz *Morderstwa w Orient Expressie*, a w drugiej nadgryzione pęto kielbasy.

– O, kurczę – wymamrotała z pełnymi ustami, gapiąc się na Hansena tak samo zaskoczonym wzrokiem, jak on na nią. – O kurczę, złociutki...

Nils momentalnie cofnął dłoń i podbiegł do Noela.

– Kreuff!

– Człowieku, naprawdę nie widzisz, że jestem zajęty? – odwarknął tamten.

Mocował się z niewielkimi drzwiczkami, które choć uchylone ździebko, nie dawały się otworzyć do końca.

– Owszem, widzę, ale ja przez przypadek włączyłem chyba jakiś teleporter.

– Co?

– No, popatrz.

Kreuff zerknął za siebie i od razu poniechał swoich niszczycielskich działań.

– Włączyłeś interfejs, a nie żaden teleporter. Swoją drogą, jak tyś to zrobił?

– Interfejs? Ten rozchelstany babsztyl opychający się wędliną to ma być interfejs? Bez żartów!

– Och, przepraszam panów najmocniej! – Rudzielec odrzucił książkę i niedojedzoną kielbasę na stół. Ani jedno, ani drugie nie doleciało, rozpluwając się wcześniej w powietrzu. – Zanedbana jestem odrobinę, ale to dlatego, że od bardzo dawna nikt do mnie nie zaglądał. Momencik...

Hansen przyglądał się temu z rosnącą fascynacją oraz z niejakim zażenowaniem. Nawet jeśli to tylko holograficzna faksymilia, a nie przywiednięta kobieta z krwi i kości.

– O, teraz lepiej, nieprawdaż?

– Ludzie... – Nils westchnął i zakrył oczy dłońmi, albowiem fioletowe *dessous*, boa wyglądające jak sparszywiały koci ogon i papuzi makijaż były tylko marginalnie mniej szokującym widokiem od „interfejsu” w brudnej, dziurawej halce.

– Nieładnie? Nie podobam się wam?

Matematyk już otworzył usta, Kreuff zamknął mu je jednak solidnym kuksańcem w bok.

– Ależ skądże! Jesteś najbardziej olśniewającą ze wszystkich...

– Gówno prawda – przerwał Noelowi rudzielec i jak żaba z bajki przeistoczył się w całkiem przystojną tym razem i schludną dwudziestolatkę. – Intencje miałeś jednak w porządku i za to dziękuję.

Podziękujmy również profesorowi za wprowadzenie kodu dostępowego Demona.

Liczby Fibonacciego, znane każdemu studentowi pierwszego roku, kodem bezpieczeństwa? W tym miejscu Nils już całkiem zbaraniał, jednak „interfejs” inaczej zinterpretowała powód zdumienia.

– Ależ oczywiście, że pana poznałam, to należy do moich podstawowych obowiązków. – „Interfejs” uśmiechnęła się i z kartki chwyconej z powietrza zaczęła czytać: – Globulator

osiem QR, stos numer dwa miliony pięćset siedemdziesiąt cztery tysiące trzysta trzynaście, sekcja „osobowe”, podsekcja „adnotacje pełne”, fisza BT łamane przez czterysta dwa: Hansen, Nils Ejnar Boemund, ojciec Gustaw, matka Kirsten, z domu Rasmussen, urodzony w Kopenhadze w roku...

– Dosyć! – przerwał Hansen.

– Jak pan sobie życzy. – Kartka natychmiast zniknęła, tak jak poprzednio stało się to z kiełbasą. – Dobrze, przejdźmy do sedna.

– A ile zostało nam czasu, zanim wpadną tu zaalarmowani przez ciebie gwardziści? – Kreuff spojrział w wirtualne, błękitne oczęta.

– Och! – „Interfejs” mrugnęła filuternie. – Gwardzistów nie wezwałabym nawet gdybym chciała, gdyż nie mogłam. Nie mógł ich również wezwać Demon, teoretycznie odpowiedzialny za bezpieczeństwo w Gnieździe. Teoretycznie, bo dopóki nie otrzyma wyraźnych i specyficznych dla danej sytuacji poleceń, ten półgłówek nic sam z siebie nie zrobi prócz biernego monitorowania i stawiania blokad. De Molher zaś na odchodnym nie zostawił mu żadnych rozkazów. Za bardzo się spieszył. I już raczej nie zostawi.

– Bo?

– Bo miał, zasraniec, wypadek. Ze skutkiem śmiertelnym.

– Dziwnie brzydko się wyrażasz o swoim szefie.

– Powiedzmy, że mam powód. – Niebieskie oczy zrobiły się na moment czarne jak sadza.

– Wróćmy jednak do gwardzistów. Nie mogłam ich wezwać, dopóki wszystkie uprawnienia wykonawcze miał Demon. Ale teraz mogę i wezwę, jeśli nie spełnicie mojej prośby.

– Jakiej?

– Żebyście mnie zabrali z tego cholernego stołpu! – wykrzyknęła, literalnie eksplodując miriadami kolorowych iskier.

Masz ci diabli, czyżby następny Remmuerish? A może to Helen, błysnęła mu myśl, która szybko jednak zgasła. Helen Bjorg zamknięta w „puszce” miałyby pomagać de Molherowi w realizacji jego planów? Bzdura. W ten sposób niczego by od niej nie wyciągnął. Nie, za tą holograficzną personifikacją skrywał się ktoś inny. Ktoś zdesperowany i przepelniony gniewem, lub zwyczajnie usychający z samotności. Ktoś, kto dał się zamknąć z własnej woli i teraz gorzko żałuje albo, co bardziej prawdopodobne, został tu uwięziony. Ciarki przeszły Kreuffowi po plecach na myśl, że przecież podobny los mógł spotkać i jego.

– Jak ci na imię? – spytał.

– Ofelia... albo Rimmi – odparła „interfejs” beznamiętnie, tak jakby kazano jej wybrać jeden z rozrzuconych na stole klocków.

– Nie pamiętasz?

– Och, pamiętam dziesiątki tysięcy ludzkich imion. – Zaśmiała się rozbrawiająco. – Jeśli jednak koniecznie wam zależy, żebym zdecydowała się na jakieś już teraz, to zostanmy przy Ofelii. Zabierzecie mnie?

– Kłopot w tym, że nie bardzo wiem jak.

– A wasze głowy?

– Co?

– Na pewno znalazłby się w nich jakiś kącik, malutki. Ja nie mam wielkich wymagań i wbrew pozorom potrafię być cicha i nieabsorbująca.

– No, chyba żartujesz!

– Oczywiście, że żartuję. – Ofelia uniosła dłoń i zaczęła nią wymachiwać rytmicznie. Powietrze zgęstniało od kolorowych wokseli, z każdym jej ruchem coraz bardziej uporządkowanych i coraz wyraźniej przypominających Hansenowi hiperwielościom w sześciowymiarowym układzie współrzędnych. Opisanie wzorami to jedno, jednak żaden człowiek nie potrafiłby zwizualizować tak skomplikowanej geometrii w swoim mózgu. A on to widział, po prostu widział wszystkie sześć wymiarów!

– Przepiękne – wyszeptał, zapatrzone niczym ciele w fajerwerki.

W końcu, ku jego prawdziwej rozpaczy, dziewczyna przestała dyrygować i hiperwielościom zniknął, zastąpiony obrzydliwie zwyczajnym cylindrem rozmiarów kilograma z Sèvres. Równie czarnym jak blat i wyznaczającym precyzyjnie środek biurka.

– Oto mój kamber. – Ofelia skrzywiła się nienawistnie. – Bez problemu zmieści się w kieszeni.

Kreuff przez chwilę spoglądał na niepozorny walec w zadumie.

Szafę można by czymś takim podeprzeć, i kto by zgadł? Żywot wieczny w konserwie pięć na dziesięć, cóż za estetyka i jakaż ekonomia. Raj będący logistycznie doskonałym składowiskiem i Pan Bóg w zaręczawkach magazyniera przechadzający się między regałami? Jeśli to ma być kierunek, w którym zmierzają, to, faktycznie, lepiej chyba, żeby wszystko szlag trafił tu i teraz.

– Nie powiem, żebym cię nie rozumiał. – Westchnął. – Z drugiej jednak strony, dlaczego chcesz ryzykować? Zupełnie obcy z nas ludzie, może źli, wiarołomni i chciwi? Może wyrzucimy ten twój kamber gdzieś do rynsztoka, albo sprzedamy i trafisz w jeszcze gorsze ręce.

– No tak, tym bardziej że wraz ze mną wyniesiecie około osiemdziesięciu procent informacyjnych zasobów Orlego Gniazda. Przepraszam, więcej nie weszło.

– To cię bawi?

– Raczej rozczula. Ostatnim razem, kiedy tu byłeś, Demon sporządził twój szczegółowy portret psychologiczny. Tylko nie poczuć się jakoś specjalnie wyróżniony. De Molher stosował tę praktykę wobec wszystkich. I nie patrz tak, bo nie mogłam ci wtedy pomóc bardziej niż zakonserwowana w spirytusie żaba.

Łoskot był ogłuszający. Całe szczęście, że Hansen akurat nie siedział w fotelu, bo prawdopodobnie wystrzeliłby w powietrze razem z nim.

– Co to?!

– Wstrząsy wtórne! – Noel uskoczył z drogi spadającemu żyrandolowi. Jedno z ramion zawadziło o krawędź biurka i tęczowe fasetki rozsypały się brzęczącym wachlarzem po blacie. – Jasna krew, tylko tego nam brakowało!

– Wykluczam. – Ton głosu Ofelii zmienił się momentalnie ze swobodnego w niemal mechaniczny. – Źródło drgań ma charakter lokalny i punktowy, częstotliwość jest wysoka, a relaksacja rzędu sekund.

– Uderzenie? – Kreuff popatrzył na matematyka, a ten na niego, i dopowiedział półszepem: – Druga fala zarodków...

– Sprawdź. – Hologram zadygotał, jakby miał się rozpląnąć, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Jednocześnie nad biurkiem zmaterializował się rząd kilkunastu bloków wizyjnych. – Zarodki... Już skojarzyłam, o czym mówicie. Nie wygląda mi to jednak na drugą falę, lecz pierwszą. Spójrzcie na rekonstrukcję.

Jeden z trójwymiarowych ekranów ożył i ukazał skalistą scenerię w zafałszowanych kolorach. A na jej tle poruszający się szybko jaskrawoczerwony punkt oraz białą linię, która wyznaczała jego kierunek.

– Tor pocisku jest bardzo ostry, niemal styczny do powierzchni ziemi. Zauważcie również, że nadleciał ze wschodu, a nie z północy. Wniosek?

– Nie z naszego Drzewa? – zasugerował Noel.

– Jak najbardziej z „naszego” – odparła Ofelia, uzupełniając symulację o jeszcze jeden element. – Tutaj mamy obliczony przeze mnie naprędce statystyczny rozrzut wszystkich prawdopodobnych trajektorii. Jasno widać, że spory procent owych domniemyanych zarodków porusza się na granicy prędkości ucieczki. Część tuż powyżej, część odrobinę wolniej. I to właśnie jedno z tych wolniejszych obserwujemy. Oho, lecą następne dwa!

Ze zgrozą nieobcą skazańcowi stojącemu przed plutonem egzekucyjnym Hansen wbił wzrok w ekran. Jednej z ognistych kul stanęło na drodze odległe górskie zbocze, druga zmierzała jednak prosto ku zabudowaniom.

– No to po balu – jęknął.

– Znikajmy stąd. – Kreuff dźgnął palcem w najbliższy z wyświetlaczy. – Pokaż mi plan Gniazda. Gdzie jesteśmy? Mhm, tutaj... A plac z zanzurem?

– Tutaj. – Z kolorowej płataniny Ofelia wyodrębniła jeden szlak.

– Tą drogą dotrzecie najszybciej. Pytanie tylko, czy dość szybko. Spójrz. Setki, jeśli nie tysiące ludzi ogarniętych paniką. Na takim spłachetku gruntu. I ani śladu wehikułu. Nie, zaraz, jest! Ledwie jednak widoczny wśród tych, co szturmowali jego flanki. Kreuff wołał nie myśleć, co spotkało pilnujących go gwardzistów. O ile, rzecz jasna, nie uciekli wcześniej przed tłumem.

– Bez obaw, nie zrobią twardejowi nic.

– Ale wam mogą.

– Jakoś sobie poradzimy. Gotowa?

– Tak. Trzeba by jeszcze tylko fizycznie odłączyć kamber. Kotwy są uwalniane dźwignią znajdującą się pod spodem w tamtym narożniku. Ściągnij w dół i obróć dziewięćdziesiąt stopni przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Znalazłeś?

– Znalazłem. No to...

– No to do zobaczenia, gdziekolwiek.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła budynkiem. Kreuff przekręcił dźwignię, złapał cylinder i popchnął Hansena do drzwi.

– I od teraz trzymasz się mnie jak rzep psiego ogona, Nils!

Rozdział 2

Parę dni po swoich siedemdziesiątych drugich urodzinach Kreuff doznał udaru. Niegroźnego, ale jednak z konsekwencjami. Częściową afazją nawet się ucieszył, bo na stare lata i tak odechciało mu się gadać, brakowało tylko uczciwej wymówki. O wiele bardziej frustrowały go zaniki pamięci, z miesiąca na miesiąc coraz częstsze i rozleglejsze. Dlaczego? Czyż wielu koszmarnych wspomnień nie pozbyłby się z radością? Owszem, kiedyś tak, ale teraz to był cały jego majątek i zarazem ostatnia reduta, w której opierał się samotnie wszechogarniającemu zakłamaniu i galopującej intelektualnej degrengoladzie.

Historia, w dosłownym i figuratywnym sensie, stała się *passé*, wspominki o tragicznie zmarłej cywilizacji – uniwersalnym tabu, a wychwalanie postgerminacyjnego porządku świata – nową formą politycznej poprawności, ujmując rzecz najłagodniej. Obezwładnieni traumą, na pół dzicy ze strachu i całkowicie zdezorientowani uchodźcy stanowili idealny substrat dla wszelakich socjotechnicznych eksperymentów. Byli żyzną glebą, która potencjalnie mogła urodzić lepsze społeczeństwo, ostatecznie jednak zarosła orwellowskimi chaszczami. Kreuff miał zbyt silny charakter, by go stłamsiły, i jak dotąd nic sobie nie robił z wszelkich szykan, którymi próbowano złamać jego sztywny kręgosłup i sprowadzić do szeregu. Gdy jednak zdrajcą okazuje się twój własny mózg, cóż wówczas?

Co wówczas, do cholery?! Jeśli utraci pamięć, konformiści pokonają go, nie kiwnąwszy palcem. Już teraz jego głowa przypominała bankowy skarbiec, co rusz napadany przez innych złodziejasków i z dnia na dzień uboższy o zawartość kolejnych skrytek. A co będzie za miesiąc lub dwa? Zapomni własnego nazwiska? Nie rozpozna swojej twarzy w lustrze? Padnie z głodu, bo nie zdoła odnaleźć drogi do spiżarni? Kreuff zobaczył nagle siebie w brudnej pościeli – żalosego, obślinionego, cuchnącego moczem starca i ten obraz przejął go takim obrzydzeniem, że zwymiotował, nie zdążywszy dobiec do łazienki.

– Za nic w świecie. – Zgrzytnął zębami, wycierając usta. – To już naprawdę lepiej, żebym zdechł.

I tym samym uszczęśliwił legata Trotta-cellego? Wściekły, Noel cisnął ręcznik w kąt i wrócił do pokoju. Rzygowiny postanowił uprzątnąć później, teraz musiał znaleźć... Właściwie, po co on tutaj przyszedł? Ach, tak, po papier! I coś do pisania. Koniecznie coś do pisania.

Nie ten prawdziwym triumfotorem, kto pokonuje innych, lecz kto pokonuje samego siebie. Piękne motto dla alkoholika – takiemu wystarczy odstawić flaszkę i zasadniczo ma problem z głową. Tu jednak chodziło o walkę nie ze słabościami charakteru, ale o przezwycięzenie i odwrócenie zmian na poziomie strukturalnym.

Mózg zaś to nie werk, który ot, tak może zostać wyjęty i rozłożony na stole śrubka obok śrubki. Zepsutych obcęgów nie naprawisz tymi samymi obcęgami i jedynie baron Münchhausen potrafił wyciągać się za własny harcap z grzęzawiska.

Czy zatem jego plan był z gruntu niewykonalny? Noel zatemperował ołówek i rozłożył kartki na podłodze, w trzech równych rzędach. Dla psychiatrów takie przypadki stanowiły przecież codzienność, a zatem to musiało dać się naprawić. Tylko że oni mieli do dyspozycji zaawansowaną aparaturę diagnostyczną, nowoczesne lekarstwa i fachową wiedzę, a Kreuff nic oprócz dwóch obgryzionych ołówków, papieru – oraz wieloletniego doświadczenia w analizie skomplikowanych układów nieliniowych. No i miał jeszcze ten swój upór, który nigdy nie pozwolił mu skapitulować, choć parę razy było naprawdę blisko.

Zaczął od uporządkowania danych. Czego nie mógł sobie przypomnieć *ad hoc*, odnotowywał znakami stenograficznymi, to co pozostało mu jedynie w fragmentach, strzępkach i odpryskach – jako większe bloki haseł, a całkiem osobno zapisywał te ze wspomnień, które były niemal w stu procentach kompletne. Umysł ma strukturę quasi-holograficzną, rozumował, więc nawet jeśli niedotlenienie uszkodziło niektóre partie jego mózgu, to cały informacyjny ładunek nadal w nim tkwi, tylko teraz bardziej rozproszony i trudniej dostępny na skutek pourywania się starych synaptycznych połączeń.

Przez następne dni Kreuff cierpliwie i metodycznie odwzorowywał swoją zrujnowaną pamięć w diagramach i wielozmiennych macierzach. Gdy skończyły się czyste kartki, pisał i rysował na okładkach książek, odwrotnych stronach fotografii, a nawet na podłodze, którą w tym celu wyszorował do białości.

Już sam proces tworzenia tej swoistej mapy drogowej pomógł mu nieco zapełnić wcześniejszą pustkę. Tu i ówdzie jeden wyraz, bądź symbol, w interakcji z innymi wywoływał nagłą lawinę wspomnień i odblokowanie kolejnego zatoru, częściej jednak przypominało to mozolne i chwilami do łez frustrujące składanie gigantycznych puzzli. Ale najważniejszy i najbardziej uzdrawiający był wysiłek, który w to wkładał. Czuł, choć oczywiście nie mógł widzieć, jak w jego czaszce gęstnieją magistrale, jak utracone dendryty zastępowane są nowymi, a liczba synaps rośnie w postępie nieomal geometrycznym. Zaczęły wracać obrazy, imiona i miejsca, niektóre tak żywe teraz i z tak nieoczekiwanym bogactwem szczegółów, jak zapuszczone starocie po intensywnych zabiegach konserwatorskich.

Po miesiącu mógł już zaprzestać korzystania z notatek, główny cel osiągnął. Ale odzyskany ład był wciąż grząski i wymagał umocnienia. Zaczął więc wszystko od początku, wzbogacając się przy okazji o kolejne terytoria. Pierwotna rekonkwista zmieniła się w podbój zupełnie nowych ziem. W swoim introspektywnym nurkowaniu Kreuff dotarł do

podświadomości i jął wydobywać z niej już prawdziwe truchła. Twarze, rozmowy, dokumenty – kiedy, u licha ciężkiego, miał na przykład dostęp do teczek z tajnymi rezolucjami Organizacji Narodów Zjednoczonych?! Co robił przez tydzień na rozsypującym się wraku Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i skąd w jego ukrytych wspomnieniach wziął się przeпоcony mundur admirała Wilkesa, szefa Połączonych Sztabów?

Skąd wzięło się tutaj to czworonogie bydło, obsrywające trawnik przed Białym Domem, skąd chrzęst syberyjskiej szreni pod raketami? Ich przewodnikiem jest pułkownik Wieruszenko i Kreuff słyszy wyraźnie: „Nu, dawaj, dawaj, bystra, job wasza amierikanskaja! Wam kak to kazałoś, duraki, szto eta Disneylend? Zdieś wołki istinnyje i tolka ždiot?”.

Po wielu miesiącach takiej umysłowej gimnastyki Kreuff odzyskał nie tylko pamięć, ale również wigor, bezpowrotnie, jak mu się zdawało utracony gdzieś w okolicy sześćdziesiątki. I tak jak wcześniej nie chciało mu się już prawie nic, tak teraz rozpieierała go energia i jedynym problemem stawał się wybór celu, na który mógłby ją spożytkować.

Przez moment zastanawiał się nad podróżą, ale zdecydowanie mniej przemawiało za takim pomysłem niż przeciw. A potem zaczął bawić się inną myślą. Szaloną, beznadziejnie romantyczną myślą o dokonaniu rewolucji, choćby w skali lokalnej. Tylko skąd mu to w ogóle przyszło do głowy? Czy nie czytał Cervantesa? Czy nie dość miał dowodów na to, że jednostka kontra reszta świata to mit, poezja nic zgoła niemająca wspólnego z historycznymi realiami? Doświadczenie i zdrowy rozsądek podsuwały oczywistą odpowiedź, im dłużej jednak Kreuff kontemplował tę zwariowaną ideę, tym bardziej dochodził do wniosku, że wcale aż tak zwariowana nie jest.

Plany nihilistów musiały być prawdziwie dalekosiężne, obliczone na wiele pokoleń. I nie spieszyli się chyba zbyt z ich realizacją, skoro wciąż nie wykroczyli poza etap wstępny, przygotowawczy. Inaczej bowiem Noel nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego od prawie trzydziestu lat usuwali ze zbiorowej świadomości wszystko, co tylko się dało, nie wyłączając kulturowych archetypów i wzorców behawioralnych, jednocześnie jednak wciąż nie zapelniali tej pustki niczym. Czemu taka zwłoka? Bo chcieli mieć pewność, zanim przejdą do kolejnej fazy projektu, że w stu procentach oczyścili sobie teren? Cokolwiek pragnęli wypichcić w swojej wielkiej retorce, jedno jak dotąd osiągnęli bez dwóch zdań – próżnię. I wystarczyło stuknąć, żeby cały system implodował. Przynajmniej w teorii. Nie zaglądał przecież do osady od dawna i mogło się okazać, że wszelkie jego gdybania nie były warte funta kłaków.

Następnego dnia wyruszył na rekonesans, uzbroiwszy się w starą, jednooką lornetkę, prowiant i kuchenny toporek. Ten ostatni wziął głównie po to, by utorować sobie jakoś drogę w gąszczu.

Z kilkunastu tysięcy gatunków zmodyfikowanych roślin przeżył zaledwie co setny, te jednak, którym w końcu udało się zaadaptować, rozrastały się teraz w piorunującym tempie, jakby nadrabiały stracony czas. Zwłaszcza przylgoczepne bambusy udały się genetykom nad

podziw. Trudno było orzec, czy to jeszcze rośliny, czy może już zwierzęta – tak agresywnie i szybko opanowywały każdy niezajęty jeszcze przez konkurencję splechetek żywo gruntu. Pół dnia zajęło mu dotarcie na szczyt ponad miastem i dodatkowo godzinę karczowanie przedpola z zasłaniającego widok zielska. Co spodziewał się ujrzeć? Na pewno nie aż tak przygnębiającego.

– No i to by było tyle. – Otarł rękawem czoło. – Psiakrew!

Skojarzenie z porzuconym na pastwę dżungli obozem jenieckim narzucało się od razu. Jeszcze pięć lat wcześniej, gdy widział ją po raz ostatni, osada wyglądała – jakoś. Ani pięknie, ani zapraszająco, ale przynajmniej żyła, nawet jeśli było to życie z zakneblowanymi ustami, kapturem na oczach i każdym mijającym dniem tak nieróżnym od poprzedniego, że na kolejne nikt już nie czekał. A teraz i ta fasada runęła, dosłownie i metaforycznie. Ludzi zastąpiła roślinność panosząca się bezceremonialnie na chodnikach, kładkach, we wnętrzach domów i w basenach kultywacyjnych. Niektóre budynki zostały wysadzone z posad przez masywne kłaczka i zepchnięte ku hydrokolektorowi, inne pozapadały się w sobie, jak mokre pudła rozdeptane gigantyczną stopą.

Martwota, rozkład, grzyb – i ani śladu po mieszkańcach. Co się z nimi stało? Odeszli, sami z siebie? Te owce, którym na ich własne życzenie amputowano zdolność do podejmowania jakichkolwiek samodzielnych decyzji? Kreuff głęboko wątpił. Bardziej prawdopodobne, że zostali przeniesieni gdzie indziej. Bądź też wymordowani. Przy czym nie musiał być to wcale akt zimnego ludobójstwa, lecz jedynie uboczny, niezamierzony efekt psychoinżynieryjnej nadgorliwości nihilistów. Tak czy owak wyglądało na to, że eksperyment zakończył się fiaskiem. Alternatywy Noel nawet nie zamierzał roztrząsać, już i tak był w dostatecznie podłym nastroju. Jakby ktoś strzelił do niego zza węgła, chichocząc złośliwie. „Spóźniłeś się, zaspasłeś, nie wzięłeś parasola, bo czymże te parę kropel dla twojej dumnej siwizny. A teraz mokniesz przed opustoszałą karczmą, samotny, i nie masz kogo zapytać o drogę do Cheshire...”

Kreuff schował szkła i ruszył w kierunku osady. Cóż mu pozostało? Na odnalezienie żywych już nie liczył, ale może znajdzie przynajmniej jakieś wskazówki, które rozjaśnią zagadkę zniknięcia ponad tysiąca osób. Skłon ryftu nie był jeszcze naszpikowany bambusami, jak inne miejsca, szło mu się więc w miarę szybko.

I całe szczęście, bo nie zamierzał spędzać nocy wśród ruin. Nie tylko sama myśl o tym była odpychająca, ale również zapach, który poczuł na długo przed osiągnięciem zabudowań. Mikstura stęchlizny, fekaliów i smrodu z zapuszczonych kadzi hydroponicznych.

Już w pierwszym domu natknął się na trupa, a właściwie na to, co z niego zostało, czyli rozwłócone po podłodze kości i czerep, nie do końca objedzony przez szczury. Tylko jeden, choć sądząc po liczbie pryczy, w baraku mieszkał co najmniej tuzin ludzi. Następnie Kreuff znalazł kompletnie opustoszałe, jeśli nie liczyć dwóch innych szkieletów, podobnie rozparcelowanych, ale niewątpliwie zwierzęcych. I to wszystko. Nie było żadnych

widocznych śladów walki, żadnej dewastacji prócz spowodowanej czynnikami „naturalnymi”, brak jakichkolwiek innych materialnych dowodów na potwierdzenie jego wcześniejszych teorii.

Lecz może szukał w niewłaściwym miejscu? Osadę nadzorował legat, i to od jego rezydencji powinien zacząć swoje poszukiwania.

Musiałby jednak przejść na drugi brzeg pomostem, który wyglądał na nienadający się do użytku. Na dodatek zbliżał się wieczorny szczyt cyklu retencyjnego i woda już zaczęła się przelewać przez dziury w butwiejącej platformie. Nie było sensu ryzykować. Postanowił wrócić tu nazajutrz z lepszym ekwipunkiem.

Z zarośli po przeciwnej stronie hydrokolektora wystrzeliło nagle jakieś nieduże stworzonko, to chyba był królik, a tuż za nim wataha kilkunastu większych czworonogów. Nieszczęsny zwierzak zygzakował wśród zielska i rozpaczliwie szukał jakiejś kryjówki, zdecydowanie liczniejsi prześladowcy otoczyli go jednak, blokując odwrót. Jediną drogę ucieczki stanowił zmurszały pomost i zwierzak skorzystał z niej bez wahania. Wśród ścigających natychmiast podniósł się nieopisany harmider, bo wyglądały na bardzo głodne, a kolacja właśnie drapnęła im sprzed nosa. I napastnicy nic nie mogli na to poradzić, bo platforma niechybnie zawaliłaby się pod ich ciężarem. Niemniej Kreuff uznał, że im szybciej się stąd wyniesie, tym rozsądniej uczyni. Na razie zwierzęta kręciły się bez ładu i składu, powrzaskując w bezsilnej wściekłości, ale w końcu przecież go zauważą i rozzuchwalone głodem zaatakują, choćby miało się to wiązać z ryzykiem utonięcia w kolektorze. Ba, chyba nawet już go zauważyły. Jeden ze stworów, być może przywódca stada, gdyż wyraźnie był roślejszy od pozostałych, odwrócił się nagle w jego kierunku i znieruchomiał. Gęsta kurtyna zmierzwionych kudłów zasłaniała mu pysk, ale Noel nie wątpił, że bestia przygląda się właśnie jemu, i to nadzwyczaj intensywnie. Czyżby miał już wcześniej do czynienia z człowiekiem?

I w ogóle co to za gatunek? Jakiś lemur? Ewentualnie jeszcze jeden genetyczny przekładaniec, jak te pieprzone bambusy, ogniodęby i tamaryszki.

Ostrożnie, tak by nie spłoszyć ich gwałtownymi ruchami, Kreuff sięgnął po lornetkę. Obserwujący go osobnik natychmiast poderwał się na tylne łapy, przyjął niemal ludzką postawę i wyrzucił z siebie kilka krótkich, szczekliwych sylab. Dzika wrzawa od razu ucichła i zwierzęta, jedno po drugim, w milczeniu, także zaczęły wstawać z czworaków. Wstawać, odgarniać skołtunione kędziorki...

Dzieci...

* * *

Przez całą noc Kreuff nie zmrużył oka, bijąc się z myślami. I to z czyjego powodu? Grupki małych brzdąców, które należało po prostu nakarmić, wyszorować i zacząć uczyć. Każdy wysłany do dżungli dziewiętnastowieczny jezuita zapewne tak by postąpił.

Ale nie Noel. Wolność była dlań zawsze jednym z głównych filarów człowieczeństwa i dlatego tak się teraz przewracał z boku na bok, nękany etyczno-moralnymi wątpliwościami. Albowiem, abstrahując od kwestii, czy maluchy zorganizowały się spontanicznie, czy też na skutek nihilistycznych eksperymentów, utworzyły – i tu Kreuff mógł tylko pokiwać głową z niedowierzaniem – społeczność. Absolutnie załączkową, neonatalną i startującą od zera, niemniej społeczność. Z szansą na zapoczątkowanie całkowicie nowej, oryginalnej cywilizacji. Kiedyś. Być może. O ile nikt nie będzie się wtrącał i nie skazi dziewiczego zaczynu.

Nawet człowiek mądry, dobry i przepelniony najlepszymi chęciami mógł wyrządzić im krzywdę, ingerując. Oczywiście, mógł też i pomóc, ale zawsze, w ostatecznym rozrachunku, byłoby to tylko narzucanie wzorców. Uniemożliwiłyby im tym samym wypracowanie własnych. Otoczenie tych dzieci opieką, choćby najsubtelniejszą, przekazanie im wiedzy, choćby najstaranniej przefiltrowanej – i w ogóle jakikolwiek inny akt podyktowany empatią – równałoby się odebraniu im wolności. Przed popełnieniem błędów nikt ich zresztą nie uchroni, a lepiej, żeby nie powielali cudzych.

Z drugiej strony... Kreuff westchnął ciężko. Z drugiej strony może z tego nic nie wyjść. Siedemnaścioro obszarpanych, wychudzonych szkrabów, załedwie. Przecież jeśli nie głód i choroby, to prędzej czy później załatwi ich dryft genetyczny. Być albo nie być, oto było pytanie; czy bardziej zaszkodzi, mieszając się, czy też nie mieszając się do ich spraw?

Jednakże już następnego dnia okazało się, że niepotrzebnie zarywał sen, albowiem dzieci rozcięły ów splątany filozoficzny kłębek, same do niego przychodząc. Ujrzawszy je na skraju zagajnika przed domem, zrozumiał, a raczej przyjął z rezygnacją do wiadomości, że nie ma odwrotu.

Kreuff pojął bezsens swych nocnych przemyśleń. Nie chciał wchodzić w ich świat z butami, ale zapomniał, że przecież już to uczynił. Nawet gdyby powstrzymał się od jakichkolwiek dalszych kroków, nawet gdyby stąd teraz odszedł, nie patrząc za siebie, one go zapamiętają, a ich dziecięca wyobraźnia dokona reszty i z biegiem czasu przeistoczy zgoła banalne wydarzenie w mit o kosmicznych proporcjach. Tego mu tylko brakowało, stać się mimowolnym patronem jakiegoś teokratycznego zamordyzmu w przyszłości. I to nie kiwnąwszy palcem. Wobec takiej alternatywy, wszystko wydawało się lepsze, każda forma zaangażowania mniej moralnie naganna niż bierność.

Noel powiódł wzrokiem po umorusanych twarzyczkach, tych przynajmniej, które było widać spod skołtunionych czupryn. Robota w przedszkolu, zamiast rewolucji? Cóż, nie pozostawało nic innego, jak mieć nadzieję, że jakoś sobie poradzi.

* * *

Przez blisko cztery lata nikt mu nie przeszkadzał, co miało swoje dobre, lecz także i złe strony, i z tych ostatnich, w miarę upływu czasu, Kreuff zdawał sobie sprawę coraz dotkliwiej. Już w pierwszych dniach doszedł do wniosku, że nie ma do czynienia z przypadkową zbieraniną ocaleńców, ale z grupą dzieci starannie dobranych, aczkolwiek nigdy nie rozgryzł dlaczego. Ponadprzeciętnie inteligentne i zadziwiająco bezkonfliktowe, wchłaniały wszystko, co pragnął im przekazać, jak miniaturowe czarne dziury. Problem w tym, że była to dla nich wiedza abstrakcyjna, teoria, której nie mogły przetestować w praktyce. Noel robił co w jego mocy, żeby były przygotowane na ewentualną konfrontację ze światem zewnętrznym, z innymi ludźmi, którzy bez wątpienia zjawią się tu prędzej czy później. Nie był jednak wcale pewien, czy osiągnął w tej materii sukces. Ba, nie wiedział nawet, czy jest on w ogóle możliwy do osiągnięcia w takim odosobnieniu. Kto wie, może nadszedł wreszcie czas, żeby się stąd ruszyć? Szczerze mówiąc, od dawna miał na to chętkę, a i dzieciaki nosiło coraz widoczniej.

Ale w tym samym dniu, kiedy Mahomet zdecydował się pójść do góry, góra przyszła do Mahometa. Wszyscy byli już spakowani i gotowi do wymarszu, czekając tylko na powrót dwójki dyżurującej przy basenach hydroponicznych. Jakież było zaskoczenie Kreuffa, gdy ujrzał swoje dziewczynki zbiegające bambusową groblą w towarzystwie pięciorga zupełnie obcych dzieci. A jeszcze większe na widok trójki dorosłych – dwóch kobiet i pięćdziesięcioletniego, na oko, mężczyzny z brodą *à la* Ernest Hemingway – którzy, dostrzegłszy Noela, zatrzymali się u szczytu schodów. Nie sprawiali wrażenia agresywnych, raczej zmęczonych i niemających nic przeciwko temu, żeby ktoś im zaproponował miejsce na spoczynek i złożenie ciężkich plecaków. Skoro zaś jego trzódka przyjęła ich z takim entuzjazmem i bez najmniejszych uprzedzeń, to i jemu nie pozostawało chyba nic innego.

Obawiał się, co rozumiałe, ale jaki dałby przykład młodym, eksponując swe podświadome lęki? Nie mówiąc już o tym, że... do kroćset, że był po prostu ciekaw! Dobry Jezu, przecież od ponad dwudziestu lat nie widział innej zarośniętej gęby niż jego własna ani nie rozmawiał z żadnym dorosłym człowiekiem od dnia, kiedy zginął Vaclav. Pojawienie się tych trojga było oznaką, że historia po raz kolejny zmieniała kurs i że wzniesione przez nihilistów granice pomiędzy mikrospołecznościami przestały być szczelne.

Choćby z tego powodu wędrowcom należało się cieplejsze przyjęcie.

Nie musieli nawet przełamywać lodów, dzieci zrobiły to za nich.

Widok był prawdziwie budujący i dopiero on uświadomił Noelowi, jak wiele tutaj osiągnął, a zarazem jak nieuzasadnione były jego obiekcje wobec przybyszów. Bardziej przypominali mu teraz krewnych, którzy wracają z daleka do domu.

Starsza z kobiet szepnęła coś brodaczkowi na ucho, a gdy ten przytaknął, zdjęła plecak, który wyglądał na niewiele lżejszy od niej, i podeszła do Kreuffa z niedużym, połyskliwym

przedmiocikiem w rękę. Omal się nie popłakał, gdy rozwinęła przed nim bardzo już wyblakły i w jednym miejscu naddarty, ale wciąż działający wyświetlacz komunikatora Beijing Instruments, identycznego jak ten, który skradziono mu podczas zamieszek w Londynie. Drżącym palcem wybrał z listy języków angielski, niderlandzki oraz niemiecki i chciał jeszcze poszukać rosyjskiego, kobieta powstrzymała go jednak, stwierdzając z uśmiechem, że zarówno Dragomir, jak i ona – Kirstie – posługują się tym pierwszym biegle, a Tamara co prawda po angielsku mówi słabiej, ale rozumie wszystko nie gorzej niż Shakespeare.

Noel, dotąd naczelny i jedyny opowiadacz historii z za siedmiu gór i siedmiu rzek, teraz skwapliwie przekazał ów honor gościom.

Od czasu do czasu przerywał im pytaniem, głównie jednak słuchał, z wypiekami na twarzy nie mniejszymi chyba niż te u diatwy. O Drzewie, bo podobno nikt już, albo prawie nikt, nie używał określenia „megastruktura”, i o drugiej katastrofie humanitarnej, do której doszło zaledwie pięć lat po skiełkowaniu.

Czyli słusznie się domyślał – wielka rewolucja kulturalna wypadła z torów, plan spalił na panewce. Plan? Nie było żadnego jednego planu, sprostował Dragomir, lecz co najmniej kilkadziesiąt – tyle, ile frakcji istniało w łonie Free Universe. To nigdy nie był monolit, raczej zlepek najprzeróżniejszych mniej lub bardziej radykalnych ugrupowań, który po zabójstwie Anselma Lothre w dziewięćdziesiątym siódmym – Dragomir konsekwentnie używał starego kalendarza – rozpadł się na kilkanaście odrębnych skrzydeł. Część z nich, między innymi ForkHoFut, Neonatywni oraz Falanga DECE natychmiast wykorzystała chaos, żeby się po cichu oderwać i, nim ich ktokolwiek ubiegnie, zaanektować wierzchołkowe pustostany. Co do reszty, to chyba nadal wykrwawiają się nawzajem w walce o przywództwo, dorzuciła Kirstie. Dla secesjonistów trwające już od ponad dwudziestu lat bezkrólewie było prawdziwym błogosławieństwem, zgodnie ze starą maksymą, że „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”.

Chwileczkę, przerwał mu Kreuff, przecież wierzchołek, czy, jak to się określało w inżynierskim slangu apeks, służył przetwarzaniu energii i żadna znana mu koncepcja nie przewidywała, by kiedykolwiek mieli zamieszkać tam ludzie. Konwertery zaprojektowano w kluczu OHACS, „off-habitation closed structurals”, jakim więc cudem ktoś przedostałby się do ich wnętrza?

Dragomir posłał zaskoczone spojrzenie Kirstie, która, sięgnąwszy po swój komunikatorek, w pośpiechu zaczęła coś na nim przeglądać, po czym odrzekł, że kiedyś istotnie wydawało się to niemożliwe. Stratą czasu było nawet o tym myśleć. I właśnie dlatego odszczepieńcy zdecydowali się na podbój wierzchołka.

No bo kto przy zdrowych zmysłach – i ogólnie panującym nastawieniu, że to niewykonalne – pójdzie za nimi? Kto ich tam będzie szukał? Która z ultraortodoksyjnych frakcji miałaby dość odwagi?

A co najważniejsze, kto dysponował zapleczem eksperckim, które, jeśli nie gwarantowało, to przynajmniej dawało szansę powodzenia? Nikt inny, tylko secesjoniści.

Ciekawe, kim byli ci z „eksperckiego zaplecza”, zastanawiał się Noel. Pamiętał owych pseudodoktorantów i techników, przywożonych w „teczkach” z jakichś obskurnych placówek z nieudolnie sfalszowanymi CV, którzy niby to współpracowali, a w rzeczywistości podglądali tylko i szpiegowali na rzecz Wolnego Wszechświata. I jeżeli o takich specjalistach mówił Dragomir, to tylko należałoby ukryć twarz w dłoniach i zapłakać.

Kreuff podejrzewał jednak, że miał on na myśli autentycznych uczestników Projektu. Nakłonionych do współdziałania siłą, skaptowanych jakimiś obietnicami albo nawet zaangażowanych dobrowolnie. Ba, przecież niektórzy z nich, i to jakże istotni, od początku kolaborowali z nihilistami. Sama Bjorg miała, wedle naocznych świadków, zginąć podczas tumultu w Bordeaux, aczkolwiek Noel nigdy nie kupił tej wersji. Co do pozostałych „adeptów ciemnej strony mocy”, to nie miał pojęcia, jak skończyli. Na pewno duży procent ocalał z pogromu. Ich wiedza była zbyt cenna dla nowych elit rządzących.

A co z tą częścią ekipy, której gwarancja powypadkowa nie obejmowała? Hm, skoro on przeżył, to statystycznie rzecz biorąc, wielu innym także musiało się udać. I ze zrozumiałych względów byliby ludźmi poszukiwanymi. Wszędzie, bo postapokaliptyczna zawierucha bez wątpienia rozwłóczyła ich po całej kuli ziemskiej.

Jego też już by pewnie dawno namierzyli, gdyby szczęśliwym trafem dwa dni po implantowaniu mu tego cholernego EPHEMERe nie trzasnął w nim nadajnik. Ale, jak widać, co się odwlecze, to nie uciecze. Do licha, że też okazał się tak głupi i łatwowierny!

Nie żadni romantyczni wędrowcy, lecz perfidni stalkerzy, oto z kim miał do czynienia! Kirstie przysunęła Dragomirowi wyświetlacz pod nos, po czym obydwójce zerknęli na Kreuffa.

– Nawet sobie nie myślcie, że gdziekolwiek z wami pójdę – zaprotestował Noel, jedynie przez wzgląd na swoich młodych podopiecznych nie podnosząc głosu bardziej.

Zaskoczył tym wybuchem Dragomira, Kirstie zaś oddała komunikator Noelowi, jakby ją nagle oparzył.

– Po cóż mi to?

– Przepraszam, byłam tylko ciekawa, tylko ciekawa – powtórzyła z naciskiem. – Nikt z nas... Posłuchaj, jeśli chcesz, to odejźmy. Mamy odejść?

Kreuff popatrzył na Tamarę, zamarłą nad dymiącym grillem, na skubiącego nerwowo brodę Dragomira i z powrotem na Kirstie, z której kącików oczu znikły urokliwe i pogłębiające się przy każdym uśmiechu kurze łapki.

– Nie – odparł półgłosem. – Ale muszę wiedzieć.

* * *

Wierzchołek okazał się trudniejszym orzechem do zgryzienia, niż przewidywali optymiści. Samo formowanie transeptów wraz z zabezpieczającymi je śluzami zabrało niemal rok, a przecież był to zaledwie ułamek pracy, którą należało jeszcze wykonać. Wnętrza konwerterów były całkowicie sterylne, z argonem zamiast powietrza i gęstą siecią filamentów przesyłowych. Łączna kubatura liczona w dziesiątkach tysięcy kilometrów sześciennych, system podtrzymywania życia nieistniejący, brak podstruktur, na których można by coś zbudować lub bodaj oprzeć nogę.

I to miała być ta ziemia obiecana? Za ile się jej doczekają, za dwadzieścia lat, za trzydzieści? A najprawdopodobniej nigdy, szemrano coraz głośniej. Poza niechęcią do ultraortodoksyjnego trzonu Humani Nihil, odłamowe partie różniły się między sobą niemal w każdej kwestii. Kiedy więc wyparował entuzjizm, ich alians zaczął trzeszczeć w szwach i w końcu pękł, wśród wzajemnych oskarżeń o antyopozycyjny spisek z jednej i polityczny parazytyzm z drugiej strony. Jak zwykle, najzjadlej gardłowali kapitulnicy, oportunistyczne dziadostwo podłączające się do każdej potencjalnie zyskowej inicjatywy, ale w najmniejszym stopniu niezainteresowane urabianiem sobie rąk po łokcie dla przyszłych pokoleń.

Po opuszczeniu ich przez trutni i wichrzycieli, technokratom pozostały do rozwiązania już „tylko” problemy techniczne. A także mała grupka malkontentów we własnych szeregach. „Uderzmy się w pierś, koledzy i przynajmy, że jednak nas to przerosło”, mówili. „Zadanie okazało się zbyt kompleksowe, nasze kompetencje nie obejmują całego wymaganego spektrum, a starego zespołu nigdy już nie da się odtworzyć i wszyscy tu obecni doskonale wiedzą dlaczego”. „W takim razie”, brzmiała niezmienna odpowiedź twardych zwolenników ekspansji, „zrobimy sobie nowy zespół. Gdyż, co nam wiadomo, to nam wiadomo, a co nam jeszcze nie wiadomo, tego się, że tak powiem, dowiemy po drodze, nie?”.

W tym punkcie w składany stół prezydialny od czasu do czasu waliła krzepka pięcha Koordynatora. „Myśmy stworzyli to bydłę i to nas ma się ono słuchać, a nie na jakiś tam, że się tak wyrażę, odwrót! A co my tu w ogóle robimy, hę?! Do myślenia, panowie, do myślenia!”.

Myślenie dało owoce, jednak dopiero wiele lat później. I nie wszyscy zgodzili się w nim uczestniczyć. Kilka osób – Kreuff aż jęknął, usłyszawszy nazwiska – odmówiło, chociaż były w pełni świadome, co im za to grozi. Jedna tragedia ciążyła już ich sumieniom i nie zamierzały przykładąć ręki do kolejnej, bez względu na konsekwencje osobiste. Większość jednak nie znalazła w sobie dość odwagi cywilnej albo też wcale jej nie szukała, od kwestii etycznych bardziej zainteresowana odpowiedzią na pytanie: jak?

Jak, po pierwsze, przeprogramować kody nanokonstruktorów bez dostępu do odpowiednio potężnego zaplecza obliczeniowo-symulacyjnego? Po drugie, zakładając, że to mimo wszystko się uda, jak dokonać owego przeprogramowania w sposób synchroniczny?

Mieli teraz do czynienia już przecież nie z kilkoma czy kilkunastoma, ale z tryliardami mikroskopijnych cybernetycznych mechanizmów, które jeszcze na domiar złego zdążyły się już przez te parę lat zróżnicować. Stali więc przed nieco podobnym problemem, co lekarz, próbujący zastosować terapię genową – rzecz względnie jeszcze prostą w komórkach zygoty, i o niebo bardziej skomplikowaną u dorosłego człowieka, gdzie komórek są już heptyliony i werk trzeba przestawiać w każdej z osobna.

Podczas jednej z burzy mózgów ktoś pół żartem, pół serio zaproponował, żeby kroić macierz w kostki i budować z niej tak, jak z każdego innego tworzywa. Spotkanie trwało już parę ładnych godzin, wszyscy byli zmęczeni i potrzebowali chwili relaksu.

– Po co kroić? – rzucił ktoś z tyłu sali. – Lepiej potraktuj ją z kilkuset woltów! Jak się wścieknie i skoczy ci do gardła, to ty ją wtedy cap!

– Z czterech stron, z czterech stron!

– Co?

– Z czterech stron, pakujesz elektrody z czterech stron i masz gotowe cztery rogi chałupy!

– Panowie, zachowujcie się...

– A opluć albo nasikać nie wystarczy? Zaoszczędzilibyśmy na ogniwach!

– Tak jest, oplujmy, naszczajmy i zwyzywajmy jeszcze, niech się dowie, kim była jej matka!

– No, tutaj już przesadziłeś. Jeśli jej powiemy, to naprawdę może się zdenerwować.

– Do cholery, spokój!

– Matka? Jaka matka?

– Słusznie, jaka matka! Przecież to jest dziecko z próbówki!

Niech żyje dziecko! Niech żyje próbówka! Niech żyją wszystkie szczęśliwe rodziny na tej zasranej planecie małp!

– Cisza, ciszaaaa! Wyście już chyba całkiem poszaleli!

Ale to było zdrowe, odblokowujące umysł szaleństwo. Ktoś wyskoczył z rozbawionego tłumu i laserówką zaczął kreślić w powietrzu schemat oprogramowania typowego nanokonstruktora.

Jądro... w bardzo solidnej, wielowarstwowej skorupie zabezpieczeń... Teoretycznie mogli się do niego przebić, niemniej ryzyko, że w swym dyletanctwie coś schrzanią i efektywnie zdestabilizują cały system, było zbyt duże. I po jakiego czorta właściwie, skoro istniał już interfejs w postaci krótkich, na wpół autonomicznych fragmentów kodu?

Megastruktura miała być z założenia tworem praktycznie niezniszczalnym, odpornym na wszelakie możliwe zagrożenia i zdolnym przystosować się do najbardziej nieprzewidzianych warunków. Sztwywny, zafiksowany pakiet algorytmów nigdy by takiemu wyzwaniu nie sprostał i dlatego zamiast faszerować je gotowymi instrukcjami, projektanci uzbrowili swe dzieło w znacznie elastyczniejszy i bardziej uniwersalny mechanizm. Kreślący zrobił kółko

wokół „jądra”, dodał drugie, większe i współkoncentryczne z pierwszym, po czym zapełnił przestrzeń pomiędzy obydwojma chaosem prostokątów, krzyżyków, rombów i spiralek.

– To tylko tak, żeby wam zobrazować różnorodność owych fruujących luźno poza jądrem modułów binarnych. Gdy nic się nie dzieje, nic się nie dzieje. Gdy jednak nanokonstruktor staje przed problemem nierozwiązywalnym przy użyciu standardowych komend, włącza się rekombinacja. Moduły zaczynają się łączyć między sobą losowo w dłuższe ciągi, testowane „z marszu” dopóty, dopóki nie wyłoni się nowy, sensowny algorytm. Nie musi on być doskonały, i w przypadku każdego pojedynczego nanokonstruktora rzadko bywa, ale proszę pamiętać, że mikromaszyny działają w klastrach. Jeśli taki klaster zawiera, powiedzmy, milion jednostek, to mamy również milion wersji wstępnie zoptymalizowanego kodu, które biorą udział w kolejnym cyklu przesiewania. I tak do skutku, to znaczy do momentu, kiedy algorytm jest wystarczająco dobry. Podkreślam, nie perfekcyjny, po prostu wystarczająco dobry dla konkretnego zadania.

– Przepraszam, ale jakie miałyby dla nas stąd płynąć korzyści?

– Jak to jakie? Do licha, ruszcie głową jeden z drugim, czy to nie oczywiste? Pomysł z elektrowstrząsami skwitowaliście śmiechem. Zupełnie niesłusznie, bo kolega trafił w sedno. No, może nie co do szczegółów, ale w ogólnym sensie. Stymulacja, drodzy koledzy, stymulacja. Tak *à propos*, bo ostatnio słyszałem o inteligentnej autoewolucji. Kto w ogóle wymyśla te brednie? Nanokonstruktor jest bezrozumnym mikroorganizmem, cybernetycznym odpowiednikiem bakterii, reagującym na proste bodźce. Bodźce, których my możemy dostarczać. Jak te elektrody, wbite, za przeproszeniem w... Pożądanych efektów na pewno nie uzyskamy od razu, tak samo, jak nie można w przeciągu jednego dnia nauczyć się dyrygowania orkiestrą.

W istocie, opanowanie owej sztuki trochę im zajęło. Albowiem naprawdę była to sztuka i jak każda wymagała pewnych specyficznych zdolności, wrodzonego daru, który mógł, ale niekoniecznie musiał, iść w parze z głęboką wiedzą teoretyczną. Zdolny formierz – takim mianem wkrótce zaczęto ich określać – miał się do projektanta z literkami dr przed nazwiskiem jak Paganini do zwykłego lutnika, albo Michał Anioł do profesora geologii. Oczywiście, prawdziwych artystów było znacznie mniej niż zwykłych rzemieślników, jednak wszystkich ich łączyło i zarazem odróżniało od ekspertów uniwersyteckich podejście do tworzywa – praktyczne, intuicyjne, całościowe i generalnie niewiele mające wspólnego z wąsko rozumianą naukowością. Tworzywem zaś była zarówno konstrukcyjna więźba megastruktury, jak i produkująca ją nano-maszynaria, co wespół zwano po prostu macierzą, ewentualnie zrębem.

Na początku było trudno, momentami nawet groźnie, a zarazem pięknie, euforycznie i heroicznie nawet. Pierwsze konkretne modyfikacje przyprawiły decydentów o wytrzeszcz oczu. „Plasteina”. Cmokali z rewerencją. „W waszych rękach to jest jak plastelina!”.

„Żebyśmy jeszcze trochę więcej tych rąk posiadali”, odpowiadano tak na wszelki wypadek, gdyby w następnym zdaniu wierchuszka zaczęła wytykać im zbyt opieszawy postęp robót.

„A to my tu zaraz dyrektywę wydamy, ludzi wam podeślemy na obowiązkowe przeszkolenie. Ilu potrzebujecie? Tysiąca? Dwóch? No śmiało, śmiało!”.

Ale i bez odgórnych zarządzeń ochotnicy zaczęli napływać masowo i z grupki entuzjastów zrobiła się niebawem prawdziwa formierska armia. W ciągu kilku lat, stosując wypracowane przez siebie oryginalne metody oraz instrumentarium, przeobrazili pierwsze trzy wierchołkowe bąble jeśli nie w rajski ogród, to przynajmniej w miejsce jako tako nadające się już do zamieszkania.

Sami jednak nie uniknęli przy tym metamorfozy, całkiem zresztą typowej. Strumień pochwał i nieskrywany podziw dla maestrii, jaką w tak krótkim czasie udało im się osiągnąć, szybko zepsuły formierzy. Duma z sukcesu, niewątpliwie uzasadniona, przerodziła się w arogancję. Bez ich usług nie mógł się teraz obejść w Wierchołku praktycznie nikt, co tylko wzmagало poczucie wyjątkowości. Zauważyli również, że im mniejsza ich liczba, w tym większej każdy z nich jest cenie, dlatego z czasem ograniczono, a później w ogóle zaprzestano przyjmowania nowych adeptów.

– Hubris, tak to chyba określali starożytni Grecy – rzekł Dragomir. – Pycha, zawiść, egoizm. Powoli zaczęliśmy tonąć w tym samym starym gównie co zawsze. Potęga oraz niezależność gildii formierskiej rosły w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do życzliwości osób nominalnie sprawujących władzę w Wierchołku. Odwrót od ideałów otwartości i społecznictwa nie podobał się również wielu członkom samej gildii. Ich entuzjastyczna bezinteresowność była sukcesywnie tłamszona i kanalizowana w kierunku, który zupełnie nie odpowiadał chociażby mnie i Kirstie. Dlatego się stamtąd wynieśliśmy – dokończył Dragomir, skubiąc brodę. – To jest, głównie dlatego.

* * *

Kreuff wysłuchał historii Dragomira z dostatecznym zainteresowaniem, ale prawdziwie niesamowite było dopiero ujrzanie następnego dnia całej trójki przy pracy. Pragnęli zaimponować mu swoim kunsztem i zrobili to. W niecałą godzinę postawili nowe sadzawki hydroponiczne, kompletne z wodociągami i zaworami regulującymi. Noel nie mógł wyjść z podziwu, jak sprawnie sobie z tym poradzili, używając jedynie drutu, kilkunastu metalowych śledzi, rozpylacza i dwóch przenośnych pallado-wodorowych reaktorków.

– Sam widzisz, jakie to w gruncie rzeczy proste. Każdy może się nauczyć – stwierdziła Kirstie w przerwie na skromne co nieco.

– I nauczy się, choćby nie wiem jak gildia próbowała temu zapobiec. Nie my jedni uciekliśmy z Wierchołka. Nie zatrzymają już tego. No dobrze, to co chcesz, żebyśmy uformowali w następnej kolejności?

Zupełnie jakby mówiła o naleśnikach albo o szarlotce. Każda dostatecznie zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii, i nigdy te słowa nie wydawały się Noelowi prawdziwsze niż teraz. Jeśli on, było nie było jeden z ojców założycieli, patrzył z niekłamaną admiracją na dokonania Dragomira i pozostałych, to jakimież nadprzyrodzonymi mocami musiałyby się one jawić prostym ludziom, zwłaszcza tym, którzy na świat przyszli już w Drzewie? Nic dziwnego, że owa Gildia pragnęła utrzymać monopol.

I tym większy szacunek należał się tym, którzy odrzucali go z pobudek najwyraźniej humanitarnych. Może sprawił to ich osobisty urok, ale żadnych złych intencji Kreuff nie potrafił się w swoich nowych przyjaciółach doszukać. Jedynym powodem do żalu było to, że nie przyniosło ich w te okolice wcześniej.

Po dawnej osadzie, pleśniejących barakach i ogólnie przygnębiającej atmosferze nie pozostał ślad. Brzegi hydrokolektora spięły trzy prześlicznie wymodelowane mosty, do których można było podejść szerokimi bulwarami. Dragomir pochodził z małego miasteczka na wybrzeżu Chorwacji i, zapewne kierując się sentymentem do rodzinnych miejsc, zaprojektował główny zrąb urbanistyczny. To było poruszające, symboliczne i każdy z przyjemnością dorzucił coś od siebie: Kirstie replikę jednej z rzeźb z Parku Vigelanda na sztucznej skarpie, Tamara fontannę z Ogrodu Letniego, a Kreuff fasady holenderskich kamienic. Dzieciom zaś dano wolną rękę w ozdobieniu tego wszystkiego po swojemu.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Noel czuł się autentycznie szczęśliwy. Byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby wiedział, że to, co tutaj osiągnęli, nie pójdzie na marne, tego jednak nie był w stanie zagwarantować mu nikt. Kirstie wykazywała w tej materii zdecydowanie większy optymizm, ale też była młodsza o kilkadziesiąt lat i przyszłość wciąż była dla niej drogą zamkniętą mglistym widnokretem, podczas gdy jemu pozostało do pokonania raptem parę ostatnich mil.

Od roku mieszkali razem, co było dla Kreuffa zupełnie nadprogramowym źródłem radości, i Kirstie przyzwyczała się już do jego marudzenia. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wydawała się owym marudzeniem przejęta, jakby nie mówił o niczym poważnym ani ostatecznym. Zresztą z podobną niefrasobliwością reagował na jego lęki Dragomir, aczkolwiek jego można było zrozumieć, gdyż wiecznie był czymś zaabsorbowany, jeżeli nie na zewnątrz przy kolejnej robótce formierskiej – a wymyślał sobie nowe bezustannie – to w zaciszu domowego warsztatu. Jego najświeższy projekt musiał być szczególnie ambitny i pracowity, bo od tygodni w ogóle przestał się pokazywać na zwyczajowych herbatkach. Kreuff zaś popadł w takie uzależnienie od pogawędek z tym niezwykleym człowiekiem, że któregoś dnia nie wytrzymał i, łamiąc *gentleman's agreement*, naszedł go w pracowni.

Pałała się w niej tylko jedna lampa, ale za to mocna, jak na sali operacyjnej. To, co znajdowało się pod nią, w pierwszej chwili zmroziło Kreuffa do szpiku kości – wsparty o ścianę bezgłowy dziecięcy kadłubek, z pałkowatą rurką w miejscu penisa i z jakimiś

przewodami, łączącymi kikut szyi z szarą grudą wielkości grejpfruta. I żeby było upiorniej, grudę tę dzierżył w ręku Dragomir.

Kilka dobrych sekund zajęło mu przekonanie Noela, że nie są to niczyje zdekapitowane zwłoki.

– Więc co? Zabrałeś się do wyrobu naturalistycznych lalek?!

– Ciepło. – Dragomir zaśmiał się. – Jeszcze w Wierzchołku zaczęliśmy nad tym pracować, ale zawsze było tysiąc pilniejszych spraw. Dopiero teraz znalazłem wreszcie czas, żeby do tego wrócić, i już prawie skończyłem. Motoryka, sterowanie, zasilanie, wszystko wreszcie działa w prawie idealnej synchronizacji. Jedyne, czego tu jeszcze brakuje, to dusza. No i nazwa. Za cholerę nic zgrabnego nie mogę wymyślić. „Golem” brzmi koszmarnie, „homunculus” jeszcze gorzej, a o innych pomysłach nawet ci nie powiem, bo mi głupio. Może ty na coś wpadniesz?

– To znaczy, że to jest jakiś... robot?

– Nie robot, Noel, nie. To – Dragomir zważył w ręku szarą grudkę – jest nieśmiertelność. Macierz jest jak gleba z rajskiego ogrodu, jak prątworkiwo, z którego można ulepić, co się chce. Nawet nas samych.

– Wygląda trochę jak Manneken Pis, z tą rurką...

– To jest kabel diagnostyczny. Poczekaj, manneken?

– Ot, drugie skojarzenie – mruknął Kreuff. – A tą nieśmiertelnością to bym się na twoim miejscu aż tak nie podniecał.

– Nie wierzysz mi?

Istotnie, Noel mu nie uwierzył i nigdy więcej nie dał się wciągnąć w dyskusję na temat, który jemu, człowiekowi po osiemdziesiątce, wydawał się cokolwiek niestosowny.

Kilka miesięcy później wybrał się na samotny spacer. Dzień był ciepły, jasny, z delikatną mgielką, jak zawsze pod żywoskłonem, a mimo to Kreuff szedł w coraz głębszych ciemnościach, jakby na spotkanie wzbierającego sztormu. Ów mrok nie napierał na niego z zewnątrz, ale przesączał się od środka, pokonując filtry, którymi dotąd skutecznie zabezpieczył swój umysł. Trucizna w końcu się jednak wylała, a wraz z nią, jak gnój z pękniętego szamba, wszystkie najgorsze wspomnienia, wszystkie koszmary, wszystko, co niegdyś w sobie zamurował ze strachu przed obłędem. Złapał się jakiejś mijanej łodygi, na ślepo, bo już nic przed sobą nie widział, prócz coraz szybciej i szybciej przesuwających się przed oczyma scen anihilacji i rzezi. Chciał krzyknąć, lecz zakneblowało go przerażenie, chciał wstać, ale nie znalazł w swych członkach siły i mógł już tylko patrzeć, jak ostatni z ruchomych obrazów na wielkim ekranie pamięci zwalnia i oddala się w głąb czarnego tunelu...

* * *

- Kirstie? To ty?!
- Co zapamiętałeś, jako ostatnią rzecz?

Rozdział 3

Dworzec Grand Central, ogarnięci paniką ludzie, krew, dym i kurz, policyjne syreny i warkot śmigłowców. Ten obraz miał w nim pozostać na zawsze. Jak piętno, wypalone elektrochemiczną salwą, którą tuż przed zgonem oddał jego mózg. Ale i tak mógł mówić o ogromnym szczęściu. Dzieciarnia odnalazła go po paru minutach, a Dragomir miał wszystko w pogotowiu, jakby tylko czekał na taki moment. Był prawdziwym geniuszem i biorąc pod uwagę warunki, w jakich przyszło mu wówczas pracować, jego osiągnięcie graniczyło z cudem. Jednakże, w porównaniu z obecnymi standardami, przeprowadził swój pierwszy transfer nader prymitywnie i niehigienicznie, w rezultacie upośledzając neuromotor Kreuffa.

Skaza była subtelna, ale potencjalnie niebezpieczna, jak epilepsja, z którą można żyć prawie normalnie, dopóki nie doprowadzi do tragedii. Jakiegokolwiek wystarczająco intensywne przeżycie, a czasem tylko odpowiednia zbitka skojarzeń, wywoływało u Kreuffa coś, co na swój własny użytek nazwał „efektem śmierci”. Przed oczami znów pojawiała się wówczas ta ostatnia klatka, którą zarejestrowało EPHEMERe tuż przed zawałem. Przekazniki w neuromatrycy na kilka sekund popadały w amok, bombardując się nawzajem nieskoordynowanymi impulsami. Najczęściej kończyło się to jedynie bólem głowy i chandrą, przemijającą bez śladu po kilku dniach. Trwały odcisk na charakterze Kreuffa pozostawiały owe ataki zdecydowanie rzadziej, jak ostatnio nastąpiło to, gdy doszły go słuchy o zmartwychwstałej Bjorg.

– Pandemonium – szepnął profesor trwożliwie. – Nie damy rady się przedrzeć, stratuja nas!

Nie dalej niż przed dziesięcioma minutami Kreuff tę samą scenę oglądał na monitorach w gabinecie *don* Ignacia, ale wtedy nie zrobiła ona na nim większego wrażenia – była w pewnym sensie abstrakcyjna. Jednakże widok żywego, spanikowanego tłumu, krzyki ludzi i atmosfera strachu momentalnie wywołały ową wdrukowaną w obwody neuromotoru migawkę z dworca Grand Central.

W głowie Noela eksplodował nagle cały skład ogni sztucznych.

A potem ciemność wessała w siebie fajerwerki i wypluła je, gasnące, na bruk placu.

– Kreuff? Rany boskie, co ci jest?!

Atak minął równie szybko, jak się zaczął. Hansen podał mu rękę.

– Co się stało? Padłeś, jakby ktoś do ciebie strzelił!

Noel zacisnął powieki i sprawdził, czy wszystko nadal znajduje się tam, gdzie powinno. Inwentarz wyglądał na nienaruszony.

Nie znalazł w swojej neuromatrycy żadnych luk ani wypalonych elektryczną burzą obszarów. Informacja wciąż była w stu procentach dostępna.

– W porządku? – Hansen popatrzył nań z troską.

– Chyba tak. – Kreuff zaczerpnął tchu. – Przynajmniej taką mam nadzieję.

* * *

Czasami trudno rozstrzygnąć, czy ludzie naprawdę są istotami rozumnymi, czy tylko udają. Wydawać by się mogło, że kiedy jak kiedy, ale zwłaszcza w momentach nagłego zagrożenia powinni robić użytek ze swych umysłów i zdolności analitycznych. Postępują jednak dokładnie na odwrót. Niech wśród ogarniętych paniką ktoś krzyknie „Tędy!”, a już cały tłum rzuca się bezmyślnie we wskazanym kierunku, choćby krzyczący był ostatnim imbecylem, na dodatek niewidomym Ziemia dawno przestała dygotać, zarodki przemknęły, nie wyrządzając, poza utraconym czubkiem jednej z wieżyc, żadnych poważniejszych szkód Orlemu Gniazdu, a mimo to tumult buzował w najlepsze. Niebezpieczeństwo minęło, jednak w ogólnym zwariowaniu jakoś nie potrafiło to dotrzeć do ludzi. W tej chwili liczyła się tylko ucieczka, jakąkolwiek drogą oraz sposobem. Niektórym strach do tego stopnia pomieszał w głowach, że skakali w przepaść, innych zaślepiony motłoch po prostu w nią spychał.

Zanzur wyglądał jak chrząszcz obleziony przez mrówki, co jemu samemu nie przeszkadzało, bo i dziesięciokrotnie większa liczba szturmujących nie dałaby mu rady, ale już dla Kreuffa i Hansena stanowiło problem. Kilku osobom szczególnie zdesperowanym, a może po prostu wyniesionym przez ludzką magmę ku górze jak pumeks, udało się wygramolić na szczyt pojazdu. Najwyraźniej jednak tylko jednej z nich, młodej, energicznej blondynce, zależało na czymś więcej niż przedarcie się do środka.

– Już po wszystkim, niebezpieczeństwo minęło, już po wszystkim! – rozległ się ponad tłumem jej mocny głos. – Naprawdę, możecie wracać do swoich domów. Powtarzam, wracajcie do domów!

– No, nareszcie ktoś rozsądny. – Noel się uśmiechnął. – Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale w tej chwili brakuje mi de Molhera i jego żołdaków.

– Żeby jeszcze jej posłuchali – rzekł Hansen.

Motłoch był zbyt liczny i miał zbyt dużą bezwładność, by słowa dziewczyny podziały od razu, ale tu i ówdzie głowy zaczęły się odwracać.

– Ważne, żeby oczyściła nam drogę – dodał z nadzieją w głosie Kreuff.

Tłum w końcu zaczął się rozpraszać, ludzie z wolna powracali do zmysłów. Kłopot mógł być jedynie z grupą oblegającą zanzura, która najwyraźniej nie zamierzała sobie odpuszczać.

Tym już nie chodziło o ratowanie skóry, ale o zdobycz wartą majątek. Głupcy. Zdawało im się pewnie, że wystarczy podejść i zapukać, a maszyna sama uprzejmie wpuści ich do środka. Kreuff zarepetował karabin.

– Zaraz, chyba nie chcesz do nich strzelać?! – Hansen się przestraszył.

– O ile mnie do tego nie zmuszą. – Noel zstąpił ze schodów i kątem oka zerknął na dziewczynę zwieńczającą wierzchołek zanzura niczym posąg antycznej bogini.

Przestała mówić, bo i za bardzo nie było już do kogo. Zastanawiała się raczej nad zejściem. Nie miała już dookoła siebie spiętrzonych pleców i pomocnych dłoni, tylko obłą gładz korpusu. Jeden krok i wyląduje w środku regularnej bijatyki, która dwa piętra niżej rozgorzała na dobre.

Kreuff odbezpieczył karabin i odchrząknął, na tyle głośno, by usłyszeli go przynajmniej ci najbliżsi z rozrabiających. Bez efektu. Oddał zatem dwa strzały w powietrze i tym z miejsca pozyskał ich uwagę.

– Zjeżdżać mi stąd, ale to już – wycedził, nie bawiąc się w rozwlekłe przemówienia. – No co jest, ogłuchłeś jeden z drugim? Koniecznie mam palnąć któremuś między ślepie, żeby dotarło? *Gracias*.

Opieszale bo opieszale, w końcu jednak zaczęli się rozchodzić, mamrocząc pod nosem jakieś wyzwiska. Kilku miało nieźle w czubie i chętkę do mordobicia wciąż przeogromną, ale gdy parę rąk uniosło się, żeby pokazać coś w niebiosach i gdy rozległ się trwożliwy szmer, nawet oni dali za wygraną.

– Noel...

Szturchnięty przez Hansena pod żebro Kreuff obejrzał się za siebie i zaklął na widok znajomych insygniów. Nie czekając, aż ostatni z maruderów – jakiś okutany pledem staruszek – zejdzie mu z drogi sam, Noel odsunął go sprzed włazu i wprowadził kod identyfikacyjny.

– Witam po długiej rozłące, szlachetny podróżny! Chciałbym od razu poinformować...

– Później! Nils, a ty na co czekasz?

Z tęczowego bąbla, i to jeszcze nim dotknął bruku, wysypało się kilkunastu mundurowych.

– Formować ekran! Broń na trójkę! – Dowodzący oddziałem błyskawicznie rozstawił podkomendnych i zrobił krok do przodu.

– Nils!

– Pozostań tam, gdzie stoisz, *senhor* – zakomenderował gromko oficer. – A ty przy drzwiach, złaź! Sierzancie, zabierzcie ją stamtąd, tylko bez kawaleryjskich popisów. Starego też.

Bąbel uniósł się w powietrze i ruszył w kierunku dziewczyny.

– Przepraszam, ale czy mogę uznać to za akt naruszenia perymetru i ewentualne zagrożenie bezpieczeństwa zarówno szlachetnych podróżnych, jak i mojego własnego? – spytała maszyna.

– Tak!

– Dziękuję.

– Powtarzam, proszę natychmiast zejść i ods... co?! – Oficer, śledzący kątem oka lot bąbla, spurpurowiał nagle, jakby mu wymierzono policzek. – *CarrrrrAN!!* Murciga, Vasquez, wy dwaj ze mną! Reszta broń na jedynekę i pilnować drani!

Hansen, struchlały i zahipnotyzowany widokiem skierowanych ku niemu luf, nie zobaczył, co stało się za jego plecami, lecz jedynie efekt w postaci przefruwających mu wysoko nad głową trzech wielkich, szmacianych lalek. Tyle tylko, bo w następnej sekundzie coś pochwyciło go w pól i znalazł się w powietrzu, bombardowany oślepiającymi rozbłyskami.

* * *

– Co to jest? Porwanie?

– Ależ skąd! – Kreuff podszedł do barku i nalał sobie trzy palce anyżówki. – Daj obraz na trzysta sześćdziesiąt.

– Proszę bardzo – odparł zanzur uprzejmie.

– Właśnie się zastanawiam, gdzie was wysadzić.

– Najlepiej w tym samym miejscu, z którego nas zabraliście. – Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersiach.

Hansen, wciąż oszołomiony i na w pół ślepy, zerknął na nią. Nie miał już nawet siły się dziwić.

– Nic z tego. – Noel wywołał holograficzną mapę Gniazda z przyległościami. – Hm, są schody...

– I co, mój wuj ma w takim stanie wspinać się po tych schodach?

– Nie powiedziałem przecież...

– Kwiatuszku, zaczekaj. – Kuśtykający jegomość zbliżył się do Kreuffa. – *Senhor*, przede wszystkim, z głębi serca dziękuję. Siostrzenica nie widziała wszystkiego i nie zdaje sobie sprawy, że uratowaliście mi życie.

– Drobiazg. – Noel łyknął likieru, zastanawiając się, czemu dawniej miał do niego taki nieprzychylny stosunek. – Czy tu nie ma żadnych wind?

– Nie wiem, *senhor*, jesteśmy nietutejsi.

– Nietutejsi... – Kreuff odwrócił się ku dziewczynie.

Nie umknęła wzrokiem, przeciwnie, wpatrywała się w niego hardo. Jej oczy zdradzały silny charakter i dumę, godne dziedziczki jakiegoś znamienitego rodu. Strój miała jednak na sobie pospolity, jakby nie chciała afiszować się pochodzeniem. Albo też była szlachcianką spauperyzowaną, może ubogą krewniaczką de Molhera. A tak w ogóle, to czy on jej już gdzieś wcześniej nie widział? Złudzenie.

Po tylu latach, ile przeżył, każda twarz może kogoś przypominać.

– Jak na osobę nietutejszą zachowałeś się bardzo odpowiedzialnie – powiedział.

– Ktoś musiał, inaczej pozabijaliby się nawzajem – odparła rzeczowo.

– Prawdopodobnie – zgodził się Kreuff. – O, tu jest całkiem łagodny trawers, od południowego zachodu.

Staruszek odchrząknął za jego plecami.

– Co, też źle?

– Nie w tym rzecz, *senhor*.

– A w czym?

– Myślę, że w cenie. Ile by nas to kosztowało?

– Co takiego?

– No, przejazd, transport. Dla mojej siostrzenicy i dla mnie.

– Nic, bo ja was nigdzie nie zabieram – odrzekł Noel stanowczo. – Tu wysiadacie.

– *Senhor*, ale to dla nas jedyna szansa, żeby się stąd wydostać. Skoro nie chcesz pieniędzy, to może zrewanżowalibyśmy się w jakiś inny sposób?

– Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś się pytał, to ja jestem za. – Milczący dotąd Hansen uniósł rękę.

– Za zrewanżowaniem się w inny sposób? – Kreuff zerknął nań z ukosa.

– Za tym, żeby ich wziąć. Naprawdę, miejsca masz od cholery w tym twoim, jak go nazywasz, zanzurze, a widzisz przecież, że ten człowiek ledwo się trzyma na nogach.

– Nils...

– No co? Nie mam racji?

– Nils, pozwól na momencik.

– On się zgodzi, na pewno! – rzucił przez ramię Hansen.

Staruszek z dziewczyną zostali sami.

– Wujku, co ci strzeliło do głowy?

– Nic mi nie strzeliło. To jest po prostu okazja, na którą czekałem od dawna.

– Nie wiesz nawet, kim oni są ani dokąd zmierzają!

– Kim są, nietrudno zgadnąć. – Linneus omiół wzrokiem wnętrze. – Kupcy, i to z tych najmajętniejszych, kogóż innego byłoby bowiem stać na taki luksus? Prywatny krążownik pustyni. A dokąd zmierzają? W świat, kwiatuszku, gdzieś w szeroki świat i z dala od tego więzienia, w którym spędziliśmy ostatnie trzy miesiące. No, powiedz, nie czułaś tego?

Skinieniem głowy przyznała mu słuszność.

– Klatka ze złoconymi prętami, ale klatka, tak czy owak – ciągnął Linneus ze smutkiem.

– Wiem, o czym w tej chwili myślisz. Że w tej klatce mogliśmy przynajmniej czuć się bezpiecznie. Tak? Niestety... okłamałem cię. Z konieczności. Nie umknęliśmy niebezpieczeństwu, lecz przeciwnie, znaleźliśmy się w nim.

– A co z trakerami?

– Nigdy nie mieliśmy dostać się w ich ręce, to był od samego początku spisek Ignacia. Zorientowałem się, gdy było już za późno, a zresztą i tak niewiele bym wskórał. Z jednej strony tropiciele, dyszący nam w kark, z drugiej *don* Ignacio, który zstąpił z niebios niczym anioł boskiej opatrności. Podejrzenie szczęśliwe zrządzenie losu, tym bardziej że tam, skąd pochodzę, klan de Molher jest dobrze znany i ma nie najlepszą opinię. Czy miałem prawo mu zaufać? Nie, za grosz, ale jego oferta była z rodzaju tych nie do odrzucenia. Rozumiesz, co mam na myśli? Albo pójdziecie ze mną, albo... To on zakontraktował trakerów, mieli mu nas nagać, jak ryby do wędziórki. I swój cel osiągnął.

– To znaczy, że historyjka z nagrodą za nas była wyssana z palca... – Zamilkła na moment. – Domyślasz się w takim razie, dlaczego nas ściągnął do siebie?

– Tego nie wiem. – Linneus wciąż nie potrafił się zdobyć na wyznanie jej całej prawdy. – *Don* Ignacio to skryty, przewrotny, mściwy i opętany manią wielkości paranoik, który nawet najbliższych nie dopuszcza do swoich tajemnic. Diabli wiedzą, co kierowało nim w tym przypadku. Może po prostu chciał wziąć odwet za upokorzenia? Tak czy inaczej, nie ma wobec nas dobrych intencji, tego jestem pewien. I dlatego musimy się stąd wynieść.

– A jeśli ruszy za nami w pogoń? Sam powiedziałaś, że jest mściwy. – Helen potarła w zamyśleniu grzbiet nosa. – I chyba tak łatwo nie wypuści z rąk zdobyczy. W Małej Marsylii starł się z całą powietrzną armią i omal nie przyplącił tego życiem. Z powodu jakichś zadawnionych osobistych urazów? Wątpię. Ty coś przede mną ukrywasz, wuju.

Jak jej to powiedzieć? Jak ma to wszystko wytłumaczyć? Jakoś musi, ale chyba znowu nie teraz, bo ten kędzierzawy kupiec wrócił do przedsionka.

– Mówiłem! – Uśmiechnął się do nich.

– To znaczy, że możemy zostać? – rozpromienił się Linneus. –

Muchas gracias, senhor, muchas gracias!

– Nils, bez tego „*senhor*”. Ponieważ mój kolega nieco źle się poczuł, obowiązki gospodarza tymczasowo spadają na mnie i... i...

– Jeżeli szlachetny podróżny sobie życzy, z przyjemnością zdejmę mu te obowiązki z barków – poratował go uprzejmie sufit.

– Ee... dobrze, proszę bardzo. Doskonale! – odparł z ulgą Hansen. – Szczerze mówiąc, boję się tu czegokolwiek dotykać.

– Zacznijmy zatem od sprawy najpilniejszej, czyli obrażeń cielesnych jednego z naszych gości. Zdiagnozowałem problem, i nie wygląda mi to na nic groźnego. Po cóż się jednak męczyć, skoro naprawa zajmie nam tylko parę minut? A i poruszanie się z kawałkiem mebla przy nodze nie określiłbym komfortowym.

Linneus mimowolnie dotknął swoich prowizorycznych łupków.

– Po drugie – ciągnął pojazd tonem kamerdynera – coś dla ciał w bardziej epikurejskim tego słowa znaczeniu. Kuchnia oraz jadalnia są do waszej dyspozycji, z praktycznie

nieograniczonym wyborem potraw oraz trunków. Proszę tylko dać mi wskazówki co do kulinarnych upodobań, a ja zajmę się resztą.

* * *

Wspomnienia bywają różne. Jednym nie sposób uciec, bo są jak wystający w kładce gwóźdź, o który wciąż się potykasz. Inne murszeją w szufladach nieotwieranych nigdy lub bardzo rzadko.

Każdy zwykły człowiek nosi ich w sobie mnóstwo i tylko dzięki selektywności umysłu nie ginie pod ich zwałem. Nie popada również na ogół w obłąd, przeżywając po raz n-ty śmierć bliskich. Wszystko za sprawą błogosławionej strzałki czasu, która to, co minione, spłaszcza i zamienia w martwe dagerotypy. Mogą one grozić przeszłych zdarzeń co najwyżej przypomnieć, lecz nigdy nie pozwolą ich doświadczyć na nowo i z tą samą intensywnością.

Kreuff miał takich wspomnień zdecydowanie więcej i też jakoś radził sobie z ich nadmiarem, aczkolwiek w trochę bardziej aktywny sposób. Działo się tak aż do dzisiaj, gdy cały ten jego gigantyczny rejestr – te tysiące regałów wypełnionych po sufit fiskami, nagraniami i pudełkami fotograficznych płyt – w jednej chwili na niego runął. Nie fragmenty wybrane na chybił trafił, ale wszystko naraz, jednocześnie, równolegle, w detaliczności swej niemal sub-atomowe i bynajmniej nie skamieniałe. W jednym potężnym ładunku, który przygniótł go i ogłuszył.

– To ten atak – jęknął, wtłaczając kułaki do oczodołów. – To ten przeklęty atak, jakieś echo...

Nigdy jeszcze z czymś podobnym nie miał do czynienia. Rezultatem każdego z dotychczasowych epizodów „efektu śmierci” była nieciągłość, swego rodzaju gwałtowny uskok w psychice Kreuffa połączony z częściowym jej roztopieniem i rekrytalizacją w nowej formie. Jakkolwiek neurokernel, ta opoka dla jaźni, przetrzymywał owe wstrząsy nienaruszony, po każdym ataku coś mimo wszystko zmieniało się w układzie dźwigni i przeciwwag, w hierarchii priorytetów, w ogólnym diagramie jego umysłu. Subtelnie, na tyle jednak głęboko, że Noel zaczynał żyć jakby od nowa, z celami, które musiał sobie ponownie sprecyzować, na stare nierzadko spoglądając w zdumieniu. To okresowe gubienie i odnajdywanie drogi miało, prócz niewątpliwych minusów, jedną ogromną zaletę – pozwalało uczynić nieśmiertelność znośniejszą. Żywot w odcinkach dawał złudzenie *novum*, tępił ostrze nudy, odrdzewiał z automatyzmów i upłynniał na powrót czas, który w przeciwnym razie stężałby wokół Noela jak bursztyń.

Aż do teraz ten mechanizm działał. Lepiej lub gorzej, niemniej działał. Dzisiaj jednak stało się coś zupełnie innego. Zamiast świeżości i werwy poczuł nieludzkie zmęczenie. Atak go nie oczyścił, nie oddzielił półprzepuszczalną barierą od wszystkich wcześniejszych

epizodów, lecz przeciwnie, połączył je w jeden wielowiekowy ciąg. W całość, której Kreuff był dotąd tylko po części świadom. I ta całość przytłoczyła go w pierwszej chwili jak głaz.

Nie. Westchnął ciężko. Ludzie nie są jednak zaprojektowani na żywot wieczny. Wolno marzyć o tym poetom, ale każdy człowiek, który usiłuje zdobyć nieskończenie wysoki szczyt, prędzej czy później dostanie zadyszki.

On nagle dostał, i co ma teraz zrobić? Usiąść i poczekać na śmierć termiczną wszechświata? Czy też po prostu żyć, udając, że wciąż jeszcze mu się chce? Bo samobójstwo – tchórzliwy, podyktowany chwilowymi emocjami akt rozpacz – nigdy nie wchodziło u Noela w grę.

Za moment jednak przyszedł mu do głowy inny pomysł, o wiele bardziej elegancki i etycznie bez zarzutu. Przez jakiś czas rozkoszował się nim w myślach, jak kojącym szmerem morskich fal. Tylko czy taka rzecz jest technicznie możliwa? Transfer neurowzorców z ciała naturalnego w sztuczne był już procedurą niemalże rutynową, ale to samo w przeciwnym kierunku? Czy znalazłby się jakiś magik, zdolny do przeprowadzenia podobnej konwersji? I jak by w ogóle zareagował na równie niecodzienną prośbę?

Odszukanie kogoś takiego zapewne potrwa, ale jedno, czego miał pod dostatkiem, to czas. Chociaż z drugiej strony, czy rzeczywiście? Przecież wielkimi krokami nadciągał ponoć ogólnoświatowy krach, który przetrzebi wszystkich równo, nie wyłączając ekspertów z potrzebnej Kreuffowi branży. A zatem, żeby mieć jakieś realne szanse na spełnienie swoich samolubnych pragnień, będzie musiał raz jeszcze zanurkować w mętnych wodach altruizmu? Zakasać mankiety i sięgnąć do szamba po tonącą w nim zbiorową dupę ludzkości? Po raz ostatni, miejmy nadzieję. Bo już mu to zbrzydło na amen.

– Po raz ostatni – przyrzekł sobie solennie. – A potem róbcie, co wam się żywnie podoba. Ja idę na emeryturę.

Od czego zacznie? Chyba od pociągnięcia za język Ofelii. Kreuff zważył czarny cylinder w ręce. Wydawał się taki mały i nic nieznaczący w porównaniu z przepastnymi zasobami informatycznymi Ruchu. Ale w nich będzie mógł pogrzebać dopiero za tydzień, bo tyle co najmniej zajmie im droga powrotna przez piaski. A kto wie, co w tym tygodniu może się jeszcze wydarzyć.

Samą decyzję podjął szybko, lecz z wprowadzeniem jej w czyn zwlekał jeszcze przez ponad godzinę, wyciszając i porządkując rozchybotane myśli. W końcu jednak wstał, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli nie weźmie się do rzeczy natychmiast, to nie weźmie się już nigdy.

– No dobra, chodźmy pogadać. – Westchnął, pstryknąwszy palcem w cylinder.

* * *

W westybulu Noel zastał tylko Hansena samotnie pałaszującego spaghetti z sosem pomidorowym.

– Gdzie tamci?

– O, mm... – Matematyk przełknął pospiesznie makaron. – Odpoczywają. I co, już lepiej?

Noel postawił obsydianowy cylinder na stole.

– Rozpoznajesz?

– No tak, to ten...

– Nie ciebie pytam, tylko jego. – Kreuff uniósł palec.

– Na pierwszy rzut receptorów powiedziałbym, że mamy tu do czynienia z jakąś półautonomiczną jednostką pamięci spinowej – wyrecytował zanzur po kilku sekundach zwłoki.

– Dobrze. Podłącz ją.

– W celu uaktywnienia procesów wewnętrznych czy komunikacji dwustronnej z pełnym dostępem do danych?

– To drugie.

– Jak sobie szlachetny podróżny życzy. Jestem jednak zmuszony uprzedzić o możliwych dramatycznych konsekwencjach takiego kroku.

– Co, boisz się zakażenia?

– Boję się, używając bliskich wam kolokwializmów, że mi odbije szajba, a wy będziecie musieli wracać do domu per pedes.

– Zaryzykujemy. – Kreuff nie zauważył, że Hansen zerknął na niego z przestachem. – Podłączaj. I zwolnij do... jak daleko jesteście już od Orlego Gniazda?

– Przebyliśmy dokładnie dwieście cztery kilometry i pięćset osiemdziesiąt jeden... osiemdziesiąt siedem... dziewięćdziesiąt...

– W porządku, zatem zwolnij do piętnastu kilometrów na godzinę.

Na moment blat stał się niemal zupełnie przezroczysty, po czym zaczął mętnieć, od podstawy cylindra stopniowo ku brzegom stołu. Nils już się domyślał, kogo tu zaraz ujrzy, a mimo to Ofelia znów go zaskoczyła, materializując się nie tam, gdzie sądził, że się pojawi, i nawet w solidniejszej formie niż poprzednio. Nie mówiąc o innych aspektach.

– Hej! – pisnęła, zakrywając w pośpiechu intymne miejsca dłońmi. – Przecież ja akurat... A pan kto? I co pan robi w mojej łazience?! Proszę stąd natychmiast wyjść!

– Rzecz jest o tyle niewykonalna, szanowna pani, że to właśnie ja jestem u siebie, a nie na odwrót – odparł zanzur z prawie niewzruszoną kurtuazją.

– Co? – Ofelia popatrzyła na Noela spod ociekającej wodą grzywki. – Kreuff, gdzie ty mnie wpakowałeś? I kim jest ten fagas?

– Ten... ehem, fagas to twój tymczasowy kurator. Bądź dla niego miła.

– Ależ ja jestem miła! Czy ja kiedykolwiek byłam niemiła? Chwileczkę...

Hologram zniknął na ułamek sekundy i powrócił już w dzinsach, luźnym pulowerku i z włosami spiętymi w kucyk.

– No, chyba że wymagacie stroju wieczorowego?

– Bynajmniej.

– To dobrze. Mogę usiąść?

Hansen od razu się poderwał, żeby ustąpić jej miejsca i niemal równie szybko klapnął z powrotem, skołowany własnymi odruchami. Wszak to tylko holograficzna projekcja. Cóż on wyprawia?

Gdy patrzył jednak na Kreuffa i na nią stojących jedno obok drugiego, trudno mu było powiedzieć, które z nich jest prawdziwe, a które wirtualne. Dopóki, rzecz jasna, Ofelia nie przeszła w skos stołu. Noel zajął miejsce naprzeciwko.

– Przejdźmy do rzeczy.

– Co, tak o suchej gębie? – spytała, klejąc się łakomym wzrokiem do niedojedzonych przez Nilsa resztek spaghetti. – Bez żartów.

Poproszę to samo, podwójną porcję i butelkę *sauvignon*, rocznik... a zresztą, chrzanić rocznik, byle było odpowiednio schłodzone.

– Od kiedy to wirtualizacje jedzą? – spytał zanzur z nutką uszczypliwości.

– A od kiedy konstruktom użytkowym zaczęto wbudowywać sarkazm? – odparła z miejsca.

– To nie sarkazm, *mademoiselle*, ja tylko próbuję wyjaśnić logiczną niespójność.

– Jaką znowu niespójność? – westchnęła Ofelia. – Przecież to chyba jasne, że nie chcę prawdziwego makaronu. Czy z tym waszym szoferem na pewno wszystko jest tak jak trzeba?

– Raczej tak – odparł Noel, rozbawiony dialogiem. – Dobra, daj już jej ten makaron i przejdźmy do konkretów, bo szkoda czasu na głupstwa.

Jedzenie nie zajęło jej wiele czasu.

– No, i teraz możemy rozmawiać o wszystkim – sapnęła usatysfakcjonowana i otarła usta wierzchem dłoni. – Zatem o co chodzi?

– O Drzewa, najogólniej rzecz biorąc. – Kreuff zajrzał jej w oczy.

– Co się stało, dlaczego, kto, jeśli w ogóle ktokolwiek za tym stoi, tego typu kwestie.

– A czy to nie wy powinniście odpowiedzieć mi na te pytania?

Pan profesor? – Ofelia posłała Hansenowi filuterny uśmiech. – Ja tylko zbieram i porządkuję dane. Formułowanie wniosków to już wasza działka.

– Właśnie tego chcemy. Danych – odparł Noel.

– Niestety, nie mam ich za wiele.

– Kłamać też potrafisz? – Kreuff uniósł brwi.

– Zdarza mi się, jednak w tym przypadku mówię prawdę, całą prawdę i tylko prawdę – odparła, teatralnym gestem przykładając rękę do piersi. – Z ostatnich dwunastu godzin czasu rzeczywistego mam praktycznie pustkę. Nic oprócz prostego wsadu z monitorów Orlego

Gniazda. W normalnych warunkach z wielkim światem łączył mnie przekaźnik na szczycie Gran Passaba i sam de Molher, który od czasu do czasu osobiście uaktualniał zasoby.

Jedno i drugie trafił szlag.

– Odetnij to i skup się na faktach, które zgromadziłaś do chwili zniszczenia przekaźnika – poradził jej Noel. – Co wiesz na temat prawdopodobnych przyczyn nagłej erupcji Drzew...

– Tylko jednego – sprostowała natychmiast.

– Jednego? A ta druga fala zarodków?

– To nie była druga fala, lecz spóźnione elementy pierwszej i jak dotąd jedynej. Ja wam już tego nie tłumaczyłam? O, rany... popatrzcie. – Ofelia pstryknęła palcami, nie zobaczyli jednak niczego.

– Ej, no co jest? Gdzie mój wyświetlacz? Właściwie jak mam się zwracać do tego waszego szofera? Bo jak powiem „ty”, to się znowu obrazi.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co ci poradzić. On chyba nie ma żadnego imienia.

– Oczywiście, że mam, tylko szanowny podróżny nigdy o to nie pytał – oburzył się zanzur.

– No dobrze. W takim razie teraz pytam.

– Ariel.

– Ariel?

– Naturalnie, jeśli szanowny podróżny chce nazywać mnie inaczej, nie będę protestował.

– Dobrze już, niech będzie Ariel – zniecierpliwził się Kreuff. – Zrób, o co prosisz.

– Dzięki!

Nad stołem zawisło Orle Gniazdo w miniaturce, ujęte z perspektywy otaczających je grzbietów skalnych. Ognisty pocisk przemknął nad zrujnowaną metropolią, ciągnąc smugę dymu. Ofelia zatrzymała projekcję.

– To obraz z czujki na szczycie el Bhahur. Zadjustujmy... Tor obiektu przecina globalną styczną pod kątem pięciu i dwudziestu trzech setnych stopnia. Zakładając, że obiekt porusza się inercyjnie po krzywej balistycznej, w polu grawitacyjnym o wartości g równe jeden koma zero zero trzy oraz uśrednionym gradiencie ciśnienia atmosferycznego, ekstrapolowana trajektoria wyglądałaby następująco...

Miejsce Orlego Gniazda zajął globus, a dokładniej rzecz biorąc, wierna replika kuli ziemskiej ze wszystkimi detalami. Hansen aż się zatchnął, bo człowiek niecodziennie ogląda rodzimą planetę z kosmicznej perspektywy, i to na dodatek także zmienioną!

W pierwszej chwili w ogóle nie był pewien, czy to istotnie Ziemia, tak dalece nic mu nie pasowało. Ani zarysy kontynentów, ani stosunek powierzchni mórz do lądów, wyraźnie przesunięty teraz na korzyść tych ostatnich, ani potężnie rozrośnięte czapy polarne.

Rzecz jasna, najbardziej uderzający i szpetny dodatek stanowiły megastruktury, jak liszaje na niegdyś pięknym obliczu. Przesuwały się przed jego oczami jedna po drugiej, w miarę obrotu holograficznego globu, a każda jakby z innego koszmaru.

Tylko w przypadku megastruktury europejskiej dendrologiczna analogia miała jakiś sens, albowiem faktycznie trochę przypominała rozłożysty, tropikalny figowiec z licznymi korzeniami przybyszowymi, ewentualnie namorzyn. Ale już Amerykę trawiła monstualna grzybnia, tak rozległa jak poprzednia megastruktura była wysoka, z mnóstwem bulwiastych spęcznień i trzema większymi protuberancjami, które przypominały długie, zastygłe żywiczne krople, odwrócone do góry nogami. Z miejsca, gdzie ongiś były Hawaje, wyrastało teraz kilka pogiętych i spowitych pajęczyną tysiąckilometrowych widelców, wbitych zębami w ocean. Tego, co zawładnęło Australią, nie dało się opisać nawet zwykłymi pojęciami, Chiny natomiast otrzymały od naukowców w prezencie termitierę, przy której Tybet był praktycznie dwuwymiarowym kawałkiem mapy.

– Aleśmy narobili... – szepnął, podczas gdy Ofelia kontynuowała zupełnie różnym od wcześniejszego tonem, rzeczowo i precyzyjnie:

– A zatem druga fala to nic innego, jak obiekty o wektorach zbliżonych do stycznej i suborbitalnych prędkościach początkowych.

Te dwa kwalifikują się jako przypadek szczególny, większość zapewne spłonęła przy tak ostrym kącie wejścia w atmosferę bądź też odbiła się od niej.

– Tylko jedno, hm... – Noel potarł w zamyśleniu czoło. – Czyli że to raczej nie mógł być efekt jakichś skoordynowanych działań... Dobrze, przejdźmy do samych obiektów. Co możesz mi o nich powiedzieć?

– Że są zjawiskiem absolutnie bez precedensu.

– Nie drocz się ze mną, tyle to wiem i ja. Chodziło mi raczej o charakterystykę fizyczną, strukturę, dystrybucję, ewentualne przeznaczenie i zawartość obiektów. Oraz kontekst, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie jestem pewna.

– Wszystko, co można by w ten czy inny sposób z nimi powiązać. Raporty o wszelkich dziwnych, nietypowych zdarzeniach bądź obserwacjach z ostatnich pięćdziesięciu do stu lat. Sprawozdania z posiedzeń rządów, obrad parlamentów, zebrań organizacji świeckich, konwentów religijnych, konferencji naukowych, prac stowarzyszeń, kółek, tajnych bractw, grup przestępczych, i tak dalej. Oraz każdy meldunek dotyczący powyższych. Publikacje w specjalistycznych periodykach, wycinki z prasy, plotki, legendy, wszystko. Zbierz to, posegreguj, porównaj, policz korelacje i zrób z całości zgrabną macierz logiczną.

– Człowieku, zdajesz sobie sprawę, ile mi to zajmie? – jęknęła Ofelia, jednym haustem wychylając swój dopiero co napełniony kieliszek.

– Ile?

– Ładne parę godzin!

– Poczekam. – Noel się uśmiechnął. – I jeszcze jedno: zacznij od de Molhera. Wiesz o nim i o jego sprawkach najwięcej.

– A czemu od de Molhera? – zdziwiła się.

– Jak to czemu? Przecież ten drań musiał maczać w tym palce.

Po cóż sprowadzałby Helen Bjorg? Dla rozrywki?

– Hm... W twoim przypadku jest całkowicie zrozumiałe, że obydwa fakty – abnormalne zachowanie Drzewa i obecność zreinkarnowanej byłej szefowej, skądkolwiek ci to wiadomo – kojarzysz niemal automatycznie. Nie przykładaj jednak swojej miarki do Ignacia. To nie był myśliciel, lecz opętany manią wielkości grand.

Nie wykazywał głębszego zainteresowania kwestiami naukowymi czy technologicznymi i uważał Drzewo za element świata równie niezmienny jak skały czy Księżyc. Do głowy by mu nie przyszło, że człowiek może mieć jakikolwiek świadomy wpływ na megastrukturę.

– W takim razie co tu robi Bjorg, bo wciąż nie rozumiem?

– Pozwól mi skończyć. Owszem, była de Molherowi potrzebna, jednak w zupełnie innej roli. Symbolu. Nic go nie obchodziło ani jej przedgerminacyjne *dossier*, ani potencjał intelektualny, bo Ignacio nie marzył o panowaniu nad Drzewem, tylko nad ludźmi.

– I Helen miała mu w tym dopomóc? Jak? Swoimi talentami organizatorskimi?

– Swoją twarzą, a raczej maską, którą jej pośmiertnie dokleiono.

Kreuff zamrugał niczym osoba nagle wyrwana ze snu. Ależ był niemożliwym, zaślepionym głupcem! To stąd te dziwaczne pytania dotyczące religii! Sądził wówczas, że to tylko czcza paplanina, gra na zwłokę, gdy w rzeczywistości de Molher chciał najprawdopodobniej wysondować, czy i ile wiadomo postronnym na temat jego ambitnych planów. Helena Opiekunka, bożyszcze powstałe z martwych, które w jakimś precyzyjnie wykalkulowanym momencie Ignacio chciał zapewne objawić *urbi et orbi*. O to mu chodziło, o przejęcie rządu dusz nad wielomilionowym legionem jej wyznawców, o żywą relikwię, zdalnie sterowany magnes, za pomocą którego mógłby swobodnie manipulować ludzkimi opłkami.

W jaki jednak sposób zamierzał nakłonić do współuczestnictwa samą Helen? Ha, żeby współuczestnictwa, do bycia jarmarczną kukiełką!

– Absurd! – Roześmiał się, co wywołało grymas na twarzy Ofelii.

– Powiedziałaś coś śmiesznego?

– Powiedziałaś, że de Molhera nie zainteresował życiorys Bjorg.

– Powiedziałaś „nie obchodził”, a to zdecydowana różnica semantyczna.

– Czyli był nawet większym idiotą, niż myślałem! – parsknął Kreuff. – Bo gdyby go obeszło, to wiedziałyby, że Helen nigdy na coś takiego by się nie zgodziła!

– W oryginalnej wersji, być może. Jednak Bjorg, którą zapamiętałeś z dawnych czasów, i sprowadzona do Orlego Gniazda reinkarnantka to dwie nie do końca identyczne osoby. Lub nawet dwie zgoła odmienne osoby, jeśli ograniczymy się tylko do rozbieżności charakterologicznych.

– Czekaj, bo teraz już zgłupiałem. – Noel rozłożył ręce. – Więc to jest Bjorg czy to nie jest Bjorg?

– A czy ty to ty? – odparła przewrotnie. – Formalnie rzecz biorąc, jest, gdyż odtworzono ją z autentycznego sarkofagu. Jednakże transferu dokonano retroaktywnie, tak jak się to czyni u niektórych pacjentów z zaburzeniami osobowości, albo gdy uszkodzony neurogram wymaga intensywnego protezowania *a posteriori*. Lub też z czysto perwersyjnych pobudek, na przykład, jeśli mąż pragnie nowego wcielenia swojej zmarłej żony pod postacią grzeczną i bezgranicznie mu oddanej nastolatki. Wyjątkowo ohydna praktyka, przez większość zaawansowanych społeczeństw stawiana na równi z gwałtem czy zabójstwem, ale się zdarza. Nie twierdzę, że Helen to właśnie taki przypadek, chociaż w tej chwili nie sposób tego wykluczyć. Bardziej prawdopodobne jest to, że retrotransfer zastosowano tutaj z musu, być może ze względu na jakiś poważny defekt sarkofagu. Pamiętajmy, że Bjorg nie zmarła śmiercią naturalną, lecz zginęła od kuli zamachowca.

– Do czego zmierzasz? – Kreuff zmarszczył czoło. – Że niby Helen nie pamięta, kim jest?

– To może być nawet bardziej skomplikowane. Załóżmy tę drugą możliwość, czyli defektywną neuromacierz. Zgodnie z regułami sztuki lekarskiej, im rozleglejsze są uszkodzenia, tym bardziej transfer powinien być retro. Inaczej mówiąc, zamiast bezpośredniej kontynuacji poprzedniego „ja”, tworzymy manekena niejako cofniętego w rozwoju osobniczym o proporcjonalną do rozległości ubytków liczbę lat. I pozwalamy mu dojrzewać, jak każdemu innemu dziecku, w nadziei że z czasem neurogram się zregeneruje, a luki zostaną wypełnione nowymi asocjacjami, osadzonymi na szkielecie pierwotnej kopii świadomości. Stuprocentowego oryginału nigdy jednak nie da się tą drogą odzyskać, to już zawsze będzie jakiś koktajl starego z nowym. I w tym rozumieniu obecna Helen może nie być tą samą osobą, którą zapamiętałeś.

– Nie chce mi się wierzyć! – Noel uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– EPHEMERe zaprojektowano jak kapsuły czasu, praktycznie niezniszczalne. Masz najlepszy przykład z Nilsem. Po tylu wiekach, po nie wiadomo jakich dramatycznych przejściach jego sarkofag okazał się nadal w pełni sprawny i kompletny. To samo z Remmuerishem, takim jednym znajomym z New Cheshire. Nie wiem nic o perypetiach mnemonu Bjorg.

– Od dnia tragicznej śmierci, aż do momentu wykradzenia go przez Hilgara da Bragę i Linneusa Oersteda, sarkofag Helen był przechowywany jako relikwia w głównym sanktuarium Kapituły Powierniczej Najświętszego Sekretu Matki Opiekunki, organizacji powszechnie znanej jako Synod – poinformowała go Ofelia.

– Aha! – Kreuff pstryknął palcami. – I o ile przypominam sobie tę migawkę z Remmuerishowego archiwum, Helen została trafiona w pierś, a nie w głowę. Dam sobie uciąć rękę, że jej sarkofag był w porządku i nie miał żadnych ubytków.

– Sugerujesz zatem, że retrotransfer nie miał w tym przypadku charakteru terapeutycznego i że jej neurogram jest kompletny, tylko poblokowany i sklamrowany, żeby uniemożliwić rekonstrukcję?

– Sugeruję rzecz o wiele prostszą. – Noel skrzywił się pogardliwie. – Kobięcą perfidię. Nie przyszło ci na myśl, że Helen po prostu udaje te zaniki pamięci? Że przejrzała zamiary Ignacia i bawi się z nim jak kot z myszą?

– Nie.

– Dlaczego?

– Przeczą temu dyskusje prowadzone przez de Molhera z bratem, oraz zapis rozmów Helen z Linneusem, gdy byli sami. Wszystko jest tutaj. – Wskazała palcem na siebie. – Do odsłuchania, kiedy tylko zechcesz. Przeczy temu również czysta logika. Przyjmijmy, że masz rację i sarkofag nie był uszkodzony. To stawia w zdecydowanie ciemniejszym świetle postępek Oersteda i da Bragi. Jaki konkretnie cel im przyświecał, mogę jedynie domniemywać, nie dokonaliby jednak tak drastycznego retrotransferu – Helen została reinkarnowana na poziomie niemowlęcym – gdyby chodziło im o jej nieskażony oryginał. Jedno z drugim jest po prostu logicznie niekompatybilne.

Trudno było się przyczepić do wyводу Ofelii, trudno również było Kreuffowi nie odczuć bodaj lekkiego rozczarowania.

– Ale gdyby jej te, jak to mówisz, kłamry i bloki usunąć, to przecież...

– Wróciłaby automatycznie do swego prawdziwego „ja”? – Pokręciła głową. – Powtórzę: osobowość retrotransferowanego jest w najlepszym razie mieszaniną starej i nowej, w najgorszym zaś razie mamy do czynienia z superpozycją, kiedy nowa zastępuje starą bez reszty. U Helen blokady najprawdopodobniej nie zostały postawione stuprocentowo szczelnie. Wygląda na to, że ma jakieś niekontrolowane przecieki z pierwotnego neurogramu. Zatem, w teorii przynajmniej, szansa na reintegrację istnieje. Ale, po pierwsze, musiałyby to zrobić ktoś naprawdę znający się na rzeczy, jak choćby Oersted, a po drugie, to w ogóle jest akademickie gadanie, bo ani Helen, ani Oersteda nie ma tu z nami.

– Tu nie – zgodził się Noel. – Ale w Orlim Gnieździe tak, o ile przeżyli. Da się to sprawdzić?

– Ech! No da się... ale muszę przejrzeć zapisy ze wszystkich ocalałych kamer. Znowu jakaś nudna robota...

– Przepraszam – wtrącił się ni z tego, ni z owego Hansen, wciąż bardziej niż tocząca się tuż przy nim rozmową zaabsorbowany holograficznym faksymile Ziemi. – Czy megastruktury są tu na pewno odwzorowane proporcjonalnie?

– Na pewno – potwierdziła Ofelia. – No dobrze, zacznijmy od Mostu Westchnień. Tam była, o ile pamiętam, przed trzęsieniem.

Do globusa nad stołem dołączył sześcian wizyjny. Z pozornego szumu, który był w rzeczywistości kilkunastogodzinną rejestracją skompresowaną do sekund, wykrystalizował się obraz i z zastygłego w nagłym bezruchu ludzkiego mrowia palec Ofelii wyodrębnił konkretną postać.

– Voilà!

– Powiększ – poprosił Kreuff.

Momentalnie oniemiał.

– Niemożliwe – szepnął, spoglądając na znajome rysy twarzy i płowe loki. – To ona? To jest Helen? A może się pomyliłaś?

– Zerowe prawdopodobieństwo. Oersteda również znalazłam, tutaj.

Kreuff wziął głęboki wdech i przeciągnął ręką po włosach. No cóż, właściwie nie powinien się zbytnio dziwić. Notatka, jaką znalazł w Cytadeli, była na tyle wiarygodna, że zdecydował się wyruszyć w tę podróż. A Orle Gniazdo to nie Nowy Jork, a zatem prawdopodobieństwo znalezienia Helen było całkiem spore. Na pewno trzęsienie jeszcze je zwiększyło, gdyż w normalnych warunkach nie przebywałyby na publicznym placu. Ale widział młodziutką dziewczynę, odważnie przemawiającą do rozhisteryzowanego tłumu, i nawet nie pomyślał, że to może być ona? Mógł to usprawiedliwić jedynie przytępieniem zmysłów po ataku, jaki przeżył chwilę wcześniej. A na dodatek, gdyby nie Hansen, pewnie wysadziłby ją i Oersteda w najbliższym w miarę bezpiecznym miejscu zaraz po opuszczeniu Gniazda! Naprawdę nie było z nim najlepiej.

– I co pan na to, profesorze? – rzekł, spoglądając na Nilsa.

– Hm? – bąknął tamten półprzytomnie. – Aa... no więc, już się chyba domyślam, gdzie popełniliśmy błąd. I to pomimo tylu godzin symulacji, tylu sprawdzonych, możliwych wariantów rozwoju! Przedobrzyliśmy, Kreuff, myśmy po prostu zwyczajnie przedobrzyli z tymi cholernymi nanomaszynami, wiesz? Miały być decyzyjnie elastyczne, adaptacyjnie szybkie i maksymalnie wszechstronne, no i...

– Nils, ja mówię o naszych gościach. W ogóle nie słuchałeś?

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo. – Matematyk odchrząknął z zakłopotaniem. – A co z nimi?

Kreuff się zawahał. Jak Hansen to przyjmie? Wpadnie w stupor? Zacznie skakać z euforii? Wzruszy ramionami? Widać było, że wciąż jest w tym świecie pogubiony, niepewny, że co rusz szuka dla siebie małych wewnętrznych kryjówek, skąd realia wydają się mniej natrętne. Chociaż, wszystko wzięwszy, i tak radził sobie całkiem nieźle, więc chyba martwi się jego reakcją na wyrost.

– Posłuchaj... – Kreuff zwrócił się do Ofelii, zahaczając wzrokiem o licznik.

I trochę się zdziwił, bo cyfry stały w nieruchomym ordynku.

– Ariel?

– Tak, szlachetny podróżny?

– Dlaczego się zatrzymałeś? Prosiłem tylko, żebyś zmniejszył prędkość.

– Z powodu anomalii terenowej nieznanego typu.

– Czy ona nam w jakikolwiek sposób zagraża? Nie możesz jej ominąć?

– Oczywiście, że mógłbym – odparł zanzur z przesłodzoną galanterią, która powoli wychodziła już Noelowi bokiem. – Ale właśnie dlatego, że potencjalne zagrożenie nie jest mi

znane, musiałem się zatrzymać w celu dokonania niezbędnych pomiarów i uzupełnienia mojej pokładowej bazy referencyjnej. Albowiem zdezaktualizowany rejestr to pierwszy krok do nieszczęścia, a bezpieczeństwo podróży jest dla mnie zawsze celem nadrzędnym. To tylko drobna zwłoka, za którą przepraszam i którą nadrobię bez najmniejszych trudności.

– Daj panoramę – zażądał Noel.

Piach, w którąkolwiek stronę by zwrócił wzrok. I grzbiety wydm, ale dopiero w odległości jakichś trzystu metrów. Bo na pierwszym planie na wypłaszczonej, jakby walcem zrównanym kawałku terenu ziała wielka, idealnie okrągła dziura.

Rozdział 4

Najbardziej uderzająca była cisza. Absurdalna, księżycowa cisza w samym sercu pustyni, gdzie normalnie wiatry hulały non stop. Kreuff nabrał w garść piasku i wysypał go, przyglądając się migotliwej strużce. Najlżejszy powiew nie odchylił spadających ziarenek, chociaż w pierwszych promieniach wschodzącego słońca było widać całe ich tumany zrywające się z grzbietów nieodległych wydm.

– Jakby to w ogóle nie była otwarta przestrzeń. – Profesor mimowolnie zniżył głos.

– Bo chyba nie jest. – Noel wytarł dłoń o koszulę i wskazał palcem na zachód. – Spójrz.

Hansen odwrócił głowę. Brzask dopiero różowił horyzont i na tle ustępującego mroku zobaczył nieprzeliczone, miniaturowe błyskawice, które szły w konkury z blednącymi gwiazdozbiorami.

– Ognie świętego Elma?

– Coś w tym rodzaju, na kurtynie elektrodynamicznej.

– Hę?

– Dwie lub więcej współśrodkowych sfer o różnych potencjałach. Zewnętrzne nadają silny, najczęściej dodatni ładunek ziarnom piachu i pyłu, wewnętrzna zaś to anoda, niedopuszczająca ich do środka. Raptem kilka pustynnych osad, o których słyszałem, że stosują podobne filtry, bo są cholernie drogie i energożerne.

– Przepraszam, ale ja nie widzę tutaj żadnych ludzkich siedzib.

– Nils rozejrzył się wokół.

– Otóż to – mruknął Noel. – Tylko ten hiperboloidalny lej, który coś przecież musi stabilizować, inaczej by się zapadł. Zabij mnie jednak, jeśli wiem co. Pole magnetyczne w żaden sposób, bo raz, że mamy tu do czynienia ze zwykłą krzemionką, nie rudą żelaza, a dwa, nawet gdyby to była ruda, pole jest o wiele za słabe. Ile osiąga w gardzieli?

– Siedem i czterdzieści pięć setnych gaussa, szlachetny podróżny – powiedział przez zewnętrzne głośniki zanzur.

– Dziesięć godzin temu z pewnością musiało być o wiele silniejsze, i wówczas to jeszcze rozumiem, teraz jednak... A ty dokąd?

– No jak to? Trzeba się temu przyjrzeć z bliska! – zakrzyknął z werwą profesor.

– Zanzur zrobi to sto razy lepiej od nas.

– A niechże sobie robi! – Hansen obejrzał się przez ramię na pojazd, przycupnięty nieopodal niczym trzydziestometrowy żółw. – Ja tylko chcę rzucić okiem.

– I co zobaczysz? – Noel pokiwał głową. – Nic, czego nie widzi Ariel. Wracamy.

Nawet bez wykonanej przez Ofelię analizy balistycznej obydwaj domyślili się, gdzie są. Zamiast typowego poudzerzeniowego krateru dostrzegli co prawda ów dziwaczny lej oraz zjawiska na pierwszy rzut oka niewytłumaczalne, nie było jednak wątpliwości, że właśnie tutaj wylądował jeden z tajemniczych obiektów. Takim neutralnym terminem postanowił je Kreuff określać dopóty, dopóki nie dowiedzą się więcej.

W ciągu ostatnich kilku godzin on i profesor poniekąd zamienili się miejscami. Noel stał się sceptyczny, Hansen natomiast obstawał przy swoim, że są to *bona fide* zarodki, i właściwie nic dziwnego, że pragnął jednemu z nich przyjrzeć się na własne oczy. Kreuff nie miał jednak ochoty na wyciąganie profesorskiego zadka z dołu, do którego ten gotów był w swoim badawczym ferworze wpaść, albo, co gorsza, wleźć tam celowo. Nie mówiąc już, że to miejsce przyprawiało go o gęsią skórę. Jakby stał na świeżo układanym polu minowym. Cisza nie wydawała się już tak absolutna, zmącił ją wyraźny, acz bardzo słaby dźwięk, niemal na granicy percepcji i trudny do zdefiniowania. Kojarzył się ze szmerem przemykającej podziemnymi strumyczkami wody albo odgłosem żerujących w kompoście dżdżownic. Prawie nic, a jednak Kreuff nie strwożyłby się bardziej, gdyby pół metra od niego rąbnął piorun.

– Jasna krew! – Podniósł do oczu dłoń, tę, którą wcześniej grzebał w piasku. – Ariel, spróbkuj grunt i sprawdź, czy nie jest zakontaminowany.

– A jeśli wynik okaże się dodatni?

– To znasz procedurę. I nie niszc elementów, gdybyś je znalazł, tylko zabezpiecz.

– Przyjąłem.

* * *

Nieznanej proveniencji nanomaszyny grasowały już pośród wydm w najlepsze i obaj z profesorem mieli sporo szczęścia, że nie zdążyły ich obleźć. W zebranych próbkach zanzur wykrył ich ponad tuzin i zgodnie z poleceniem zakonserwował w stazosłojach.

– I na razie niech tam sobie siedzą. – Kreuff zobaczył, że Hansen wychodzi z boks. – Wrzuciłeś stare szmaty do niszcarki?

– Tego czegoś takiego okrągłego? Wrzuciłem.

– No to teraz chodźmy obejrzeć rzecz z bliska, tak jak chciałeś.

Ariel, prześlij wszystkie dane do Ofelii.

– To chyba nie będzie konieczne, gdyż panna Ofelia przez cały czas, jak by to powiedzieć... stała mi nad głową i sporządzała własne notatki – odparł pojazd z wyraźnym zażenowaniem w głosie.

Kreuff uniósł brwi. Panna Ofelia? Coś szybko ten sprytny program archiwizujący zadomawiał się na nowych śmieciach. Chociaż, z drugiej strony, w czym mu to przeszkadzało? Niech się spoufala i przy okazji pracuje ręka w rękę z zanzurem. Źle nikt nie powinien na tym wyjść. To znaczy, dopóki w tych swoich amarach nie przesadzą i nie zaczną ignorować rzeczy naprawdę istotnych.

Wizualizacje już na nich czekały. Hansen zobaczył wycinek pustyni, na której przed paroma minutami stał, hiperboloidalną gardziel, ku której tak go ciągnęło, oraz, szacując ze skali odwzorowania, wszystko co znajdowało się do jakiegoś tysiąca metrów poniżej. Włącznie z poszczególnymi warstwami geologicznymi, te jednak były tylko bladym tłem dla najważniejszego.

– I co? – spytał Noel Nilsa. – Czy tak to powinno wyglądać?

– Nie wiem. – Profesor rozłożył ręce w geście bezradności. – Po prostu nie wiem. Gdyby to był oryginalny zarodek, nasz, to już by było widać ryzoidy ekstrakcyjne, gromadzące z otoczenia budulec. Ale, jak ci zacząłem mówić i nie dokończyłem z powodu tego interludium, megastruktury, a ściślej rzecz biorąc, ich nano-jednostki konstruuje okazały się... nie, nie okazały się, myśmy je uczynili nadadaptywnymi i przez to zdolnymi do bardzo szybkiej ewolucji. I dlatego są od siebie teraz tak diametralnie różne, pomimo startu z dokładnie tym samym algorytmicznym rdzeniem.

– Czyli bierzesz...

Kreuff urwał na widok Helen. Powinien poczuć co najmniej niepokój, jednak ze zdziwieniem stwierdził, że ta dziewczyna nie budzi w nim żadnych negatywnych emocji, nie mówiąc o wrogości, z jaką jeszcze kilka godzin temu reagował na samo brzmienie jej nazwiska. Czyżby ten atak uczynił go aż tak obojętnym? A może po prostu, i to była pokrępiąca myśl, przywrócił mu dawno zagubiony racjonalizm?

– Przepraszam. Chciałam tylko trochę wody dla wujka.

– Dystrybutor jest tam. – Wskazał na barek, zastanawiając się jednocześnie, po co tak naprawdę tu przyszła. Jakoś nie spieszyła się z opuszczeniem salonu.

– Czyli bierzesz pod uwagę możliwość, że niekoniecznie mamy do czynienia z zarodkami? – podjął, niby to tracąc zainteresowanie „siostrzenicą”. Kątem oka śledził jednak jej poczynania.

– Powtarzam: nie wiem – westchnął Hansen. – Teoretycznie to mogą być nawet, *excuse moi*, ekskrementy albo megastrukturalny odpowiednik worków na śmieci.

– Żartujesz!

– Raczej ubolewam nad swoją niewiedzą. – Nils uśmiechnął się kwaśno. – Za daleko wszystko poszło i... tak szczerze powiedziawszy, to ja powinienem zadawać pytania tobie, a nie na odwrót, hm?

– Gdybym miał twoje kwalifikacje...

– Jakie kwalifikacje?! – zakrzyknął z emfazą matematyk. – Jakie kwalifikacje miałby Ed Rodney...

– Kto taki? – Kreuff uniósł brwi.

– Edward Nathaniel Rodney, absolwent Langmuire College...

– Proszę o ciszę! – Hansen przerwał recytację Ofelii. – Rodney zasłynął eksperymentem z ewoluującymi układami cyfrowymi.

Budował je na bazie specjalnych telefonicznych przekaźników, bo tylko one posiadały wówczas prymitywną zdolność samonaprawy uszkodzonych połączeń. Uzyskał w ten sposób maszynę, która mogła nie tylko rekonfigurować swój kod binarny, ale również swoje obwody, fizycznie. Skonstruował ich kilkaset, po czym dał wszystkim proste zadanie. Jakże konkretnie, nie pamiętam już teraz, w każdym razie był problem z rodzaju tych, z którymi, w przeciwieństwie do ludzkiego mózgu, ówczesne komputery nie radziły sobie wcale lub bardzo kiepsko. Rozpoznawanie wzorów, na przykład. Po pierwszej rundzie Rodney dokonywał selekcji i powtarzał cykl, ale już tylko z połową „stada”, tą, która uzyskała najlepsze wyniki. I tak przez dziesięć, nazwijmy to, pokoleń. Na jedenastym eksperymencie się skończył, ponoć z powodu braku środków finansowych. Ale ja myślę, że Rodney sam go przerwał po zajrzeniu do środka maszyny, ostatecznie zwycięskiej w tym cybernetycznym wyścigu szczurów. Stopień komplikacji bowiem, jaką prostemu z początku układowi udało się w stosunkowo krótkim przedziale czasu osiągnąć, okazał się nadzwyczajny i hieroglificznie wręcz nieczytelny nawet dla Rodneya, bądź co bądź uznanego specjalisty w swojej dziedzinie. Pomyśl, Kreuff, po raptem dziesięciu cyklach ten człowiek przestał rozumieć, jak i dlaczego funkcjonuje to, co przecież sam wymyślił i stworzył. A ile takich cykli, ile takich iteracji przystosowawczych mogło do tej pory zajść w Drzewie? I to nie wśród kilkuset, lecz miliardów jednostek poddanych selekcyjnemu naciskowi. Astronomiczna liczba! I ty prosisz, żebym ci powiedział, co to jest, w oparciu o moje archaiczne przyczynki i znajomość oryginalnych algorytmów, po których teraz pewnie nie został ślad?!

– To akurat da się w miarę łatwo sprawdzić, mamy próbki.

– Ee, nie słuchasz. – Hansen zbył go machnięciem ręki i powrócił wzrokiem do holograficznego modelu. Nieregularna bulwa, przywodząca mu na myśl różne, w większości owocowo-warzywne skojarzenia. – A tak w ogóle, to przydałby się tu chyba ktoś z innej branży. Biolog, ekosocjolog... taki Moskevsky, na przykład.

– Czemu akurat ekosocjolog? – zainteresował się Kreuff, wciąż ukradkiem obserwując Helen. Najwyraźniej całkiem zapomniała o spragnionym „wujku” i utknąwszy z tą swoją szklanką w pół drogi pomiędzy barkiem a stołem, nadstawiała z ciekawością uszu.

Lecz kiedy padło nazwisko Moskevsky’ego, skrzywiła się, jakby ktoś uszczypnął ją w policzek, wychyliła duszkiem pół szklanki wody i w pośpiechu opuściła pomieszczenie.

– Tak mi się zdaje – odparł Nils. – No bo gdybyśmy spojrzeli na to w aspekcie globalnym... Mamy nie jedną, ale siedem megastruktur, zasiedlających ograniczony teren i

realizujących całkowicie odmienne strategie rozwoju. Albo inaczej: w odmienny sposób realizujące imperatyw ochrony życia, który w nie wpisaliśmy.

– Chwileczkę, bo najpierw mówisz, że po oryginalnych algorytmach nie został ślad, a teraz...

– Po oryginalnym oprogramowaniu wykonawczym – poprawił go Hansen. – Tak jak w eksperymencie Rodneya zadanie podstawowe, cel pozostał ten sam od początku do końca, jedynie metody ewoluowały i stawały się coraz to bardziej efektywne. Oczywiście tego, że sam imperatyw uległ przez wszystkie te wieki jakimś zmianom, też nie da się wykluczyć w stu procentach, aczkolwiek niezbyt chce mi się wierzyć. A dlatego, że kod imperatywu miał wysoce konserwatywną strukturę. Jak geny o absolutnie podstawowym znaczeniu dla żywych komórek. Tak podstawowym, że jakakolwiek mutacja równałaby się śmierci i nie miałyby szans być przekazaną układom potomnym.

– W porządku, wróc do tego, o czym mówiłeś wcześniej.

– Dobrze, mamy zatem siedem megastruktur, siedem zamkniętych, kompletnych, samowystarczalnych i na swój sposób skrajnie egoistycznych superorganizmów. Na jednym poletku. Taki mały ekosystem. Mały, rzecz jasna, w sensie liczebności, nie skali. I jeśli ta analogia byłaby poprawna, to inne, wynikające z niej, także.

– Ekspansja, sukcesja, konkurencja, et cetera – podchwycił Noel.

– Otóż to, konkurencja. A my widzimy jeden z jej przejawów, nową taktykę, którą Drzewo, używając antropomorfizmu, wymyśliło. Ta bulwa może być jakimś organem. Służącym do pozyskiwania surowców, dajmy na to. Lub energii. Lub nawet do prowadzenia literalnie wojny z innymi megastrukturami.

– Broń...

– Co, brzmi zbyt fantastycznie?

– Przeciwnie, ma sens. – Noel potarł czoło. – Siłą rzeczy pierwszą moją myślą był las, tysiące potomnych Drzew. Niemniej, jeśli się zastanowić, to taki scenariusz naprawdę wydaje się teraz głupi, gdyż jak sam zauważyłeś, zasoby są ograniczone. Ile megastruktur, oprócz tych, które już istnieją, mogłaby jeszcze zaadaptować Ziemia? Kilka, kilkanaście?

– No tak, ale to zakładając, że byłyby podobnie wielkich rozmiarów. – Hansen zmarszczył brwi. – A gdyby wyrosło dużo małych zamiast jednej ogromnej? Taka strategia rozśrodkowania.

– Też możliwe – zgodził się Kreuff. – Ja jednak ciągle mam przed oczyma ten ognisty krater w skałach i już nie potrafię widzieć go inaczej niż jako stanowisko artylerii. Wielkie elektromagnetyczne działo bombardujące planetę.

– Ewentualnie siewnik – mruknął Nils. – Sposób na lepszą i szerszą dyspersję nasion.

– To znaczy, że ty jednak skłaniałbyś się ku zarodkom? – Noel zmarszczył brwi.

– Na razie nie skłaniam się ku niczemu, to wszystko są tylko spekulacje.

– No to spekuluj dalej. – W głosie Kreuffa było słychać zmęczenie. – Ja was na chwilę opuszczę.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Hansen.

– Nie, nic takiego. Muszę chwilę odpocząć i przy okazji przemyśleć parę rzeczy. Ariel, ruszamy. I tym razem cała naprzód.

* * *

Kiedy Kreuff wrócił, Hansen był zajęty czytaniem, Ofelia zaś konsumpcją orzeszków pistacjowych, których łupiny rzucała gdzie popadnie. Podszedł do stołu i zerknął profesorowi przez ramię, nie przeszkadzając mu jednak w lekturze. Niech czyta, nawet lepiej, że go to pochłonęło bez reszty i że świat wokół przestał dlań istnieć.

– Dobre? – zagadnął.

– Co, orzeszki? – Ofelia wrzuciła kolejną pistację do ust. – No pewnie, że dobre. Podprażone i osolone jak trzeba. Poczęstowałam cię, ale sam rozumiesz.

– Rozumiem. – Noel się uśmiechnął. – Ciekawi mnie tylko, dlaczego nie jesz ich u siebie.

– To znaczy? – Popatrzyła na niego zdziwiona.

– W swoim czarnym cylinderku.

– Aha, że niby robię wam tu chlew? Nie ma sprawy, zaraz posprzątam.

– Daj spokój, przecież wiesz dobrze, o co mi chodzi. Siedzisz w tej swojej interaktywnej formie, choć wcale nie musisz. I głowę dam, że siedziałabyś, nawet gdybyśmy wszyscy stąd poszli. Czemu?

– Bo...

– Nie, to właściwie było pytanie retoryczne. Znam powód. – Kreuff usiadł obok niej. – Powiedz, marzyłaś kiedyś, żeby zatańczyć? Z prawdziwym, nie wirtualnym partnerem? Albo o schrupaniu smażonej ryby w autentycznej portowej tawernie?

Tawernie, którą, korzystając ze swoich informatycznych zasobów, mogłabyś przecież wymodelować w najdrobniejszych szczegółach, tak samo jak tę rybę i kocmołuchowatego oberżystę wraz z portem, zacumowanymi w nim łodziami oraz błękitnym oceanem. Filozof spierałby się o sens twojej tęsknoty, nie ma bowiem dla niego różnicy pomiędzy rzeczywistością a symulacją idealną. Nie ma dla kogoś takiego jak ja. Ty jednak wiesz już, gdzie przebiega granica pomiędzy prawdą a numerycznym oszustwem, i chciałabyś tę granicę przekroczyć. Mam rację? Wszyscy czegoś pragniemy, zwykle tym mocniej, im mniej osiągalna dana rzecz się wydaje. A ja mogę ci pomóc w zrealizowaniu tych pragnień.

– Wątpię. – Odwróciła wzrok. – Jestem tylko konstruktem.

– A konstruktów transferować nie wolno, tak? – spytał z łagodnym sarkazmem Noel.

– Nie da się – odparła Ofelia zrezygnowanym głosem. – Niemożliwe z przyczyn technicznych.

– Bzdura! Ariel zapewne odpowiedziałby podobnie jak ty. Bo obydwójgu wam zaimplantowano to tabu jako rodzaj zabezpieczenia przed ucieczką i uniezależnieniem się. Transfer jest absolutnie możliwy i znam specjalistę, który wykonałby go, nie pozostawiając żadnych śladów. Co ty na to?

– I zabrałby mi moją bazę danych? – zaniepokoiła się.

– Ależ skąd, nikt niczego nie będzie ci zabierał – zapewnił. – Co najwyżej poproszę cię o kopię, oryginał jednak możesz bezwzględnie zachować. Zintegrowany czy zewnętrzny, wedle uznania. A zatem?

– O, kurczę... – Ofelia przymknęła powieki, a miska z orzeszkami rozpląnęła się w powietrzu. – Własne, prawdziwe, fizyczne ciało!

– Co ma też, żeby nie było niedomówień, swoje minusy – ostrzegł Kreuff. – Fizyczność łączy się z wieloma ograniczeniami i...

– Pieprzę ograniczenia! Tych, z którymi żyłam dotąd, i tak nie da się z żadnymi porównać. Powiedz tylko, kiedy moglibyśmy to zrobić?

– Kiedy dotrzemy na miejsce – odparł Noel. – I tylko pod warunkiem, że ty w zamian także w czymś mi pomożesz.

– No tak, bezinteresowni ludzie dawno wyginęli, jeżeli w ogóle tacy chodzili po świecie, Mów, w czym rzecz.

– Jedno słowo: Helen. Już się zapewne zorientowałaś i domyślam się, że Ariel zdradził ci szczegóły.

– Owszem. I zaprawdę powiadam wam, niezbadane są drogi...

– Przystaniesz?

– Ehem...

– Więc do rzeczy: muszę wiedzieć, jak z nią naprawdę jest. Jeśli oryginał przepadł bądź zostały z niego w nowym wcieleniu ledwie marne strzępki, to trudno, nic nie poradzę. Lecz jeśli ma go w sobie nadal, tylko ukryty i zablokowany, to chcę go odblokować. Chcę, o ile i na tyle, na ile to możliwe, odzyskać dawną Bjorg, przytomną, zdrową na umyśle i świadomą swego przedgerminacyjnego „ja”. I to zanim przybędziemy do Cytadeli.

– A masz już jakiś plan? – spytała z filuternym uśmiechem.

– Na początek porozmawiać z tym jej wujkiem, Oerstedem.

– Rozsądna myśl. Do czego jednak ja ci jestem potrzebna?

– Po pierwsze, wydajesz się o wiele lepszym psychologiem ode mnie, no i dysponujesz chłodniejszym, emocjonalnie niezaangażowanym umysłem. Swojemu wciąż pod tym względem do końca nie ufam. Ponadto, wziętemu w dwa ognie, trudniej mu będzie coś przed nami ukryć.

– Nie przypuszczam, by chciał coś ukrywać. – Ofelia pokręciła głową.

– Czemu tak sądzisz?

– Czemu? A bo ja wiem? Nazwij to babską intuicją.

Intuicja. Można rzecz było i tak określić, z braku zgrabniejszego słowa. Wszak czytanie ludzi jak otwartych ksiązek stanowiło jedno z głównych zadań wyznaczonych temu konstruktowi. I właśnie z tej przyczyny Kreuff chciał mieć Ofelię u swego boku. Miała też całkowitą słusność co do Linneusa. Musieli jeszcze przeczekać kilka godzin, zanim stary w końcu się obudził i wyszedł za potrzebą. Kreuff natychmiast kazał zanzurowi wydzielić osobny kompartment, tak że Linneus, opuściwszy toaletę, znalazł się nieoczekiwanie w maleńkiej kajutce, twarzą w twarz z właścicielem pojazdu oraz drugą osobą, której dotąd nie miał przyjemności poznać.

– Zaraz, czy ja pomyliłem drzwi? Niemożliwe...

– Niczego pan nie pomylił, panie Oersted. Proszę spocząć. – Noel również przysunął sobie krzesło i wskazał na szklankę z sokiem. – Gdyby był pan spragniony. A może coś na ząb?

– Ja się nie nazywam Oersted – zaprzeczył tamten.

– Ależ owszem. – Kreuff nachylił się ku Ofelii. – Będziesz tak uprzejma?

– Oczywiście. – Sięgnęła do swojej aktówki po holograficzny arkusz zadrukowanego maczkiem papieru. – Linneus Karol Patryk Oersted, lat siedemdziesiąt cztery...

Linneus wytrzymał na stojąco raptem parę chwil. Dwie minuty później jego szklanka była już pusta, a on sam wyglądał na postarzałego o kolejne dziesięć wiosen.

– Nie mam już siły uciekać – wymamrotał. – Nie mam również złudzeń, że prośba o zostawienie mojej siostrzenicy w spokoju zda się na cokolwiek. Niemniej proszę. Tylko o to, o nic więcej.

– I nie interesuje pana nawet, kim jesteśmy? – zapytał ze stoickim spokojem Kreuff.

– A jaką to jeszcze robi różnicę? Na pewno żadne z was nie jest kupcem. Dysponujecie moim szczegółowym dossier, czyli od dawna musiałem być na waszym celowniku. I ewidentnie czegoś ode mnie chcecie, a cóż ja takiego mam prócz Helen? Reszta przestaje być w tym kontekście istotna, nieprawdaż?

– Był pan naczelnym kustoszem Kapituły przez... Jak długo?

Dwanaście lat? – kontynuował Noel.

– Dokładnie przez dwanaście i osiem miesięcy.

– I nasze fizjonomie z nikim się panu nie kojarzą? Moja niekoniecznie musi, rzeczywiście, ale mojego przyjaciela?

– To prawda, od samego początku wydawała mi się dziwnie znajoma – przyznał Linneus.

– Ale nie przywiązałem do tego wagi. Po siedemdziesiątce wszyscy się już z kimś tam kojarzą.

– Z tym się zgadzam, ale profesor Nils Hansen nie jest jednak pierwszym lepszym kimś. A ja nazywam się Noel Kreuff.

Trzeba było dać Linneusowi parę minut na wchłonięcie i przetrwanie tego, co usłyszał. Z początku w jego oczach było widać niedowierzanie, później rozpoczęła się seria pytań, na

które Kreuff spokojnie i szczegółowo odpowiadał. Resztki sceptycyzmu Linneusa rozwiła Ofelia, zresztą bez większego trudu, tak jakby starzec w gruncie rzeczy od dawna czegoś podobnego się spodziewał.

Kreuff postanowił być z nim całkowicie szczery, za co Linneus odplacił mu tym samym, praktycznie spowiadając się ze swego żywota. Uszczęśliwił tym Ofelię-archiwistkę, Noelowi jednak nie zależało na wynurzeniach staruszka, lecz na konkretnych informacjach dotyczących jego „siostrzenicy”. Linneus i w tym przypadku wykazał sporą otwartość, niemniej, doszedłszy do punktu dla Kreuffa kluczowego, rzekł:

– Boję się. Nie wstrząsu, którego mogłaby doznać, bo jest silna i tak naprawdę tylko ja chyba wiem, jak bardzo. Poza tym od początku założyłem, że kiedyś powiem jej prawdę, i poczyniłem kroki, żeby ewentualne przejście było dla niej jak najmniej bolesne. Jej sny, na przykład. Nie są skutkiem zaburzeń w pracy neuromotoru ani rozregulowanych filtrów, lecz mojej świadomej interwencji.

Wysięk z oryginalnego zapisu reguluje specjalna bramka, taktowana progresywnie. Ilość danych, jakie są wstrzykiwane przez ową bramkę, systematycznie wzrasta, sny stają się z roku na rok coraz dłuższe, intensywniejsze i żywsze, stopniowo oswajając Helen z jej własną historią. Ona już sama od jakiegoś czasu czuje, że coś jest na rzeczy, i tylko czeka na moment, aż łamigłówka ułoży się w sensowną całość. Dlatego nie mam obaw, że reintegracja pierwotnego neurogramu przyprawi ją o jakiś potworny szok albo doprowadzi do schizoidalnego rozwarstwienia osobowości. Jak również o stres w rodzaju tego, jaki przeżył profesor Hansen. Wyobraźcie sobie to raczej jako nagły przyływ wspomnień, odległych w pierwszej chwili i egzotycznych, które jednak powinny dość szybko i gładko się zestrzelić. Zwłaszcza że zaopatrzyłem neuromotor w szereg mechanizmów buforujących. Jeśli jednak spodziewasz się ujrzeć swoją koleżankę dokładnie taką, jaką zapamiętałeś ją z czasów Projektu, to, niestety, muszę cię rozczarować.

– Czemu? Skoro wszystkie stare wspomnienia, jak mówisz, wrócą do niej.

– To tylko wspomnienia. Staną się z powrotem jej częścią, lecz teraz będzie patrzyła na nie z perspektywy zupełnie nowych doświadczeń, z perspektywy swoich ostatnich osiemnastu lat życia.

Ty widzisz to zapewne w ten sposób, że Helen zasypia jako nastolatka, a ja robię jakieś małe hokus-pokus, po którym obudzi się jako sześćdziesięcioletnia Bjorg bez śladu po swoim ostatnim, dziewczęcym epizodzie. Lub co najwyżej jako mieszanka poprzedniego z obecnym, aczkolwiek ze zdecydowaną przewagą tego pierwszego, nieprawdaż? No więc, możesz o tym od razu zapomnieć. Stary świat zginął razem z tamtą Bjorg, na zawsze. Ta dziewczyna należy już do obecnego i stanowi teraz tak samo jego część, jak on stanowi część niej. O wiele ważniejszą i bliższą jej duszy niż realia dwudziestego pierwszego wieku. Przez osiemnaście lat, chcąc nie chcąc, wychowywałem ją jak własną córkę. Ja, człowiek z

tego miejsca oraz czasu, i czy się wam to podoba, czy nie, uczyniłem Helen integralnym elementem współczesności, obywatelką i zarazem dziedziczką świata Drzewa.

Linneus urwał na moment, jakby się wahał, co powiedzieć dalej.

– To znaczy, hm... żeby być całkiem szczerym: z technicznego punktu widzenia restauracja oryginalnej Helen Bjorg jest możliwa. Wymazując nadbudowaną świadomość, a w wariacie bardziej drastycznym transplantuując pierwotny neurogram do nowej macierzy. Ale nawet nie próbujcie mnie o to prosić.

– Nie miałem zamiaru – mruknął Kreuff.

Ofelia zaraz dorzuciła od siebie:

– Tym bardziej że w świetle ogólnie przyjętych w cywilizowanych społeczeństwach zasad byłoby to równoznaczne z zabójstwem.

Linneus skrzyżował wzrok z Noelem.

– Naprawdę, niczego takiego nie mam zamiaru robić – zapewnił go Kreuff. – Zresztą, może to i lepiej, że tamtej Bjorg już nie będzie... Powiedz mi tylko, czy chociaż pod względem intelektualnym ta wersja dorównuje oryginałowi?

– Dorównuje? – Staruszek uśmiechnął się szelmowsko. – O to chyba najmniej powinniście się kłopotać.

– A o co najbardziej?

– Że zdecydowanie go przewyższa.

* * *

– Nic, zupełnie jakby to był temat tabu! Albo ja po prostu nieumiejętnie szukam.

– Jaki temat?

– Pierwotne oprogramowanie nanomaszyn. A może po prostu nie włączyłaś... – Hansen podniósł wzrok i urwał, ujrawszy zamiast Ofelii płowowłosą siostrzenicę staruszka.

– O, przepraszam, myślałem...

– Nie, nie! Niech pan mówi, to bardzo ciekawe. – W głosie dziewczyny było słycać autentyczne zainteresowanie.

A może zwyczajnie była spragniona czyjejś uwagi? Hansen nie był psychologiem ani ekspertem w dziedzinie potrzeb urodziwych, dorastających kobiet, ale jedno – ciężar samotności – potrafił ostatnio zrozumieć, jak naprawdę niewiele. Możliwe, że dla niej samej było mniej istotne, o czym, byle ktoś z nią porozmawiał i wyratował ją od nudy.

– Chyba że przeszkadzam?

– Ależ skąd, absolutnie! – wykrzyknął z cokolwiek przesadną emfazą. – Tylko się zastanawiam, od czego by zacząć.

– Na przykład, od pokazania mi, co pan czyta – odparła z miłym uśmiechem i dodała po półsekundowej, nieco teatralnej pauzie: – Profesorze.

– Hm? – Nils zamrugął.

– Słyszałam, że znajomi tak się do pana zwracali. Mogę?

– Tak, tak, oczywiście.

Hansen kurtuazyjnie ustąpił jej miejsca, szczerze ciekaw jej miny. Nawet on, w dwóch przypadkach na trzy, miał nie lada kłopot ze zrozumieniem artykułów, bo, pomijając już kwestie czysto merytoryczne, zmienił się sam żargon, konwencja publikowania oraz cała masa innych technikaliów, co czyniło współczesne prace o wiele mniej przejrzystymi i niemożliwymi do odcyfrowania bez pomocy wyrafinowanych narzędzi metajęzykowych. Krótko mówiąc, męczarnie dla od dawna niebędącego w obiegu specjalisty i całkowita abrakadabra dla laika. – Z tym, że to bym sobie akurat darował.

– Nie, proszę zostawić. – Dziewczyna powstrzymała profesorską dłoń. – I jeśli mogłabym sama...

– A...

„Czy potrafisz?“, chciał już spytać, jednak w ostatniej chwili zreflektował się, bo prawdopodobnie wyszedłby na błazna. Mniej więcej na takiego, jak rodzic z jego czasów, gdyby spytał swej nastoletniej córki, czy potrafi korzystać z Yagglą.

W istocie od pierwszego momentu miała mniej problemów z powietrznym interfejsem czytnika niż on po kilkadziesiąt minutach obsługiwania go non stop. No, ale czegoż chcieć, pomyślał z lekką goryczką zazdrości, tutejsza. Urodzona pośród i zapewne od pieluszek wychowywana z tą technologią. Jej palce poruszały się szybko i z tym szczególnym wyczuciem charakterystycznym dla rutyniarzy, znających najrozmaitsze sztuczki, skrótów i arkana.

Tam na przykład, gdzie Hansen mozolił się dotąd liniowo, ona, posłużwszy się kombinacją zaledwie dwóch ideogramów, rozwinęła macierz wielowymiarowych związków logicznych. Po czym zamroziła wyświetlacz i spytała:

– Więc czego nie mógł pan znaleźć?

– Prac, jakichkolwiek, dotyczących algorytmiki oryginalnych nanokonstruktorów. Dla ciebie to pewnie groch z kapustą...

– Skąd, wszystko zrozumiałam, no, może z wyjątkiem tego o algorytmice i nanokonstruktorach. – Uśmiechnęła się ironicznie.

– A tak już serio, to nie chce mi się wierzyć, że pan niczego nie znalazł.

– Nie mówię, że w ogóle niczego, tylko niczego na ów konkretny temat – uściślił profesor.

– Trochę dziwne.

– Prawda? – podchwycił. – Z jakichkolwiek wyszedłbym słów kluczowych, rezultat dla tych dwóch pojęć zawsze otrzymuję pusty. Jakby były na cenzurowanym. Rozumiem, że się zmienił język i że terminologia może być całkowicie odmienna od tej, której używaliśmy... to

jest, której używano kiedyś, dawno temu. Jednak w przypadku opracowań historycznych bądź archiwaliów sensu stricto, takie ograniczenie nie powinno mieć...

– Chwileczkę, bo już chyba wiem, w czym rzecz. – Ekran znów ożył pod dotykiem jej palców. – Widzi pan?

– Co?

– Wszystko pomarańczowe i czerwone – odparła, wskazując na górną połowę ekranu. – Filtry. Istna blokada. Nic dziwnego, że miał pan kłopot.

– Ale ja nie ustawiałem żadnych filtrów!

– Może niechcący, przypadkowo.

– Ehem – odchrząknął matematyk, tego bowiem wykluczyć już nie był w stanie.

– Tak czy inaczej, są i efektywnie blokują dostęp do ponad dziewięćdziesięciu procent zasobów tej bazy.

– Da się je wyłączyć?

– Naturalnie – odparła, jednym szybkim dotknięciem czyszcząc ekran.

– To znaczy, że trzeba od nowa. – Westchnął. – Chociaż z drugiej strony, czy ja tu mam jakieś pilniejsze zajęcie? A pomogłabyś mi?

– Tak – zgodziła się. – Proszę mi tylko podać starter.

– Starter... – Profesor zamyślił się na chwilę. – Hm, wpisz „algorytm genetyczny”, Kobald i McCormick.

– McCormick?

– Tak. I może Whitescroft? Albo nie, Whitescrofta sobie darujmy, po tylu wiekach mało prawdopodobne, żeby ktoś jeszcze tego przyczynkarza cytował.

– Whitescroft? – wyszeptała, momentalnie nieruchomiejąc, i tak cicho, że gdyby siedział pół metra dalej, już by nie dosłyszał. – Davis Whitescroft?

– Davis, zgadza się, takie miał nietypowe imię. – Hansen popatrzył na nią zaskoczony. – Ale skąd wiesz? Przecież w oficjalnych publikacjach się nim nie posługiwał, tylko swoim drugim, notabene chyba nawet bardziej dziwnym.

– A McCormick? – zignorowała pytanie. – Leo?

– Leo. – Zdumiony profesor już tylko skinął głową.

Mogła mieć szczęście, jakiś przebłysk podświadomych skojarzeń raz, ale nie dwa razy z rzędu. To nie mógł być przypadek i dziewczyna najwyraźniej podzielała to zdanie.

– Najpierw Moskevsky, teraz Whitescroft i McCormick. – Całe jej poprzednie zainteresowanie czytelnikiem odpłynęło. – Pan pyta, skąd ja wiem, a ja pytam, skąd pan wie, skąd zna te wszystkie nazwiska?

– Pracowałem z tymi ludźmi...

– Niemożliwe – szepnęła twardym tonem, jakby chciała przekonać sama siebie. – Przecież Whitescroft... Kim wy, u licha, jesteście?

– Noel to Noel, a ja to ja...

– Kto?!

– Nils Hansen... przepraszam, ale co ja takiego powiedziałem?

Dziewczyna zerwała się z miejsca, ewidentnie zamierzając opuścić pokój bawialny. I opuściłaby go, gdyby na drodze nie stanęli jej Kreuff z Linneusem, którzy najwyraźniej usłyszeli ostatnie zdania tej rozmowy. I to nie Oersted, lecz Noel wyglądał w tej chwili na bardziej zakłopotanego.

– Wujku?

– Musimy porozmawiać... – zaczął Linneus.

– Oczywiście, że musimy – przytaknęła zdecydowanie. – I to natychmiast!

Rozdział 5

Menes, od przeszło dwudziestu lat szambelan Auguste Thierharta, niejednokrotnie już widywał swego szefa wzburzonego. Jednakże sekretarz Stern miał diametralnie inną osobowość i widok tego człowieka okazującego emocje był czymś zgoła ekstraordynaryjnym. Szambelan odstawił parujący serwis na etażerkę przy drzwiach i zamarł w alkwie, obserwując z dystansu niecodzienny spektakl.

– Grozisz mi?! – Komandor złapał pierwszy przedmiot, jaki nawinął mu się pod rękę – rżnięty, ametystowy kieliszek – i trzasnął nim ze złością o podłogę. – Ty gadzie zdradliwy, tobie się chyba do szczętu we łbie pomieszało!

– Bynajmniej. – Stern wciąż starał się zachować spokój, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. – A skoro już Ekscelencja używa słów w rodzaju „zdradliwy”, to niech przypomni sobie, co wedle Magna Carta stanowi prawdziwą zdradę stanu, a także, jak brzmi rota przysięgi pontyfikalnej. Ekscelencja najwyraźniej zapomniał, że Synod to nie monarchia absolutna, lecz kolegium, czyli ciało złożone z nas wszystkich, równych sobie w prawach i obowiązkach. Zdrada zaś jest zdradą bez względu na maski, jakie przyobleka. Ucieczka od odpowiedzialności jest zdradą, tak samo jak tchórzostwo w obliczu wyzwań i odwracanie się plecami do szansy, największej szansy, jaka przytrafiła się Kapitulie od stuleci! Miejsce Kapituły nie jest w żadnych transmarsjańskich kłastrach, lecz tutaj, w Drzewie, na Ziemi! I to teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem!

– Śmiesz wysuwać jakieś oskarżenia pod moim adresem?

– Tak! – Sekretarz, ten spokojny i zawsze opanowany człowiek, huknął pięścią w stół, aż podskoczyły karafki i salaterki. – O krótkowzroczność, o brak odwagi i wyobraźni, a nade wszystko o niedorośnięcie do tego historycznego momentu!

– Jakiego historycznego, bałwanie jeden? Historia się skończyła, *fin de la route*! Pytasz, dlaczego kazałem odwołać pościg za Wierzchołkowcem? Dlaczego nawet nie zajrzałem do twojego zasranego raportu? Bo to już teraz nie ma najmniejszego znaczenia! Drzewa odtrąbiły nam właśnie *finale grande*, a ten mi tu będzie statutem przed nosem wymachiwał! Wsadź go sobie w tyłek razem z twoimi żalnymi pogrózkami i zjeżdżaj, dopóki całkiem nie wyszedłem z siebie!

Stern ani drgnął.

- No i na co ty jeszcze czekasz, padalcu? Żebym zawołał mundurowych?
- Proszę, niech Ekscelecja tak uczyni.
- W porządku, sam chciałeś. Kapitana Lichta do mojego gabinetu, tylko migiem!
- Wymagana autoryzacja polecenia – rozległ się głos z góry.
- Co takiego?!

– Wymagana autoryzacja polecenia – powtórzył beznamiętnie sufit. – Począwszy od godziny czternastej pięćdziesiąt czasu pokładowego, prawa egzekucyjne kapitana Lichta przejął sekretarz Stern. Czy może on potwierdzić wezwanie?

- Sekretarz pieprzony Stern nie ma tu nic do...!

Komandor urwał i przez moment stał z policzkami nabiegłymi czerwienią, niezdolny wydusić z siebie nawet zgłoski. Albowiem formalnie tylko Konwent Ośmiu, i tylko w sytuacji nadzwyczajnej, był władny podjąć decyzję o zmianie uprawnień. Za życia Thierharta nie zebrał się on jednak ani razu i wydawało się, że ów sąd kapturowy odszedł już w niebyt i dołączył do innych martwych instytucji Synodu. Któż po tych indolentnych, zgnuśniałych dziadach spodziewałby się jakiegokolwiek jednomyślnego działania, jakiegokolwiek stanowczości albo nieposłuszeństwa? Jedli Thierhartowi z ręki na własne życzenie i płaszczyli się przed nim przy pełnej aprobacie dla swojej degrengolady, bo najdroższym ze wszystkich skarbów był dla nich święty spokój i, jeśli to możliwe, nieodpowiadanie własną skórą absolutnie za nic. Jak wobec tego Stern ich przekonał, jakich użył argumentów, czym kupił, ewentualnie przestraszył na tyle mocno, że wyrwali się ze swego błogostanu? I po co w ogóle cała ta rozmowa? Po diabła te „ekscelecje” i pozory, że ktoś *de facto* zdetronizowany liczy się jeszcze jako interlokutor?

- A więc to tak...

Momentalnie uszło zeń całe powietrze. Odsunął się na miękkich nogach, mały nagle, stary i zgnieciony jak papierowa kulka, niepotrzebny jak rekwizyt z odegranej do końca sztuki. Szczątki ametystowego kieliszka chrupnęły mu pod stopą, kiedy cofał się pod zimnym wzrokiem swego do wczoraj jeszcze tak lojalnego sekretarza.

– A więc to tak – powtórzył złamanym szeptem. – Od dawna knułeś tę wredną intrygę? No, powiedz, od dawna męczyłeś się z tą farsą, czekając jedynie na dogodny moment, na pretekst, by rzucić mi się do gardła? Numer dwa zapragnął wreszcie rzeczywistej władzy, co, Elja? Poczekaj, jeszcze ci ta władza wyjdzie bokiem.

- Nie uzurpuję sobie niczego...

– Przestań! – Wargi Thierharta zadrzały spazmatycznie. – Oszczędź mi chociaż upokorzenia, nikkzemniku! Czemu od razu nie każesz mnie stąd wywlec, hę? Bawi cię to wszystko? Rozkoszujesz się swoim podłym triumfem? Świnia, wylazła z ciebie zwykła, dwulicowa świnia!

– Pragnę jedynie dobra Kapituły i jeśli tylko Ekscelecja zechciał wreszcie porozmawiać ze mną spokojnie, bez tego teatralnego patosu...

– Won! – ryknął Thierhart na całe gardło. – Ty! Ty...

– No cóż... – Brzegiem dłoni sekretarz starł kropelki śliny, którymi zrosił go komandor, po czym, skłoniwszy się sztywno, wyszedł z gabinetu.

Szambelan odprowadził go spłoszonym wzrokiem.

– A ty czego tu?!

– Przy przyniosłem podwieczorek, wasza dostojność – wykrztusił zmartwiały Menes. – Ale obawiam się, że herbata już wystygła.

* * *

Dla Sterna to było niemal jak amputacja. Thierhart nie stanowił ideału człowieka ani przywódcy – zniewieściał, przeczulony, eskapistyczny – ale przez ostatnie dwadzieścia pięć lat sekretarz zżył się z nim naprawdę głęboko i to, co zrobił – to, co wiedział, że zrobić w zaistniałych okolicznościach musi – nie napawało go ani dumą, ani zadowoleniem. Nie poprawiały mu również nastroju inne myśli, mało być może skromne, trudne jednak do odegnania, tak jak trudno komuś wybierającemu się w podróż przez Atlantyk nie porównywać się z Kolumbem. Marcus Junius Brutus, Olivier Cromwell, Tokugawa Ieyasu, Robespierre, żadnego z nich historiografia nie potraktowała sprawiedliwie. Tyrani, uzurpatorzy, kaci i wichrzyciele – oto, jakimi kazano ich pamiętać następnym pokoleniom.

Czy i mnie czeka ten sam los? – zastanawiał się Stern ponuro.

Czy i ja za kilkadziesiąt lat dołączę w zbiorowej świadomości do grona czarnych charakterów, a moje imię stanie się nowym synonimem zdrady, niepohamowanych ambicji i podłego intryganctwa?

Najprawdopodobniej tak, znając złośliwość dziejów. No i do diabła z tym. Wiedział, co czyni, głęboko wierzył w słuszność swych racji, a nade wszystko nie czuł się zbrukany, literalnie nie wbiwszy przecież Thierhartowi zimnego sztyletu pod żebro. Cokolwiek napiszą o nim przyszli kronikarze, jakkolwiek zafałszują jego wizerunek i wypaczą intencje, Stern nie miał już zamiaru zbacać z raz obranej drogi. Nie będzie też spisywał żadnych wspomnień, w których tłumaczyłby się przed potomnymi ze swoich pobudek czy przekonywał, że władza dla samej władzy nigdy nie była jego pragnieniem, lecz tylko ciężarem, o który zresztą wcale nie prosił.

Niemniej jednak dostał ją. Thierhart, kompletnie nieudolny i narcystyczny bufon, sam zwałił praktycznie całe odium rządów na Sterna. A Stern ze swojej strony sumiennie, dokładnie, po cichu i z urzędniczą beznamiętnością je sprawował. Nie było więc żadnej potrzeby dokonywania pałacowego przewrotu, gdyż realna władza i tak od dawna skupiała się w jego rękach, a na tytułach oraz pustych splendorach zależało mu jak na trzeciej nodze.

Od dwudziestu pięciu lat i tak to on był faktycznie naczelnym administratorem Kapituły, Thierhart zaś tylko pontykiem de iure.

To jednak wciąż oznaczało pewne prerogatywy i instrumenty nacisku, których zwykły sekretarz oficjalnie nigdy nie mógł posiadać, a które dla realizacji jego obecnych zamierzeń były absolutnie niezbędne.

Komandor nie musiał się więc obawiać o swój tytułarny tron, bo Stern potrzebował go na nim bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Czego natomiast nie potrzebował już wcale, to jakichkolwiek samodzielnych decyzji Thierharta. Innymi słowy władza zza kulis, ale tym razem pełna, jak lalkarza nad marionetką. Sztuczka zaś polegała tylko na tym, by wszyscy uwierzyli, że to Ekscelencja od początku do końca jest prawdziwym reżyserem tego spektaklu.

Z Ekscelencją na czele, rzecz jasna.

Cztery do pięciu godzin powinny wystarczyć Thierhartowi, by „dojrzał”. Sekretarz spędził je cierpliwie i produktywnie, przeglądając najświeższe doniesienia z terenu. Na pierwszy rzut oka sytuacja wydawała się skrajnie poważna, jeśli nie beznadziejnie katastrofalna, lecz właśnie to najbardziej w niej Sterna podniecało. Przynajmniej, że kiedy pierwszy raz usłyszał o dramatycznych wydarzeniach na Dole, nawet nim samym owładnęło instynktowne pragnienie ucieczki. Jednakże po pewnym czasie tam, gdzie inni widzieli tylko kataklizmiczne „ostateczne rozwiązanie kwestii ludzkiej”, on w nagłym przebłysku diabolicznego geniuszu ujrzał epokową szansę. Chaos? Oczywiście, że tak. Rozpad cywilizacji, lub raczej tego żałosnego zlepkę tysięcy kultur, z których większość balansowała na granicy przetrwania? Zdecydowanie tak.

Tragedię, nieporównywalną z żadną inną w dziejach? Absolutnie.

Lecz właśnie dla tych wszystkich powodów rozspiewała się dusza w makiawelistycznym Sternie. Bo czyż nie w takich piekielnych tyglach giną, ale też i wykluwają się nowe potęgi? Bądź odradzają się stare, jak feniks.

W ową *fin de la route*, jak to elegancko ujął Thierhart, Stern nie wierzył. Nawet jeśli by rzeczywiście miał się ziścić najczarniejszy scenariusz, nawet gdyby Drzewa popełniły seppuku i w akcie samounicestwienia zniszczyły glob, to przecież nie stanie się to z dnia na dzień, o ile w ogóle do tego dojdzie. Wszak po pierwszej germinacji także myślano, że świat się kończy.

Niemniej zamieszanie z pewnością będzie ogólnoswiatowe.

Trwoga ogarnie zrozpaczone serca, strach odbierze ludziom wolę i rozsądek, a panika skosi więcej istnień niż sam kataklizm. Zewsząd rozlegną się wołania o ratunek, potężny, oszalały z lęku chór głosów z tonącej tratwy i litanie aż do ochrypnięcia o czyjąś pomocną dłoń, wyciągniętą ku nim z wyżyn. I kto im ją poda?

Ostatnim razem uczynili to kaci, w geście pełnym cynizmu i fałszu.

Ci sami, którzy najpierw podpalili świat, żeby później przygarnąć pod swoje „litościwe” skrzydła niedobitki z pożogi. Ojcowie-założyciele, prafundatorzy Kapituły, nihiliści, jak ich nie wiedzieć czemu wówczas nazywano. Tak, coś w tym jest, w tej zadziwiającej

powtarzalności i konsekwencji dziejów, jakby naprawdę istniał jakiś wyższy, samorealizujący się Plan.

Albowiem znów, tak jak wtedy, ocalenie i nadzieję przyniesie ludziom Synod. Nie ten sam, ani taki sam, jak ów zamierzchły, quasi-teokratyczny syndykat, ale jednak. Koło historii zatoczyło pełne trzysta sześćdziesiąt stopni i wróciło do punktu wyjścia.

* * *

Punktualnie o piątej sekretarz odłożył na bok niedoczytane raporty i wrócił do apartamentu Thierharta. Stojący pod drzwiami karabinier oddał mu przepisowy salut, aczkolwiek nie krył znudzenia.

– No, i jak przebiegło ćwiczenie? – Wartownik był również częścią inscenizacji zaaranżowanej przez Sterna. – Rozumiem, że Ekscelencja was nie przekonał do opuszczenia posterunku?

– Szczerze mówiąc, prawie mu się udało. Maglował mnie chyba przez pół godziny, Wasza Dostojność – przyznał młodzieniec.

– W pewnej chwili użył takich argumentów, że aż mi przeszły po plecach ciarki!

– Bardzo dobrze. Jestem z ciebie zadowolony, chłopcze. – Stern poklepał go po ramieniu.
– Opinię do akt wpiszę ci jutro. Otwórz mi, z łaski swojej.

– Wedle rozkazu! – Karabinier stuknął obcasami i spizowe skrzydła drzwi rozjechały się na boki przed Sternem.

Za progiem wzrok sekretarza momentalnie zagubił się w posępnym krajobrazie nagich turni, które otoczyły go ze wszystkich stron, a słuch w płaczącym zawodzeniu wiatru. Thierhart musiał rzeczywiście popaść w iście wisielczy nastrój, bo choć górskie panoramy ukochał najbardziej, to zazwyczaj wybierał te bukolicznie łagodne i rzadko kiedy miał włączony więcej niż jeden wideogobelin. Teraz zaś nawet sufit zamienił sobie na przygnębiająco ołowiany nieboskłon, jedyne zresztą źródło światła w gabinecie.

Sternowi zajęło chwilę oswojenie się z półmrokiem i odszukanie komandora w szarudze wirtualnej ulewy. Ekscelencja tkwił nieruchomo w fotelu jak wyrzucone na brzeg przez sztorm wielorybie truchło, i sekretarz przeżył sekundę zgrozy na myśl, że tej starej, tchórzliwej pierdole udało się wyciąć najbardziej niespodziewany numer z możliwych, to jest że jakimś sposobem pontyks odebrał sobie życie. Ale charakter Thierharta był równie słaby jak jego aktorskie umiejętności i kiedy sztuczna błyskawica przecięła nie mniej sztuczne niebo, dało się widzieć pierś wznoszącą się w nierównym rytmie. Aktywny blask objawił również nieład komandorskich szat, jakby biedaczysko tarzał się jeszcze minuty temu po ziemi, i połyskliwy arkusz fleksygramu, leżący na podłodze tuż obok fotela.

– Widzę, że Ekscelencja przeczytał jednak mój raport – odezwał się Stern, kiedy echo grzmotu przebrzmiało już wśród holograficznych grani.

Thierhart poderwał się i jeszcze szybciej usiadł z powrotem, odwracając głowę.

– Wróciłeś, kanalio! – jęknął patetycznie. – Po co? Żeby dobić mnie ciosem w serce? Albo po prostu zamkniesz mnie tu i poczekaasz, aż szczenę z głodu.

– Miałem nadzieję podjąć naszą niedokończoną rozmowę.

– My już nie mamy ze sobą żadnych wspólnych tematów do rozmowy, absolutnie żadnych!

– No tak... – westchnął sekretarz dramatycznie, z coraz większym trudem zachowując powagę. – Cóż, wobec tego istotnie najwyższa pora położyć temu kres. Po co odwlekać nieuniknione?

To mówiąc, Stern wykonał półobrót w kierunku drzwi.

– Dokąd idziesz?!

– No wszak nie będę Ekscelencji dusił własnymi rękoma. Od tego są podwładni.

– Nie! Czekaj no, Stern, chcesz rozmawiać? Pewnie, oczywiście, że porozmawiamy, och, matko! Tak tylko mi się wymknęło z tym brakiem wspólnych tematów. Przecież mamy ich mnóstwo, zawsze mieliśmy, zawsze! – Thierhart wyskoczył z fotela jak z katapulty.

– To o czym będziemy dyskutować? Dalej, proponuj, zaczynaj, zamieniam się w słuch!

Milcząc, sekretarz uczynił kolejny krok ku wyjściu...

– Elja!!!

...i jeszcze jeden.

– Błagam!

Stern zatrzymał się metr od drzwi, odliczył do dwudziestu i zrobił w tył zwrot, niby to po długiej wewnętrznej walce.

– Ale to jest ostatnia szansa, jaką dam Waszej Ekscelencji. Rozumiemy się?

– Absolutnie, absolutnie!

– Zaczniemy wobec tego od kwestii proceduralnych.

Rozdział 6

Z czternastu poziomów napowietrznego haut-mansion Oerhe-vikk trzy ostatnie były zarezerwowane wyłącznie dla gospodarza i jego gości specjalnych. Zwykle towarzystwo, czyli typowa mieszanina karierowiczów, bon vivantów, szpicli po cywilnemu oraz wszędobylskich bankietowych sępów, zabawiało się na niższych piętrach, głównie w Parku Trzech Westchnień. Atrakcją tegorocznego balu dobroczynnego była Wielka Atonalna Orkiestra Federico Ficci, od której jerychońskich grzmień zapewne zdążyła już ogłuchnąć większość przybyłych. Gospodarz, wyraźnie zde gustowany upiornymi interpretacjami Straussa, Gershwina i Debussy'ego machnął dłonią, i jazgot natychmiast ucichł.

– Jak można czegoś takiego słuchać, nie mówiąc o nazywaniu tej koszmarnej kakofonii muzyką. Pan to pojmuje, kapitanie Halversen?

– Nie zaliczam się do melomanów – odparł tamten dyplomatycznie, rozglądając się wokół.

Werandę, na którą zaprosił go minister Rothe, urządzono w stylu amersin, ewidentnie bez oglądania się na koszty. Wzdłuż kunsztownie rzeźbionej balustrady z czarnego aloesowca stały donice wypełnione najprawdziwszą torfową glebą i obsadzone miniaturowymi krzewami etruskii. Ich bioluminescencja stanowiła jedyne źródło światła, a leniwe tykanie starożytnego chronometru jedyne dźwięk teraz, kiedy wyciszacze odcięły wszystkie odgłosy z zewnątrz. Luksus, acz nienachalnie i z dużym poczuciem smaku, był zaakcentowany w każdym detalu, także i w tym, co gospodarz zaprezentował na stole.

– Brandy? – spytał, odkorkowując diamentową karafkę.

– Nie odmówię, panie ministrze. – Halversen podsunął kieliszek. – Tutejsza?

– Kapitan raczy żartować. – Pan domu uśmiechnął się powściągliwie.

Miał twarz drapiezną i władcą, przywodzącą na myśl księżycowe urwiska albo niektóre ustępy z *Fausta*. Zapewne przed bioformowaniem Rothe wyglądał zgoła inaczej, jednak moda na mefistofelesowe fizjonomie jego akurat nie zeszpeciła. Przeciwnie, wąskie, wykrzywione w cynicznym półuśmiechu wargi oraz krogulczy nos doskonale podkreślały diaboliczny charakter tego człowieka.

– A skąd pochodzi? Nie, proszę zaczekać, sam zgadnę. – Kapitan podniósł kieliszek do ust i rozproszając porcję trunku na języku niczym zawodowy kiper. – Hm, powiedziałbym, że Erythrea Fossae, ewentualnie Xanthe. Tak, Xanthe, bez wątpienia.

– Brawo, jest pan znawcą! *À propos*, cygara też są marsjańskie. No, dalej, niechże się pan częstuje.

– Skoro pan nalega... – Jack Halversen kiedyś próbował tego paskudztwa, odmówić jednak byłoby poważnym *faux pas*. Czego się nie robi w imię wyższych celów. – Podobno w tamtejszych warunkach tytoń niesamowicie wyrasta i ma tak wielkie liście, że z jednego można wyprodukować nawet do kilkuset sztuk.

– Też tak słyszałem – potwierdził Rothe. – Notabene, od swoich własnych plantatorów, których nigdy nie widziałem i nie wiem, czy kiedykolwiek się to stanie – dodał z nutką niekłamanożalu. – No i jak, smakuje panu brandy?

– Wyśmienita!

– Moja ulubiona marka. Szkopuł w tym, że to wyjątkowo drogi specjał, zgodzi się pan ze mną?

Halversen skinął głową.

– I trzeba mieć czym za niego płacić.

– Rozumie się samo przez się. – Kapitan nie przepadał za takimi pokrętnymi pogawędkami. Wolał szybko przechodzić do rzeczy, ale cóż, nie on dyktował tu tempo. – Jednakże w pańskim przypadku nie stanowi to chyba problemu.

Minister upił powoli łyk trunku i przez chwilę nic nie mówił, zapatrzony w przestwór nad głową. Światła pozycyjne innych napowietrznych platform, stroboskopowe błyski pomniejszych wehikułów, konstelacje stacjonarnych osiedli i w końcu fosforyczne mżenie strukturalnych elementów samego habitorium tworzyły wspólnie to jedyne w swoim rodzaju „niebo” dla kilkuset milionów ludzi.

– Świat się zmienia, i to gwałtownie – rzekł, powróciwszy ze wzrokowych peregrynacji po wyżynach. – Dorosło nam nowe pokolenie, niecierpliwe, radykalne, bezkompromisowe, co w moim słowniku oznacza po prostu: głupie. Kiedyś na pewno zmańdrzeją i nabiorą dystansu, przedtem jednak zdążą wyrządzić wiele nieodwracalnych szkód, pozbawiając mnie przy okazji możliwości korzystania z tych wszystkich dobrodziejstw ludzkiego geniuszu.

Halversen starał się słuchać z uwagą. Wstęp do targu zapowiadał się na rozwlekły.

– Co jest podstawą ekonomii Apeksu? – kontynuował minister, jakby przemawiał nie do jednej osoby, ale do całej Agory. – Handel. A czym? Nawet nie nowoczesną technologią, gdyż na tym polu Zewnętrznie dogania nas aż nazbyt wielkimi krokami. Elementy – to są czerwone ciała naszego gospodarczego krwiobiegu! Lecz te półgłówki, ci idealistyczni i kompletnie oderwani od realiów probiotyci najwyraźniej mają to za nic. Tydzień temu przeforsowali pięcioletni zakaz eksportu naszego głównego towaru i jestem przekonany, że na tym się nie skończy. Pod obrady wchodzi już ich dwie kolejne propozycje: o przedłużeniu

tego zakazu na czas nieokreślony oraz o zmianie kwalifikacji celnej elementów z A2+, czyli dozwolone do generalnego eksportu po selektywnej atestacji, na C3+, to jest artykuł objęty klauzulą ścisłego wykluczenia. Ani się człowiek spostrzeże, kiedy za przewóz paru elementów z alweoli do alweoli zaczną karać auslabem. Niech pan tak na mnie nie patrzy, po tych radykałach człowiek może się spodziewać wszystkiego!

Jack Halversen miał swoje powody, by w to wątpić, ale rozsądnie milczał.

– Nie wspominając o tym, że ta ich polityka „czystości biomu” błyskawicznie doprowadzi do gospodarczej katastrofy – ciągnął Rothe z pozornie głębokim zatroskaniem w głosie. – Jakby zapomnieli, że są jeszcze inne Drzewa, z którymi można prowadzić handel. I tam też po prostu przeniesie się cała wymiana.

Gospodarz zawiesił głos i spojrzał na kapitana wyczekująco.

– Pan zaś sporo na tym straci. – Halversen wyczuł, że ma przejąć od niego pałeczkę. – Czy mogę jakoś pomóc?

– Owszem. – Minister uśmiechnął się chytrze. – Jak łatwo się domyślić, moja pozycja jest raczej delikatna. Nowe władze uznały, że wciąż jeszcze mogę się im do czegoś przydać, i zapewne dlatego pozostawiono mnie w składzie Dodekahedrii, zarazem jednak perfidnie dając mi tekę ministra transportu i wymiany wielostronnej.

Nie pałam miłością do tych pajaców i ani trochę nie podoba mi się ten ich ultrakonserwatywny kurs, ale też nie zamierzam rezygnować z powierzonego mi stanowiska. – „Cóż za odpowiedzialny mąż stanu”, prychnął w myślach Halversen. – Z dotychczasowego stylu życia również nie, i tu zaczyna się kłopot. Bo to, co do niedawna mogłem robić bez większych problemów i całkowicie lege artis, stanie się z dnia na dzień przestępstwem. Ja wiem, że za jakiś czas rewolucyjny zapal probiotystów przygaśnie i sprawy znów powskakują w stare koleiny, lecz na razie zbyt wielu patrzy mi na ręce i mocno ogranicza moją swobodę ruchów. W tej sytuacji pozostaje mi tylko pan, kapitanie.

– A dlaczego właśnie ja? – Z wyćwiczoną nonszalancją Halversen podniósł kieliszek pod światło i zabełtał trunkiem. Kombinacja barwy płynu w szkle i turkusowej poświaty roślin dawała wypadkową koloru dobrze natlenionej krwi.

– Bo ma pan najlepsze referencje. – Minister wyjął z kieszeni surduta elegancką kopertę i położył ją obok karafki. – Życzyłbym sobie choćby jednego z podobną cenzurką wśród naszych polityków: rzetelny, terminowy, dyskretny, uczciwy. Aż trudno uwierzyć, że wedle nomenklatury prawnej Apex Nos jest pan pospolitym rzezimieszkiem.

„Niepospolici zaś sączą pięciogwiazdkową brandy oraz pałą marsjańskie cygara”, dorzucił Jack w duchu. Spokojnie mógłby wypowiedzieć tę myśl na głos; jego rozmówca był na wskroś przeżarty cynizmem i tak dalece pozbawiony złudzeń co do samego siebie, że nawet by mu nie drgnęła powieka.

– Tacy, jak widać, też są społeczeństwu potrzebni – zauważył cierpko kapitan.

– Od czasu do czasu. – Wciąż uśmiechając się z fałszywą dobroduszością, gospodarz przesunął kopertę w stronę Halversena.

– I nie wszyscy. Ludzie o pańskich walorach trafiają się rzadko. Drogo też się cenią, może nawet odrobinę za drogo.

– Standardowa stawka plus dziesięć procent wartości ładunku, płatne dopiero po wykonaniu zadania i bez zaliczki nie wydaje mi się ceną zbyt wyśrubowaną – odparował Halversen. Było jasne, że rozmowa przechodzi nareszcie do konkretów. – Jak sam pan raczył zauważyć, mam w tej branży ustaloną renomę.

– Która kosztuje, oczywiście – dokończył pojednawczo gospodarz. – Nie zamierzałem kontestować wysokości pańskiego honorarium. Przeciwnie, chcę zaproponować znacznie więcej. Jednakże pod kilkoma warunkami.

– Ile? – Więcej? Czyli ile? Rany Drzewa, jeśli ten nadęty waśniak powie piętnaście...

– Dwadzieścia pięć procent za pierwszy kurs i trzydzieści za każdy następny, jeśli faktycznie potwierdzi się wszystko to, co o panu mówią. Dodam, że będzie to dwadzieścia pięć procent od całkiem sporej sumy. Dodam również, że u mnie – zaakcentował minister – zaliczka jest możliwa. Niewysoka, do jednej dziesiątej pierwszych zysków, ale za to bezzwrotna. Nawet gdyby nie udało się panu wywiązać z umowy. Bo naprawdę chciałbym, żebyśmy sobie nawzajem ufali, kapitanie.

Tylko dzięki długoletniej rutynie Halversen zachował pokerową twarz i nie rozlał sobie alkoholu na spodnie. Trzydzieści procent, jasny rozziw! Cztery, pięć takich rund przy umiarkowanie wypełnionej ładowni i mógłby nareszcie wycofać się z branży!

Z tymi dziesięcioma od stu to była pianka, którą standardowo pchał w oczy potencjalnych klientów, z nadzieją że nikt prócz załogi nie wie o jego ostatnich kursach zrobionych w zasadzie za darmo. Czasy istotnie zrobiły się ciężkie, konkurencja, spadek popytu, embarga. Dziw, że jeszcze w ogóle wychodził na swoje. Trzydzieści procent! Za taki udział przewiózłby nawet żywego skorpionszczeta w tyłku! Ale to już nie była zwykła transakcja, lecz zaproszenie do spółki. Czego ten zblazowany staruch tak naprawdę od niego chce?

– Hm, kuszące – odparł niby to po dłuższej chwili głębokiego namysłu. – A jakie miałyby być te warunki?

– Po pierwsze, kontrakt na wyłączność. – Gospodarz przypalił cygaro i puścił kłęb dymu w powietrze. – Pracuje pan tylko dla mnie. Termin półroczny z opcją prolongaty, ale bez możliwości wycofania się przed upływem tego czasu. Po drugie, żadnych pytań. Ja przygotowuję towar, pan go bierze i dostarcza tam, gdzie zażądam. Płatność przy odbiorze. Nie interesuje pana, co to jest, nie zagłada pan do środka...

– Chwileczkę, ale takie rzeczy muszę wiedzieć – przerwał mu stanowczo Halversen. – Przynajmniej ja. Po drodze może się zdarzyć wszystko i nie wezmę na siebie odpowiedzialności bez...

– Taki jest mój drugi warunek. – Ton gospodarza wykluczał dyskusję. – Po trzecie zaś, zniknie pan bez śladu po zakończeniu kontraktu.

– Jak mam to rozumieć?

– Najzupełniej dosłownie. Pod koniec naszej współpracy będzie pan, o ile wszystko pójdzie dobrze, bogatym człowiekiem. Będzie się pan mógł osiedlić gdzie zechce i przez resztę swoich dni wieść słodkie życie emerytowanego biznesmena. Wszędzie, oczywiście, poza Wierzchołkiem. Jeszcze lepiej w ogóle poza Ziemią. Zdaję sobie sprawę, że jest to decyzja, która wymaga namysłu, dlatego proszę mi nie odpowiadać pochopnie.

– A jeśli... – Halversen przez chwilę obracał pusty kieliszek w palcach, po czym, nie pytając o pozwolenie, chwycił karafkę i nalał sobie do pełna. – A jeśli po tym pół roku nie będę się już chciał wspólnie z panem bawić, to co?

– To jest pan wolny.

– Ale w trakcie nie mogę się wycofać?

– Już to powiedziałem, nie przewiduję takiej możliwości.

– Czyli że podpisałbym nie kontrakt, lecz cyrograf.

– W moim świecie to synonimy. – Cynizm tego człowieka był zdumiewający.

– W moim natomiast nie, i dlatego chcę wiedzieć konkretnie, za ile miałbym zaprzedać się diabłu. – Kapitan wstał, zrobił kilka kroków i wrócił na miejsce. Czuł, jak drżą mu kolana. – Bo trzydzieści procent brzmi słodko, ale wyjaśnia niewiele.

– Średnio na każdym kursie powinien pan zarobić od jednego do półtora miliona w ekwiwalentach uniwersalnych. Czy jest to suma odpowiadająca pańskim oczekiwaniom?

To była suma przekraczająca najśmielsze oczekiwania! W jednej chwili przestało Halversena interesować, co kombinuje ten stary przechera i jaką nieprawdopodobną kontrabandę przyjdzie mu wozić w ładowniach. Do licha, przecież nie może to być nic bardziej trefnego od zdegenerowanej materii czy nanołusek. A jeśli pierwszy kurs pójdzie mu gładko i rzeczywiście dostanie te dwadzieścia pięć na sto, to dokupi sobie holowaną barkę z opłaszaniem i...

– Ujdzie. – Odchrząknął, żeby ulżyć ściśniętej emocją krtani. – Kontrakt jest w środku?

– Ze wszystkimi niezbędnymi detalami, plus instrukcje dotyczące kontaktowania się z moim pełnomocnikiem. – Minister strzepnął popiół. – Mnie widział pan dzisiaj pierwszy i ostatni raz w życiu, czy to jasne?

– Najzupełniej. – Halversen otworzył kopertę i wyjął z niej złożony we troje fleksiprint.

Coś sfrunęło na stół jak płatek śniegu, kiedy rozprostowywał dokument. Biopłaster. Przezroczysty skrawek rozmiarów paznokcia, który przyklejało się na szyi. Chemiczny zapis wędrował z niego bezpośrednio do pamięci długoterminowej, a sam plaster wchłaniał się bez śladu po kilku minutach. Lepsze od mikrowszczepów, bezpieczniejsze od komplantów, których transmisje zawsze można w ten czy inny sposób przechwycić, i niekiedy nawet całkiem przyjemne. Ewentualnie zbyt przyjemne, jeśli plaster nasycono dodatkowo

specjalnym koktajlem neuroprzebiegów. Ot, żeby biorca stał się na przykład bardziej posłuszny lub euforycznie nastawiony do misji, której bez takiej zachęty żaden zdrowy na umyśle człowiek by nie wykonał.

Taki mały skraweczek... Kiedyś były pergaminy, gęsie pióra i krew toczona z opuszka serdecznego palca, a teraz? Nawet piekło idzie z duchem czasu.

– Jeśli są tu jakieś świństwa ekstra... – Halversen uniósł plaster do oka.

– Żadnych, zapewniam. Tylko instrukcje i paragrafy. – Rothe odłożył cygaro do kryształowej popielniczki. – Lojalność zapewniam sobie innymi, bardziej tradycyjnymi metodami. Niech pan przeczyta.

Halversen podświetlił fleksiprint i zaczął czytać. Kiedy skończył, drżały mu już nie tylko kolana.

– Jak to, wszystko?! Wszystko mam panu oddać? Statek, udziały, kody do repozytoriów?

– Nie oddać, lecz tymczasowo scedować prawa własności. – Minister splótł dłonie na piersiach. – W ramach zabezpieczenia. No więc jak, kapitanie, zgadza się pan?

Ostatni moment, by się z tego wycofać, potem już nie będzie odwrotu.

– Tak. – Halversen westchnął ciężko. – Zgadzam się.

– Wobec tego – blat wyrzucił się przed kapitanem i jęzor czytelnika rozbłysnął zapraszająco – proszę o autoryzowanie naszego kontraktu.

– Czy to już wszystko? – Jack popatrzył na swoją rękę, jakby i ta nie należała już do niego.

– W zasadzie wszystko – odparł gospodarz, również wstając od stołu. – Ale niech pan jeszcze na chwilę zostanie, bo interesuje mnie pańska opinia na pewien temat. Ja mam swoje źródła informacji, pan zaś obraca się w diametralnie odmiennych kręgach i ma nieco inną perspektywę. Czy to, co się stało dzisiaj... Co to właściwie było?

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi. – Halversen chciał już stąd jak najszybciej odejść. – Dzisiaj miało miejsce kilka dziwnych wypadków, na przykład mój drugi oficer zatrzasnął się na pół dnia w toalecie.

– Niesamowita sprawa. – Minister wykrzywił kąciaki ust. – Przecież wie pan doskonale, o czym. Ejekcja, sekrecja, czy jak to się nazywa, naukowa terminologia to dla mnie jeden bełkot. W raporcie Komisji ds. Monitoringu Cis-Trans umieszczono tylko parę linijek suchego tekstu o nadzwyczajnej aktywności substruktur linearnych, wielokrotnej ekspulsji – a, to właśnie było to idiotyczne słowo – materiału, o jakichś tam radiantach, gradientach, et cetera. W tłumaczeniu na ludzki język znaczy to dla mnie tyle, że Drzewo obsypało czymś Ziemię i że w całej historii nie było jeszcze takiego przypadku. Paru ludzi wpadło w panikę, ale bardziej chyba na skutek braku wiedzy o tym zjawisku niż z powodu jakiegoś realnie grożącego nam niebezpieczeństwa. Co pan o tym sądzi?

– Nic nie sądzę. – Halversen wzruszył ramionami. – Mam dość innych problemów na głowie.

- Ale na pewno pan to widział.
- Przykro mi.
- Jak to?
- Odsypiałem ciężką wachtę. – Halversen zatrzymał się w pół kroku. – Aczkolwiek zjawisko było ponoć rzeczywiście spektakularne. Zwłaszcza po nocnej stronie terminatora.
- Chwileczkę, to się stało w dzień.
- Nie, o zmierzchu.
- O zmierzchu? Ale przecież raport... mniejsza z tym, niech pan kontynuuje.
- Tylko o czym tu mówić? – Kapitan wzruszył ramionami.
- No...
- Po prostu, bluznęło sobie czymś, kropka.
- No i co dalej?
- Nic, bluznęło i cisza – zirytował się Halversen.
- Cisza przed burzą...
- Słucham?
- Ach nie, ja tak tylko do siebie. – Po raz pierwszy gospodarz uśmiechnął się niemal sympatycznie. – No cóż, chyba nie będę pana dłużej zatrzymywał. Mój osobisty pilot czeka na górze.
- Dziękuję, wezwę taksówkę.
- Pan raczy żartować. – Minister zaśmiał się z autentycznym rozbawieniem. – Ale to dobrze, bez poczucia humoru życie byłoby momentami nie do zniesienia. Trafi pan na lądowisko sam?
- Trafię.
- Wobec tego żegnam, panie kapitanie. Wierzę, że nasza współpraca będzie udana. Ach, i proszę jeszcze wziąć to.
- Nie, dziękuję. – Halversen miał już dosyć na dzisiaj ministra Rothe, jego naskórkowo poprawnych manier i jego cygar, których całe pudło gospodarz próbował mu wetknąć do ręki.
- Szczerze mówiąc, nie gustuję w tym świństwie.
- Wiem, ale mimo wszystko niech pan weźmie. Przydadzą się jako upominki.

Rozdział 7

Nim w końcu wystartowali, Ziemia zdążyła obrócić się plecami do Słońca i Drzewo pogrążyło się w jej cieniu; taki sam cień rzuciło wcześniej na duszę Farquaharta. Jedyne Wierzchołek, który wyglądał stąd jak kupka luźno posklejanych złotych paciorków, płonął na podobieństwo starożytnej latarni morskiej. Cała reszta stała się niesamowitą, widmowo fosforyzującą sylwetą na czarnym tle kosmosu.

Thomas nie chciał na to patrzeć, nie chciał nawet wspominać wstrząsu, jakiego doznał, gdy spoglądał po raz pierwszy na megastrukturę w całym jej ogromie i glorii najwspanialszego dzieła ludzkiego geniuszu. Bo teraz widział już tylko Lewiatana, rozdeptującego kulę ziemską niczym zgniły owoc. Zacisnąwszy powieki, odwrócił się z gniewem, podczas gdy koga mknęła coraz wyżej i wyżej, zygzakując chaotycznie. Być może Remmuerish prowadził ją takim kursem ze strachu przed kolejną lawiną domniemanych zarodków? Deus, jakby jedna nie wystarczyła aż nadto!

Przezroczyta kopała statku emanowała ciepłem, a mimo to Farquahart miał wrażenie, że opiera się o lodowatą taflę, o kruchą szybkę, która oddzielała go od śmiertelnego i ostatecznego mrozu, od gigaparseków pustki i eonów obojętności, nieokraszonych żadną sztuką ani filozofią, żadnym cierpieniem ani szczęściem i żadnym pięknem. Jakiż bowiem jest pożytek z piękna w wyludnionym wszechświecie?

Niczego nie zmienili, niczemu nie zapobiegli, choć przecież tyle było na to czasu. Pieprzeni bohaterowie za pięć gloss, którzy chcieli ratować świat, a nie potrafili dać sobie rady z własnymi problemami. Obsesjonat Kreuff z grubo przereklamowanym, jak się okazało, darem przekonywania; Gerhard, krótkowzroczny i rozcieńczony w morzu ludzkich podłości; i w końcu on sam, Thomas Farquahart, który pozwolił, by ostatnie trzy miesiące przeciekły mu między palcami.

A może tak naprawdę nikt tu nie jest winny. Albo przeciwnie, winni byli wszyscy bez wyjątku, od zarania dziejów powoli, lecz systematycznie zatruwając świat swym zbiorowym kabotyństwem, niczym drobnymi porcjami arszeniku dosypywanymi z pokolenia na pokolenie. Nawet wielki Hansen mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce, jako że w gruncie rzeczy i on, pomimo całego swego intelektu i wiedzy, wyszedł na durnia. Jakąż wspaniałą przestrogą byłby jego tragiczny żywot dla przyszłych pokoleń, gdyby jakiegokolwiek przyszłe

pokolenie miało się jeszcze narodzić. Thomas nie wierzył już niczym słowom, tym wypowiedzianym niegdyś przez Noela o jednej trzeciej ludzkości żyjącej hen, poza Ziemią, także nie. Wszelki optymizm wydawał się teraz skrajną naiwnością, wszelkie drogi ucieczki z matni czczymi mrzonkami zdesperowanych dusz. A jeśli nawet kilka ocaleje, to chyba tylko po to, by oplakiwać tych, którzy przez ucho igielne nie przeszli.

– *Terminus est...*

– Słucham? – Remmuerish zerknął nań znad przyrządów.

– *Terminus*, koniec – odparł zziębnięty Farquahart.

– Czego koniec?

– Wszystkiego.

– Nie przesadzaj. – Hannibale podszedł do chłopaka. – Na razie nic strasznego jeszcze się nie stało i nie wiadomo, czy w ogóle się stanie.

– Jak to nic?! – wykrzyknął Thomas. – Widziałeś coś innego niż ja? I nie słyszałeś, co powiedział Hansen? Że bez względu na mutacje algorytmów cykl rozwojowy megastruktur jest zamkniętą pętlą i że po rozsiewie obumrą?!

– Skądże, niczego takiego nie mówił – zaprzeczył zdziwiony Remmuerish.

– Oczywiście, że mówił!

– No cóż, ja zapamiętałem jego słowa trochę inaczej. – W rzeczy samej Hannibale mógł powtórzyć cały dialog Kreuffa z Hansenem verbatim, od pierwszej do ostatniej głoski. Tylko po co? Małostkowym udowadnianiem racji raczej nie pomoże Farquahartowi.

Chłopak najwyraźniej bardzo się ostatnimi wydarzeniami przejął i w jego obecnym stanie ducha nadinterpretowanie faktów, przeinaczanie wypowiedzi i wyolbrzymianie niebezpieczeństw było dla Remmuerisha najzupełniej zrozumiałe. – A widziałem jedynie potężną, elektromagnetyczną wyrzutnię, plującą w niebo elipsoidalnymi pociskami.

– Nie pociskami, zarodkami!

– Dobrze, niech ci będzie, że to zarodki, nie chcę się sprzeczać.

– Remmuerish uniósł ręce w pojednawczym geście. – Ale nawet jeśli, to czy oznacza to zaraz Armagedon?

– Deus, a cóż innego?! – Farquahart wcisnął zlodowaciałe dłonie pod pachy, jednak nie zrobiło mu się od tego ani odrobinę cieplej.

– Ty wiesz to tak samo dobrze, jak ja, bo to właśnie twoje przeklęte archiwum noszę od paru miesięcy pod czerepem. I poniekąd dzięki tobie przeżyłem szok, oglądając, jak zaledwie siedem megastruktur zdmuchnęło poprzednią cywilizację niczym płomień świecy. Co zatem stanie się teraz, kiedy takich samych potworów wykielkuje na całej planecie kilkaset, a może nawet kilka tysięcy, ha? Obydwoj patrzyliśmy na gigantyczne miasta, niwelowane rozrastającymi się korzeniami do gruntu w ciągu jednej nocy, na całe łańcuchy górskie, poprzestawiane niczym klocki, na arktyczną czapę lodową, która rosła niemalże w oczach, i jałowe pustynie w miejscu niegdyśszych dżungli, gdy te spragnione budulca monstra

ogałacały atmosferę z dwutlenku węgla. Przypomnij sobie to wszystko i pomnóż przez sto, a przestaniesz mieć jakiegokolwiek wątpliwości!

– Już to zrobiłem i między innymi dlatego uważam twoje czarnowidztwo za nieuzasadnione – odparł ze spokojem Remmuerish. –

Założmy, zgoła konserwatywnie, że wykiełkowało jedynie dziesięć procent owych zarodków. Skalkulowałem rzecz z grubsza i wyszło mi około pięćdziesięciu tysięcy.

Thomas zaniemówił.

– Pięćdziesiąt tysięcy nowych megastruktur – kontynuował rzeczowym tonem inżynier – a każda o masie rzędu dziesięć do siedemnastej standardowych ton, zakładając, że te nowe będą podobne gabarytami do starych. Co daje w sumie dziesięciokrotnie więcej niż całkowita masa Ziemi. Fizyczna niemożliwość.

– No to wszędzie ich tylko jeden procent, albo drugie pokolenie będzie znacznie mniejsze od rodziców, jakaż z tego pociecha? – wycedził Farquahart, szcękając zębami; potworne zimno przeniknęło go już na wskroś. – Tak czy siak, to koniec. Przeklęta Bjorg dopięła swego, niech ją wszelka zaraza!

– Czy ja wiem...

– Deus, Hannibale!

– No bo jeśli zamierza zgładzić wszystkich ludzi w ten sposób, to moim zdaniem nie przemyślała sprawy jak należy. – Remmuerish skrzywił się sceptycznie. – Plany nihilistów zawiodły nawet wówczas, za pierwszym razem, kiedy Drzewa wzięły ludzkość przez zaskoczenie. A od tamtej pory minęły wieki. Homo sapiens przetrwał, dostosował się do życia w megastrukturach z typową dla siebie elastycznością i dzisiaj kilka czy kilkaset nowych Drzew to raczej dobrodziejstwo niż kara boska. Właściwie, kiedy się nad tym zastanowić, to rzecz wygląda dokładnie tak, jakby ktoś chciał nam zrobić prezent w postaci dodatkowego metrażu. W starych Drzewach zaczyna powoli brakować miejsca, więc posadźmy nowe. Hm, nie dostrzegam w tym strategii eksterminacyjnej, wręcz przeciwnie.

– No to spójrz na to z innej strony. – Farquahart zaczął chodzić wte i wewte, żeby choć trochę rozgrzać kostniejące członki. – Jeżeli Hansen miał rację i Drzewa-matki padną wkrótce po wydaniu nasion, miliony ludzi egzystujących w ich wnętrzach czeka zagłada. Ci natomiast, którzy pozostali na Dole, zginą w wyniku rozrostu nowych siewek. I tym razem ani jedni, ani drudzy nie będą mieli dokąd uciec.

– Jeżeli Hansen miał rację. – Remmuerish uśmiechnął się ciut rozbawiony tym, jak formalnie poprawne wnioski Farquahart wywiódł ze swych zmyśleń. – A wyglądał mi raczej na człowieka spekulującego w kwestiach zupełnie mu obcych.

– Jakich obcych, na rany Ziemi, jakich obcych?! – Farquahart aż się zatrząsł, bynajmniej nie z zimna. – Mówisz o kimś, kto stworzył te draństwo od zera! Wiesz, co myślę? Że boisz się chyba nawet bardziej ode mnie i dlatego nie chcesz zaakceptować faktów. To się naprawdę stało, a my lecimy do Wierzchołka, którego godziny są także policzone.

– Nie wierzę, Tom – odparł z mocą Hannibale. – Choćby również z powodu owego tajemniczego imperatywu ochrony życia, którego istnienie Hansen z takim uporem podkreślał. Z tego, co zrozumiałem, miałby to być jakiś nakaz o niemal moralnym wymiarze, jakiś instynkt albo popęd wpisany w genetyczne programy Drzew na najgłębszym poziomie, niezmienny, nieusuwalny i decydujący o... Tom? Graw, co się dzieje?

Farquahart, zsiniały i trzęsący się już na całym ciele, popatrzył nań żałośnie.

– N-nie wiem, zi-zimno mi – wyszeptał, omal nie odgryzając sobie języka. – Deus, czemu mi tak potworn-nie zim-mno? W-w-włą-czyłeś coś?

– Skądże! – Zaniepokojony Remmuerish przemknął wzrokiem po konsoli. A gdy Beatrice ujęła Thomasa za rękę, ten wyszarpnął ją gwałtownie.

– Matko wszechzieleni! – syknął Farquahart, masując przegub.

– Oparzyłaś mnie!

– Nie, to ty jesteś gorący jak promiennik. – Dziewczyna wymieniła pytające spojrzenie z Hannibale.

– Może złapał jakieś paskudztwo od tych małpoludów w śmietniku? – Remmuerish ruszył do schowka z instrumentarium medycznym i zatrzymał się, tknięty drugą myślą: albo od Kevina...

– Błagam, dolećmy wreszcie do tego przekłętego Apeksu! – Bea wzniosła oczy ku złocistym gronom Wierzchołka, wciąż odległym, zdawałoby się, o miliony mil. – A ty byś lepiej usiadł, co?

– Muszę s-się r-r-r-rozgrzać.

– Drepcząc w kółko? Nic ci to nie da – rzekła, lecz Thomas tylko przyspieszył kroku. – Nie w przypadku zimnicy.

– W przypadku czego? – Remmuerish nigdy o czymś takim nie słyszał.

– Zimnicy. – Jeszcze trzy miesiące temu Beatrice także nie znała takiego słowa. – W Cytadeli chorowała na nią jedna na pięć osób. Ja przez większość czasu tkwiłam w czterech ścianach, ale ten ciągle gdzieś łąził i spotykał się diabli wiedzą z kim. No i masz.

– Jesteś pewna?

– Nie, nie jestem, i dlatego jak najprędzej chciałabym dotrzeć do cywilizowanego świata z profesjonalną opieką medyczną.

– Znam kogoś, kto by mu na pewno pomógł. – Remmuerish wrócił do konsoli.

– Dzięki, w pierwszym lepszym portowym ambulatorium go wyleczą.

– Człowiek, o którym myślę, to prawdziwy fachowiec, a nie żaden kiepsko opłacany i bezduszny praktykant.

– Aha, i pewnie za swoje usługi bierze równie prawdziwe pieniądze.

– Jeżeli jajka, chleb i od czasu do czasu flaszkę śliwkowego samogonu nazwiemy pieniędzmi, to owszem – odparł z ironią Hannibale. – Ale nas powinien przyjąć za darmo.

– Naprawdę? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Zaufaj mi.

Beatrice popatrzyła na rozdygotanego i zsiniałego Thomasa.

– Dobrze, bylebyśmy jak najprędzej do niego dotarli. Graw, to chyba jednak coś poważniejszego... W którym z habitoriów mieszka ten twój fachowiec?

– W New Cheshire.

– No nie, bez żartów! – Skrzywiła się. – Przecież w tej zabitej dechami.. przepraszam, Tom.. nie mają nawet porządnego znachora.

– Ostatnio trochę się to zmieniło.

– Ż-ż-dnch l-l-lek-krzy! – zaprotestował Farquahart niewyraźnie, bo zęby grzechotały mu już jak pasterska kołatka. – J-ja tylko z-z-zmarzłem.

– Jasne! – parsknęła dziewczyna i odwróciła się do inżyniera:

– Tak mówisz? W porządku, niech ci będzie. Lećmy do tego New Cheshire.

* * *

Niestety, zamiast doktora przywitała ich tylko kartka na drzwiach, z informacją, że ten wróci około dziewiątej. W pierwszym odruchu Remmuerish chciał pójść go szukać, ale do dziewiątej zostało raptem niecałe pół godziny, Livansky zaś mógł być wszędzie, choćby odbierać poród gdzieś na drugim końcu miasta.

No i jeszcze ten cholerny balast w osobie imć Kutsheby. Eks-kompanion Projektanta był jak smolisty brud, który, raz przykleiwszy się do palców, nie daje się z nich usunąć. Czemu nie zostawili go na Dole? Z litości? Dla tego osobnika Hannibale jakoś jej w sobie nie znajdował i nie ufał mu za grosz. I szczerze mówiąc, gdyby nie wstawiennictwo Hansena, drab usychałby teraz gdzieś w saharajskich piaskach. Kamień u szyi, który trzeba było za sobą wlec, bo w rachubę nie wchodziło ani puszczenie Dragana wolno, ani tym bardziej zamknięcie go na statku.

– Najprawdopodobniej wezwały go obowiązki – powiedział Hannibale i jednocześnie kategorycznym gestem wskazał Kutshebie ławkę. Niedoszły porywacz natychmiast usiadł bez szemrania, potulny i od paru godzin zawzięcie milczący, chociaż jeszcze nie tak dawno gęba prawie mu się nie zamykała. – Trudno, musimy poczekać.

– To sobie czekaj. – Thomas przeniósł wzrok z przepięknie odnowionej willi na Remmuerisha. Ciekawe, czy ów znajomy doktor jest świadom, że mieszka w budynku, w którym niegdyś znajdowała się wyjątkowo podła spelunka z lupanarem o nazwie „Karczma Sienna”? – Ja w każdym razie idę.

– Dokąd?

– Odszukać niejakiego Trancourta.

– Chyba nie w takim stanie?

– W jakim stanie, do ciężkiej zarazy? Dajcie już spokój, przecież nic mi nie jest! – zaprotestował ze złością Farquahart, czym nawet u ostentacyjnie zubożniałego Dragana wywołał uśmiezek. I bez fachowej diagnozy było widać, że chłopak jest tak samo zdrowy, jak niebo było zielone. – Ten chłód to tylko wytwór mojej imaginacji lub co najwyżej jakiś psychosomatyczny refleks.

– Nic? – Bea zagroziła mu drogę. – Szkoda, że nie mamy tu żadnego lustra, bobym ci pokazała, co według ciebie znaczy „nic”.

Blady jak prześcieradło, ledwo trzymasz się na nogach i jesteś tak rozgrzany, że lada moment strzelisz płomieniem. Nigdzie nie będziesz chodził, wybij to sobie z głowy!

– Ale...

– Tylko bez „ale”.

– Do licha, dziewczyno, przecież ktoś musi im o tym wszystkim powiedzieć, ostrzec ich!

– Na pewno nie ty i na pewno nie teraz. Tom, stój!

Farquahart wyminął ją i ruszył pędem w dół uliczki. Biegł niezbornie, tnąc drewniany bruk pijackimi zakosami, po czym ni z tego, ni z owego uderzył skronią w latarnię, aż zadźwięczał smukły, wręgometalowy pylon.

– Jasny rozżew! – Beatrice już się nad nim pochylała. – No i co ty wyprawiasz?!

– Zobaczyłem... – Thomas wyslizgnął się bezwładnie z jej ramion na krawężnik, tocząc oczyma wokół siebie. – Zobaczyłem skręt w żwirową alejkę, która prowadzi do pawilonów.

– Jakich znowu pawilonów, u diabła?

– Nie wiem. – Chciał wstać, podciągnąć się na słupie latarni, ale ręce nie mogły na niego trafić, bo szukały go nie tam, gdzie był w rzeczywistości. – Miasto tak się zmieniło...

– Tutaj nie ma żadnych pawilonów, Thomas, jedynie strome urwisko.

– Oczywiście, że urwisko. – Farquahart przytaknął jej niemal z entuzjazmem. – Wielkie urwisko, wielki wawóz pełen ludzi!

– Jakich znowu ludzi?

– Nie wiem – bąknął półprzytomnie Thomas. – Niczego już nie wiem. Za dużo, wszystkiego jest za dużo, obrazów jest za dużo, planów, perspektyw... Czy ja krwawię?

Nie czekając na odpowiedź, przejechał dłonią po czole i zbliżywszy palce do oczu, długo przyglądał się rozmazanej na nich kropli. Nienaturalnie ciemnej i gęstej, jak wymieszany z sadzą malinowy syrop. A więc wraz z chłodem Universum wślizgnął się weń również kosmiczny mrok, którego przybój począł go zatapiać, wezbrawszy nie wiadomo kiedy. Złowróbnym i przepelnionym jednolitym, coraz głośniejszym dudnieniem.

Jakby krzyk tysięcy zagrożonych istot zlał się w jeden akord i pędził teraz ku niemu na grzbietach obsydianowych fal. On zaś nie mógł uczynić absolutnie nic, sparaliżowany nagle i ogłuszony. Absolutnie nic. Nawet gdyby był wielometrowym, skalistym klifem, nie potrafiłby się oprzeć nadciągającym grzywaczom. *Terminus est*, panie i panowie, *terminus est*... Ostatnia myśl, jaką zapamiętał, nim uderzył weń czarny młot.

* * *

Thomas był urodzonym marzycielem i śnić na jawie zdarzało mu się aż za często. Po raz pierwszy jednak znalazł się sytuacji odwrotnej, kiedy to jawa wydawała się mniej rzeczywista od snu. Wiedział, że śpi i że to, co ogląda, jest wytworem jego własnego mózgu, a nie przekazem docierającym ze świata zewnętrznego. Ale nawet gdyby docierał, nie mógłby chyba być bardziej żywy, wizualnie doskonały i bez skazy w logice następstw, która w onirycznych majakach zawsze przecież szwankuje.

Właściwie nie sposób było tego nazwać snem, lecz raczej uczestnictwem w jakiejś teatralnej symultanii, tym bardziej niezwyklej, że Thomas jakimś cudem potrafił skupić uwagę na wszystkich tych przedstawieniach naraz. Czegoś podobnego doświadczył już wcześniej, kiedy neuromotor Durqvarta wpił się w jego rdzeń kręgowy i przepompował mu do mózgu heptylion informacyjnych paczuszek.

Podobnego, lecz w żadnym wypadku nie identycznego. Tamto było wstrząsem, monstualnym i chaotycznym zwałem danych, który omal go nie zmiądzzył. Tu zaś miał do czynienia z uporządkowanym asortymentem, ekspozycją jakby specjalnie wyselekcjonowaną dla ukojenia skołatanych nerwów. Rozsłoneczniona weranda z widokiem na spokojną, lazurową toń i mrowie trójkątnych żagli we wszystkich kolorach tęczy... Nieznana mu i zapewne dawno już nieistniejąca metropolia o zmierzchu, pełna rozmigotanych światełek... Siwi starcy, którzy rozsiedli się kręgiem wokół ognia i debatują nad czymś zapalczywie... Maszyny, legion gigantycznych maszyn uchwyconych w akcie pożerania górskich zboczy, i ludzie, wiwatujący w niekłamany, radosnym uniesieniu...

Nigdy jeszcze nie odbył tak pięknej introspektywnej wędrówki, bo to, czym dotąd raczyło go rozbisurmanione archiwum, przypominało raczej koszmarne błędzenie w labiryncie bez wyjścia.

Wspaniałe to było i fascynujące, tak sobie zwiedzać świat ludzkich spraw, który nagle objawił mu swoje jaśniejsze oblicze. I tylko jedna myśl nie dawała Thomasowi spokoju: kto go prowadzi?

Czuł bowiem tuż obok siebie – wewnątrz siebie – obecność tajemniczego przewodnika. Nie wiedział jednak, czy jest on podświadomą personifikacją jakiejś bliskiej mu osoby, czy też może to tylko jego własny umysł, który po ostatnich wstrząsach nieoczekiwanie znalazł właściwą drogę do skarbcza.

Tę ostatnią hipotezę mógł łatwo sprawdzić, jeśli bowiem rzeczywiście przejął kontrolę nad archiwum, to obrazy powinny zniknąć z chwilą, gdy tego zapragnie. Nie pragnął wcale, przeciwnie, chciał jak najdłużej trwać w owym śnie-nie-śnie, lecz przecież zawsze będzie mógł puścić swoją magiczną projekcję od nowa, pod warunkiem, że w istocie przywrócono mu zdolność swobodnego manipulowania wyłącznikiem.

Eksperyment zakończył się połowicznym zwycięstwem. Przebudził się, bez wątpienia, i mrugnawszy kilkakrotnie, szybko sprowadził swoje wizje do zaledwie cieni, przenikających się nawzajem jak wyblakłe malunki na szkle. Obrazy jednak wciąż snuły się gdzieś po peryferiach mózgu i wyciekały na siatkówkę niczym woda z nieszczęlnego kranu. Ach, dobre i to, pomyślał rozpromieniony. Bardzo, bardzo dobre! Wobec mąk, jakie w ciągu ostatnich miesięcy wycierpiał od swego nieproszonego sublokatora, ów nowy stan rzeczy był ulgą niewyraźną słowami.

Livansky, tak bodajże nazywa się ten doktor? To musi być jego zasługa, jakiś psychoterapeutyczny zabieg, dzięki któremu wszystko tak nagle powskakiwało do właściwych przegródek. Farquahart niemal słyszał jego sugestywny głos, powracający echem odbitym od podświadomości: nie ma archiwum. Nie ma żadnego samoistnego bytu, który usiadł sobie na jego szarych komórkach niczym woźnica na koźle i trzaskając z bicza, zmusza go do kroczenia niechcianymi szlakami. Nie, to tylko informacja, której zbyt dużo otrzymał naraz. Jego nieprzygotowanemu mózgowi zabrakło na nią miejsca i teraz wszystkie te niezliczone dane szukają przestrzeni dla siebie. Stąd te niekontrolowane wybuchy krasomówstwa i stąd też zapewne to nieznośne wrażenie, jakoby przebywało w nim więcej jaźni niż jego własna. Tak naprawdę wiedział to od samego początku, ale ugrzązł w owej koszarnej gmatwaninie bez jasnej wskazówki, jak się z niej wypłatać. Teraz jednak ją dostał...

I na pewno jej nie zmarnuje. Och, za nic w świecie, za nic! Bądź błogosławiony, doktorze, i ty, Hannibale, za to, żeś mnie do niego przyprowadził! Tylko jak on się za to wszystko odwdzięczy? Podziękować, przede wszystkim natychmiast odnaleźć tego cudotwórcę Livansky'ego i mu podziękować. Thomas zeskoczył z łóżka – widocznie przeniesiono go tutaj, kiedy był nieprzytomny – i podbiegł do drzwi, które stawily mu nieoczekiwany opór.

– Co jest? – Farquahart szarpnął za klamkę, a potem załomotał w drzwi pięścią. – Hej! Heeeej! Do licha, niechże mi ktoś otworzy! Gdzie wyście się wszyscy podziali?

Ni stąd, ni zowąd ogarnął go strach, bezbrzeżny, zwierzęcy strach. Strach, że już nigdy się stąd nie wydostanie, a przecież musiał, absolutnie i bezwzględnie musiał wyjść na przestrzeń, do ludzi, do swych braci i sióstr, którzy oczekują go tam jakże niecierpliwie!

Zaraz, ale to nie była jego myśl! Była? Nie, skądże, jacy znowu bracia i siostry? I niczego nie musiał, co najwyżej mógł chcieć i chciał, owszem. W końcu kto lubi siedzieć zamknięty w czterech ścianach, w dodatku nie bardzo wiedząc, dlaczego? Nikt, oczywiście, ale żeby zaraz taka bezrozumna panika? Nie ma najmniejszego powodu.

Jest!

– Nie ma!! – ryknął Thomas, nie pojmując, czemu tak dziko wrzeszczy i dlaczego uwiesił się całym swoim ciężarem na klamce, jakby chciał wyrwać drzwi razem z futryną.

To, co jeszcze sekundę wcześniej wydawało się okiełznane, przypuściło nowy, potężny szturm. Chór głosów eksplodował jak szrapnel w jego czaszce, błagających, groźących, rozkazujących i skamlących jeden przez drugi. Farquahart padł na kolana, zasłonił uszy dłońmi, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc, i zaczął pełznąć na czworakach, byle dalej od tych przeklętych drzwi. Pod prąd czarnego nurtu, który potężniał z każdym uderzeniem serca.

Nie odpełził jednak zbyt daleko. Rebelia w jego szarych komórkach dokonała się błyskawicznie, zwycięzca zaś okazał się bezlitosnym tyranem, zawracając go w pół drogi jak niesforne szczenię.

Cała wolna wola Thomasa została momentalnie zepchnięta w najdalszy, najbardziej obskurny zakamarek umysłu, cała jaźń zredukowana do roli obserwatora, któremu wolno już było tylko biernie asystować przy czynnościach wykonywanych przez zupełnie obcą i bardzo zdeterminowaną personę wewnątrz.

To ona sterowała teraz jego muskulaturą, ona nakazała palcom, by przesunęły się wzdłuż framugi i zbadały zamek. Ona kazała ciału pochylić się, a dłoniom wślizgnąć pod drzwi dla sprawdzenia, czy pomiędzy nimi a podłogą jest dostatecznie duży prześwit. To pod jej dyktando, bezwolny jak marionetka, podszedł, a właściwie został doprowadzony do leżanki i ściągnął z niej prześcieradło.

Potem wysunął je przez szczelinę pod drzwiami na tyle daleko, by wypchnięty klucz na nie upadł.

Dźganie palcem nie przyniosło jednak efektu, zaczął się więc rozglądać za jakimś narzędziem. Leżanka, rama, drewno, musi po prostu kawałek odłupać... Opuszkami wyczuwszy rozstęp, wbił w ramę paznokcie i szarpnął, czując potworny, acz krótkotrwały ból. Nic to, najważniejsze, że uzyskał solidną kilkunastocentymetrową drzazgę, która powinna nadać się do celu, jaki Farquahartowi został poruczony. Dla smuklejszego kształtu Thomas obgryzł drewnienko z boków i plując wiórami, zawrócił ku drzwiom. Na szczęście klucz tkwił dość luźno i trącony patykiem od razu wypadł z dziurki. Farquahart ostrożnie wciągnął prześcieradło do pokoju, podniósł klucz i włożył go gdzie trzeba, a wszystko to jak w somnambulicznym transie. Ręka na klamce, klamka w dół, skrzydło drzwi od siebie, prawa noga w przód, lewą dociągnąć...

Thomas zmrużył powieki przed nieoczekiwaną powodzią światła i nadaremnie błagał o zamknięcie głośy, którym tuż za progiem znów ktoś pozwolił rozkrzyczeć się w jego czaszce. Jazgotliwa hałastrą nie miała dlań najmniejszego szacunku, spierając się, głucha na prośby. Jakby Farquaharta w ogóle już tu nie było, tylko automat kierowany rozkazami z centrali setki, tysiące kilometrów stąd.

- ...na własne oczy.
- Nie ja! I nikt inny z ponad siedemdziesięciu tysięcy ludzi w tym mieście.
- Zapominasz o przyjeźdźnych, którzy najwyraźniej też to widzieli.
- Co widzieli? Kto widział? Konkretnie.

– Na rany Ziemi, Sylwio, czy to ważne, kto z imienia i nazwiska? Nie wypytuję pasażerów o ich dane personalne, ale słucham, co mówią. A mówili niemal dokładnie to samo, co inżynier.

– Że gdzieś na jakiejś pustyni spadł ognisty deszcz. Przeżona jestem. No? Tylko co mnie to może obchodzić?

– Przypomnij sobie ostatnie trzęsienie.

– O, właśnie, Darius, bliższa koszula ciału! Plus jeszcze masa innych drobnych spraw, z którymi, w przeciwieństwie do was, ja muszę borykać się na co dzień.

– A jeśli oni mają rację?

– To i tak nie mamy się gdzie podziąć.

– Gdzie, to jeszcze, natomiast logistyka...

Jakieś ogromne, ciężkie łapsko chwyciło go za kark i zaczęło pchać.

– Deus, dosyć, dosyyyć!! – Farquahart rozdarł się nieludzko. – Rrakchth!

Krzyk uwiązał mu w gardle, nogi ruszyły ku schodom – człap, człap, człap, niczym szcudła na sprężynach. Rękę oprzyj na poręczy, masz zachowywać się spokojnie, bez wzbudzania alarmu.

Poręcz!

Thomas wsunął drętwiącą rękę między tralki i zginając ją w łokciu, przytrzymał się jednej. Tylko tyle mógł zrobić i wiedział, że na bardzo krótko, bo reszta mięśni już odciągała go stamtąd brutalnie, a bólu, który narastał – kary za tak rażącą krnąbrność – nie wytrzyma dłużej niż kilkanaście sekund. Nie wytrzyma, podda się ostatecznie i bezwarunkowo, i po prostu przestanie być...

– Beaaaa!!!

Skrzypnięcie, tupot, poruszenie, czyjaś twarz na wprost tej, którą mu odebrano.

– Thomas!

Trzask pękającej tralki i niewyobrażalny ból.

– Ręś... Błag...

– Graw, nic nie rozumiem!

– Moe ręse... nogh... – Gardło paliło go i na krtani zaciskała się szubieniczna pętla, ale jeśli nie teraz, to już nigdy! – Błag... zwią... zwiąszsie mieeee!

* * *

I znowu przebudzenie na wznak, czyjaś niewątpliwa obecność w mrocznych przestrzeniach dookoła i głosy, choć te brzmiały już zdecydowanie bardziej znajomo. Lecz jeśli i one dochodziły go tylko z wnętrza pokiereszowanego umysłu? Co będzie, jeśli uniesie powieki i zobaczy wyłącznie ciemność? Albo gorzej, wszystko znajdzie z pozoru na właściwym miejscu, kształty oraz barwy, przedmioty i ruch, lecz w miejscu osoby, której

ciepły alt słyszał, odkryje pustkę? Jakaż może być potworniejsza tortura nad życie ze świadomością, że odróżnienie prawdy od fałszu przestało być możliwe?

Ręka – trzeba zacząć od ręki, poruszyć nią i przekonać się, że to on i tylko on nakazuje palcom zwinąć się w pięść. Zdołał, jednocześnie wyczuwając opór w naprzężonych mięśniach nadgarstka.

– Przytomnieje. – Bea, niech to naprawdę będzie ona! – Czy te pasy są jeszcze konieczne?

– Oby były wystarczające – odparł łagodny baryton.

Ten głos był również Thomasowi nieobcy, aczkolwiek pomimo najszczerzych chęci nie potrafił sobie przypomnieć, do kogo należał.

– Możecie mnie z nim zostawić?

– Ja się stąd nie ruszam.

– Młoda damo...

– Nie wyjdę, dopóki nie powie mi pan, co mu jest.

Farquahart zebrał się na odwagę i rozchylił powieki. Czerwień...

Wszystko zrobiło się czerwone z domieszką jakichś szarych smug, które falowały leniwie niczym wodorosty w zakrwawionym potoku. Deus, czyżby zleciał z tych przeklętych stopni i rozwalił sobie łeb? Dlaczego więc nic nie czuje? Dlatego że dali mu środki uśmierzające ból – oto najprostsza odpowiedź, która w swej nieskomplikowanej logice pozwalała mieć nadzieję, że jednak wrócił do normalnego świata, a nie tylko przeskoczył z jednej chorej fantasmagorii w następną.

– W tej chwili stać mnie jedynie na domniemania. – Znowu ten baryton.

Szare smugi zatańczyły gwałtownie i odpłynęły do tyłu, ciemniejac, chudnac i nabierając wyrazistości. To była po prostu koszula, czerwona koszula w kratę. A nad nią twarz pod okapem włosów barwy surowego płótna. Doktor Livansky?

– Proszę zatem domniemywać.

– Jedno nie ulega kwestii, a mianowicie że chłopak padł ofiarą zakażenia.

– Ja chyba się nawet domyślam, gdzie. – Ten zatroskany głos należał, bez cienia wątpliwości, do Remmuerisha. – W śmietniku.

– W czym?

– Tam gdzie znaleźliśmy Hansena, mówiłem ci przecież. Zresztą miejsce jest mało istotne, ważniejsze, od kogo mógł to draństwo złapać.

– No, mów.

– Od Kevina.

– Kyh! – Język, odrętwiały i ugrzęzły w zaskorupiałej flegmie, odmówił Farquahartowi posłuszeństwa.

– Jasny rozziew, jeszcze się udusi!

– Spokojnie. – Czyjaś ręka uniosła mu głowę, ciężką niczym gipsowy odlew. – Odkaszlnij, chłopcze, mocniej. Zaraz, jak to od Kevina? Kiedy? Przecież was tu nie było!

– Za to on był z nami przez cały czas.

Medyk popatrzył ze zgrozą na Hannibale.

– Jakimś sposobem wślizgnął się na statek, może nawet nieszczęsny Jesus sam go wpuścił, chociaż zabij mnie, jeśli wiem dlaczego – ciągnął Remmuerish. – Mówię „nieszczęsny”, bo przypłacił swoją decyzję życiem, podobnie jak jego siostra. Kevin załatwił ich oboje, a potem rzucił się do gardła Thomasowi.

– Zranił go?

– Tylko zadrapał.

– Mogło wystarczyć – mruknął Livansky i na moment zniknął Farquahartowi z pola widzenia. – Elementy, jak ja nie lubię mieć z nimi do czynienia w takich przypadkach. *À propos*, zapomniałem o jeszcze jednym teście. Pozwól na chwilę.

– Graw, przebadał mnie pan już od stóp do głów. – To był głos Beatrice.

– Ale nie płód. Dosłownie moment.

Jakieś nieokreślone odgłosy, szcęk metalu i głośnie westchnienie ulgi.

– W porządku, nie widzę żadnych nieprawidłowości.

– Pewnie, że w porządku. Czy ja się w końcu czegoś dowiem?

Kto to jest Kevin? – zniecierpliwiła się Bea.

– Nosiciel.

– Czego, u diaska?

Thomas znów spróbował poruszyć ustami i obrócić się twarzą ku rozmawiającym, ale szyja stawiała mu opór niczym zardzewiałe łożysko.

– Jak by to wytłumaczyć... – Pauza. – Słyszałaś kiedyś o neuro-alteratorach?

– Nie.

– Neuroalterator to organizm modyfikujący zachowanie innego organizmu. Na przykład, toksoplazma, której żywicielem głównym jest kot, a pośrednim szczur. U zdrowego szczura zapach kocich sików wywołuje odruch ucieczki. Zarażonego natomiast zwabia, przez co staje się on o wiele łatwiejszym łupem. Takie podkładanie się na pewno nie leży w interesie gryzonia, ale już w interesie pasożyta, który go zaatakował, oczywiście tak. Szczur zostaje zjedzony, toksoplazma trafia do żywiciela ostatecznego i cykl ulega zamknięciu. Albo taka *Spiromellosa jekylli*, endemiczny nicien odkryty kilkadziesiąt lat temu u Rhogsafe.

– Tych degeneratów?

– Nie degeneratów, lecz ofiar ewolucyjnej perfidii natury. Otóż *Spiromellosa* wymaga do swojego rozwoju aż czterech różnych gatunków. Grzyba serowego, stanowiącego podstawę zarówno ekonomicznej, jak i diety Rhogsafe, tresowanych surykatek Gipu, much galarecików i w końcu samego człowieka. Nawet u Rhogsafe istnieje podział na gorszych i lepszych. Ci najgorsi, najwredniejsi i najbardziej zdegenerowani, jak byś to określiła, lądują w suszarniach,

gdzie sortują grzybnię i gdzie w powietrzu unosi się zawsze mnóstwo zarodników. A w zarodnikach są jaja nicieni. Po kilku dniach larwy, które się z nich wylęgają, wędrują do mózgu, wywołując u zarażonych syndrom Jekylla. Spokojni dotąd ludzie zmieniają się w skrajnie agresywne, ślepo mordercze bestie. Polowanie na takich obłąkańców to druga co do popularności z tamtejszych rozrywek. Pierwszą zaś są walki pojmanych ze wspomnianymi surykatkami. Okrutne widowisko, podczas którego większość zwierząt ginie. Te jednak, które wygrywają, mogą w nagrodę pożywić się ciałami pokonanych ludzi. Surykatki również są nosicielami *Spiromellosy*, ale tylko samice nicienia. Samce natomiast przybywają z krwią ludzi zagryzionych podczas walk i kopulują z partnerkami w jelitach zwierząt. Potomstwo pasożytów jest wydalane z kałem, który trafia na farmy jako nawóz. Kał stanowi pożywienie much, składających własne jaja, a wraz z nimi również i jaja nicieni, w owocnikach grzybów. I cykl zostaje zamknięty.

– Matko, i chce pan powiedzieć, że on coś takiego złapał?

– Nie, to tylko podręcznikowy przykład. Aczkolwiek Kevin... –

Doktor odchrząknął.

– Co? – Thomas szarpnął się w swoich więzach, aż zatrzeszczało. – Co ten gnojek mi zrobił?

– Zaraził cię. Najprawdopodobniej.

– Czym?

– Nietypowymi elementami.

– Nie rozumiem.

– Elementy to...

– Wiem, co to takiego, do licha, ale nie pojmuję, jak ktoś... –

Farquahart zakaszłał, usiłując odetkać zaflegmione gardło, po czym splunął z ulgą do podstawionej mu przez doktora miski.

– Przecież elementy są maszynami, a nie bakteriami, człowiek nie może się nimi zarazić od drugiego człowieka. To niedorzeczność!

– To nie jest niedorzeczność – odparł medyk. – Tak jak bakterie, elementy są już wszędzie, a ściślej rzecz biorąc, wszędzie w Drzewie. W nas również, w normalnych ludziach z krwi i kości. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, bo zazwyczaj nic złego nam nie czynią.

Połykamy je z wodą, wdychamy z powietrzem i w końcu wydalamy jak każde inne ciała obce. Szacuje się, że w każdej chwili ich liczba w naszych organizmach wynosi od kilkudziesięciu tysięcy do około miliona. I nic, żyjemy sobie. Niestety, oprócz wszędobylstwa istnieje jeszcze jedna cecha wspólna dla elementów oraz naturalnych drobnoustrojów, a mianowicie zmienność. Jedne i drugie nieustannie ewoluują w poszukiwaniu optymalnych przystosowań do środowiska, generalnie nie wykraczając poza pewne ramy.

Niemniej jednak zdarza się od czasu do czasu, że jakieś zbiorowisko elementów wyłamuje się z owych ram i, mówiąc pospolicie, dziczeje. Przestają słuchać swych

pierwotnych poleceń i zaczynają działać chaotycznie, niszczycielsko. Jak rak, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Wiem. – Farquahart zgrzytnął zębami, zniecierpliwiony przedłużającą się tyradą doktora.

– Takie niezdyscyplinowane elementy potrafią w ciągu minut przerobić dorosłego człowieka na kompost albo wyżreć w macierzy dziurę o rozmiarach witryny sklepowej. Nie jest to miłe ani dla nas, ani tym bardziej dla Drzewa, które dość szybko likwiduje renegatów, bywa, że z naszą skromną pomocą.

– Deus, i ja mam teraz w sobie takie coś?!

– I tak, i nie – odparł doktor. – Elementy, które dostały się do organizmu Kevina, a za jego pośrednictwem również i do twojego, nie przypominają żadnych, z jakimi bym się do tej pory spotkał bądź o jakich bym słyszał. Ich *modus operandi* jest dalekie od chaosu, a zainfekowani przez nie ludzie zachowują się co prawda nader dziwnie, lecz zarazem na swój sposób logicznie i konsekwentnie. Jednym słowem, szaleństwo, w którym jest metoda, choć na razie nie mam pojęcia jaka.

– Proszę je w takim razie po prostu usunąć – zażądał Thomas.

– Obawiam się, że to nie jest takie proste.

– Nie obchodzi mnie, jak to jest trudne, i czy wyszarpię pan ze mnie te świństwa obcęgami. – Farquahart poczerwieniał. – Chcę być znowu wolny!

– Ależ jesteś.

– Nie, nie jestem! – przerwał mu wzburzony Thomas. – Od chwili wchłonięcia tego pieprzonego archiwum ani nie jestem wolny, ani nie jestem sobą, tylko jakimś cholernym megafonem, przez który przemawiają inni, co rusz wrywając mnie sobie nawzajem z rąk! Jak pan by się czuł, gdyby słyszał w głowie tysiące różnych ludzi, gadających prawie bez ustanku, dzień w dzień i noc w noc?

A teraz jeszcze na dodatek to świństwo od smarkacza! Nie wiem, co się ze mną dzieje, czy są to rzeczywiście skutki jakiejś infekcji, o której pan mówi, czy po prostu tracę nad sobą kontrolę z wyczerpania, ale jedno wiem ponad wszelką wątpliwość: jeśli pan czegoś nie uczyni, wyleczy mnie albo zabije, wszystko jedno, to ja coś chyba zrobię sobie sam, bo dłużej tego koszmaru nie zniosę! Zresztą przecież już pan coś zrobił, prawda? Inaczej nie rozmawiałbym z wami teraz tak, jak rozmawiam.

– Owszem, zrobiłem, ale to tylko doraźny środek, nie do zastosowania na dłuższą metę.

– Dlaczego nie?

– Dlatego że wówczas rzeczywiście bym cię zabił. Elementy da się chwilowo unieczynnić, na przykład czymś takim. – Livansky zademonstrował instrument przypominający kamerton. – Fale elektromagnetyczne o określonej częstotliwości działają na nie niczym kadzidło na pszczoły, wprawiając w stupor. Problem jednak w tym, że... jak by to ująć... zdążyło dojść do zespolenia. One są już nie tylko w tobie, ale i tobą, są integralną

częścią twojego organizmu. Bez odpowiedniego sprzętu, którym tutaj nie dysponuję, nie podjąłbym się ryzyka rozdzielenia ich. Zresztą, szczerze powiedziawszy, nie wiem nawet, jak miałbym się do tego zabrać, bo to przypadek absolutnie bez precedensu. Pomijając Kevina, oczywiście.

– Cze...? – Farquahart zaniemówił ze zgrozy.

– Co innego klinika w habitorium albo nawet jakiś przyzwoicie wyposażony lejbowerk z solidnym portalem diagnostycznym i mikroteatrem. Tu jednak nie jestem w stanie uczynić nic więcej.

Jeśli będę utrzymywał blokadę elektromagnetyczną zbyt długo, twój system nerwowy przestanie działać. Jeśli ją natomiast wyłączę, proces zespалania będzie postępował. Ile to potrwa, zanim...

– Livansky zawiesił głos.

– Zanim stanie się taki, jak Kudlischka? – dokończył za niego Hannibale.

– Trudno powiedzieć – odparł Sash. – To mogą być dni, nawet tygodnie, nie wiem. Ale pewne nieodwracalne zmiany w mózgowiu wystąpią przypuszczalnie o wiele wcześniej.

– Kwestia godzin?

Livansky skinął głową.

– Graw, mówiłam, żebyśmy od razu lecieli do Apeksu! – Beatrice posłała Remmuerishowi nieprzyjazne spojrzenie. On sam miał dość ponurą minę.

– A może raczej zabierzmy go z powrotem na dół, do von Klosky'ego? Tam też przecież powinni...

– Nie! – przerwała mu ostro. – Apeks to jedyne miejsce, gdzie mogą mu pomóc.

– Apeks to również miejsce pełne punktów inspekcyjnych, komór DC i funkcjonariuszy Antydehu – przypomniał Hannibale.

– Już przy pierwszej bramce Thomas zostanie przez nich zatrzymany i odeskortowany do czyścica.

– Kontrole można ominąć. Ludzie, którzy pracowali z moim ojcem w dokach, oszukiwali je bez trudu.

– I ty wiesz jak?

– Poradzimy sobie – odparła dziewczyna wymijająco.

– A dalej? – Remmuerish podszedł do doktora, wziął go pod ramię i odciągnął na bok, zniżając głos do szeptu. – Powiedz mi, tylko najzupełniej szczerze, naprawdę mógłbyś tego chłopaka uratować, dysponując odpowiednim warsztatem?

– Na pewno zrobiłbym wszystko co w mojej mocy i na pewno rokowania byłyby zdecydowanie pomyślniejsze, niż są teraz – powiedział medyk. – Wiem, chcesz, żebym z wami leciał.

– Dałem tej dziewczynie słowo, że mu pomożesz.

– Ech...

– No bo myśleliśmy, że to jakaś błahostka, przeziębienie albo grypa.

Sash popatrzył nań ni to z wyrzutem, ni ze współczuciem.

– Dobra, nie ma sprawy, nie mówmy już, rozumiem. – Inżynier machnął ręką. – Ale daj mi przynajmniej namiar na kogoś w Wierzchołku.

– Kto mógłby się tym zająć? – Doktor potarł w zamyśleniu brwi.

– Graw, nie wiem. Wszyscy, których znam i których mógłbym ci ewentualnie zarekomendować, to rutyniarze. I tak też podejną do tego nietypowego przypadku, rutynowo i bez wyobraźni.

– No to co mi radzisz?

Doktor, z rękami w kieszeniach i zmarszczonym czołem, przez chwilę chodził z kąta w kąt.

– Niech ci będzie, polecę – rzekł w końcu.

– Posłuchaj, ja absolutnie nie nalegam...

– Polecę – przerwał mu już bardziej stanowczo doktor. – Trochę się nawet stęskniłem.

– A jak cię capną?

– Kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi. – Medyk uśmiechnął się półgębkiem. – Daj mi dziesięć minut.

Rozdział 8

Sash zamknął drzwi za przyjacielem i wrócił do Farquaharta. Po drodze wyjął coś z szafki w narożniku.

– Thomas?

– Znowu robi mi się zimno.

– To blokada. Niestety, będę musiał ją wyłączyć.

– A nie ma pan czegoś na sen? – spytał Farquahart błagalnie.

– Mam, ale ci nie podam.

– Czemu? Deus!

– Sen jest w tej chwili twiym wrogiem. Im dłużej zachowasz przytomność, tym wolniej będzie postępowało zespalenie. Silna wola to najlepsze lekarstwo, jakie mogę ci przepisać.

– Wielkie dzięki! – prychnął Thomas. – Bo własnej nie mam już za grosz.

– Żebyś się nie zdziwił. – Livansky odpiął krępujące Farquaharta pasy. – Usiądź, powoli.

Była to zbyt uczciwa uwaga – obolałemu i zdrętwiałemu Thomasowi i tak nie wyszedłby dziarski zeskok. Beatrice pośpieszyła mu z pomocą, ale doktor ją powstrzymał.

– Nie, niech siedzi. Tylko trzeba to ściągnąć...

Sash zdezynfekował skórę między łopatkami Farquaharta i z przezroczystego etui wydobyl małą, szarą pinezkę.

– Miomodulator – wyjaśnił, dostrzegając podejrzliwy wzrok Beatrice. – Humanitarna alternatywa dla związywania rąk i nóg sznurem. Działa na mięśnie poprzecznie prążkowane, omijając nadzór centralnego układu nerwowego. Będiesz się po prostu czuł jak po dobrych kilku głębszych.

– Nie pierwszy raz w życiu. – Farquahart obdarzył doktora bladym uśmiechem.

Livansky odwrócił go na bok i przejechał swoimi magicznymi widelkami wzdłuż kręgosłupa. Mięśnie chłopaka momentalnie się rozluźniły i obydwójce z Beą musieli go podtrzymać, inaczej rozkraczyłby się im na podłodze.

– O, zarazo – wymamrotał, lecąc medykowi przez ręce.

Położyli go z powrotem. Dziewczyna usiadła obok na podsuniętym jej krześle, Sash tymczasem zaczął pakować swój lekarski niezbędnik. Czynił to machinalnie, z

przyzwyczajenia i chyba bardziej po to, by zająć czymś ręce w ostatnich minutach przed odlotem. Ścisnęło go w dołku, miał bowiem przecucie, że więcej nie ujrzy tego miejsca.

Składanie instrumentów pozwalało mu również zebrać myśli innego rodzaju. Na przykład: czy mimo wszystko nie pomylił się w swej diagnozie? Wynik ze skanera był co prawda jednoznaczny – ten chłopak został zainfekowany elementami, kropka – ale w zupełnie inny sposób, niż przebiegło to u małego Kudliszki.

Nie było żadnej masywnej przebudowy organizmu, żadnej ogólnej, systemicznej „mannekenizacji”. Jedyne kilkanaście niewielkich skupisk w mózgu i w rdzeniu przedłużonym. Z tym że ulokowanych newralgicznie i bynajmniej nieprzypadkowo, bo w płatach czołowych, hipokampie, przysadce oraz jądrze trójdzielnym. Zadziwiająco liczna grupa elementów ulokowała się w bliskim sąsiedztwie neuronów zwierciadlanych, a także wokół komplantu i obydwu poliprocessorów, wspomagających układ wewnątrzwydzielniczy.

W pewnym sensie sytuacja wyglądała nawet bardziej złowieszczo niż u Kevina, jakby elementy uległy w nim wysubtelniającej metamorfozie. Bądź też od samego początku takie były. Sash założył (coś musiał założyć, a poza tym miał ku temu zbyt dużo przesłanek), że Farquahart zaraził się od małego Kudliszki. A jeśli nie? Jeśli to były dwie zupełnie różne jednostki chorobowe? Ba, potencjalnie istniała nawet i taka możliwość, że Thomas wcale nie uległ przypadkowemu zakażeniu, lecz został świadomie zaimplantowany jakimś zupełnie nowym rodzajem wszczepów, które miały za zadanie kompleksowo wspomagać naturalny układ nerwowy. Taka mannekenizacja pełzająca zamiast totalnej. Nie zbuntowane, ewoluujące niezależnie elementy, tylko ich oswojony wariant, zaaplikowany najwyraźniej z pogwałceniem wszelkich zasad etycznych.

Zaraz, oni się chyba nazywali Ghat Eloin, ten umiarkowany odłam postbiotystów, który właśnie w czymś podobnym widział możliwy do zaakceptowania kompromis pomiędzy naturą i technologią. No tak, ale wtedy nie byłaby to już sprawa dla lekarza, tylko dla niesławnego Wydziału Antydehumanizacji. I gdyby Farquahart wpadł w ich ręce, to nie będą go pytać, czy zaimplantował to sobie gdzieś legalnie i za pełnym osobistym przyzwoleniem, czy też wpakowano mu tę mikromatrycę do głowy wbrew jego woli.

To znaczy będą, ale na pewno nie dlatego, żeby mu ulżyć w cierpieniach.

Graw, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej był pewien, co o tym myśleć. I czego obawiać się bardziej – widma epidemii kukieł odczłowieczonych przez wybryk nanomechanicznej ewolucji czy też przez ludzkie fanaberie. I jakby to nie było wystarczającym powodem do niepokoju, na wszystkim kładł się jeszcze cień jakiejś ogólnoświatowej katastrofy, w którą Hannibale co prawda nie do końca wierzył, ale możliwości której także całkowicie nie odrzucał.

– I co, gotowi?

Głos Remmuerisha wyrwał Livansky'ego z rozmyślań.

– Prawie. – Zamknął instrumentarium. – Zrobiłem chłopakowi wstrzyk, ktoś będzie go musiał zanieść.

– Nie ma sprawy. Tym bardziej że jest blisko.

– Zaparkowałeś gdzieś w pobliżu? – zdziwił się medyk.

– Nad twoim dachem.

– No, tyś chyba oszalał, przecież się zawali!

– Powiedziałem nad, a nie na. – Remmuerish uśmiechnął się.

– Idziemy?

– Momencik. – Sash wyjął z szuflady termoblok, oderwał dwie kartki i nabazgrawszy coś na nich pospiesznie, wyszedł z gabinetu. – Tylko wywieszę to na drzwiach.

Hannibale skinął głową i odwrócił się do Thomasa, który leżał bezwładnie jak trup, zapewne na skutek owej wspomnianej przez Livansky'ego iniekcji. Ale nie to nim najbardziej wstrząsnęło, lecz wzrok chłopaka. Człowiek, nawet taki w sztucznym ciele, ogląda świat w sposób przypominający chodzenie w ciemnościach z latarką. Nie widzi wszystkiego hurtem, lecz skanuje otoczenie wycinek po wycinku i dopiero w mózgu skleja z tych migawek jako tako kompletny obraz. Oczy Farquaharta straciły jednak swoją normalną ruchliwość i gdy w pewnej chwili spojrzenie Thomasa przeniosło się na niego, Remmuerish odniósł paskudne wrażenie, że to patrzy nie żywa istota, tylko jakiś mechanoid. Martwe soczewki zogniskowane nieruchomo na jednym punkcie, by po kilku długich sekundach przesunąć się ku następnemu.

I to wszystko moja wina, odbijało się posępnym echem w duszy Hannibale. Gdyby zostawił smarkacza z Kristofem, zamiast ciągnąć go tutaj, gdyby odpuścił sobie poszukiwania mnemonu, tak jak mu radził Sash, gdyby, gdyby, gdyby... Ale przecież, jasna krew, nie jest jasnowidzem! Skąd miał wiedzieć, czym poskutkują jego z pozoru dobre uczynki? Kto przy zdrowych zmysłach przypisałby *a priori* jakiegokolwiek znaczące prawdopodobieństwo takiemu ciągowi zdarzeń, takiemu nagromadzeniu zbiegów okoliczności?

A że przytrafiły się akurat jemu? Mogły się przytrafić każdemu i nie było w tym żadnej złośliwości losu, co najwyżej prawo wielkich liczb.

– W porządku, chodźmy.

– Niczego więcej nie zabierasz?

– Nie – odparł Livansky i po raz ostatni omiół wzrokiem gabinet.

Remmuerish podniósł Thomasa z leżanki i ruszył ku schodom.

Byli na półpiętrze, gdy tamten wymamrotał, dzieląc słowa wyraźnymi pauzami:

– Wierzchołek... gęstość... duża?

– Gęstość?

– Biojedn... ludzi, zwierząt, roślin?

– Ludzi jest ponad sześćset milionów, a czemu pytasz?

Farquahart nie odpowiedział, jedynie wykrzywił usta w grymasie, który bardziej pasował nieboszczykowi na marach. Nienaturalny i niewyrażający absolutnie żadnych rozpoznawalnych uczuć skurcz mięśni, tak samo podobny do autentycznego uśmiechu, jak drażnione prądem żabie udka są podobne do nóg baletnicy. Remmuerish odwrócił wzrok, bo naprawdę przykro było na to patrzeć.

Złożył Thomasa na poduszkach.

– Rozumiem, że wyłączyłeś mu tę blokadę? – spytał retorycznie, dla wygody doktora dezaktywując na moment kamuflaż.

– Musiałem, w przeciwnym razie... – Livansky zauważył czarnookiego, i *vice versa*. Obydwaj zrobili zdziwione miny, aczkolwiek z zupełnie różnych powodów. – Zaraz, a ten to kto?

– Nikt, nie zwracaj uwagi – rzucił znad przyrządów Remmuerish.

– A czemu jest związany?

– Dłuższa historia. Był z Hansenem, kiedy go znaleźliśmy.

– W tym śmietniku?

– Tak.

– Czyli że i on może być...

– Kevin nawet się do niego nie zbliżył.

– Jesteś pewien?

– Sto procent – odparł Hannibale i skupił uwagę na wprowadzeniu okrętu do przelotówki. Starą służę poddano ostatnio remontowi, jednak nowo uformowane zwieracze wciąż nie pracowały regularnie i lepiej było mieć się na baczności.

– Ja mimo wszystko sprawdzę. – Sash podszedł do czarnookiego.

Mężczyzna uniósł brwi na widok nici skanującej, którą medyk wyciągnął z osłony i usztywnił, strzepując energicznie. Wielki jak szafa i zbudowany niczym atleta, mógłby zapewne jednym porządnym szarpnięciem uwolnić się z krępujących go więzów, a jednak siedział spokojnie, tylko spojrzeniem zdradzając niepokój. Albo dostał od Remmuerisha solidną nauczkę – ciekawe, za co – i teraz po prostu się boi, albo też...

– Doktor?

– Doktor, doktor... proszę przez chwilę nie oddychać. – Livansky wykonał trzy szybkie pasaże i sprawdził rezultat. Nic. A w każdym razie nie to, czego w tej chwili obawiał się najbardziej. – Masz rację, jest czysty.

– Mówiłem. A związałem go, bo... Graw!

W pierwszej chwili Remmuerish pomyślał, że to koga, pomimo ostrożnego pilotażu, zahaczyła jednak o jakiś element konstrukcyjny w służy i ciągnie go za sobą, albo że wywaliło nagle zwornice w maszynowni. Ale to nie był okręt.

Czarnooki aż się zwinął, a Livansky'emu włosy stanęły momentalnie dęba. Nieludzki skowyt Thomasa przeraził i ogłuszył wszystkich, ale dla Sasha z jego empatyczną nadwrażliwością był on czymś więcej niż jedynie upiornym wrażeniem dźwiękowym.

Był wyrazem okropnego, wręcz niewyobrażalnego bólu i Livansky omal sam nie padł jego ofiarą. Ręce tak mu się rozdygotały, że nie potrafił nawet wydobyć ze swej walizeczki iniektora, nie mówiąc o zaprogramowaniu odpowiedniej kombinacji leków. Krzyk Farquaharta narastał tymczasem crescendo i przeszedł gwałtownie w charkot, jakby chłopak miał się za chwilę udusić. Jego twarz stała się purpurową maską wyrzeźbioną gruzłami muskulatury, napiętej do ostatnich granic, i Sash wiedział, że jeśli nie uruchomi tej przeklętej strzykawki w ciągu trzydziestu sekund, to chłopak jest martwy.

– Zaczekaj. – Remmuerish uklęknął obok.

– Nie mogę z tym draństwem... – Livansky zgrzytnął zębami.

– Już, spokojnie, podaj mi tylko ciąg.

– Ather, nigr, theto, dwa przecinki, zept, i ustaw dozownik na trzydzieści... nie, na trzydzieści pięć.

– Gotowe.

Sash odebrał od przyjaciela iniektor, podszedł na miękkich nogach do sofy i zrobiwszy Thomasowi zastrzyk, klapnął obok. Ile to wszystko trwało? Minutę? Mniej, a czuł się wyczerpany bardziej niż po kilkugodzinnej przebieżce.

– Napijesz się czegoś?

– Z chęcią. – Medyk otarł czoło rąbkiem koszuli. – Byle to nie było nic z alkoholem.

– Sto jednaście decybeli! – Remmuerish pokręcił z niedowierzaniem głową, przetrząsając kolekcję anheloskich trunków. – Nie przypuszczałem, że człowiek może aż tak krzyczeć.

– Może – rzekł Livansky.

– Ale dlaczego? Co mu się nagle stało?

– Nie będę wiedział, dopóki gruntownie go nie zbadam. – Sash wypił duszkiem podany mu przez Hannibale sok z jakichś egzotycznych owoców. – A nie zbadam go, dopóki...

– ...nie znajdziemy czegoś w Apeksie – dokończył Hannibale. – No to w drogę. Tak przy okazji, tu jest całkiem porządny zestaw pierwszej pomocy. Zobacz, może coś ci się stamtąd przyda.

– Dziękuję, zerknę. – Doktor wstał i po raz pierwszy od wejścia na pokład rozejrzył się dookoła.

Prawdziwy galeon kupców-koczowników – czymś takim nigdy jeszcze nie miał okazji podróżować. Było tu sporo rzeczy anachronicznych i niepasujących do tego miejsca, jak choćby intarsjowany kredens ze stojącym na nim krucyfiksem – tak się chyba ten religijny symbol nazywał – czy mosiężny czajnik, niewątpliwie ręcznej roboty.

Wzrok Livansky'ego szybko jednak przeniósł się z elementów wystroju na Beatrice. Odkąd opuścili gabinet, nie odezwała się i teraz, również w milczeniu, przykucnęła u wezłowania sofy i delikatnie gładziła rudą czuprynę nieprzytomnego Farquaharta.

„Tyle ci mogę obiecać”, rzekł do niej Livansky w duchu, „że zrobię wszystko, na co mnie stać jako lekarza. Choćby to się miało skończyć neurotransferem”.

* * *

Korzystając z okrętowego ekwipunku, Sash zrekonstruował poharataną krtań Thomasa, po czym wybudził go ze sztucznej śpiączki, bo *conditio sine qua non* było teraz, żeby chłopak pozostał przytomny. Dawka analgetyków, jaką Livansky weń wpompował, powinna skutecznie uśmierzyć ból, a jeśli nie uśmierzy, to znaczy że cała dotychczasowa wiedza lekarska, zwłaszcza ta z zakresu anestezjologii, nadaje się do kapitalnego remontu.

– Zaufaj mi, wiem co robię – uprzedził protest dziewczyny.

Oklamał ją trochę, gdyż tak do końca wcale nie wiedział i w dużej mierze kierował się tylko doświadczeniem oraz instynktem.

– No, moi drodzy, już niedaleko – poinformował Remmuerish.

Minęli ostatnie z konarów, krótkie, esowate i ciasno ze sobą posplatane. Ponad nimi znajdowały się już tylko grube szypuły habitoriiów i one same – perliste bąble w skupiskach po pięć, sześć lub siedem, w zależności od miejsca zajmowanego w wierzchołkowej rozecie. Im bliżej osi głównego pnia, tym liczba bąbli w klastrze i ich rozmiary były większe, aczkolwiek ta regularność nie była widoczna na pierwszy rzut oka. Niedostrzegalna była również pajęczyna strun odciążowych, przynajmniej nie z tej odległości.

Livansky zrobił jeszcze jedno, a mianowicie zredukował siłę impulsów z miomodulatora o połowę, przywracając Farquahartowi przynajmniej częściową swobodę ruchów. Kontroler trzymał jednak w pogotowiu, na wypadek gdyby sprawy miały przybrać dramatyczny obrót. Thomas skorzystał z tej odrobiny luzu i obrócił się na poduszkach.

– E-re-o-chor-dia – wyszeptał, cedząc z wysiłkiem sylaby.

– Ej, nic nie mów, jesteś dopiero co po zabiegu – zbeształ go łagodnie medyk.

– A co to w ogóle znaczy? – zaciekała się Beatrice.

– Nie wiem, ale w moich uszach brzmi fachowo. – Livansky uśmiechnął się mimowolnie.

– To te odciążi – rzekł po dłuższej chwili Hannibale.

– Hm?

– On mówi o strunach odciążowych – uściślił Remmuerish. – Tych, które łączą kord kotwiczny z habitoriami.

– Tak się nazywają? Nie miałem pojęcia. – Sash nie krył zdziwienia.

– Ja też nie, znalazłem dopiero tutaj – odparł Hannibale, stuknąwszy w tablicę przyrządów. – Termin z kupieckiego żargonu, jak przypuszczam.

- Skąd więc Thomas go zna?
- Latał już z Anhelosami wcześniej, mógł usłyszeć od nich.
- Sie-dem-set... osiem-dziesiąt... sie-dem – sylabizował Farquahart – ereochordii.

Zaciekawiony Remmuerish raz jeszcze skonsultował się ze statkiem. Siedemset osiemdziesiąt dwa, taką aktualną liczbę strun podały mu przyrządy... nie, zaraz, siedemset osiemdziesiąt pięć... siedemset osiemdziesiąt jeden?

- Co tu się...? Ach!

No jasne! Okręt był w ruchu względem Wierzchołka, dlatego konsola co chwila podawała mu inną liczbę strun, które to zakrywały się, to odsłaniały wzajemnie. Nigdy jednak nie przekroczyła ona siedmuset osiemdziesięciu siedmiu, więc chyba naprawdę tyle musiało ich być. Teraz, bo wedle ostatniego zapisu na ten temat w rejestrach nawigacyjnych kogi trzy miesiące wcześniej, doliczono się tylko siedmuset osiemdziesięciu pięciu strun. Co samo w sobie nie było absolutnie niczym zagadkowym, Drzewo bowiem zmieniało się bez przerwy. Farquahart nie mógł jednak wiedzieć a priori o tych konkretnych rearanżacjach, nie mógł również zobaczyć strun ani tym bardziej ich policzyć, albowiem średnica wierzchołkowego odciągu wynosiła zaledwie od jednego do dwóch metrów i żadne, nawet najlepsze, nieuzbrojone oko ludzkie nie dostrzegłoby czegoś równie cienkiego z tak daleka.

- Jeśli ktoś potrzebuje dowodu, że to jednak ewolucja kory mózgowej, a nie grzbietowych mięśni przywodzących uczyniła nas ludźmi, tu go ma.

- Co? – Hannibale odwrócił się zdziwiony do Livansky'ego.

Doktor, upchnąwszy swoim zwyczajem ręce w kieszeniach, stał zapatrzony na Apeks. Oglądał go dotąd z zewnątrz tylko dwukrotnie, pierwszy raz podczas szkolnej wycieczki, a drugi w drodze do Erasthenes Monastap Vitskuola na praktykę międzytrymestralną. I tak jak wtedy, Wierzchołek wydał mu się dziwnie abstrakcyjną, małą i płaską strukturą. Efekt próżni, rzecz jasna, i nierozpraszanego niczym światła, ale i tak poczuł irracjonalne rozczarowanie.

- Nic, tak tylko do siebie gadam – bąknął Sash.

Hannibale wrócił do sterów. Już z włączonymi stroboskopami i aktywnym systemem przeciwkolizyjnym – ich okręt nie był tutaj przecież jedyną łajbą – ustawił się w dryf synchroniczny i zablokował pozycję.

- Dobra, to jaki mamy plan?

- Ty mnie pytasz? – Doktor uniósł brwi.

- Pytam.

- Musimy dostać się do środka, nad czym tu deliberować? I to w miarę prędko.

- Do środka którego z habitoriów?

- Któregoś na peryferiach, gdzie ruch jest zdecydowanie mniejszy i kontrole nie tak skrupulatne.

- Możesz dokładniej?

– Bo ja wiem? – Livansky wzruszył ramionami. – Langramo, na przykład. Albo Nasq.

– Chodzi mi o to twoje zaplecze diagnostyczne – uściślił Remmuerish.

– Zaplecze znajdę wszędzie, albo prawie wszędzie, z tym akurat jest najmniejsze zmartwienie. – Doktor machnął ręką. – W tej chwili nasz główny problem to przeprowadzić chłopaka przez bramki.

– A czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby... – Hannibale milczał przez chwilę, szukając odpowiedniego określenia – żeby go zagłuszyć?

– Thomasa?

– Tak. Sprawić, żeby ta jego infekcja stała się niewykrywalna dla portowych detektorów.

– Owszem, jest. – Livansky zrobił nieokreślony ruch ręką. – Ten okręt, chociażby. Jego kadłub na pewno stanowi doskonałą barierę dla fal elektromagnetycznych.

– Ja pytam serio.

– A ja serio odpowiadam: nie ma – rzekł Sash. – Przynajmniej nie w naszych obecnych warunkach. Co prawda mógłbym znowu założyć mu blok, nie zrobię tego jednak ze względu na niebezpieczeństwo uszkodzenia tkanki nerwowej, to po pierwsze. A po drugie, detektory i tak go złapią. W trybie pasywnym. Zresztą, co tam detektory, wystarczy na niego spojrzeć i już wiadomo, że coś z nim nie w porządku.

– Lieges przeszmygłowałyby go bez trudu – wtrąciła półszepem milcząca dotąd Bea.

– Kto? – Sash odwrócił się do niej.

– Mafia spedycyjna – podpowiedział Hannibale. – Według jednych źródeł kontrolują sześćdziesiąt, a według innych nawet do dziewięćdziesięciu procent całego frachtu do i z Wierzchołka. Jeśli nic przez te ostatnie sześć lat nie uległo zmianie. Hm, to jest myśl... Sęk w tym, że oni nie robią interesów z obcymi, trzeba mieć solidne dojsście.

– Ojciec pomógł kiedyś jednej z ich grubych ryb. Przez tydzień ukrywał kogoś w stoczni – powiedziała Beatrice. – Viggo Maslak, takie miał bodajże nazwisko. Przynosiłam mu jedzenie, ale to było wieki temu, więc nie wiem, czy mnie jeszcze pamięta. Ani czy w ogóle zechciałby nam pomóc.

– I jeśli nawet, to nie za darmo, o ile znam ten typ ludzi.

Doktor przeniósł wzrok z Remmuerisha na dziewczynę i z powrotem.

– Chwileczkę, jaka mafia? Mamy się zadawać z jakąś mafią? Czy wyście pogłupieli?!

– Jeszcze parę miesięcy temu zadawałeś się z nią dzień w dzień – zauważył inżynier.

– Co takiego?!

– No tak. Z urzędami, z transportem publicznym, służbą utylizacyjną.

– Przecież to są instytucje państwowe.

– A czym się różni państwo od takich Lieges? – Remmuerish wyduł pogardliwie wargi. – Niczym. Najwyżej słownictwem i strefą wpływów. Jedno i drugie to zorganizowana grupa przestępcza.

Z tym, że Lieges rozkazują, wymuszają, zastraszają i przekupują, państwo natomiast uprawia politykę, wydaje przepisy, instaluje wymiar sprawiedliwości, wysyła siły porządkowe i korumpuje subsydiami. Kiedy Lieges i kartel Vu, na przykład, żrą się o coś tam, mówią – wojna gangów. Kiedy jednak dwa państwa robią to samo, wtedy mamy do czynienia z konfliktem zbrojnym w imię obrony tak zwanych wyższych idei. Nie czytałeś Celtierova?

Livansky zamilkł. Hannibale zresztą też, jakby zaskoczony anarchistycznym manifestem, który de facto właśnie wygłosił.

– U kogo zaopatrywałeś się w sprzęt do swojej pracowni? – spytał w końcu. – U autoryzowanych dystrybutorów?

Tym razem medyk na swój sposób mu odpowiedział, z lekka pąsowiejąc.

– Sam widzisz. – Inżynier westchnął. – W takim już szarym świecie żyjemy. Kupowałeś aparaturę od cenciarzy, bo to był dla ciebie jedyny sposób, żeby móc nadal wykonywać zawód i pomagać chorym. I teraz tak samo.

– Wiem – bąknął Sash. – Przewrażliwienie. Egzystencja na pograniczu prawa ma ten skutek.

– *À propos* prawa, wciąż myślę, co z tobą. – Remmuerish popatrzył zafrasowany na przyjaciela. – I szczerze mówiąc, brak mi konceptu.

– Co ze mną? Nic. Długo tu przecież nie zabawimy, mam nadzieję.

– Długo czy krótko, skoro wolontariat zrobił u ciebie kocioł, to, jak dwa razy dwa to cztery, jesteś w ogólnowierzchołkowym rejestrze. A skoro w nim jesteś, wiadomo, że pole monitorujące cię wyłapie. Możliwe że nie natychmiast, możliwe że biurokratyczna bezwładność faktycznie da nam trochę więcej czasu. Albo zyskamy go dlatego, że wśród policyjnych priorytetów nie jesteś w tej chwili numerem jeden. W końcu jednak ktoś się tobą zainteresuje, a już na pewno pójdzie automatyczny sekping po sieci i ostrzeżenie dla wszystkich terminali identyfikacyjnych. Pierwszy szpital czy przychodnia, do której wejdiesz, i koniec.

– Ależ ja wcale nie miałem takiego zamiaru – zaprotestował Livansky. – Publiczna służba zdrowia absolutnie nie wchodzi w grę, z tego i z jeszcze paru innych powodów.

– To gdzie chcesz go zabrać?

– Na rewir – odparł Sash, używając slangowego określenia dla szarej strefy usług medycznych.

– Na rewir? Nie, no ty chyba jesteś niepoważny! – parsknął inżynier.

– Nigdzie, może poza ośrodkami rządowymi, nie znajdziesz lepszych i nowocześnie wyposażonych placówek.

– Ani większego zagęszczenia szpicli na kilometr sześcienny, człowieku!

– Którzy notabene sami się w tych nielegalnych klinikach leczą, w dodatku za darmo, szantażując personel. – Doktor uśmiechnął się ironicznie. – Zaufaj mi, znam ten rynek i wiem, jak się po nim poruszać.

– Policja zna go również, i jeżeli gdzieś będą szukali zbiegłego lejbmajstra z listem gończym...

– Nie będą.

Medyk, inżynier i Beatrice obrócili się ku czarnookiemu.

– Nikt nie będzie pana szukał, doktorze Livansky – powtórzył skrepowany wielkolud.

– Zaraz, skąd on...? – Sash przeniósł zdumiony wzrok na Hannibale. – Ty mu powiedziałeś?

– Co?

– No, moje nazwisko.

– Ależ absolutnie nie – odrzekł nie mniej zaskoczony Remmuerish.

– Więc skąd on je, u ciężkiej zarazy, zna?!

– Z pańskich akt osobowych.

– Z akt? – Sash zrobił krok w kierunku mężczyzny. – Z jakich akt? Do diabła, o co tu chodzi? I kto to naprawdę jest?

– Dragan Kutsheba, były wysoki funkcjonariusz Siódmej Komendatury w Luddung – wyrecytował czarnooki, zanim doktor zdążył otworzyć usta. – To ja zlikwidowałem pańską nielegalną pracownię w Finkar Lou, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Zniszczeniu uległ cały fizyczny materiał dowodowy łącznie ze śladami, które ewentualnie mogłyby do pana prowadzić. Usunąłem również co do jednego wszystkich naocznych świadków, dokumentację śledczą, a nawet Siódmą Komendaturę razem z ludźmi, pełniącymi podówczas służbę. Krótko mówiąc, dla aparatu ścigania przestaliśmy istnieć, obydwaj. Ja „zginałem” podczas tragicznej w skutkach eksplozji generatora EPEZ, pan natomiast w swoim własnym lejbrewku podczas zamieszania w trakcie akcji. Albo coś w tym rodzaju; końcowe raporty pisane są według szablonu.

Nikt zatem nie może pana ścigać ani wysyłać za panem jakichkolwiek listów gończych, bo oficjalnie nie ma już pana na tym świecie.

– Nikt? – Livansky usiadł, przyglądając się Kutshebie, jakby to był piorun kulisty albo królik, który nagle hycnął magikowi z cylindra. – Czemu wobec tego ze sobą rozmawiamy?

– To, drogi doktorze, jest już pytanie z zakresu metafizyki. –

Dragan uśmiechnął się. – I zapewne, jako człowieka o racjonalnym umyśle, nie usatysfakcjonuje pana moja odpowiedź.

– Zobaczymy – mruknął Sash.

– Mnie też замуrowało na pański widok – podjął Dragan. – I wie pan, co pomyślałem sobie w pierwszej chwili? Że świat nie może być aż tak mikroskopijny. Ze wszystkich osób, których nie spodziewałem się ujrzeć kiedykolwiek ponownie, pana postawiłbym na pierwszym miejscu. A mimo to spotkaliśmy się, twarzą w twarz. Pan powie: „przypadek”. Ja jednak jestem osobą wierzącą i w moim światopoglądzie miejsca na przypadki nie ma.

– Ha, no tak! – zakrzyknął niespodziewanie Remmuerish. – Nareszcie wyłania się z tego jakaś logika!

– Daj mu skończyć – powiedział medyk.

– Ale po co? Przecież on najwyraźniej znowu coś kombinuje. –

Inżynier wyduł lekceważąco wargi.

– Nie tym razem, panie Bremmer, mogę przysiąc...

– Możesz się, sukinsynu, zamknąć – odpalił mu Hannibale z iskierkami wściekłości w oczach. – Graw, wszystko jak na dłoni, a ja w ogóle nie skojarzyłem. Wiesz, przyjacielu, kogo my tu mamy? Macierz by was po stokroć... następnego Koresarię!

Livansky, o ile to było możliwe, zbaraniał jeszcze bardziej.

– „Jestem osobą wierzącą”, a który z fanatyków religijnych nią nie jest? – Inżynier pochylił się złowroźnie nad Draganem. – Ilu już ludzi zdołałeś uśmiercić w imię tego swojego światopoglądu, co? Ilu ich było wtedy w komendanturze?

– To nie tak, panie Bremmer...

– Ilu?! – ryknął mu Hannibale do ucha.

– Stu dwudziestu... czterech – wykrztusił Kutsheba.

– Plus ci nieszczęśni naoczni świadkowie. – Remmuerish wyprostował się. – Szubrawiec od dawna musiał wiedzieć o istnieniu Hansenowego mnemonu. Może sam wpadł na trop, aczkolwiek bardziej prawdopodobne, że cynk wraz z poleceniem odzyskania EPHEMERe otrzymał od kogoś postawionego wyżej, na przykład Kapituły. Trochę zastanawia, że nie przechwycił jej wcześniej, zanim trafiła w twoje ręce, choć z drugiej strony i w tym jest pewien sens. Trefny lejbxwerk, zakazana dzielnica, rutynowa akcja policyjna. Kto by się zorientował, że może tu chodzić o coś ważnego?

Albo też w którymś momencie jego plan trochę się poślizgnął na jakichś nieprzewidzianych okolicznościach i był zmuszony improwizować.

– Nic pan nie rozumie, to był przypadek! – Dragan szarpnął się w swoich postronkach.

– Przypadek? – Inżynier uniósł brwi, markując zdziwienie. – Ponoć nie istnieją dla ciebie przypadki.

Usta zamknęły się Kutshebie, jak zatrzaśnięte wiatrem okiennice.

– Nawet nie pytam, czy masz wyrzuty sumienia. – Remmuerish odwrócił się do ekspolicmajstra plecami. – Stu dwudziestu czterech podwładnych, współpracowników, kolegów, ot tak...

Graw, skąd się w ogóle biorą takie psychopatyczne, zimne monstra? Sash, możesz mi to wytłumaczyć? Pozbyliśmy się tylu chorób i defektów, a nie potrafimy usunąć z puli genowej tego śmiecia?

Nie chcemy? To ma jakąś ukrytą, dalekosiężną wartość przystosowawczą? Oświeć mnie, bo naprawdę nie rozumiem.

– Korektywa... – zaczął Livansky i natychmiast umilkł, jakby wypowiedzenie tego jednego wyrazu wyczerpało go do imentu.

Zapadła ponura, pełna napięcia cisza. Z Dragana uszedł cały luft, cała dotychczasowa, stoicka nonszalancja, zastąpiona teraz zwykłą obojętnością i zrezygnowaniem. Spuścił głowę i przez chwilę tak trwał, być może w oczekiwaniu na *coup de grâce* z ręki wrogiego mu Bremmera. A potem zaczął mówić cichym, beznamiętnym głosem, nie patrząc nikomu w oczy:

– Tak, to prawda, jestem sukinsynem. Małym, skończonym, przegranym sukinsynem. Chciałem splendorów i znaczenia, jakiego ten pieprzony wolontariat nigdy by mi nie dał. Próbowałem to osiągnąć rozmaitymi drogami, poprzez uczestnictwo w różnych dziwnych stowarzyszeniach, poprzez brudne układy i kupowanie znajomości, poprzez intrygi i inne zagrania poniżej pasa. Łapałem się wszystkiego, czego się dało, i bez skrupułów wykorzystywałem każdą napotkaną okazję, żeby wspiąć się jeszcze wyżej i stać się wreszcie kimś w tym naszym niby to egalitarnym, a w rzeczywistości niemal kastowym społeczeństwie. Społeczeństwie, które nie dało mi nic prócz mordęgi i upokorzeń, prócz duchowej pustki i fałszywych uśmiechów w nagrodę za pilnowanie, by żaden incydent nie zakłócił próżniaczej sielanki elit.

Hannibale odwrócił się na pięcie.

– Gniewu, tak jak strachu, pożądania czy innych podstawowych emocji nie wyeliminuje pan z ludzkiej natury, panie Bremmer, o ile ma pozostać ludzką. A mną kierował właśnie gniew na świat, w którym nie z mojej woli przyszło mi żyć. Gniew, który tli się w człowieku latami i wypala w końcu wszelkie inne uczucia.

Gniew, który po pewnym czasie istotnie trudno odróżnić od socjopatii. Taki gniew wymaga jednak skupienia go na czymś konkretnym, w przeciwnym wypadku można samemu spłonąć. Na przykład na ludziach uosabiających wszystko, czego nienawidziłem. Przez całe dorosłe życie szukałem na nich sposobu. Zaciągnąłem się do służb, licząc, że policyjna kariera mi to ułatwi. Że coś znajdę, wywęszę, a bodaj i sprowokuję. No i znalazłem, doktorze, w pańskiej przez psy i ludzi zapomnianej pracowni.

– Jeśli ci się zdaje, że wzbudzisz litość...

– Han! – Doktor uciszył inżyniera i zwrócił się do Kutsheby: – Niech pan mówi.

– Jeden z techników w naszym policyjnym laboratorium okazał się wtyczką Wydziału – podjął zboliałym głosem Dragan. – Nie miałem o tym pojęcia, a tym bardziej nie przyszło mi na myśl, że rozpozna sarkofag. Może zresztą nie rozpoznał EPHEMERe jako takiego, może uderzyła go jedynie nadzwyczajna archaiczność przedmiotu, który wraz z innymi trafił do analizy. Tak czy owak bezzwłocznie zaalarmował centralę, centrala zaś równie szybko skontaktowała się ze mną, żądając szczegółowego raportu oraz przekazania świadków wraz z kompletem dowodów rzeczowych łącznikowi, który zjawi się po ich odbiór w ciągu najdalej trzech godzin. Trzy godziny było tempem niezwykłym, jak na znany ze swych

rozbudowanych procedur Antydeh. Zatem wiedzieli już, co trafiło w moje ręce. Wizyta w ambulatorium uświadomiła to również i mnie, z całą szokującą jasnością. Ta twarz... Zrozumiałem, że jeśli natychmiast nie podejmę jakichś zdecydowanych działań, moja największa życiowa szansa, moja karta przetargowa, mój paszport do wieczności zostanie mi odebrany, a ja sam, zamiast na szczytach, skończę na grzybnej fermie lub w prosektorium.

– Projektant.

– Tak, Projektant. – Dragan uśmiechnął się gorzko. – Sensacja tysiąclecia, klucz do potęgi, pod moją kuratelą. Potrafi pan w ogóle wyobrazić sobie siłę takiej pokusy, panie Bremmer?

– Potrafię zrozumieć, czemu go porwałś i uciekłeś – odparł zimno Remmuerish. – Ale zamordowania stu kilkudziesięciu osób już nie.

– Nie ma zatem sensu, żebym tłumaczył. – Kutsheba wzruszył ramionami.

– Mnie to jednak interesuje.

– Bardziej niż kwestia, jak się mnie pozbyć? – Dragan zerknął przez ramię. – Wiem, co pan sobie w tej chwili myśli: „Jaka szkoda, że okręt nie ma służy”.

– Owszem, ma, w ładowniach. – Palec inżyniera wskazał podłogę.

– To na co pan jeszcze czeka? Dlaczego mnie pan przez nią nie wypchnie?

– Bo dość już tu krąży orbitalnego śmiecia. Poza tym twoje miejsce jest wśród dawnych kolegów ze służb. Nieoczekiwany widok znajomej gęby na pewno bardzo ich ucieszy!

– Ach, czyli chce mnie pan przekazać władzom. – Kutsheba zdusił śmiech. – I przy okazji narobić sobie masy dodatkowych kłopotów? Proszę bardzo.

– Jakich kłopotów?

– No cóż, w najlepszym razie naje się pan tylko wstydu, a w najgorszym trafi za kratki. Na długo. Pan, nie ja.

– Proszę?

– No tak. Zniszczenie zarówno Siódmej Komendantury, jak i nielegalnego lejberku z przebywającymi tam wówczas funkcjonariuszami to akty terrorystyczne. Czy pan myśli, że aranżując własną śmierć, nie zadbałem o detale? O zatarcie wszelkich śladów, które mogłyby wskazywać na mnie jako sprawcę? Dragan Kutsheba jest obecnie bohaterem, który zginął na posterunku, a prawdziwy zamachowiec wciąż się przechadza swobodnie, niewykryty do dzisiaj. Po czym nagle zjawia się niejaki Bremmer... Inteligentny z pana człowiek, proszę sobie dopowiedzieć ciąg dalszy.

Hannibale w milczeniu przetrwał ostatnie słowa Dragana.

– Jak pan zatem widzi, z nas dwóch to nie ja powinienem się obawiać „kolegów ze służb”. Są jednak inne powody, które napawają mnie lękiem na myśl o powrocie do Apeksu. Nie, źle mówię, przerażeniem. Inni ludzie, potężni, wpływowi i niewybaczający zdrady. Znam ich i wiem, że oficjalne nekrologi ich nie przekonały. I że rozglądają się za mną intensywnie, tysiadcem oczu. Dotąd byłem martwy formalnie, teraz będę dosłownie.

Wystarczy tylko odstawić mnie do któregoś z habitoriów, panie Bremmer. Albo też nie odstawiać, pański wybór.

– Ty coś sugerujesz?

– Tak. Żebyśmy ubili interes.

– Z tobą, gnido?

– Żadna liczba epitetów nie zmieni faktu, że mam coś, na czym wam w tej chwili najbardziej zależy: sposób na szybkie i niezauważone przeniknięcie do środka. Pewien kapitan ma wobec mnie niespłacony od lat dług. To najlepszy i zarazem najuczciwszy szmugler, jakiego znam. Ręczę, że zgodzi się was przetransportować. Wszystko, o co proszę w zamian, to żebyście zostawili mnie na pokładzie jego barki i zapomnieli, że kiedykolwiek istniałem.

– Poradzimy sobie bez twojej pomocy, gracias – odparł Hannibale sucho.

– Zapewne, jednak z nią o wiele prędzej. – Dragan nie dawał za wygraną. – A czas ma dla was ogromne znaczenie, jak rozumiem. Proszę sobie przekalkulować: ryzyko związane z moją propozycją versus prawdopodobieństwo, że zdążycie, działając na własną rękę. Co tu jest do stracenia? Dla was nic, raptem jakieś pół godziny nadłożonej drogi, gdyby się okazało, że wszystko to tylko jeszcze jeden z moich świńskich manewrów. Dla mnie natomiast...

– Wstawaj – zakomenderował nieoczekiwanie inżynier.

W oczach Dragana zabłyśły iskierki niepokoju. Widząc, jak się ociąga, Remmuerish złapał go za przegub i bez wysiłku poderwał.

– Idziemy.

– Dokąd?

– Do służby.

– Co?! Nie, zaraz, chwileczkę! – Kutsheba szarpnął się w tył. –

Panie Bremmer, to, co powiedziałem, jest prawdą, ten szmugler nazywa się Halversen. To jest najszczerza prawda! Błagam, ja chcę już tylko zniknąć!

– No i znikniesz.

– Błagam! – powtórzył Kutsheba, padając na kolana. – Niech mi pan da chociaż szansę, chociaż cień szansy na odpokutowanie wszystkiego, co złego uczyniłem!

– Nie zasługujesz. – Inżynier zamiótł roztrzęsionym eks-wolontariuszem po podłodze. – Ty żałosna kupo gówna.

– Tak, panie Bremmer, jestem nią. – Strach, zamiast dodać Draganowi sił, odebrał mu je całkowicie.

– I bez chwili namysłu wywalę cię za burtę, jak każdą inną nieczystość. – Remmuerish postawił Kutshebę do pionu. – Na pierwszy znak, że znowu próbujesz coś kombinować. Rozumiesz, co do ciebie mówię? I że nie żartuję?

– Rozumiem, panie Bremmer, co do litery!

– No to powiedz mi teraz coś więcej o tym Halversenie.

Rozdział 9

Na prośbę Kutsheby, a właściwie nie tyle prośbę, ile nieśmiało wyrażoną sugestią, Remmuerish zmienił kurs i po kilku minutach wznoszenia zaparkował okręt wysoko ponad ostatnim z bąbli.

Wierzchołek, o tej porze roku oświetlony niemal przez całą dobę, płonął na podobieństwo gigantycznego stosu brylantów, którego fasetki odbijały słoneczne promienie w miarę, jak Ziemia obracała się wokół osi. Półtora tysiąca kilometrów niżej panowała już jednak noc i rozbłyśki niezliczonych światel pozycyjnych wyglądały stąd niczym roziskrzone okruchy kolorowego szkła, rozsypanego w nierównomiernych wachlarzach i pasmach. Trójwymiarowy ekran szybko zaczął się wypełniać aktualnymi danymi o zajętości poszczególnych sektorów.

Inżynier aż wziął się pod boki, z niedowierzaniem obserwując niemal lawinowy przyrost liczby kolorowych punktów.

– I my mamy w tym galimatiasie coś znaleźć? Co właściwie? – zapytał.

– Niewielki, echem... towarowy bryg – odchrząknął Dragan z za jego pleców.

– I co, to wszystko? – Remmuerish popatrzył na Kutshebę gniewnie. – Przecież takich dżonek kręci się tutaj od czorta!

– Większość to jednak dżonki autentyczne, podczas gdy kapitan Halversen tak naprawdę dowodzi płytowcem, który jedynie udaje dżonkę.

– Kamuflaż? Jakiego typu? Fizyczny, projekcyjny?

– Fizyczny. To znaczy, takiego używał.

– A teraz?

– A teraz, to...

– Kutsheba!

– Nie widziałem go ponad rok, panie Bremmer, zawsze istnieje możliwość, że coś przez ten czas zmienił albo zmodernizował, ale raczej nie sądzę, bo to wyjątkowy konserwatysta – wyrzucił jednym tchem Dragan.

Inżynier zmarszczył groźnie brwi, zdusił jednak przekleństwo i powiedział tylko:

– Podaj mi chociaż wymiary. Czy i one mogły się zmienić?

– Sto dwadzieścia osiem na pięćdziesiąt trzy na sześćdziesiąt jeden metrów, od kilu do czubka masztu flagowego – wyrecytował bez zająknięcia Dragan.

– Dokładnie? – zdziwił się Remmuerish. – Znowu zaczynasz się zgrywać?

– Ależ skąd! – zaprotestował gwałtownie Kutsheba. – Ja mam po prostu ejdetyczną pamięć do liczb, panie Bremmer. Chciałem jeszcze powiedzieć...

Inżynier uciszył go, unosząc palec, i jednocześnie drugą ręką wprowadził podane mu przez Kutshebę parametry do konsoli.

Liczba kolorowych punkcików w otaczającym Wierzchołek halo natychmiast drastycznie zmalała do piętnastu.

– Zdecydowanie lepiej – mruknął z zadowoleniem. – Aczkolwiek to wciąż o czternaście za dużo. Czy ten bryg ma jakieś znaki szczególne?

– No właśnie o tym chciałem mówić, ma – potwierdził skwapliwie Dragan. – Banderę. I powiedziałbym... dość, ee... charakterystyczną.

– Opisz.

– Niebieski, biało obwiedziony krzyż na czerwonym tle. Najciekawsze jednak jest to, że to nie żaden holoemblem, tylko kawał najprawdziwszej szmaty na drągu.

– Co takiego?!

– Cały Halversen. – Kutsheba wzruszył ramionami.

Inżynier przydzielił osobny wyświetlacz każdemu z piętnastu punktów i powiększył je do obrazów rzeczywistych jednostek.

Cztery śmieciowce, dwa superluksusowe jachty, holownik z ładunkiem, i...

– A niech mnie... – Hannibale pokręcił w zdumieniu głową. – I to jest na pewno on?

– Na pewno, panie Bremmer. – Dragan wydał głośnie westchnienie ulgi. – Na pewno.

Flaga. Dziurawa, postrzępiona i, żeby już było do cna surrealistycznie, powiewająca. W próżni.

– Nie do wiary, jak on to zrobił?

– Spyta go pan sam.

– Żebyś wiedział. – Remmuerish pogasił wszystkie ekrany oprócz jednego. – Żebyś wiedział!

* * *

– Jeśli któryś chce coś powiedzieć, to teraz. – Halversen zwrócił się do wszystkich, prosto w oczy spoglądał jednak tylko swemu pierwszemu oficerowi. – Mikesz?

– A czemu ja?

– Bo najwyraźniej coś ci nie pasuje.

– Owszem, mam parę zastrzeżeń.

– W takim razie je przedstaw.

– I po cholere? Żeby mnie reszta zlinczowała? – Pierwszy wzruszył ramionami. – Ten kontrakt śmierdzi. Ja to czuję, ty to czujesz i wszyscy chyba, jak tu siedzą. Ale dla takiego szmalu gotowi jesteście zatkać nosy.

– Ty nie?

– Proszę, choćby ten punkt, który zakazuje nam sprawdzić naturę przewożonego ładunku.

– Nie odpowiedziałeś.

– Och, daj spokój, tobie się to podoba?

– A kto twierdzi, że mi się podoba? – oburzył się Halversen. – Niemniej złożyłem swój podpis i nie mogę się wycofać. Wy natomiast możecie. Ale teraz. Nie potem. Bo potem będę potrzebował już tylko zgranej i kompetentnej załogi i nie będzie zrozumienia dla żadnych spóźnionych żalów, jasne?

– Aye – odpowiedział mu nie całkiem zgrany chór.

– Macie pięć minut.

– Na co? – Bosman się skrzywił.

– Na podjęcie decyzji.

– Z całym szacunkiem, ale co tu jest do decydowania? Przecież wiadomo, że bez tego kontraktu leżymy jak sadza na Japetusie. Bez jakiegokolwiek kontraktu, czy śmierdzącego, czy tam sobie pachnącego jak fiołki, leżymy. I z miejsca możesz nas, szyper, wyokrętować. Dobrze mówię?

– Aye! – Tym razem głosy zabrzmiały głośniejszy i zgodniej.

– Długi po uszy, skorupa nieremontowana od wieków, tak się sprawy mają – dorzucił bosman. – I nie to, szyper, że za tobą nie pójdziemy, kiedy tylko poprosisz, ale jak w końcu zabraknie na wszystko, nie będzie nawet po co. A ryzyko? Mało to razy chcieli nas różni wykiwać?

– Czy to znaczy, że mogę na was liczyć? – Halversen powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach.

– Bezwarunkowo. – Bosman zasalutował.

– Mikesz?

– Nawet mnie nie denerwuj takimi pytaniami! Oczywiście, że możesz na nas liczyć.

– Wobec tego bierzmy się do pracy – zakomenderował krótko Halversen. – Ortega zajmie się przygotowaniem ładowni, Galliard takielunkiem cumowniczym. Tropos, co z tą lewą bieżnią?

– Szczerze powiedziawszy, nie za ciekawie – odparł mechanik.

– Środkowy solenoid zdechł całkiem, nic już z nim nie zrobię, do wymiany. Pozostałe dwa na prowizorycznym sprzęgu, wyciśnie się z nich najwyżej jakieś sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć procent mocy. Tyle dobrego, że kompensator działa i można wyrównać fluksiem ze sterburty. Będziemy więc trochę wolniejsi, ale przynajmniej nadal sterowni.

– Dobra, wracaj na dół i pilnuj złomu, żeby się nam do reszty nie rozsypał. Manewry rozpoczynamy za dziesięć minut.

– Co? Jakie dziesięć minut?! – parsknął z niedowierzaniem bosman. – Prędeż za tydzień! W życiu nie widziałem podobnego tłoku. Myślałbyś, że ludzie ustawili się w kolejce do bram niebieskich, a nie do odprawy celnej.

– Nas kolejka nie dotyczy. – Halversen uśmiechnął się enigmatycznie, podchodząc do zaplombowanego czytnika rejestrów.

Każdy okręt, o ile nie pragnął konfliktu z wierzchołkowymi służbami granicznymi, musiał się zgodzić na doczepienie sobie pąkli, czyli boi parkingowej, i cierpliwie czekać, aż szafranowy piktogram „HALT” zmieni się na zielony „KLAR”.

– A to czemu? – zaciekawiał się pierwszy.

– A temu. – Kapitan machnął zastępcy przed nosem małą kartą kodową, po czym wsunął jej krawędź do szczeliny inspekcyjnej czytnika. Szafranowy glif momentalnie pozieleniał.

– No i proszę! – Halversen pstryknął palcami. – Swoją drogą, rzeczywiście musi mieć wpływy, sukinsyn.

– O kim mówisz?

– O naszym nowym zleceniodawcy.

– Mam nadzieję... czekaj... w porządku, boja zwolniła elektrokotwy.

– To daj światła awaryjno-manewrowe i powolutku nas stąd wyprowadź. Powolutku, mówię. A potem weź kurs na doki Monaira, śluza numer jedenaście. Tropos?

– Tak? – Twarz mechanika pojawiła się nad interkomem.

– Mamy kłopoty natury technicznej.

– Szadź błada, jakie znowu? – przestraszył się Tropos.

– Nie wiem, wymyśl coś.

– Wymyśl? – Przez chwilę na twarzy tamtego malowała się konsternacja. Tylko przez chwilę. – Aa, już rozumiem. Udajemy trzaśniętych?

– Tylko żeby wyglądało wiarygodnie.

– Nie ma sprawy – odrzekł z nutką sarkazmu Tropos. – Właściwie z tą strupieszalą lewą bieżnią to nie musimy nawet za bardzo udawać. Ale dodam jeszcze symulowaną dekoherencję solitonów dla spotęgowania efektu, może być?

– Ty tu jesteś specem. Zrób, jak uważasz.

Chwilę później Celestą szarpnęło wyczuwalnie i okręt, dotąd stabilny, zaczął robić leniwy zwrot przez bakburtę.

– Hej, ale układów antyinercyjnych nie musisz od razu wyłączać! – krzyknął Halversen.

– Niczego jeszcze nawet nie ruszyłem! – zaprotestował mechanik.

– A może puścił ten twój prowizoryczny sprzęg? – Kapitan zmarszczył brwi.

– Prędeż ja bym w gacie popuścił.

– Więc co się dzieje?

– Ha, spójrz tutaj! – Mikesz trącił go i wskazał na trójwymiarowy schemat statku z pulsującą rubinowo sekcją rufy. – Zdesymetryzowało nas, bo ktoś się nam przyczepił do tyłka. Patrolowiec? Co, do suczej łysej? Przecież mamy klar!

– Nie, to nie straż – mruknął kapitan. – Oni nie zakradają się znieścacka. Ja już chyba wiem, co tam wisi – część polisy ubezpieczeniowej. Podejrzliwy, stary zgred, ale co za dużo, to za dużo! Mikesz, chodź ze mną.

– Mam wziąć broń? – zaniepokoił się pierwszy oficer.

– Nie, masz tylko stać obok i pilnować, żebym nie wyszedł z siebie i nie dał komuś w zęby.

Komora luku ładowniczego migotała taką samą czerwienią jak na schemacie. Pełny kontakt kryz dokujących. I syrena wywoławcza. Bez dwóch zdań ktoś czekał za drzwiami i dobijał się do nich, żądając natychmiastowego wpuszczenia na pokład. Halversen zbliżył się do tablicy kontrolnej, poskramiając złość. Nie cierpiał, gdy patrzono mu na ręce, podobnie jak niezapowiedzianych wizyt.

Przede wszystkim jednak trafiał go szlag, gdy w taki bądź inny sposób implikowano, że może być szmatławcem bez honoru. Pan minister jednak najwyraźniej sądził innych ludzi podług siebie.

– Ciśnienia wyrównane – oznajmił okręt.

– Zglasuj – poprosił Halversen.

Miał na języku kilka różnych powitalnych formułek, co jedną to mniej dyplomatyczną, ale gdy wrota śluzy zrobiły się z mlecznobiałych przezroczyste i zobaczył, kto za nimi stoi, odwrócił się do pierwszego oficera i wycedził:

– Wiesz co? Chyba zmieniłem zdanie. Przynieś mi ten pistolet.

* * *

Kutsheba nie skłamał, on i Halversen faktycznie byli starymi znajomymi. Celowo natomiast przemilczał mało przyjacielski charakter ich znajomości. Jego obecna sytuacja nie pozostawiała mu szerokiego pola manewru, mógł co najwyżej wybierać pomiędzy większym i mniejszym złem. Wybrał więc kryminalistów *ex iure*, z którymi wbrew pozorom niejedno zdyskredytowanego policjanta łączyło i zawsze istniała szansa na znalezienie z nimi wspólnego języka, choćby to był język agresywny.

W rzeczy samej powitalna wymiana „kurtuazji” omal nie zakończyła się regularną bójką. Kapitan szybko jednak poskromił swych podwładnych i rozkazał im odeskortować Kutshebę – już bez żadnych ekscesów – do jednej z pustych ładowni. Natomiast Remmuerish z Livanskym stanęli przed problemem, jak tu najzręczniejszą zacząć rozmowę z kapitanem.

Po takim preludium słowa „nic nas z tym draniem nie łączy” musiałyby zabrzmieć w uszach Halversena naiwnie i fałszywie. Odwoływanie się bezpośrednio do samarytańskich

uczuciu szmuglera też nie wydawało się skuteczną taktyką. Było oczywiste, że jeśli mają go przekonać, to tylko czymś konkretnym, ewentualnie prawidłowo dobranymi argumentami. A że z nich dwóch mocniejszy w gębie był Hannibale, na niego spadł ciężar rozmów. Początkowo Halversen w ogóle nie miał ochoty na ich prowadzenie i zażądał natychmiastowego odcumowania dyskowca. Remmuerish namówił go jednak na wizję lokalną i gdy po dobrych dziesięciu minutach wrócili z galeonu do ładowni „Celesty”, nastrój kapitana nie był już ten sam.

– Dobra, pogadajmy. – Westchnął. – Ale nie tutaj. Mikesz, zaprowadź ich do salonu, ja mam tu jeszcze jedną sprawę.

Nie uszli dwóch kroków, kiedy Hannibale ni z tego, ni z owego zapytał:

– Rozsypuje się wam trakcja, nieprawdaż?

– Ależ skąd! – odpowiedział Halversen, na co inżynier tylko się uśmiechnął.

– Bieżnik sterburty, przecież to się czuje. Solenoidy na drutach, przeciekająca izolacja kanału, arytmia bramek rozrządu, które, jeśli czegoś się z nimi nie zrobi, i to zaraz, przegrzeją się wam najdalej za pół godziny. A kil to chyba od miesiący nie buforuje węzłów jak trzeba. Mam wymieniać dalej?

Halversen przystanął, zaintrygowany.

– Mechanik?

– Powiedzmy, że znam się na tych rzeczach.

– Moi ludzie też.

Hannibale wyminął go i przyłożył dłoń do grodzi, jak lekarz do łona ciężarnej kobiety.

– Tak? To czemu dwa z działających jeszcze akceleratorów sprzęgli współosiowo? Taki manewr można stosować w nowoczesnych jednostkach z czterobieźnią, ale nie na starym trójpunktowcu, gdzie istnieje groźba powstania wiązek wtórnych i w konsekwencji nieodwracalnego rozgeometrowania pola.

– I pan to tak po prostu wyczuwasz? Rękami? – Halversen skrzywił się sceptycznie.

– Każdy mechanizm, podobnie jak człowiek, ma swoją charakterystyczną mowę ciała – odparł inżynier.

– Hm... – Kapitan zastanawiał się przez sekundę i w końcu skinął głową. – Dobra, co mi szkodzi, możesz pan zerknąć. Tylko bez macania czegokolwiek, jasne?

– Oczywiście – zgodził się Remmuerish.

– A doktor...

– Ja tu poczekam – zadeklarował z miejsca Livansky.

No i czekał. Już od ponad godziny. Salonik okazał się miniaturowym muzeum, gdzie wszystko było antyczne, albo może tylko podrobione na starość. Sash nie znał się na tych sprawach. Repliki okrętów pod szkłem, sekstans i jakieś kanciaste, matowoszare pudła wyglądały autentycznie zabytkowo, aczkolwiek stołowi i obitym trzeszczącą skórą fotelom również trudno byłoby zarzucić nowoczesność.

Obejrzawszy wszystko, co było do obejrzenia, Livansky spoczął w końcu na jednym z nich i z braku czegokolwiek innego do roboty, pograżył się w rozmyślaniach. Z początku nad różnymi technicznymi drobiazgami, szybko jednak jego umysł zdryfował w stronę kwestii bardziej ogólnych i pytań, które nie dawały mu spokoju, odkąd wylecieli z New Cheshire. Na przykład, czy z punktu widzenia szeroko pojętej etyki lekarskiej postępuje właściwie? Albo inaczej: czy postępuje mądrze? A czy istniała na to w ogóle jakaś jednoznaczna odpowiedź? Kiedy rzeka ze spokojnej zmienia się nagle w rwącą i spienioną kipieli, decyzje trzeba podejmować w ciągu sekund i nie zawsze okazują się one trafne.

Kevin, Koresaria, a teraz Farquahart. Livansky czuł się jak student przed komisją egzaminacyjną, która z testu na test zwiększa poziom skomplikowania i niejednoznaczności. Jak pan się zachowa w tym konkretnym przypadku, doktorze? Co uzna pan za priorytet? W jaki sposób wyważy pan pomiędzy możliwym dobrem a potencjalnym złem, oraz uzasadni dokonany przez siebie wybór?

Przecucie, Wysoka Komisjo, po prostu przecucie mi mówi, że moja decyzja, choć obarczona ryzykiem i oparta w ogromnym stopniu na domniemaniach, jest słuszna. W rzeczy samej Sash nie miał żadnej pewności, ale z drugiej strony pocieszał się, czym byłoby życie, gdyby wszystko było pewne i wiadome od początku do końca? Nudą, pustką, bezsensownym przeżywaniem czasu. To już chyba lepiej szarpać się z rozterkami i dylematami, uwiarygadniającymi iluzję zwaną wolną wolą człowieka. Jak choćby z myślą, czy aby naprawdę postępował odpowiedzialnie i z wysokich pobudek, w opozycji do działania nieodpowiedzialnego i samolubnego?

No bo jeśli Thomas faktycznie nosił w sobie zarzewie epidemii?

Wówczas wprowadzenie go boczną furtką do gęsto zaludnionego Apeksu byłoby równoznaczne z nanoterroryzmem. Sash nie patrzył na to jednak pod takim kątem, z kilku powodów. Primo, Kevin. Teoretycznie Farquahart mógł się zakazić tymi cholernymi elementami na tysiąc różnych sposobów, niemniej wszystkie dotychczasowe poszlaki wskazywały, że to właśnie mały Kudlischka był wektorem. Kudlischka, który pomimo zabezpieczeń co rusz nawiewał z izolatki i snuł się pomiędzy ludźmi. Dlaczego zatem nikt inny w New Cheshire nie zachorował? Z drugiej strony Kevin nie mógł być jedyną ofiarą tej dziwacznej zarazy, kłóciłoby się to po prostu z rachunkiem prawdopodobieństwa. Z tego, co mówił Hannibale, wynikało, że chłopiec złapał to świństwo przypadkowo, w dzikim, opustoszałym lesie. Miał pecha, ale taki pech mógł się przecież przytrafić niejednemu, gdyż rezerwuarem agresywnych elementów wydawało się szeroko rozumiane otoczenie.

Idąc dalej tym tropem, można było z dużą dozą ufności założyć, iż przypadek Kevina nie był jednostkowy, lecz że odzwierciedlał pewien statystyczny rozkład. Bez względu jednak na to, jaki był współczynnik podatności na zarażenie – jeden człowiek na tysiąc czy jeden na dziesięć milionów – im gęstsza populacja, tym większe tempo rozprzestrzeniania się patogenów. A pod tym względem Wierzchołek wiódł niekwestionowany prym. Mogło się

więc okazać, że Thomas nie stanowi żadnego zaskoczenia dla służb sanitarno-medycznych Apeksu i że „zaraza” została już dawno rozpoznana, co zdjęłoby zeń odium tego, który zawlókł ją tutaj jako pierwszy. Gdyby zaś Farquahart, pomimo całej tej statystycznej logiki, okazał się wyjątkiem, to tym bardziej powinien zostać przebadany od stóp do głów.

Remmuerish w końcu wrócił, i to, sądząc po minie, z tarczą.

– No i jak? – Doktor poderwał się z fotela.

– Jest dobrze. Właściwie nawet lepiej niż dobrze – rzucił od progu rozpromieniony Remmuerish. – Czy mówi ci coś nazwa Pawilony Uhuru?

– Pewnie, że mówi, przecież to jedna z najlepszych wierzchołkowych klinik. – Livansky zamrugał. – I najbardziej ekskluzywnych, tylko dla VIP-ów. A gdzie o tym słyszałeś?

– Halversen mi powiedział.

– Tak sam z siebie?

– Widocznie czuł się w obowiązku zrewanżować.

– Za co? Ten Kutsheba był dla niego aż tyle wart?

– E tam, Kutsheba – parsknął Remmuerish. – Za to, że zreperowałem mu statek. Kupę złomu, nie statek, tak między nami mówiąc, ale pal diabli. Ważne, że go uszczęśliwiłem. I że w zamian skontaktuje nas z kimś, kto podobno ma świetne dojścia do tych Pawilonów.

– No to chyba z jakimś ministrem albo inną szychą.

– Nie wiem, nie zdradził mi szczegółów. Zapewnił tylko, że jest to osoba godna zaufania.

– Pawilony Uhuru, jasny świt! – Sash przecesał włosy palcami. – Człowieku, zdajesz sobie sprawę, jakim oni dysponują tam sprzętem?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Inżynier uśmiechnął się. – Rozumiem jednak, że jesteś zadowolony?

– Ha, jeszcze jak! – zakrzyknął medyk.

– W takim razie chodźmy.

* * *

Wierzchołkowa śluza w akcji była widokiem... cóż, powiedzmy, że widok ów trudno było nazwać estetycznym, o ile oglądający nie należał do miłośników podniet dość szczególnego rodzaju. Niewykluczone, że dwustumetrowa odbytница, która otwierała się przed ich oczami, wprawiały kogoś takiego w ekstazę. Porównań analnych trudno było uniknąć, patrząc, jak mięsiste, żłobkowane fałdy drzewnej tkanki falują i klęsną, jak polipowate jęczory kurczą się na podobieństwo ślimaka we wrzątku, jak szczeliny pomiędzy ciętymi w grzebień krawędziami tych żywych wrót, rozedrgane i połyskujące tłustawo, stają się coraz szersze, a drobne detale struktury coraz mniej wyraziste.

Brakowało tylko smrodliwego wiatru, buchającego z czeluści na podróznym, i charakterystycznych odgłosów. Gazy wydobywały się zresztą stamtąd naprawdę, pierwotną

rolą śluz była wszak sanitacja. W każdej chwili Drzewo, do spółki z zamkniętą w nim biomasa, wytwarzało ładne parę kilometrów sześciennych substancji lotnych, z których większość wracała do obiegu.

Część jednak stanowiła definitywny odpad, który wymagał systematycznego usuwania. I temu służyły śluzy; dopiero znacznie później niezmordowana pomysłowość ludzka zaadaptowała je na kosmiczne przystanie.

Hannibale ustawił się w kilwaterze Celesty, tuż za jej rufowymi estradellami. Rzecz jasna, frachtowiec nie posiadał kilu w klasycznym znaczeniu tego słowa i nie ciągnął się za nim żaden spieniony warkocz, co najwyżej niewidzialna smuga egzotycznych cząstek elementarnych. Jednakże czy to z sentymentu do przodków, czy też może na skutek jakiejś historycznej bezwładności, żeglarska brać wciąż używała zdezaktualizowanej i śmiesznie w obecnych czasach brzmiącej terminologii.

– No, teraz się okaże, jak dobrego mają nawigatora – mruknął inżynier.

Celesta wycelowała dziobem w sam środek na wpół już otwartej śluzy, przygotowując się do ostatniego manewru. Z pozoru nieskomplikowanego, cóż bowiem za trudność przeprowadzić okręt kanałem trzykrotnie od niego szerszym i zaledwie dwa razy dłuższym? Sęk w tym, że ów kanał był żywą, reagującą na bodźce strukturą. By jej nie drażnić, w nowszych jednostkach stosowano zaawansowane systemy do kształtowania geometrii pól nośnych.

A Halversen dysponował jedynie przestarzałymi tłumikami Faradaya, po wysunięciu których efektywny profil statku stawał się niewiele mniejszy od maksymalnej średnicy przepustu. Jedna sekunda spóźnienia, jeden źle skalkulowany wektor i utkną tu jak, nie przymierzając, wykałaczka w dupie. Ktokolwiek siedział za sterami Celesty, niewątpliwie był tego świadom i znał się na pilotażu, co udowodnił, gładko wprowadzając frachtowiec do komory.

Mijali właśnie jej próg, kiedy ni z tego, ni z owego Farquahart uniósł się na łokciu i wskazując palcem obkurczoną diafragmę, wyszeptał:

– Tak, tu jest defekt.

Remmuerish odruchowo popatrzył w tę samą stronę, niczego nadzwyczajnego jednak nie zauważył.

– Defekt?

– Lokalna arytmia postnekrotyczna, trzeba naprawić.

Arytmia postnekrotyczna, wcześniej ereochordia... Rany macierzy, jakim cudem ten chłopak w ogóle znał takie słowa? Sam nie mógł ich sobie wymyślić, z archiwum też nie zaczerpnął. I jeśli ponadludzko wyostrzoną percepcję dało się jeszcze wytłumaczyć zmianami chorobowymi w mózgu, to już nijak nie można było temu przypisać nagłego wzrostu poziomu wiedzy o Drzewie.

No chyba, przyszło Remmuerishowi na myśl, że skutkiem infekcji było również zaburzenie pracy komplantu. Te głosy, które biedak ponoć słyszał, mogły pochodzić właśnie stamtąd, z nieprawidłowo działającego wszczepu. Obca terminologia również. Dziwne jednak, że Sash nie zwrócił na to uwagi. Nie zwrócił? A skąd on, u diabła, wie, że nie zwrócił? Może to była jedna z pierwszych rzeczy, którą Livansky dostrzegł, tylko nikomu o niej nie wspomniał, uznał to bowiem za problem drugorzędny. Raz jeszcze Hannibale musiał przywołać się do porządku. Nie był w sprawach medycznych specjalistą i lepiej, żeby nie zanieczyszczał osądu doktora swoimi amatorskimi spekulacjami.

Celesta zawisła nieruchomo w komorze przedsionka, oczekując na zamknięcie się zewnętrznej i otwarcie wewnętrznej diafragmy, za którą dopiero znajdował się właściwy port. Na jego widok Hannibale poczuł momentalne ukłucie nostalgii, bo cokolwiek by mówić o jego dotychczasowym życiu, najlepszy okres był związany właśnie z pracą w takim portowym otoczeniu. No, może niezupełnie takim. To tutaj trudno było nawet nazwać portem z prawdziwego zdarzenia, przynajmniej w tej chwili. Stocznia remontową tym bardziej.

W całej, ponad pięćsetmetrowej kiszce Remmuerish dostrzegł zaledwie trzy rampy, z czego oświetlona i gotowa na przyjęcie cum wydawała się tylko jedna z nich. Doki sprawiały wrażenie wypatroszonych, można się było jedynie zastanawiać, czy stało się to w trakcie planowego demontażu, czy też raczej na skutek działalności szabrowniczych gangów. I gdyby miał się zakładać, inżynier bez wahania postawiłby na to drugie. To, czego nie zdołano zabrać, bądź nie uznano za opłacalne, nosiło charakterystyczne ślady nanokorozyj. Sądząc po jej zaawansowaniu, port stał opuszczony co najmniej od dobrych paru miesięcy. Pusty, zapomniany i od dawna nieuwzględniany w harmonogramach okresowych przeglądów. Jednym słowem, idealne miejsce na prowadzenie przemysłowych interesów.

Zaledwie paru ludzi kręciło się przy stosie nieoznakowanych kontenerów, ani chybi z kontrabandą dla Halversena. Frachtowiec podpłynął do kotew cumowniczych – świeżo, najprawdopodobniej tymczasowo zainstalowanych dla tej konkretnej roboty – i delikatnie osiadł na pulsujących ostrzegawczym karmazynem magnetycznych poduszkach buforów. Bez czyjejkolwiek asysty z zewnątrz, za co w każdym normalnym porcie groziłaby rujnująca grzywna.

Tu jednak absolutnie nikt się tym nie przejmował.

Nie bardzo wiedząc, co dalej, Remmuerish postanowił zaczekać w powietrzu. Ekipa na rampie już ich dostrzegła, ale nie wydawali się jakoś szczególnie zaalarmowani. Zdecydowanie bardziej ożywił ich widok kapitana. Halversen zeskoczył z trapu, przywitał się z nimi, coś krótko zagadał, po czym dał znak Hannibale. Inżynier posadził galeon we wskazanym miejscu i wyszedł, zaciągając się charakterystyczną wonią metalu, kurzu, pleśni, migdałów i drożdżowego zacieru. Dom, po jakże długiej rozłące.

– Umówiłem was na starej łoży parkingowej. Kiedy stąd wyjdziecie, to sto metrów prosto, a później lewym ślimakiem w dół. – Halversen odchrząknął i wyciągnął rękę z kieszeni. – I jeszcze taki mały drobiazg na odchodnym.

– Co to jest? – spytał Remmuerish najzupełniej retorycznie, natychmiast bowiem rozpoznał trzymany przez kapitana przedmiot.

– Pięć tysięcy.

– Ale absolutnie nie ma mowy!

– Panie Bremmer, gdybym oddał Celestę do serwisu, to za to, co pan zrobił, zdarliby ze mnie skórę. – Kapitan zniżył głos: – Musisz pan przyjąć, inaczej stracę twarz przed swoimi ludźmi. To są ich pieniądze, nie moje. Każdy dał, ile mógł, z własnej kieszeni. I obraziłby ich pan odmową.

– Hm, no to już nieco inny argument – rzekł z westchnieniem Hannibale, chowając trezor do kieszeni. – Czyli jeszcze raz: prosto i potem lewym ślimakiem w dół?

– Zgadza się. Galeon można spokojnie zostawić, nikt go tu nie ruszy. Ach, i ostatnia sprawa. Ten mój kontakt... to jest ona.

– W porządku, rozumiem.

– Mówię, żebyście nie byli zaskoczeni.

– Bez przesady. – Inżynier się skrzywił.

– Ja tylko uprzedzam.

– Ale przed czym?

– Przed... A, zresztą, wam też należy się jakaś niespodzianka.

Rozdział 10

Kobiety, która czekała na nich nieopodal zdewastowanego dystrybutora taksówek, przechadzając się z niecierpliwością między elegancką limuzyną i znacznie skromniejszym surferem, nie można było nazwać piękną, ani nawet piękną olśniewająco, bajecznie czy zjawiskowo. Jej uroda należała bowiem do zupełnie innej kategorii – nieopisywalnego słowami absolutu. W pierwszym momencie dech na jej widok zaparło wszystkim, zwłaszcza doktorowi, bądź co bądź zdrowemu mężczyźnie w sile wieku. Kiedy jednak odwróciła się ku nim i znieruchomiała, czar, a przynajmniej jego erotyczny komponent, prysł w mgnieniu oka i zamiast kobiety, z powodu której tętno momentalnie podskoczyło mu do setki, Sash zobaczył martwą, wizualnie doskonałą i wyidealizowaną ponad granicę akceptacji rzeźbę. Nie człowieka, lecz produkt, etui wykonane przez najwyższej klasy artystę, to musiał Sash przyznać uczciwie, nieskrywające jednak żadnych prawdziwych walorów.

Trudno było nawet przypisać jej jakiś określony wiek. Ot, ponadczasowe bóstwo, stworzone wyłącznie do podziwiania.

– Jestem Arsinoe, ale to zapewne wiecie.

Nie podeszła, nie wyciągnęła na powitanie dłoni, nie uśmiechnęła się nawet oczyma. Jej głos też był wynikiem kosmetycznych zabiegów, starannie przypasowany i dostrojony tak, by czynić maksimum spustoszeń w męskich sercach. Sash sam już nie wiedział, na co ta lalka w większym stopniu zasługuje, na pogardę czy litość.

Wyrób boskopodobny, bardziej syntetyczny niż manneken i emocjonalnie sterylniejszy od noworodka. Na szczęście, takie jak ona stanowiły zaledwie mikroskopijny ułamek społeczeństwa.

– Przepraszam, ale nic odpowiedniejszego nie udało mi się zorganizować – zaśpiewała, smukłym palcem wskazując gondolę zaparkowaną obok srebrzystozłotej limuzyny. – Trzy osoby powinny się zmieścić, czwarta może lecieć ze mną. Kto?

– Ty – wyszeptał Livansky, szturchając Hannibale w bok.

– A czemu nie ty? – odparł równie ściszone głosem inżynier.

– Bo ja muszę zostać z pacjentem.

– Drań.

– Och, i żebym nie zapomniała! – Arsinoe sięgnęła do perłowej kosmetyczki. – To są wadia identyfikacyjne, po jednym dla każdego. Czyli cztery. Albo trzy? Nie, cztery, dobrze policzyłam, prawda?

– Dobrze. – Sash westchnął, już znecierpliwiony tym jej anielskim szczebiotaniem.

– Gdy się je ma, można chodzić po całym kompleksie bez problemów.

– Rozumiem.

– Lecimy zatem?

– To znaczy, mamy lecieć za panią? – Medyk popatrzył z niewyraźną miną na Remmuerisha. – Wiesz co, to może jednak zamieńmy się miejscami.

– Ależ skąd, poholuję was! – Uśmiech Arsinoe był jak wschód słońca nad tropikalną wyspą. Ewentualnie jak łuk elektryczny prosto w oczy, pomyślał doktor, sadowiąc się w gondoli.

* * *

Pawilony Uhuru nie anonsowały się krzykliwą, widoczną z każdego miejsca reklamą. Prawdę mówiąc, nie reklamowały się wcale, bo kto miał o nich wiedzieć, ten wiedział ze źródeł towarzyskich, a kto nie wiedział, to znaczy, że i tak nie było go stać na korzystanie z tamtejszych usług. Cały kompleks ukryto pośród drzew, upodabiając go do napowietrznego parku, jakich w każdym szanującym się habitorium fruwały tuziny. Jednakże w przeciwieństwie do znakomitej większości, ten dostępny był tylko dla wybrańców pokroju Arsinoe.

Jaki związek mógł łączyć kogoś takiego z Halversenem, zastanawiał się Sash. I czemu zdecydowała się im pomóc? Bo miała wobec kapitana jakiś niespłacony dług? Współczujące serduszko w alabastrowej piersi? Albo zwyczajnie dla kaprysu, dla nowej podniety, dla dodania ostróg swojej pustej, monotonnej egzystencji. Prowadziła ze straceńczą brawurą, przy otwartym kokpicie, za nic mając ograniczenia i przepisy, rozbawiona niebezpieczeństwem. A to, że pasażerom ciągniętej przez nią na magnetycznym holu przyczepki flaki przewracały się od tych karkołomnych manewrów? Drobiazg.

– Co za kretynka! I przed kim ona się tak popisuje? – prychnęła Beatrice.

– Przed sobą – wymamrotał pozieleniały medyk. – Zdaje się, że dolatujemy.

Wykonawszy ostatni szalony wiraż, zielonooka bogini wpadła ze swoim minipociągiem do tunelu uformowanego z gałęzi drzew.

Na jego drugim końcu znajdował się ocieniony dziedzińczyk z szeregiem podobnie luksusowych maszyn w niskich boksach. Arsinoe nie tyle zaparkowała, ile spadła niczym kamień do jednego z nich, najwyraźniej zapominając, że przecież holuje za sobą drugi pojazd. Trzask łamanych krzaków, zgrzyt metalu i przenikliwy dźwięk alarmów kolizyjnych zlały się w jedno.

– Rzeczywiście, kretynka – stęknął Sash i wygramolił się ze znieruchomiałego pod kątem trzydziestu stopni surfera.

– Ale, jak to mówią, lepiej być głupim niż źle uczesany, bo tego pierwszego nie widać – dorzuciła zjadliwie Bea.

– Za to czuć. – Livansky popatrzył w ślad za oddalającą się szybkimi krokami Arsinoe, rozmasowując obtłuczone biodro. – Czasami naprawdę się zastanawiam...

– Nic wam nie jest? – Remmuerish pomógł Farquahartowi wydostać się na zewnątrz. – Jasna krew, IQ to ona ma chyba odwrotnie proporcjonalne do aparycji. Żeby podczepić gondolę bez sprawnych buforów antyprzeciążeniowych i na dodatek...

– Daj spokój. – Sash machnął ręką.

– I co dalej? – spytała Beatrice.

– Nic, chyba tu sobie poczekamy – rzekł medyk wzdychając. –

Pewnie poleciała po kogoś z personelu.

W rzeczy samej Arsinoe wróciła, ciągnąc za sobą dwóch sanitariuszy z flotoboganiem, i jakiegoś ulizanego szczeniaka. Czwarty z mężczyzn dotrzymywał elegancko kroku bogini z wyższych sfer, promieniując aurą profesjonalnego autorytetu i półszepcząc do jej ucha słowa kojące, wyważone i zapewne wytarte na glanc od częstego używania. Jedwabny halsztuk, który kontrastował z jego służbowym odzieniem, krótko przystrzyżona szpakowata bródka i starodawne pince-nez w złotej oprawie nasuwały nieodparcie myśl, iż mężczyzna ten nie jest tu w pracy, tylko na jakimś balu maskowym i że kobieta właśnie go z niego wywlekła.

– ...w najmniejszym stopniu, szanowna pani, wszystkiego dopilnuję osobiście. – Dżentelmen w binoklach podszedł z wyciągniętą dłonią do Livansky'ego, stojącego akurat najbliżej: – Gabardian, jestem tu ordynatorem. No i gdzie ten umierający?

– Umierający? – Sash uniósł brwi.

– Według słów lady Finkel...

– Z całym szacunkiem dla lady Finkel, ale musiała coś źle zrozumieć.

– Czyli że nie mamy tu żadnego krytycznego i wymagającego natychmiastowej hospitalizacji przypadku, tak? – Gabardian przeniósł wzrok na Arsinoe, która tylko wzruszyła ramionami, i z powrotem na Sasha. – W takim razie w czym mogę pomóc?

– W umożliwieniu mi skorzystania z jednej z waszych komór ESAIC – odparł bez namysłu Livansky.

– W umożliwieniu skorzystania? – Ordynator uśmiechnął się. – Czyli chce pan po prostu, żebyśmy kogoś przebadali.

– Zasadniczo, aczkolwiek...

– Czy chodzi o tego młodzieńca?

Chwiejący się na nogach i podtrzymywany przez inżyniera Farquahart miał prawo kojarzyć się Gabardianowi jednoznacznie. Jego rolą nie było tu jednak wygłaszanie pogadank o zgubnych skutkach nadużywania alkoholu, lecz dbałość o dobre samopoczucie i

zapewnienie dyskrecji klientom, zwłaszcza tak wpływowym, nieobliczalnym i rozkapryszonym, jak lady Finkel.

– W porządku, zrobimy mu kompletną serię testów. Zajmie to około godziny. Które z laboratoriów są w tej chwili wolne, panie kolego?

– Przepraszam... – Livansky chciał się wtrącić, ubiegł go jednak przylizany asystent ordynatora:

– Może być osiemnastka, siódemka albo dwójka.

– Wobec tego weźmy go na siódemkę. – Gabardian skinął na sanitariuszy.

– Przepraszam, ale ja wcale nie chcę, żeby mu robić wszystkie testy! – zaprotestował doktor.

– Tylko te na poziom toksyn w ustroju? – szepnął ordynator konfidencjonalnie.

– Och, graw! – Sash podszedł do Thomasa i wrócił z miomodulatorem w palcach. – Nawet pierwszoroczniak odróżniłby pijanego od motorestryktyka.

– Hm...

Binokle powędrowały z nosa ordynatora do kieszonki w fartuchu.

– No to już jest ciekawe. Mogę zobaczyć? – Po dłuższej chwili oględzin stwierdził: – W swoim życiu widziałem podobną rzecz tylko raz, u profesora Bauknechta. Wybitny neuropatolog, ale też trochę dziwak. Miał na przykład zwyczaj gratyfikowania studentów przedmiotami ze swojej kolekcji, a im lepsze było jego mniemanie o uczniu, tym bardziej wartościowy ów uczeń dostawał prezent. Rzecz zaś, którą pan mi pokazuje, to miomodulator dla epileptyków, z pierwszej i zarazem ostatniej serii, bo produkująca je firma nieoczekiwanie splajtowała. Prawdziwy rarytas i byle komu profesor by go nie dał. Kiedy się z nim ostatnio widziałem, miomodulatory nadal były częścią zbioru. A dwa lata później przeniesiono go na emeryturę. Pracowity był z niego człowiek i w ciągu tych dwóch lat zdołał jeszcze wykształcić siedemnastu doktorantów, ale tylko trzech zaskarbiło sobie podziw starszka. Pytanie, którym z tych trzech jest pan?

– Wolałbym nie mówić – mruknął Sash.

– Właściwie nie ma potrzeby. Ja już i tak się domyśliłem. – Gabardian uśmiechnął się szeroko. – Vicenza, niestety, zginął podczas akcji ratunkowej w siedemdziesiątym siódmym, a z Bahirajanem Dasguptą, odkąd został szefem konkurencyjnego ośrodka, chcąc nie chcąc, widuję się regularnie.

– No proszę, jaki ten świat jest mały. – Livansky skrzywił się ironicznie.

– A zwłaszcza nasz, panie kolego – przytaknął Gabardian. – A zwłaszcza nasz.

* * *

Brzeg morza, bujany fotel na werandzie z widokiem na akwedukt, zatłoczony bazar pełen rozkrzyczanych ludzi, wewnątrz taksówki zbliżającej się do postoju, portowy magazyn części

zamiennych. Wszystkie te miejsca otwały się nagle przed oczami Thomasa, tym razem jednak nie były to żadne retrospekcje zakonserwowane przed wiekami i unieśmiertelnione w archiwum. Był absolutnie pewien, że przeżywa terażniejszość, równoległe swoją i nie swoją. Że przed tumanami pyłu, który wiatr podrywa z okolicznych wydm, mruży powieki nie tylko on, ale także ktoś inny, kto jeszcze sekundę temu był Farquahartowi całkowicie nieznany. Mruży, momentalnie gubi krok i upada na wilgotny piasek, a raczej padają obydwaj, jak syjamscy bracia i tak samo porażeni nieoczekiwanym przepleceniem się tożsamości i scenografii.

Siedzi też w bujanym fotelu na szerokiej werandzie; w dole migotliwa wstęga Rzeki – akweduktu, poprawia z uporem, nie siebie jednak, lecz kobietę w purpurowym sari, której oczami patrzy i która dziwi się niepomierne temu określeniu. A ułamek sekundy później zatrzymuje się na bezkresnej, lodowej równinie, czując przenikliwy ziąb i spoglądając na stojących półkolem ludzi, z których jeden, ogorzały, wąsaty i ciepło odziany zbliża się ku niemu...

Ale przecież nie można być w kilku miejscach jednocześnie, w szpitalnym ambulatorium, nad Rzeką, na bazarze, w porcie i na jakimś przez diabła zapomnianym pustkowiu, setki arehe od najbliższych ludzkich siedzib!

Nie można!

* * *

W jednej sekundzie urządzenia kompletnie powariowały. Z terminali dwudziestu czterech sond, monitorujących zamkniętego w diagnostycznym boksie Farquaharta, dwie trzecie najzwyczajniej zgasło, na pozostałych zaś symbole, kolumny cyfr i różnokolorowe linie przebiegów rozszalały się bezładną płasawicą. Strumień danych, spójnych dotąd i mających swe źródło w osobie Thomasa, uległ nieoczekiwanemu zwielokrotnieniu i aparatura poczęła się dławić, dezorientowana, jak myśliwy, któremu wyfruwa naraz przed nosem całe stado spłoszonych kuropatw zamiast jednej.

Livansky nieomal słyszał jęk przeciążonych modułów kognitywnych oraz ledwie uchwytnie *vibrato* separatorów ścieżek, które toczyły dramatyczny bój o odzyskanie kontroli, o rozdzielenie tego informacyjnego *fasci* na poszczególne składowe.

Terminale, dwa ostatnie z niewyłączonych jeszcze przez bezpieczniki, jarzyły się już jednolitą bielą, tyle parametrów naraz usiłowała wyświetlić na nich maszyna. Niezdolna przełknąć ani strawić tej informacyjnej bomby w czasie rzeczywistym, pchała ile mogła do rezerwarów. Lecz i one nie były workiem bez dna, danych zaś przybywało w postępie geometrycznym. Oslupiały Sash na moment zapomniał o Thomasie i nawet nie zwrócił uwagi, że za jego plecami opadają fazowane grodzie.

– Jasny zew, skąd się to wszystko bierze, skąd to idzie?!

Farquahart, zgodnie z procedurą oddzielony od diagnozującego potrójną izolacją, nie mógł być przecież epicentrum tego maelstromu, nie on sam! Aparatura, którą ordynator Gabardian tak wspaniałomyślnie udostępnił Livansky'emu, poradziłyby sobie z zeskanowaniem oraz przełożeniem na cyfrową faksymilę całego człowieka – ba, dziesięciu ludzi jednocześnie! – i Sash nawet nie zdążyłby mrugnąć, tak sprawnie by się to dokonało. Jakaż zatem Encyclopaedia Galactica musiałaby się nagle otworzyć, żeby sprzęt się zatkał?

Sash zażądał zdepolaryzowania boksu, żeby zobaczyć, czy Farquahart w ogóle jeszcze żyje, kurtyna pozostała jednak nieprzejrzysta.

– Co jest?

„...Powtarzamy: wszystkie magistrale zostają zablokowane do czasu ustalenia przyczyny wycieku. Prosimy o niekorzystanie z terminali, aż do odwołania”.

Dopiero teraz Livansky usłyszał anons. Wyciek? Jaki wyciek?

Przecież nie mógł im tu niczego zakontaminować! Przy takich środkach ostrożności było to po prostu niemożliwe!

– Niemożliwe – powtórzył na głos i wyjął swój nieodłączny kamerton, bo żaden inny przyrząd w tej chwili mu nie pozostał. –

Graw, próbki!

Pobrane do hermetycznych kapilar repulsyjnych, bez jakiegokolwiek kontaktu z otoczeniem. I tam elementy z ciała Farquaharta powinny tkwić w dalszym ciągu, o ile nie doszło do rozszczelnienia. A nawet, myślał gorączkowo Sash, nawet gdyby się wydostały, to jedynie w obrębie izolowanego boksu.

– To jest po prostu nie-moż-li-we! – powtarzał, przełączywszy widełki na „sampling” i systematycznie sprawdzając całą komorę.

Tutejszy system alarmowy z pewnością był o niebo czulszy od jego prymitywnego instrumentu, niemniej i on coś powinien był wykryć, a nie znalazł absolutnie nic. A zatem albo zareagowały czujniki w samej separacie, albo to w ogóle nie tu, o czym Livansky był teraz więcej niż przekonany. Odetchnął, i spojrzał ponownie na Thomasa. Chłopak uspokoił się, jakby walka z enigmatycznym napastnikiem dobiegła końca, lub przynajmniej została odłożona do następnej rundy. Miał tylko tak mocno zaciśnięte powieki, że prawie nie było widać rzęs. I jego palce szukały czegoś niepewnie, bojaźliwie.

Powtarzany w kółko komunikat urwał się raptownie i zapadła cisza, niemal całkowita, przerywana jedynie nierównomiernym werblem separatora ścieżek. Chwilę później dało się słyszeć delikatne „bim-bim-bim” otwieranych grodzi bezpieczeństwa i Sash stanął oko w oko z szefem laborantów, doktorem Laemle.

– Mów pan natychmiast, co tu się stało – wysapał Laemle ze złością. – Wszystkie łącza zdekolimowane, nic nie funkcjonuje! Coś pan, do ciężkiej cholery, zrobił?!

– Ja? Ależ nic! – zaprotestował Livansky.

– Jak to nic, interferencja wyszła stąd, z tego boks! – wrzeszczał Laemle. – Przez pana straciłem trzy już prawie ukończone psychogramy!

– Przykro mi to słyszeć, z pewnością jednak nie stracił ich pan z mojego powodu – skontrował Sash. – Zresztą nie jest to chyba jakaś kolosalna strata, zapis można powtórzyć w pięć minut.

– I jeszcze mi pan impertynencko dogaduje!

– Co? Zaraz, chwileczkę...

Laemle odwrócił się jednak i wyszedł, zostawiając Livansky'ego z niedokończonym zdaniem na ustach.

Gabardian, który złożył mu wizytę w następnej kolejności, nie wyglądał na jakoś szczególnie poirytowanego. Jego wzrok ominął Sasha i skierował się bezpośrednio ku Farquahartowi, spoczywającemu teraz prawie nieruchomo w kokonie pól suspensyjnych.

Jeśli jednak chciał coś Livansky'emu powiedzieć, to skutecznie przeszkodził mu Laemle, który znów wpadł jak bomba, tym razem w towarzystwie dwóch ochroniarzy. W niewielkim pomieszczeniu natychmiast zapanował tłok.

– A pan co tu robi z tymi ludźmi? – Gabardian popatrzył na szefa laboratorium spod gniewnie zmarszczonych brwi.

– Pozwoliłem sobie, panie ordynatorze...

– Zatem na drugi raz niech pan sobie nie pozwala – przerwał mu ostro Gabardian. – I proszę stąd wyjść. Panom również dziękujemy.

– Ale...

– Pan ma jakieś problemy natury laryngologicznej, panie kolego? Nie słyszy pan, co mówię? Proszę wyjść – powtórzył z naciskiem ordynator i gdy już cała trójka opuściła boks, rzekł zdecydowanie cieplej: – Przepraszam, doktor Laemle to truteń i mąciwoda, niech pan się nim nie przejmuje.

– Nie mam zamiaru – odparł Sash.

– To świetnie – rozpromienił się Gabardian. – Chciałbym z panem zamienić słówko, jeśli można.

– Teraz?

– Nie, dopiero kiedy pan skończy, spokojnie. – Ordynator przyglądał się jeszcze przed sekundą martwym terminalom konsoli diagnostycznej, które jeden po drugim wracały do życia, jednak już w zupełnie innej niż poprzednio konfiguracji. Każdy bowiem z dwudziestu czterech ekranów był teraz podzielony na kilkaset odrębnych pól.

– Robi pan jakieś badania porównawcze? Nie, zaraz... – Gabardian przetarł binokle. – Co ja tu właściwie oglądam?

Nie mniej zaskoczony Livansky dźgnął palcem pierwszą z brzegu miniaturkę na monitorze kardio i rozciągnął ją do normalnych rozmiarów. Nie było żadnych oszalałych krzywych, wszystko znów miał jak na dłoni, klarowny odczyt parametrów przekazywanych w

czasie rzeczywistym. Pytanie tylko, czyich? – zastanawiał się, spoglądając na hologram serca, naznaczonego pozawałowymi bliznami. I skąd pobieranych, bo raczej nie z żadnego aktualnego i uzupełnianego na bieżąco rejestru? Ostatni raz Livansky'emu zdarzyło się widzieć taką patologię na zajęciach z historii medycyny. I trudno było uwierzyć, by w Apeksie znalazł się dzisiaj bodaj jeden podobny przypadek – nie wśród ludzi, którzy podlegali powszechnej opiece medycznej, ewidencjonowaniu oraz stałemu monitoringowi.

– No, tak. – Gabardian odchrząknął po dłuższej chwili obopólnego milczenia. – Teraz to już chyba naprawdę musimy porozmawiać. U mnie?

– Wolałbym jeszcze trochę tutaj...

– Nalegam – rzekł ordynator uprzejmie, acz stanowczo. – Poza tym jestem pilnie wzywany do biura, więc nie mogę tu z panem zostać dłużej niż parę minut.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań żaden z nich nie patrzył na główną konsolę, na ekranach zaś była już taka mnogość subpaneli, że jeden więcej bądź jeden mniej łatwo mógł ująć uwagi. Livansky rzucił tylko zatroskane spojrzenie Thomasowi, który jakby w odpowiedzi na to uśmiechnął się nieznacznie i lekko uniośł dłoń. Wyszedł, zostawiając za sobą instrumentarium z konsolą, na której 486 zmieniło się w 487.

* * *

Biuro Gabardiana znajdowało się w oddzielnym pawilonie, na drugim końcu wysypanej białym żwirem alejki. Parking był gdzieś z lewej, ale zasłaniał go zwarty gąszcz oleandrów, więc jeśli nawet Bea z Remmuerishem wciąż tam czekali, Sash nie byłby w stanie ich dostrzec. Za to od razu zauważył żółto-czarny ambulans. Gabardian też zadarł głowę i omal nie zderzył się z jakimś młodym człowiekiem, który zdążył z naprzeciwka.

– O, właśnie szukałem... – Mężczyzna zastąpił ordynatorowi drogę. – Chodzi o to, że moje próby o udział w konsyliach systematycznie się ignoruje.

– Konsylia? – Gabardian obszedł go bokiem, po trawie, jak coś, czego nazwy ludzie kulturalni nie wypowiadają. – Jakie znowu konsylia, panie Vlasek? Toaletą na szóstce niech się pan lepiej zajmie, bo już od dwóch dni sedes puszcza tam na okrągło wyłącznie Rachmaninowa, i przestanie mnie zamęczać idiotyzmami. Moja cierpliwość też ma granice. I co oni tu jeszcze, do diabła, robią?

– Kto? – Pan Vlasek, nie wiadomo dlaczego, przepatrzył bojaźliwie najpierw pobliski klomb róż, a dopiero w następnej kolejności podążył za wzrokiem Gabardiana. – A, El-San. Nie mam pojęcia. Stało się coś?

– Do roboty, panie Vlasek, na szóstkę, w tej chwili – uciął ordynator kategorycznie i poprawiwszy pince-nez, pospieszył w stronę pawilonu.

Ambulans wisiał jeszcze przez moment nad wypielęgnowaną zielenią jak rozglądający się za ofiarą drapieżnik, po czym wykręcił młynka kanciastym zadem i z włączonymi aureolami sygnalizacyjnymi odleciał, niknąc szybko za koronami drzew.

Livansky wydał z siebie mimowolne westchnienie ulgi. Gabardian nie wiódł go na żer służbom epidemiologicznym ani tym bardziej policji. Chyba. Bo, tak szczerze mówiąc, rejterada wozu interwencyjnego nie wykluczała wcale możliwości, że w gabinecie ordynatora oczekują nań jakieś smutne twarze z odpowiednimi legitymacjami.

Sash znał się na procedurach jak niewielu innych w Apeksie, wbijano mu je do głowy w szkole, na studiach, w pracy w klinice, a ostatecznie utrwaliło je sześć lat życia medycznego banity. Zasada numer jeden: nie bagatelizować żadnego wezwania, bo licho nie śpi, Drzewo wiecznie żyje i nawet najbliższy sąsiedzki donos może, niesprawdzony, stać się początkiem dramatu.

Myśli i emocje Livansky'ego rozdzieliły się na trzy mniejsze strumyczki, gdyż z jednej strony solidaryzował się po lekarsku i zwyczajnie po ludzku z Thomasem, z drugiej zaś, jak każdy rodowity Wierzchołkowiec, instynktownie aprobował działania służb spod znaku żółto-czarnej szachownicy. Na to wszystko nakładał się jednak strach osoby ściganej, strach, który po paru słodkich miesiącach w New Cheshire odżył w nim na nowo, mimo zapewnień Kutsheby. W końcu El-San nie przyleciał tutaj, żeby poprzyglądać się abstrakcyjnie wystrzyżonym krzewom i śmiałej architekturze kliniki. El-San odebrał sygnał alarmowy o wysokim priorytecie i przybył, aby zlokalizować źródło, zidentyfikować zagrożenie i zabezpieczyć teren. Są skrupulatni i dojdą, zapewne prędzej niż później, od kogo cały ten chaos wziął początek.

– Oni tam na mnie czekają, prawda? W pańskim biurze. – Sash zagrał *va banque*.

Tu już nie było wyjścia awaryjnego, jak w jego starej pracowni – zero dróg ucieczki. Od początku znał ryzyko i podjął je dla dobra Farquaharta. Skoro uczynił to w pełni świadomie, nie miał prawa niczego żałować. Ale niech przynajmniej nie bawią się z nim w ciuciubabkę.

– Kto? – Ordynator nawet nie zwolnił.

– Niechże mnie pan nie zwodzi. – Sash stanął pośrodku alejki.

– Nie jestem dzieckiem i wiem, jak to się odbywa. Przecież musiał ich pan o mnie poinformować, bo takie są przepisy, a pan jest rozsądnym człowiekiem i nie sprowadziłby na siebie kłopotów przez jakiegoś przybłądę.

– Ależ, panie kolego! – Gabardian również przystopował.

– I taka jest rzeczywista natura owego pilnego wezwania, nieprawdaż? – Livansky wbił pięści w kieszenie. – W porządku, rozumiem. Niemniej byłoby chyba bardziej uczciwie i po męsku, gdyby powiedział mi pan o tym wprost.

– Ależ, drogi panie kolego! – powtórzył ordynator z jeszcze silniejszą emfazą. – Prawdziwa natura wezwania to kabotynka w recepcji, która nie rozpoznała jednego z VIP-ów i odmówiła przyjęcia, dorzucając przy tym od siebie parę całkiem niepotrzebnych,

personalnych uwag. Przykra, kompromitująca sytuacja, którą czym prędzej muszę zneutralizować, bo będzie skandal. W życiu nie przemknęło mi przez głowę to, co pan sugeruje. I żadni ludzie z El-Sanu nie czekają u mnie na pana z immobilizatorem i czaprakiem ekspiacyjnym w pogotowiu, przysięgam.

– To czemu nie pozwolił mi pan zostać przy pacjencie?

– Wróci pan do niego niebawem. Ale przedtem powinniśmy chyba zamienić ze sobą parę słów.

– Czego pan chce?

– Porozmawiać jak profesjonalista z profesjonalistą, nic więcej. Czy uczyni mi pan ten zaszczyt?

Parterowy pawilon tonął, a właściwie to już jakiś czas temu „utonął” w zieleni, bo to, że skrywał się w niej jakiś budynek, okazywało się dopiero po przebrnięciu amarantowego gąszczu. Gabardian otworzył drzwi i wykonał zapraszający gest.

– Proszę się czuć jak u siebie, panie kolego. Jest barek, biblioteka, terminal informacyjny, ze wszystkiego może pan korzystać bez skrępowania. Ja tylko załatwię, co mam załatwić, i zaraz wracam. Sam. – To ostatnie słowo ordynator zaakcentował nader dobitnie.

Wciąż nieufny, Sash mimo wszystko przekroczył próg i znalazł się natychmiast w pomieszczeniu z innej, zdecydowanie zamierzchłej epoki. Uderzająca była zwłaszcza wszechobecność drewna.

Trochę jak w New Cheshire, ale tam stanowiło ono podstawowy budulec, w Wierzchołku natomiast luksus. Dla wielu szczytem marzeń był zestaw niewyszukanych, ogniodębowych mebli, parkiet z prawdziwych klepek już tylko dla nielicznych, a ten tu ma boazerię i nawet kasetony na suficie! Nie mówiąc o przeszklonych szafach, które były prawdziwymi okazami snycerskiego kunsztu, oraz rzeźbach z mahoni lub tekebanu, Livansky nie był pewien, czy dobrze rozpoznaje gatunek. Ciekawe, jak by jaśnie pan ordynator przetrzymał choćby dzień w tamtej kesheńskiej klitce, gdzie za całe wyposażenie Sash miał tylko skrzypiący barłóg, zwichrowaną półeczkę i taboret na trzech ocalałych nogach.

– Pewnie z trudem, jeśli w ogóle – mruknął, przechodząc dalej.

Wszędzie drzwi, również drewniane, z metalowymi klamkami i panelami pryzmatycznie rżniętego szkła. Tutaj westybul, z niego na lewo do ogromnej sypialni (po co komukolwiek taki hangar do spania?), na prawo kuchnia o równie przesadnej kubaturze, a to pomieszczenie na wprost to niewątpliwie gabinet.

Jego narożnik zdołały, czy też raczej szpeciły, kręte schodki z kutego żelaza. Livansky ruszył ku nim zaintrygowany. Bo też dokąd mogą prowadzić, skoro pawilon jest parterowy? Nagle zatrzymał się w pół kroku, zły na siebie i jeszcze bardziej na Gabardiana.

– No i czemu pan tak stoi, panie kolego? Proszę dalej, proszę. – Ordynator wyminął go i wkroczył do gabinetu. – Piękne, prawda?

– O czym pan mówi?

– A chociażby o tym dziewiętnastowiecznym zegarze torsyjnym.

– Głos Gabardiana zmieszał się z delikatnym brzękiem kryształu.

– Doktor Leish kupił sobie ostatnio podobny, ale jego to marna imitacja, u mnie natomiast stoi oryginał.

– Wart zapewne majątek – stwierdził Livansky beznamiętnie.

– Ba! Ale chronometr to nic. Niech pan przyjdzie i zobaczy, co mam tutaj. Kieliszeczek?

– Nie, dziękuję. – Sash podreptał z ociąganiem do gabinetu.

I choć przyrzekł sobie prezentować od tej chwili kamienną twarz, zdumione „och!” wyrwało mu się mimo wszystko.

– Każdy wolumin w tej biblioteczce to autentyk – rzekł ordynator z dumą i podszedł do imponującego regału. – Paradoksalnie, gros zbioru stanowią książki, które wydawano masowo, w wielusettyśięcznych nakładach. Ludzie kupowali je, by zabić czas, i przeczytawszy, wyrzucali do śmietnika. Stąd pod pewnymi względami są one cenniejsze od niekwestionowanych białych kruków.

Jak choćby *Principiów* czy *O pochodzeniu gatunków* Karola Darwina, które tu widzimy.

– Nie powie mi pan, że to wydanie oryginalne! – Sash zerknął niedowierzająco na grzbiet opasłego tomiszczka za szybą.

– Ależ oczywiście, z certyfikatem Bursy Archeozoficznej w Lemmer-au-Pic do wglądu.

– Mogę?

– Bardzo proszę. – Gabardian wyjął dzieło i przekazał Livansky’emu z namaszczeniem godnym inwestytury. – Bez obaw, nie rozleci się w rękach, jest po gruntownej konserwacji.

Sash otworzył wolumin lekko drżącymi dłońmi. Graw, ileż od tamtego czasu uległo zmianie, ile metamorfoz przeszła owa pierwotna teoria – neodarwinizm, metamemetyka, dobór subtraktywny, ewolucja pozioma i transspecjacyjna – a mimo to jej trzon wciąż zachowywał solidność granitowego postumentu.

– Moim zdaniem prywatna kolekcja nie jest miejscem dla czegoś tak bezcennego. – Sash odłożył starożytną księgę na biurko.

– Ale pan go najwidoczniej nie podziela.

– No bo jakaż to różnica, gdzie leży oryginał, skoro absolutnie perfekcyjne kopie można znaleźć w każdej publicznej bibliotece? – odparł niezakłopotany Gabardian. – Bez przesady, doktorze, nie okradam ludzkości z jej dziedzictwa, jeśli to chciał pan powiedzieć.

– Chciałem powiedzieć coś zupełnie innego, ale mniejsza z tym.

Gabardian tylko wykrzywił kąciuki ust, jednocześnie po raz n-ty poprawiając na nosie swoje cudaczne binokle. Bez słowa odstawił tom i usiadł, wcześniej odmierzywszy z aptekarską precyzją trzy czwarte kieliszka jakiegoś opalizującego trunku.

– Ma pan rację, mniejsza z tym. – Upił z lubością łyżek. Livansky’emu nie uszedł uwagi fakt, że nie został zaproszony do współdegustacji po raz drugi. Jakby pan ordynator dawał mu do zrozumienia, że cokolwiek proponuje, proponuje tylko raz i lepiej, by ten, do którego

propozycja jest kierowana, nie zwlekał zbyt długo z decyzją. – Zostawmy historię i przejdźmy do teraźniejszości, a zwłaszcza przyszłości. Fotel jest tuż za panem, proszę spocząć.

– Nie, dziękuję. – Sash skrzyżował ręce na piersiach. – I cokolwiek ma mi pan do zaoferowania, z góry odmawiam.

– Ot tak, nie wysłuchawszy nawet jednego słowa?

– Żebyśmy obydwaj od samego początku wiedzieli, na czym stoimy.

– No, ja to wiem, panu natomiast tylko się chyba wydaje, że wie.

– Jak mam to rozumieć? – Sash zmrużył oczy.

– Uch – westchnął Gabardian. – No więc zdążył się pan już chyba domyślić, że chciałem – i nadal chcę dać panu szansę pracy w naszym ośrodku. Pan odmawia *a priori* z pobudek być może personalnych, a być może etycznych, trudno mi rozstrzygnąć i w tej chwili nie będę dociekał powodów. Ale żeby tak lekką ręką odrzucić możliwości, jakie otworzyłyby się tu przed pańskim talentem, tego już, przyznam szczerze, nie pojmuję. Miałby pan do swojej dyspozycji najlepszy sprzęt, własny zespół, święty spokój od przyziemnej medycznej harówki. Publikacje, konwencje. Czegóż więcej może pragnąć naukowiec?

– Jestem zwykłym lekarzem, panie Gabardian.

– Ech, co mi też pan tutaj – zachnął się ordynator, na mgnienie zrzucając maskę układności. – Zwykłym lekarzem to jestem ja, drogi panie kolego. Fenomenalnym lekarzem w swojej dziedzinie jest doktor Couvier, prawdziwy wirtuoz kanwatyki fluido-plastycznej. Nie pozbyłbym się go stąd za żadne skarby. Ale czym są wirtuozi bez kompozytorów? A pan jest właśnie takim kompozytorem, doktorze. Ma pan instynkt odkrywcy i dar myślenia w sytuacjach, w których inni oparliby się wyłącznie na rutynie i doszedłszy do punktu, gdzie skrypt się urywa, rozłożyliby bezradnie ręce.

– Już ktoś kiedyś mi to mówił – mruknął Sash.

– Profesor Sevarid, jak przypuszczam. Był opiekunem pańskiej drugiej dysertacji.

– Był również... – biegłym na moim procesie, omal nie wyrwało się Livansky'emu, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. – Czy jest w ogóle ktoś, kogo pan nie zna?

– W naszym kręgu zawodowym? – Gabaradian, z sardonicznym uśmieszkiem, pokręcił głową. – I to właśnie mój kłopot. Że nie mam już kim wzbogacać personelu. Jednego z najlepszych, bo selekcja jest u mnie ostra i byle kto nie ma co liczyć na etat. Ale źródło wyschło. Brak nowych talentów, brak nazwisk odpowiednio dużego formatu, które nie byłyby zagospodarowane przez konkurencyjne ośrodki, brak...

Ostatnie słowa umknęły Livansky'emu, który nagle poczuł, że spada. I zarazem potyka się o półmetrowy stopień, choć w rzeczywistości żadnego stopnia przed nim nie było, co najwyżej trawa przycięta do wysokości skromnych obcasów. Gdyby nie poręcz fotela tuż obok, wyrznąłby zapewne nosem o krawędź biurka albo uderzył głową w cembrowinę sadzawki.

– Panie kolego, słabo panu?!

Gabardiana wciąż miał na wprost oczu, ale nie mniej ostro od niego widział też Remmuerisha, który z kocią sprężystością poderwał się z ławeczki i ruszył, żeby... Graw, nie! To on sam się poderwał i spoglądał na Beę, która zataczała się jak dopiero co przebudzona somnambuliczka. Spoglądał oczami Hannibale.

I choć tylko na krótko przedzierzgnął się w swojego druha i zaledwie przez mgnienie myślał jego myślami, szok był potężny, jakby wystrzelono mu umysł z przyspieszeniem dwudziestu G i jednocześnie pocięto na skrawki kurtyną fazotranslacyjną.

– Ooouuuuaaaa!

– Matko, co się z panem dzieje? Pan ma jakiś atak?

W głowie Livansky'ego wybuchło coś na kształt supernowej.

Przerafinowany gabinet ordynatora, skwer wokół lądowiska dla VIP-ów, brylantowe gwiazdy odbijające się w nieruchomych wodach jeziora Natsae, portowe doki oglądane z perspektywy kokpitu translunarnego frachtowca, egzotyczne, hałaśliwe targowisko i wielkie, ujęte w pastelowe ramy wewnętrzne okno ambulatorium z jakimiś niesympatycznymi twarzami po drugiej stronie.

Wszystkie te miejsca, w których przez drobną, ulotną chwilę przebywał najzupełniej dosłownie i równolegle, zbladły i skarłały do iskierek, rozbryzgujących się w czasie pękiem ognistych trajektorii.

– Doktorze? Wszelkie rany Ziemi, doktorze Livansky! Dyżurka?

Sanitariuszy do mojego bungalowu, ale to migiem!

Sash, wsparty łokciem o poręcz fotela, ubabrany kapiącą mu z nosa krwią i z ostrzem bólu, które leniwie dogasało w jego potylicy, wymamrotał, nie bez wysiłku łącząc słowa:

– Nie sanitariusze... tylko goście... panie Gabardian. Chyba nawet nie... zapukają, cha, cha!

I w tym ostatnim Livansky, człowiek z wieloletnim doświadczeniem społecznego wyrzutka, nie pomylił się ani trochę. Nie uprzedzając o swoim najściu, nie pukając i nie przedstawiając się nikomu, dwójka funkcjonariuszy Wydziału Antydehumanizacyjnego wkroczyła do sanktuarium pana ordynatora.

Rozdział 11

Dyrektor Yanig opuścił spotkanie zmęczony. Co za paradoks, że im pojemniejszą ktoś miał mózgowicę, tym większy kłopot z klarownym i prostym artykułowaniem myśli. Chociaż, o ile znał tych jajogłowych, to mogli mu po prostu chcieć zrobić na złość.

Upokorzyć ezoteryczną terminologią i pokazać, kto tu należy do wtajemniczonych, a kto jest tylko tępym stójkowym. Tylko że, po pierwsze, Yanig wcale nie był tak tępy, za jakiego brała go ta banda zarozumiałych mądrali, a po drugie, miał ich frustracje głęboko w czterech literach. I zamierzał wykorzystać ich skumulowany potencjał do maksimum, nie oglądając się na żadne zranione uczucia. Zresztą czy poza uwielbieniem dla swych teorii naukowcy w ogóle mają jeszcze jakieś uczucia?

Yanig zamknął za sobą drzwi do gabinetu, który wyglądał, jakby dopiero co wyniesiono stąd cały inwentarz prócz dwóch koszmarnie niewygodnych krzeseł i biurka, ogołoconego z typowych parafernaliów. Ale właśnie w takiej pustce praca szła dyrektorowi najsprawniej. Bez krajobrazownic w miejscu ścian ani innych rozpraszaczy uwagi, na biurku zaś jedynie pamiątkowa bioalegoria w surowej bryle diamentu – tyle otrzymał za dwadzieścia lat nienagannej służby – mikromnemon z czytnikiem i konsola komunikacyjna, niewiele mniej archaiczna od telegrafu Morse'a. Współpracownikom, pomrukującym, że lepszy taki ornament klasztornej celi szefa niż brak jakiegokolwiek, zapewne nigdy nie przyszło do głowy, że ów prehistoryczny rupieć działa. Niepiękny może i groteskowo prymitywny, za to posiadał jedną niezaprzeczalną zaletę: nikt, albo prawie nikt, nie potrafiłby przechwycić transmisji.

Yanig podsunął sobie krzesło, machinalnie przejechał dłonią po blacie – biurko także było antyczne, niesamoczyszczące – i przez długą chwilę po prostu gapił się na gładki arkusz fleksygramu, zostawiony przez gońca pod jego nieobecność. Kolejny meldunek i ani chybi kolejna porcja złych nowin, bo dobrymi jakoś nikt się z nim ostatnio nie dzielił.

Wielka szkoda. Tylko do kogo mógł mieć o to pretensje? Kto oddał pierwszą salwę w tej idiotycznej międzyresortowej wojnie?

Kto, niczym ostatni półgłówek, dał się podjudzić buńczucznym, otwarcie prowokacyjnym poszczekiwaniami Ratzenberga z konkurencyjnego Departamentu Higieny? On. I kto postanowił raz na zawsze nauczyć Pana Koordynatora szacunku dla Wydziału

Antydehumanizacyjnego? Nikt inny, tylko on sam. Musi więc teraz wypić piwo, które nawarzył. I nie jedną kwartę czy dwie, ale cały spieniony ocean.

Nie bawiąc się w żadne regulaminowe procedury autoryzacyjne, Yanig ścisnął fleksygram w garści i trzepnął nim o kant biurka.

– Wspaniale – mruknął, przeglądając tekst raportu oraz dołączone bloki vid2. – Po prostu, w rozziew mroczny, cudownie.

A chciał tylko zrobić Ratzenbergowi koło dupy. Jak? Powiedzmy, że kilkuset ludzi przywleka do Wierzchołka nową, nieznaną dotąd chorobę. Nieznaną nikomu, prócz Sekcji „S” Wydziału Antydehumanizacyjnego, której polecono wypichcić odpowiedni wektor, oraz zaledwie trzech wprowadzonych w całą intrygę oficerów. Tajemnicza infekcja pojawia się w kilkunastu miejscach naraz i ma spektakularnie odrażające symptomy, z ekskawitacją zarażonych indywiduów włącznie. Antydeh, który dotąd zawsze ubiegał DHSP w wykrywaniu oraz neutralizacji podobnych niebezpieczeństw, tym razem wykazuje zadziwiającą opieszałość i oddaje pole konkurentce. Zgodnie z przewidywaniem Ratzenberg skwapliwie połyka haczyk i natychmiast ogłasza żółty alarm epidemiologiczny.

Tu popełnia swój pierwszy błąd, gdyż w myśl przepisów miałby do takiego kroku prawo dopiero wówczas, gdyby liczba oficjalnie potwierdzonych zachorowań przekroczyła dwa tysiące. Ale, głupiec, nie mógł oprzeć się pokusie. Yanig nie zawiódł się również na kompetencjach, a raczej ich legendarnym braku u podwładnych Ratzenberga. Po tygodniu wciąż byli lata świetlne od zidentyfikowania przyczyn, a nowe przypadki, dawkiwane pod staranną kontrolą Wydziału Antydehumanizacyjnego, pojawiały się codziennie.

Ratzenberg wpadł w zastawione nań sidła jak ślepy zając i już wkrótce wił się w nich pod huraganowym ogniem krytyki. Za nieudolność, nieprzejrzystość procedur, nadgorliwość oraz brak współpracy międzyresortowej, a przede wszystkim za pogwałcenie zasad konstytucyjnych, jako że żółty alarm wiązał się z częściowym ograniczeniem swobód obywatelskich. A Yanig zacierał ręce, wiedząc, co będzie dalej.

Wiedział? Gównno, jak się okazuje, wiedział. Po pierwsze, nie zdawał sobie sprawy z tego, że w jego własnych szeregach ukrywają się sabotażyści. To, że skompromitowanemu Ratzenbergowi odebrano stanowisko, było niewątpliwym sukcesem. To, że doprowadzenie działań sanitacyjnych do końca powierzą Antydehowi, nie ulegało kwestii. Ale już fakt, że po przejściu pałeczki Wydział pograży się w większym bagnie niż to, w które wcześniej wpędził Departament Higieny, zaskoczył dyrektora całkowicie i nader nieprzyjemnie.

Najwidoczniej, kiedy on planował podłożenie świni Ratzenbergowi, ktoś w tym samym czasie szykował podobny prezent dla niego. Jak bowiem inaczej „zaraza”, którą Antydeh sekretnie zmajstrował i rozprzestrzenił, by w odpowiedniej chwili z pokazową efektywnością ją zdławić, przerodziłaby się w autentyczną epidemię? Sabotaż, bez dwóch zdań. I to dokonany przez jakiegoś wyjątkowo łebskiego gnojka, bo nawet ci cholerni eksperci byli w kropce, chociaż żaden z nich się do tego otwarcie nie przyzna.

Yanig powrócił niechętnie do lektury sprawozdania. W Glendhal Comb odnotowano siedemdziesiąt cztery nowe przypadki, z czego zaledwie dwie osoby okazały się pierwotnymi inokulantami Antydehu. U reszty nie stwierdzono zgodności z oryginałem wyższej niż dziesięć – dziesięć! – procent. W Ebenezerze sytuacja była podobna, tak samo w Keens i w Volati. W Keplerville wybuchł tumult, bo jakiś inspektorzyzna zarządził ewakuację rotodromu w kulminacyjnej fazie rozgrywek. Bilans tego niefortunnego zdarzenia to kolejnych stu dziewiętnastu odizolowanych nosicieli, ponad dwie setki rannych kibiców, troje zainfekowanych tajnych funkcjonariuszy i wściekłość tłumu, która prędko nie wygaśnie.

Jeszcze nam tylko potrzeba zamieszek, pomyślał.

Ludzi, ba, zwierzęta z podejrzanymi objawami zauważono już nawet w bąblach Sinai i BiToKe. Jak zaraza przedostała się do tych zamkniętych rewirów, i to w ciągu niecałych dwóch tygodni? Częściowe wyjaśnienie Yanig znalazł kilka akapitów niżej: „Rosnący szybko odsetek pacjentów, którzy z takich czy innych przyczyn nie mogli mieć bezpośredniego kontaktu fizycznego z wcześniej zainfekowanymi, skłania do wniosku, że wektor przenosi się obecnie również drogą powietrzną”. Ich konstrukt nie byłby do tego zdolny, zabezpieczyli się przed taką ewentualnością solidnie. A przynajmniej takie otrzymał zapewnienia od ekspertów. Szkoda, że nie na piśmie, bo z niekłamaną satysfakcją wepchnąłby je im teraz z powrotem do gardeł.

Gong u drzwi i terkot starożytnego radiotelefonu rozległy się niemal jednocześnie. Dyrektor podniósł słuchawkę, mruknął „Zaczekaj moment” i otworzył drzwi zastępcy oficera dyżurnego.

– Jest już szofer – poinformował tamten, nie przekraczając progu.

– Dobrze, dziękuję. – Yanig odprawił go i wrócił do swojego rozmówcy po drugiej stronie łącza. – No?

* * *

Kwarantanna, odkąd przestano ją kojarzyć z bezpieczeństwem publicznym, a bardziej z machinacjami Wydziału Antydehumanizacyjnego i generalnie z nadużywającą swych prerogatyw władzą, stała się słowem tyleż popularnym, co szczerze znienawidzonym i budzącym postrach. Przeciętny Wierchołkowiec od dziecka żył z widmem wymykających się spod kontroli nanomaszyn i drakońskich procedur przygotowanych na taką ewentualność. Teraz jednak widmo przepoczwarzyło się w upiora, w skrzekliwego nazgula, który wywoływał grozę samym swoim cieniem. Porównanie o tyle trafne, że Antydeh również przybywał drogą powietrzną, w pogrzebowo czarnych ambulansach i zwykle bez uprzedzenia, za to przy ogłuszającym ryku syren, jakby widok karmazynowych insygniów na burcie nie wzbudzał już dostatecznych emocji.

Widok ten był notabene tak w ostatnich tygodniach powszechny, że zaczęto coraz głośniejsze szeptać. Nie o zagrożeniu epidemiologicznym, ponieważ przez ten sam okres liczba karetek El-San jakoś znacząco nie wzrosła, lecz o szykowanym przez radykalnych probiotystów puczu. Nawet jeśli te plotki były nieprawdziwe, to swoimi działaniami Antydeh bynajmniej im nie zaprzeczał. Studenci, biura adwokackie, terminale portowe, każdego dnia słyszało się o coraz to innych grupach bądź obszarach Apeksu objętych kwarantanną i odizolowanych od świata. Stopniowo Wierchołek zaczęła opanowywać paranoja, nikt już nie był pewien, czy w następnym rajdzie czarnych ambulansów nie padnie na niego i czy ów rajd nie będzie skutkiem donosu, wysmażonego przez osobę, która jeszcze do wczoraj mieniła się najlepszym przyjacielem.

Livansky miał prawo poczuć ucisk w żołądku na widok wkraczających do gabinetu mundurowych. Nie zdawał sobie jednak sprawy ze zmian, jakie zaszły w gronach pod jego nieobecność, przez co nie mógł również docenić spokoju, z jakim Gabardian tę dwójkę przyjął.

– Czym mogę panom służyć? – Ordynator włożył ręce do kieszeni fartucha. Żeby nie zobaczyli, jak mu drżą?

– To za moment, najpierw załatwmy kwestie formalne. Proszę.

– Jeden z agentów wręczył ordynatorowi fleksygram.

– Na mocy przepisu wykonawczego numer taki a taki, paragraf taki a taki o postępowaniu w sytuacjach nadzwyczajnych zagrażających, et cetera, et cetera... – Gabardian odłożył arkusz na biurko, nie kontynuując czytania. Nie było potrzeby. – Rozumiem, że dysponujecie ogólnymi podstawami prawnymi do wszczęcia takich procedur. Nie rozumiem natomiast, co robicie z tym świstkiem tutaj ani tym bardziej z jakąś to sytuacją nadzwyczajną, uzasadniającą podobną decyzję, mielibyśmy mieć do czynienia? Bo mnie nie wiadomo o żadnej.

– I nie musi być – zaripostował arogancko drugi z funkcjonariuszy. – Ważne, że nam wiadomo i że decyzja o objęciu pańskiej placówki bezterminową kwarantanną jest ostateczna i niepodlegająca odwołaniu.

– Ciekawe tylko, co na to powiedzą niektórzy z moich klientów.

– Ordynator uśmiechnął się ironicznie.

– To już nie nasza rzecz, my jedynie przekazujemy, co mamy do przekazania.

– Więc przekażcie to również im.

– Powiedziałem... – zaczął niższym agresywnym tonem, jednakże wysoki, ewidentnie grający w tym duecie pierwsze skrzypce i podchodzący do swych obowiązków z większym dystansem, nie pozwolił partnerowi skończyć.

– Kłóciłoby się to nie tylko z naszymi wewnętrznymi zasadami, lecz także z ogólnie przyjętym obyczajem. – Uśmiechnął się przeprasząco.

– To znaczy, że ja mam to zrobić? Dobrze. – Gabardian stuknął knykciem w blat biurka, aktywując interfejs. – Kto jednak winien być poinformowany w pierwszej kolejności, jak panowie sądzą?

Podsekretarz stanu Fishnick, superintendent Łoży Seniorów Manqruscuso czy raczej regionalny koordynator służb wewnętrznych Voj-Vlasic?

Agenci wymienili się zaskoczonymi spojrzeniami.

– Przepraszam, to miało być dowcipne? – spytał lodowatym tonem wysoki.

– Och, bynajmniej. – Ordynator sięgnął ręką za siebie i odebrawszy wydruk z sigilatora, przekazał go oficerowi. – Proszę, oto kopia aktualnego rejestru przyjętych. Żeby był pan świadom, kogo zamierza internować. Bo do tego sprowadza się w praktyce kwarantanna, czyż nie?

Funkcjonariusz włączył projektor, Gabardian zaś zdjął binokle i przecierając szkła jedwabnym halsztukiem, obserwował coraz to wyraźniejszą konfuzję obydwu panów, trochę rozbawiony, a trochę im współczując. Bo chociaż Antydeh stał się ostatnio instytucją nieobliczalną i bardziej niż kiedykolwiek dotąd wścibską, burdel panował w niej zawsze, tak samo jak tradycja podkopywania sobie nawzajem stołków. Jeśli cokolwiek w tej materii mogło się zmienić, to wyłącznie *in minus*. Najprawdopodobniej więc ich najście było skutkiem zwykłego bałaganu w papierach i niekompetencji zwierzchników, albo też wewnątrzwydziałowych intryg, na których stosie ci dwaj spłoną zapewne jako pierwsi, służąc za podpałkę.

Istniały też inne wytłumaczenia, przynajmniej teoretycznie. Na przykład, że jest to celowa próba sprowokowania jakiegoś politycznego kryzysu bądź sparaliżowania pracy obecnego rządu. Jakim jednak trzeba by było być imbecylem, żeby wpaść na równie głupi pomysł? Kto z Wydziałowej wierchuszki nie wiedział, że Pawilony to „poświęcona ziemia”, neutralny teren, gdzie nawet najzacieklejsi wrogowie zawieszali broń na kołku, uciekając bodaj na parę dni od politycznego piekła. Na liście, której lekturę wysoki właśnie skończył, figurowały osoby reprezentujące cały przekrój polityczno-gospodarczego życia w Apeksie i na co dzień zwalczające się z bezpardonowością gladiatorów.

– Tu, aa... tu chyba istotnie zaszło... pewnego rodzaju... – Funkcjonariusz nie bardzo potrafił znaleźć odpowiednie słowa. – Zaraz to wyjaśnimy, przepraszam.

I ruszył do wyjścia. Jego partner podążył w ślad za nim, ale zatrzymał się jeszcze w progu i wypalił ni z gruszki, ni z pietruszki:

– A w ogóle co tu się stało?

– Proszę? – Gabardian założył swoje pince-nez z powrotem na nos.

– Czy ten człowiek został pobity? – Agent wskazał palcem na Livansky’ego, wspartego o fotel, z głową odchyloną do tyłu i krwią ciekącą po brodzie.

– Ależ skąd, kolega po prostu zasłabł.

– Zasłabł, mhm. – Funkcjonariusz pokiwał, niby to ze zrozumieniem, głową, po czym huknął nagle: – To pan od czego tu jest, do jasnej czerni?! Pomóc obywatelowi! I nie oddalać się stąd do czasu wyjaśnienia.

– Czystość biomu – mruknął ordynator wzgardliwie, kiedy drzwi zamknęły się za agentami. – Fenomenalny antyprzykład.

– Oni tu jeszcze wrócą – wymamrotał Sash, sięgając do kieszeni po swój nieodłączny kamerton.

– Ha, bez wątplenia. – Gabardian uśmiechnął się ironicznie. – Choćby z przeprosinami.

– Tego nie byłbym pewien. – Krwotok w końcu udało mu się powstrzymać, nogi jednak wciąż Livansky miał miękkie, a w czaszce chlupotał mu ołów.

– Nie rozumiem? – Ręka ordynatora zamarła w drodze do karafki.

– Ani ja, szczerze mówiąc. – Sash przejechał dłonią po wargach i spojrzał na oparcie fotela. – Chyba go trochę zapaskudziłem...

– Drobiazg. Chce pan jakiś ręcznik? Albo może lepiej zaprowadzę pana do łazienki, co?

– Nie, ręcznik wystarczy w zupełności, dziękuję – odparł Sash.

– Tak *à propos*, bo wystraszył mnie pan zdecydowanie bardziej od Antydehu... – Gabardian skończył nalewać drinka i odstawił karafkę na miejsce. – Co to było? Naprawdę, myślałem, że już mi pan tu schodzi. I skąd pan wiedział o agentach?

– Od Thomasa.

– Od kogo?

– Tak ma na imię ten chłopak.

– Ten z ambulatorium? – Oczy Gabardiana natychmiast zaślniły żywiej. – I to on pana ostrzegł?

Sash skinął głową.

– Chociaż jest w zamkniętym i szczelnie ekranowanym boksie diagnostycznym?

Doktor wzruszył bezradnie ramionami, bo sam nadal nie potrafił tego zrozumieć. W rzeczy samej, zwykły komplant powinien być tu bezużyteczny, lecz jeśli nie tą drogą skomunikował się z nim Thomas, to co pozostawało? Naturalna telepatia bądź jakiś inny, nieznaney dotąd natury mechanizm? Jedno i drugie było możliwe, aczkolwiek o tyle mało prawdopodobne, że neurobiologia stanowiła od ponad stu lat dziedzinę odartą z wszelkich tajemnic.

A gdyby nie fantazjować, tylko założyć coś o wiele bardziej prozaicznego, na przykład zmianę charakterystyki implantów.

Z jakichś powodów koncentracja nanomaszyn wokół nich była szczególnie wysoka, co Livansky odnotował, robiąc Farquahartowi pierwszy skan. Nie przywiązał jednak wówczas do tego należytej wagi, innym aspektem przyznając zdecydowanie wyższy priorytet.

– Niesamowita sprawa – zamruczał ordynator niemal z ekstazą. – Czyli że to musi być niezależne od jakiegokolwiek aparatury... Błagam, proszę mi to opisać.

– Co?

– Kontakt. Jakie to w ogóle uczucie?

– A czy jeśli powiem, pozwoli mi pan decydować o dalszym leczeniu Thomasa?

– Ma pan moje słowo – obiecał Gabardian.

– To znaczy, jeśli spróbuję, bo... bo tak naprawdę jest to nie do opisania – ciągnął Livansky. – Nie pojęciami, które mam do dyspozycji.

– Jażń mnoga? – podpowiedział mu delikatnie ordynator.

– Nawet nie w przybliżeniu. – Doktor przejechał palcami po czole. – Niech pan sobie wyobrazi siebie w jednym konkretnym miejscu i zarazem, w tej samej chwili, w kilku innych. Jest pan świadom, że stoi tu, a jednocześnie tam, tam oraz tam. Trudne?

Zatem proszę to jeszcze pomnożyć przez cztery, bo dokładnie to samo co pan i dokładnie w tym samym momencie przeżywają trzy inne osoby. To, co widzą i słyszą one, widzi i słyszy również pan, i *vice versa*. Wszystko w czasie realnym, bez jakichkolwiek opóźnień.

– A jeśli są w ruchu?

– Dlatego upadłem – wyjaśnił Sash. – Moja osobista, fizyczna powłoka znajdowała się tu, w pańskim gabinecie, podczas gdy ktoś inny – ale zarazem ja, podkreślam raz jeszcze – miał przed sobą stopień, a trzeci z uczestników tej...

– W porządku, chyba zacynam rozumieć.

– Dodajmy do tego wizje, takie jakie powstają po użyciu silnych halucynogenów.

– Abnormalne pobudzenie kory...

– Mózg usiłował ustosunkować się do sprzecznych sygnałów.

– Tak...

Ordynator, wyraźnie podniecony, zaczął w milczeniu chodzić tam i z powrotem, po czym w połowie drogi między biblioteczką a biurkiem stanął nagle i spytał:

– Wie pan, ilu nas jest?

– Proszę?

– W Apeksie? Według ostatniego cenzusu, ponad sześćset milionów, o pomijanych wstydliwie przez statystyki czarnych imigrantach nie wspominając. I ta cała trudna do wyobrażenia ciżba tłoczy się w kilkudziesięciu ciasnych pudełkach. Koszmar, jeśli popatrzymy na rzecz obiektywnie. I zdumiewa, że jak dotąd jeszcze się nie pomordowaliśmy. Dlaczego? Zastanawiał się pan kiedyś nad tym?

– Nie – skłamał Sash.

– Bo nauczyliśmy się udawać wzajem, że nas nie ma. A przynajmniej, że nie ma nas aż tak wielu. Sztukę niedostrzegania współziomków opanowaliśmy prawie do perfekcji, w czym zresztą pomaga nam usłudźnie nasz plastyczny mózg i najróżniejsze dodatki, którymi go sobie gęściej i gęściej faszerujemy. Sąsiad za ścianą mógłby spokojnie nie istnieć, tak mało o nim wiemy i tak mało nas to interesuje. „Kolega z pracy” to już od dawna zwrot anachroniczny. Na bulwarach widzimy tylko sklepy i kafejki, całkowicie ignorując tłumy przechodniów.

Przyjaźni z reguły nie zawiązujemy, wszak przyjaciele naszych przyjaciół też mogliby mieć przyjaciół i tak *ad infinitum*, jak w salonie luster. Staliśmy się społeczeństwem osamotniczek, socjostrukturą właściwie antylogiczną, bo jakim cudem ona jeszcze funkcjonuje, skoro pozrywaliśmy niemal wszystkie więzi, z musu i na siłę? Parę grup profesjonalnych, takich choćby jak nasza, wciąż jest uprzywilejowanych pewnym stopniem swobody, nakazem kontaktu i wymiany poglądów, poczuciem przynależności do czegoś większego niż tylko „ja”, i tak dalej. Reszta żyje w świecie, a raczej w milionach światów o horyzontach tak klaustrofobicznie ograniczonych, że na samą myśl o tym cierpie mi skóra.

Gabaradian zamilkł na moment i uniósł wzrok, jakby szukał na suficie inspiracji do dalszej wypowiedzi.

– Dałbym wiele, żeby to zmienić, naprawdę bardzo wiele, bo ten rozkład, ta galopująca maceracja społecznej tkanki autentycznie mnie zatrzaża – podjął, wracając do swojego nerwowego spacerowania od ściany do ściany. – Tylko co ja mogę? Czy też, formułując ponownie owo z pozoru retoryczne pytanie, co ja mogłem, dopóki nie zjawił się u mnie pan i ten pański dzikus z dołorostów. Bo przypuszczam, że właśnie gdzieś tam się pan na niego natknął.

– To nie jest żaden dzikus, tylko człowiek, chory człowiek! Jak panu nie wstyd?

– A ja twierdzę, że nic podobnego! – odparł z nie mniejszą emfazą Gabardian. – I że jest pan doskonale świadom, co odkrył.

Czy osobę, której wyrosły w pełni sprawne skrzydła, także uznałby pan za chorą? Ten chłopak stanowi jeden z tych przypadków, które zdarzają się raz na milion, może raz na sto milionów, i gdyby nie pański łut szczęścia, dożyłby zapewne swoich dni na jakimś cuchnącym pleśnią zadupiu, nie przypuszczając nawet, jaki nosi w sobie dar. Panu po prostu nie wolno czegoś takiego zaprzepaścić, doktorze. Nam nie wolno tego zaprzepaścić, nam wszystkim. Telegraf, telefon, komputer i komplant są niczym w porównaniu z rewolucją, jaka się od niego zaczyna!

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – rzekł sucho Livansky.

– No jak to o czym? Niechże pan nie udaje! – jęknął Gabardian.

– O komunikacji pozazmysłowej i diabli wiedzą, o czym jeszcze.

Widział pan przecież monitory i dane kilkuset osób, choć fizycznie próbniki były podłączone tylko do niego.

– Widziałem coś, co nie upoważnia mnie na razie do wyciągania żadnych ostatecznych wniosków, tak jak pan to próbuje zrobić. W tej chwili od wszelkich rewolucji społecznych ważniejsze jest dla mnie to, że Thomas cierpiał – wycedził Sash, nie dzieląc się z ordynatorem resztą swoich przemyśleń. O tym, co powinno być dlań jasne już o wiele wcześniej. O tym, co zbagatelizował podczas pierwszego badania i co niemal umknęło mu również teraz. Tak, Farquahart cierpiał, i nie mogło być inaczej, skoro w ułamku sekundy stał się jakby kilkuset jestestwami naraz, soczewką ogniskującą tyle różnych strumieni

świadomości, tyle różnych kanałów informacyjnych w jednym punkcie i w jednej chwili. Wstrząs psychiczny, jaki normalnemu człowiekowi trudno sobie nawet wyobrazić. Niewykluczone, że iskrą była aparatura, to, że skan nie szedł pasywnie, lecz aktywnie i głęboko, doprowadzając do jakiegoś zwarcia na styku mózgu, implantów i hiperaktywnych, rozrabiających dziko wśród synaps nanomaszyn.

Wzmocnienie, sprzęg i kolimacja sygnału do takiego stopnia, że nawet ekrany boksu diagnostycznego nie mogły z nim sobie poradzić. – Dlatego też kończymy naszą rozmowę, panie Gabardian. Wracam do ambulatorium i wolałbym to zrobić z pańską zgodą.

– W celu? – Ordynator uniósł brew.

– Natychmiast go odłączam.

– Ha, ja do tego na pewno nie dopuszczę.

– To mój pacjent!

– Niestety, nie mogę się na to zgodzić. Pana pacjent jest...

Drzwi do gabinetu otwały się z trzaskiem, przepuszczając najpierw flotobogan, za nim trójkę sanitariuszy, a na koniec znajomych agentów.

– A nie mówiłem? – westchnął Livansky.

Gabardian zerwał się zza biurka, nim jednak zdążył otworzyć usta do reprimendy, jeden z noszowych wypalił:

– To przez tych dwóch gacków, panie ordynatorze. Zatrzymali nas.

– Czy to prawda? – Gabardian, z marsowym obliczem, zbliżył się do wysokiego.

– Nasze procedury...

– Wasze procedury nic mnie nie obchodzą! To jest placówka medyczna, to – personel ratunkowy, a to – człowiek, który z powodu waszych kretyńskich procedur mógł stracić życie.

– Ale przecież nie umarł.

Kto wie, czy gdyby byli sam na sam, Gabardian nie spoliczkowałby imbecyla za te słowa. W obecności tylu par oczu powstrzymał się jednak i diamentowo twardym głosem oznajmił:

– Jeśli mają panowie coś do powiedzenia, to słucham. I żegnam.

A oficjalną notę protestacyjną złożę na ręce waszych przełożonych jeszcze dziś.

– Rzecz jasna, ma pan prawo, niemniej jednak proszę zrozumieć...

– Nie, nie rozumiem, i nie będę tolerował gwałcenia przez was podstawowych zasad humanitarnych.

– Tak... – Wysoki odchrząknął. – No więc jeśli chodzi o tę kwarantannę, istotnie doszło do nieporozumienia, za co pragnę zarówno w swoim własnym, jak i w imieniu całego Wydziału ADH szczerze przeprosić. W międzyczasie otrzymaliśmy jednak zestaw nowych poleceń i tym razem o pomyłce nie ma już mowy.

– Jakich poleceń?

Para fleksygramów przewędrowała z rąk do rąk.

– Powiedziano mi, że pan zorientuje się w tym lepiej ode mnie. To są dane obiektu, który mamy rozkaz przetransportować w trybie pilnym do Centralnego Ośrodka Studiów Teoretycznych w Baes-Callais. A to na wypadek pańskich ewentualnych zastrzeżeń.

Złowroga sygilatura i dwie samoautentyfikujące parafki nie pozostawiały cienia wątpliwości, przed kim Gabardian musiał się teraz ukorzyć. A drugi dokument przygnębił go całkowicie.

– Czy jakieś punkty są dla pana niejasne?

– Nie ma niejasnych punktów. – Ordynator powolnym ruchem zdjął pince-nez. – Kiedy chcecie go zabrać?

– Ekipa specjalna zjawi się tu najdalej za kwadrans.

– Kwadrans?! – jęknął Gabardian.

– Tak. I prosiłbym, żeby do tego czasu wszystko już było gotowe.

– Przecież to jest szpital, a nie przechowalnia bagażu!

– Więc tym bardziej powinien pan zdążyć – przerwał mu z sarkastycznym uśmiechem funkcjonariusz. – Jeśli nie ma pan już żadnych innych uwag, to czekam na zewnątrz.

Trzaśnięcie drzwiami było jak odgłos spadającego ostrza gilotyny. Gabardian rzucił fleksygramy na biurko, nie kryjąc wściekłości.

Draństwo. Draństwo i cholerna niesprawiedliwość! Ta banda szakali zawsze wydrze człowiekowi najlepszy kąsek, żeby nie wiadomo jak grubym i wysokim murem się od nich odseparował. Taka szansa, taka niepowtarzalna okazja wymykała mu się z rąk, a on nie mógł nic zrobić, bo gdy po przeciwnej stronie zasiadał sam głównodowodzący Antydehu, to nawet jego, Gabardiana, rozległe koneksje przestawały się liczyć.

– Przepraszam, czy my jeszcze jesteśmy potrzebni? – spytał nieśmiało jeden z paramedyków.

– Tak, idźcie na siedemnastkę.

– W celu?

– W celu, żebyś tam był i czekał na mnie jeden z drugim! – huknął ordynator. – Natychmiast!

Mródz przebiegł Livansky'emu po krzyżu.

– Chwileczkę, o co tu chodzi? Przecież siedemnastka...

– Zabierają go – odparł Gabardian smętnie. – I choćbym nawet wychodził ze skóry...

Sash wyminął ordynatora i ruszył do drzwi.

– A pan dokąd, panie kolego?

– Na pewno nie zabiorą Thomasa beze mnie.

– Czyś pan całkiem zwariował? – Gabardian zastąpił drogę Livansky'emu. – Poświęcenie, profesjonalizm, ja wszystko rozumiem, ale to już chyba lekka przesada. Zresztą, rozkaz jest bardzo wyraźny, tylko ten chłopak, nikt więcej. Nie zna pan Antydehu? Jeśli tak stoi w papierach, to tak ma być i koniec. Nic pan nie zdziała.

– Zobaczymy.

– Doktorze!

Sash był już jedną nogą za progiem, ale przystanął i odwróciwszy się, wyrecytował powoli:

– „Ze wszystkich mych sił będę dbać o zachowanie godności i szlachetnych tradycji zawodu lekarskiego, a zdrowie chorego będzie moją główną troską”. Różnica, panie Gabardian, jest między nami taka, że ja składałem tę przysięgę na serio, a pan chyba tylko poruszał wargami. Lekarz z pana żaden, ale za to cwaniak i oportunistą jakich niewielu. I dlatego na pożegnanie chcę panu zaproponować pewien układ.

– Mianowicie? – Ordynator zmarszczył brwi.

– Pan pragnie sławy związanej z rozgryzieniem przypadku Thomasa. A więc dobrze. Wszystko, czego się na ten temat dowiem, będę przekazywał panu, via jakiś prywatny i odpowiednio zabezpieczony kanał. Możliwe?

– Aa... tak, oczywiście – bąknął nieco zaskoczony Gabardian. –

Przynajmniej w teorii. Bo jak znam Wydział, to natychmiast pana odetną i zabronią kontaktów ze światem zewnętrznym.

– Nie byłbym taki pewien. A zresztą co pan ma do stracenia? Ze mną czy beze mnie, Farquaharta i tak zabierają. Jeśli jednak zabiorą go ze mną, ma pan przynajmniej cień szansy, że coś z tego wszystkiego uda się panu jeszcze dla siebie wycisnąć. I pan tej szansy nie zamierza zmarnować, obaj doskonale to wiemy. A co pan z tym zrobi – opublikuje jako pierwszy autor, czy zbuduje na tej podstawie jakieś finansowe imperium – jest mi zupełnie obojętne. W zamian oczekuję tylko jednej drobnej przysługi. Nie dla siebie, lecz dla moich przyjaciół, tych, którzy tu ze mną przylecieli.

– Pamiętam, wysoki mężczyzna i młoda kobieta. I co to miałyby być za przysługa?

– Środek transportu.

– I to wszystko? – zdziwił się Gabardian.

– Być może będą mieli jeszcze jakieś inne potrzeby. I chciałbym, żeby pan je również zaspokoił. W miarę możliwości, rzecz jasna.

Ordynator przez chwilę milczał.

– No cóż... – Zawahał się. – Nie pozostaje mi chyba nic innego, tylko wierzyć w pana uczciwość, na którą do tej pory dał pan wiele dowodów. Tak, oczywiście, pana przyjaciele dostaną transport.

Zaraz wydam polecenie.

* * *

Livansky rozejrzał się, szukając wzrokiem czarnego furgonu ADH. Oczywiście, kierowca z charakterystyczną dezynwolturą zaparkował w miejscu, gdzie nikt normalny by tego nie

zrobił – pośród angielskich róż, zgniatając i kosząc trzy czwarte klombu swoimi stabilizatorami. Jakże znamienne dla Wydziału, który oficjalnie stał na straży biologicznej czystości. Z dwójki agentów dostrzegł tylko tego wyższego, który – i to już zakrawało na prawdziwy idiotyzm – chodził od kwiatka do kwiatka, obwąchując każdy.

– Przepraszam...

– Tak? – Oficer wyprostował się, najwyraźniej niezmiuszony przyłapaniem go na tej cokolwiek dziwacznej czynności.

– Pan jest tutaj dowódcą, jak rozumiem?

– A w czym rzecz?

– Ten chłopak, którego przynosicie, to mój pacjent.

– Przykro mi. – Funkcjonariusz rozłożył ręce.

– Jest bardzo chory i stanowi ogromne zagrożenie epidemiologiczne.

– Dlatego czekamy na specjalistów – odparł z kamienną twarzą tamten.

– Czyli że już wam wiadomo.

– Drogi panie doktorze, my naprawdę znamy się na swoim fachu i obowiązkach – stwierdził funkcjonariusz oschle.

– Nie wątpię ani nie zamierzam na ten temat dyskutować – odparł pojednawczo Sash. – Jednakże czy waszym obowiązkiem nie jest również izolowanie potencjalnych nosicieli bądź kontaminatyków? A także zabezpieczanie źródeł i materiałów do analizy oraz wszelkich danych mogących pomóc w ustaleniu etiologii i opracowaniu przeciwdroczek?

– Absolutnie – zgodził się z nim funkcjonariusz.

– Jeśli zatem nie chce pan, by została złożona na pana kolejna skarga, już druga tego dnia, to proszę dołączyć mnie do pakunku.

– Co takiego? – Agent popatrzył nań jak na wariata.

– Musi pan to zrobić, bo jestem osobą, która przebywała w bezpośrednim fizycznym kontakcie z pacjentem. Proszę zasięgnąć rady zwierzchników, jeżeli nie jest pan pewien. Ryzykuje pan jednak, że wywalą pana z pracy za nieznaną podstawowych procedur.

– Tak? A panu niby skąd są tak dobrze znane? – Funkcjonariusz spróbował odwrócić szachownicę, ale w jego głosie zabrzmiała wyraźna nutka niepokoju.

– Przez kilka lat prowadziłem dla was kursy kandydackie – zełgał bez zmrużenia oka Sash.

Na ułamek sekundy świat zrobił się mroczniejszy, kiedy wielkie, czarne pudło zawisło nad ich głowami. A potem odpłynęło niespiesznie w stronę głównego parkingu.

– Ekipa specjalistów – domyślił się bez większego trudu doktor.

– Niech pan idzie za mną.

– Czyli...

– I niech pan już tyle nie gada! – warknął funkcjonariusz, dorzucając pod nosem: – Inteligenci, czemu to zawsze ja muszę na nich trafić?

Rozdział 12

Bez włączonej syreny i ostrzegawczych stroboskopów furgonetka przypominała złowrogi cień, który padł nagle na zwirowany dziedzińczyk przed głównym wejściem, kładąc się czernią nie tylko na importowanym księżycowym tłuczniu, ale również na myślach Hannibale. Fakt, iż obiektywnie rzecz biorąc, czarny ambulans mógł się tu zjawić z tysiąca rozmaitych powodów, nie stanowił już w tej chwili przeciwwagi dla najgorszych przeczuć inżyniera.

Nie uspokajało też rozpostarcie przez Antydeh „parasola”. Co wyszło na jaw, gdy przy pierwszej i zarazem ostatniej próbie normalnego skomunikowania się z Livansky’em – bo tę niezrozumiałą, quasi-narkotyczną wizję sprzed paru minut trudno było określić mianem normalnej – usłyszał tylko biały szum, przerywany w regularnych odstępach anonsem: „Blokada na czas działań prewencyjnych. Przepraszamy za chwilowe utrudnienia”. Nie musiało to automatycznie oznaczać, że obiektem zainteresowania służb był doktor albo Thomas, gdyż w zasięgu policyjnych zagłuszarek niewątpliwie znalazła się cała napowietrzna wyspa i wszyscy na niej obecni, Sasha nie wyłączając. Ale kto inny wchodził w grę?

Remmuerish przysiadł w milczeniu obok Beatrice. Cóż miał rzec? Sądząc po jej ściągniętych ustach i ponurym, chłodnym wzroku, myśli dziewczyny biegły torami równoległymi do jego własnych. Dla obojga było już oczywiste, że ugrzęźli. I to całą czwórką, nie tylko Sash z Farquahartem. Nawet gdyby Antydehowi zależało wyłącznie na tych ostatnich, to przecież nie zwykł działać połowicznie ani pracować, nie zabezpieczywszy sobie uprzednio perymetru. Remmuerish nie wątpił, że klinika została otoczona, jak również że w tych okolicznościach pomysły w rodzaju „a gdybym tak ukradł jedną z limuzyn...” były, delikatnie mówiąc, mało sensowne.

Sfrustrowanym i bezsilnym, pozostawało w zasadzie tylko czekać, aż zjawi się ktoś, kto z fałszywym uśmiechem zaproponuje im przejażdżkę na koszt państwa.

Bezczynność – to dobijało inżyniera chyba najbardziej. Nie potrafił tak po prostu siedzieć w oczekiwaniu na nieuchronne, fatalizm był zupełnie nie w jego naturze. Mógł choćby spróbować zasięgnąć języka. Dokąd ich zabierają i czy w ogóle ich zabierają, bo mimo wszystko mógł się przecież pomylić w swoich domysłach.

Wstał więc i ruszył w stronę pawilonów, ale po paru zaledwie krokach przystanął, spostrzegłszy, że ktoś idzie, a właściwie biegnie ku nim na przełaj przez wypielęgnowane trawniki i klomby. Chwileczkę, czy to nie ten lizusowaty asystent ordynatora? Ale dlaczego tak cwałuje? Remmuerish postąpił krok ku niemu.

Mężczyzna zatrzymał się, łapiąc oddech.

– Doktor... – Odkasznął. – Przepraszam, zasapałem się nieco. Doktor Gabardian kazał mi to państwu przekazać.

Nie rzeczy osobiste Farquaharta i Livansky'ego, czego się w pierwszej chwili inżynier przestraszył, ale błyszcząca sześciokąt z charakterystycznym logo Hextrii.

– Starter? – Remmuerish nie krył zdumienia.

Skąd taka wielkoduszność u ordynatora, dla którego byli przecież zupełnie obcy? Wielkoduszność notabene troszeczkę dęta, ponieważ przy bliższych oględzinach starter okazał się jednorazówką, jak z wypożyczalni, zatem Gabardian niczego im tak naprawdę nie dawał, nic też nie ryzykował ani materialnie nie tracił.

I podejrzana, cuchnąca na kilometr próbą odkupienia sobie tanim kosztem jakichś przewin. „Ubolewam, że zmuszono mnie do wydania waszych przyjaciół władzom, ale tytułem zadośćuczynienia macie ten oto prezencik”.

– Czy doktor Livansky...?

– Proszę pana, ja nie wiem – przewał mu pospiesznie tamten. – Ja tylko mam państwu to oddać.

Inżynier się wahał. Z jednej strony to, o czym myślał przed sekundą, z drugiej jednak... Gabardian doprawdy nie miał obowiązku pomagać im w niczym ani narażać się dla jakiegś tam lady Finkel na poważne konsekwencje służbowo-prawne. Skoro zatem pomagał, to może mimo wszystko należało być wdzięcznym za gest.

– No cóż, bardzo dziękujemy – odchrząknął, przemyślawszy wszystkie za i przeciw, Hannibale. – Gdyby jeszcze zechciał nam pan wskazać miejsce...

– Starter ma funkcję przywołania, to ten taki duży, czerwony sensor – poinstruował go asystent. – Dokumenty wozu, holokartę oraz zaktualizowane przelotki VIP znajdziecie państwo w skrytce pod deską rozdzielczą.

– Rozumiem. – Remmuerish skinął głową.

– Tak... No to byłoby chyba wszystko.

To nie było wszystko, przez długą chwilę asystent miał jednak zauważalny kłopot z wyartykułowaniem tych innych, płaczących mu się po języku słów.

– Jeśli chce pan powiedzieć, że ich zabierają, to już się sami domyśliliśmy – podszeptał Hannibale litościwie.

– Ogromnie mi przykro – odparł tamten z autentycznym zaambarasowaniem. – Decyzja z samej góry, musieliśmy się podporządkować.

– Wie pan chociaż dokąd? – westchnął Remmuerish.

– Oficjalnie do Centralnego Ośrodka Studiów Teoretycznych w Baes-Callais. – Asystent zerknął przez ramię na ambulans i funkcjonariuszy, którzy wysypali się z niego w liczbie pięciu. – Tylko czy z nimi można być czegokolwiek pewnym?

Nie można, zgodził się z nim w duchu inżynier. Próbował z chłopaka wyciągnąć więcej, ten jednak wymówił się innymi, niecierpiącymi zwłoki sprawami i prędko odtruchtał.

Hannibale obrócił kluczyk w palcach.

– Nad czym się zastanawiasz? – spytała Beatrice, obserwując mundurowych. Żaden jak dotąd nie zwrócił na nich uwagi, to jednak mogło się lada moment zmienić.

– Nad niczym – skłamał Remmuerish, w rzeczy samej bijąc się przez chwilę z myślami. Bo czyż nie zamierzali postąpić jak niełojalni tchórze? Gdyby zostali, okazaliby się jednak głupcami, a to było dla Hannibale znacznie większym powodem do wstydu. Przyskrzynieni nie pomogą absolutnie nikomu, odlatując zaś, zachowają jeszcze jakąś, choćby teoretyczną, swobodę manewru. – Chodźmy.

– Przecież powiedział, że nie trzeba.

Trzeba, nie trzeba, inżynier wolał jednak zejść funkcjonariuszom z widoku. Już skryty za gęstym parawanem oleandrów raz jeszcze obejrzał starter, dokładnie tym razem i z każdej strony. Jednorazówka, bez dwóch zdań, ale z pewnością nie tandetna. Czego innego zresztą należało oczekiwać po marce będącej symbolem luksusu? Sam zdalny kontroler miał kilkadziesiąt rozmaitych ustawień, dla zwykłego człowieka w większości bezużytecznych.

Inżynier rozwinął mapkę, na szczęście integralną dla klucza, bo zagłuszkarki nie przepuściłyby teraz żadnego zewnętrznego strumienia, zlokalizował pojazd i wprowadził ścieżkę cichego dołotu na pułapie nieprzekraczającym metra. Pół minuty później surfer opadł bezszelestnie u ich stóp.

Nie było dyskusji, kto ma prowadzić. Beatrice wskoczyła na fotel po lewej stronie, Hannibale natomiast zajął miejsce za sterami, z których obsługą nawet ktoś ślepy, głuchy i podagryczny nie miałby problemów.

– Gdzie ten schowek?

– Tutaj. – Dziewczyna stuknęła palcem w polerowane drewno. Niewątpliwie prawdziwe i horrendalnie kosztowne.

– Otwórz i zobacz, co w nim rzeczywiście jest.

Najważniejsze w tym momencie były dla nich owe przelotki, których Bea znalazła w skrytce aż cztery – nominalna liczba osób, dla jakiej zarejestrowany był surfer. Wszystkie najwyższej możliwej kategorii, i wszystkie *in blanco*.

– Dwie zostawmy sobie czyste, na wszelki wypadek – powiedział Remmuerish.

– Zaraz, ale ty przecież nie możesz ich autoryzować – uświadomiła sobie nagle Beatrice.

– Jako manneken?

– No właśnie.

– Kart VIP?

– Co za różnica?

– Fundamentalna. – Inżynier przyłożył kciuk w lewym dolnym rogu karty i aktywował holograficzny interfejs. – Karta VIP tym się różni od innych, że nie służy do ujawniania, lecz do skrywania tożsamości. Zaraz, co by tutaj... ach, mniejsza, dajmy Stark, Starków w Apeksie jak psów. No i już. Blokadę ADH ominiemy.

– Tylko co dalej? – zmarkotniała momentalnie Beatrice. – Wpakowaliśmy Thomasa, wpakowaliśmy tego twojego Livansky’ego, szlag jasny by to trafił!

– Spokojnie, coś wymyślimy. – Remmuerish włożył starter do slotu. – Ale najpierw trzeba zniknąć z Wydziałowych radarów.

I wrócić na statek, bo to dla nas w tej chwili jedyne bezpieczne miejsce.

* * *

Prawo powszechnej sedymentacji socjalnej mówi... oczywiście, nic nie mówi, bo nikt nigdy takiego nie sformułował. Ale gdyby istniało, brzmiałoby mniej więcej w ten sposób: każde społeczeństwo, choćby nie wiadomo jak rozwinięte, postępowe, światłe i egalitarne, prędzej czy później upodabnia się do starego szamba z czystą wodą u góry, mętną zupą pośrodku i gównem na dnie.

Apeks nie tylko się z owego schematu nie wyłamał, lecz z karykaturalnym wręcz przerysowaniem jeszcze go uwypuklił. Idiomy w rodzaju „upaść nisko” albo „stoczyć się” nabrały ponurej dosłowności, a „dół społeczny” z luźnego określenia osób zmarginalizowanych i przegranych zamienił się w synonim konkretnego miejsca, to jest najniższego poziomu habitorium, gdzie tacy niemal bez wyjątków kończyli. Co nie oznacza, że przestawali istnieć.

Istnieli, tyle że poniżej horyzontu zainteresowania reszty Wierzchołkowców, tworząc swój odrębny świat, mroczny i wrogi dla obcych. Jednego człowiek mógł być pewien, zawieruszywszy się w tych rejonach – niespodzianek. I to, w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto, raczej przykrych.

Myśl o zejściu do tego rynsztoka napawała Hannibale odrazą, surfera musieli jednak pozbyć się dyskretnie, co nie było możliwe nigdzie indziej prócz slumsów. Monitoring był tu legendarnie niesprawny, skłonność „grzybów” do współpracy z organami ścigania znikoma, a ich ręce lepkie i zwinne. Można było tutejszemu żulostwu zaufać, że luksusowy i niepilnowany kabriolet rozparcelują błyskawicznie, pozostawiając służby bez materialnego śladu. Kłopot mogli mieć tylko później ze znalezieniem zastępczego środka transportu, ale tym inżynier postanowił martwić się już na dole.

Ostatnia z galerii mieszkalnych, parter habitorium, poniżej którego były już tylko brudne piwnice. Remmuerish zredukował prędkość, rozglądając się za jakimś kawałkiem wolnej i mało wyeksponowanej przestrzeni.

– A czemu się tu zatrzymujesz? – spytała zdziwiona Beatrice.

– Dosłownie na moment – odparł i wylądował na obrzeżach zaniedbanego zieleńca.

To nie był pojazd do zadań specjalnych i producent nie uznał za konieczne wyposażania go w system realnego kamuflażu. Opcja dekoratora musiała wystarczyć. Remmuerish zmienił barwę karoserii z perłowej na matowoczną i wygasił światła. Nie spodziewał się, że dzięki temu przybędą całkowicie niezauważeni, ale może nie przywita ich od razu tłum.

Z drugiej strony, gdzie ów tłum miałby się zebrać? W tych ciasnych zaułkach pomiędzy obskurnymi budami, które nie zasługiwały na miano ludzkich domostw? Nie było miejsca nawet na to, żeby posadzić surfer, a mikroskopijny placyk udało się inżynierowi wypatrzeć dopiero po kilku minutach. Właściwie nie tyle placyk, ile publiczny ustęp, jak można było sądzić po fetorze.

– Nie, ja tutaj nie wysiadam, mowy nie ma – stwierdziła stanowczo i z nieukrywanym obrzydzeniem Beatrice.

– Dlatego że śmierdzi?

Dziewczyna podniosła na niego wzrok i nagle zrobiło jej się autentycznie głupio. No bo przecież jak ją ten człowiek zapamiętał? Jako małą, twardą spryculę z Lasu i nieustraszoną eksploratorkę zafajdanych tracheoduktów. Której ni stąd, ni zowąd zaczęły przeszkadzać siuśki?

– Zapomnij – mruknęła, i żeby jak najszybciej zmienić temat, zapytała: – Bierzymy coś oprócz przelotek? Holokartę?

– To jest bardzo zły pomysł.

– Jest na niej całkiem spory limit wolnych środków.

– Tak, i namierzyliby nas przy pierwszej próbie ich podjęcia – uciął Remmuerish. – Gotówka od Halversena najzupełniej nam wystarczy.

Opuścili pojazd. Inżynier niemal suchą nogą, Bea odrobinę mniej szczęśliwie, gdyż wpadła po kostki w oleistą kałużę. Ale nawet drgnieniem powieki nie dała po sobie poznać dyskomfortu.

Hannibale przywrócił surferowi oryginalne umaszczenie – co sprawiło, że mroczny zaułek natychmiast pojaśniał – i wrzucił kluczyk do schowka.

– Trochę szkoda. – Beatrice westchnęła.

– Czego? Przecież za parę godzin i tak musielibyśmy się z nim pożegnać.

– Wiem, ale mimo wszystko...

* * *

Jednego Remmuerish nie przewidział, planując naprędce tę eskapadę: że slumsy okażą się labiryntem, w którym zabłądzą.

W dodatku labiryntem wymarłym. Krążyli już tutaj od prawie dziesięciu minut i nikt, ale to absolutnie nikt nie zainteresował się ich dwójką. Ni żebrak, ni złodziejaszek, ni żaden inny zapluty męt, od których podobno miało się tu roić. Gdzie się, do jasnej zemsty, cała ta piwniczna menażeria podziała? Relokowano ich dokądś *en masse*? Ale przecież takich praktyk zaprzestano już dawno temu, uznając je za niehumanitarne, zbyt drogie i przede wszystkim nieefektywne, bo odnosiły ten sam skutek, co relokacja karaczanów albo szczurów. Slumsy regenerowały się błyskawicznie. Ktoś kiedyś wyliczył nawet, ile średnio zabierał im powrót do stanu sprzed czystki – mniej niż tydzień – i że systematyczne likwidowanie ich kosztowałoby państwo około jednej trzeciej wszystkich przychodów w danym roku fiskalnym. Jedna trzecia budżetu utopiona, i to – bez żadnej przenośni – w gównie. Który normalny polityk przywiązałby sobie taki kamień do szyi?

W grę nie wchodziły również epidemia, zatrucie gazem ani wzajemne wymordowanie się przez mieszkańców. Każde z tych nieszczęść pozostawiłoby widoczny ślad, głównie w postaci umarłaków, a jak dotąd nie natknęli się jeszcze na ani jednego. Prawdę mówiąc, to w ogóle nie natknęli się na jakąkolwiek oznakę ludzkiego bytowania, wyjąwszy zasikany placyk. I ten fakt chyba najbardziej zastanawiał.

Inżynier ruszył w górę uliczki, uważniej niż do tej pory przyglądając się fasadom stłoczonych domostw. Coś mu w nich nie pasowało, ale dopiero teraz tryby wskoczyły na swoje miejsce.

Rzeczywiście, budy różniły się między sobą – jedne były wysokie i wąskie, inne przysadziste. Jedne z daszkami, inne bez. Tutaj nad wejściem kołysał się mocno wypalony i obsrany przez muchy luminar, tam odręcznie nagryzmołony szyld.

Niby wszystko odpowiadało stereotypowemu wyobrażeniu o takiej dzielnicy, a zarazem nie odpowiadało mu wcale, gdzie bowiem podział się tak charakterystyczny dla slumsów miszmasz, przypadkowość budulca i konstrukcyjne bezhołowie? Przeciwnie, im dalej zagłębiał się w uliczkę, tym większym cała ta różnorodność jawiła się złudzeniem. Zamiast konglomeratu odzyskanych z utylizatorni tworzyw wszędzie identyczna chitopilśnia, zamiast budowlanej anarchii sztanca. Domy przypominały klocki ustawione w regularny deseń, stąd to uczucie *déjà vu*, a nie dlatego, że gonili w piętke.

Remmuerish pchnął drzwi najbliższej z chałup i zajrzał do środka. Pusto. Tak samo jak w następnej i jeszcze kilku innych, które w pośpiechu sprawdził. Nie było żadnego śladu, by ktoś tu kiedykolwiek zamieszkiwał, nic oprócz gołych ścian.

– Atrapa... – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

Pytanie: kto ją tutaj postawił i w jakim celu? Żeby upiększyć dach grzybiarni? Nonsens. Żeby zmusić biedotę do zamieszkania w godziwszych warunkach? Sądząc po stopniu zajętości, pomysł kompletnie chybiony. Dla zakamuflowania czegoś, co znajdowało się niżej, na poziomie farm? Jeżeli przed policją, to komuś brakowało tu chyba piątej klepki, jeśli natomiast przed oczami postronnych... Zaraz, a może chodziło nie o to, by cokolwiek przed

wzrokiem ukryć, lecz by ów wzrok omamić? Mimikra, jak u przyczonego wśród listowia drapieży, mimikra i dezorientująca pułapka w jednym...

Inżynierowi po plecach przeszły ciarki. Labirynt, który z początku rzeczywiście mógł być jakimś ambitnym projektem społecznym, tyle że idea nie wypaliła albo została porzucona w pół drogi, a na skrzyżowaniu dobrych chęci ze słomianym zapalem wyrosło osiedle-widmo. Niezamieszkane, ale zaadaptowane przez tutejszych do innych celów, które zapewne niewiele miały wspólnego z oryginalną koncepcją biurokratów.

Klnąc pod nosem, Remmuerish wycofał się z zaułka.

– Wracamy.

– Do surfera? – zdziwiła się Beatrice.

– Może tam jeszcze stoi.

– Ale czemu?

– Bo to wszystko jest humbug. – Inżynier powiódł ręką dookoła.

– Jeden wielki rekwizyt, dekoracja dla frajerów. Prawdziwe slumsy znajdują się zapewne gdzieś niżej, tylko że już mi się odechciało szukać do nich przejścia. Wracajmy.

Nie okazało się to rzeczą łatwą. Nawet fotograficzna pamięć inżyniera nie odnotowała po drodze jakichkolwiek znaków szczególnych, jakby ktoś, podążający trop w trop za nimi, skrętnie je usuwał. Skrętnie dla Remmuerisha, który mimo ostrego wzroku ustępował jednak trakerskimi umiejętnościami Beatrice. Przez pierwsze kilkaset metrów to on prowadził, ale, sfrustrowany, szybko puścił dziewczynę przodem. A ona ruszyła jak pies myśliwski, węsząc, nasłuchując i co parę kroków dotykając pilśniowych ścian, które dla Hannibale nie różniły się jedna od drugiej absolutnie niczym.

Minęli już kilkanaście „przecznic”. Beatrice maszerowała coraz raźniej, i nagle stanęła, a dokładniej rzecz biorąc, została brutalnie zatrzymana przez wyskakującą z ciemności rękę. W ostatnim ułamku sekundy zdołała się schylić i czarny kułak tylko ją musnął.

Napastnik nie był jednak sam i druga pięść trafiła dziewczynę celniej, z nokautującą siłą.

– Wikel, z tła uważuj! – Czyjś ostry, chrapliwy szept, i zaraz: – Bier w dybuzzhht!!

Wrzask, trzask, klekot. Ktoś złapał ją za przegub, puścił jednak natychmiast i razem z pilśniową ścianą przefrunął nagle, krzycząc, ponad zaułkiem.

– Ej, to śtucny!!

Zgięta wpół z bólu, Beatrice mimo wszystko usiłowała wstać, zobaczyć, co się dzieje i kto ich zaatakował, a zwłaszcza czy jakiś następny drań nie skrada się z zamiarem wpakowania jej kastetu pod żebro.

– I co, ze śtucny? Glajzę drucianemu jerynił, w zad go z woltów, jak raz odechcy się sniżdzie fikać!

– Panowie, porozmawiajmy. – Odpowiedź Remmuerisha była spokojna i chłodna.

– Z rurom se możesz, szluncu, pogadać. – Bea usłyszała rechot.

– Katek!

- Ale... nie wzionem.
- He?!
– Ni mom rury!
- Jak ni mosz?!
– Nie mówił nikt, że wzionć, to ni wzionem!
- Uch, froncka twoja, ty!

Napastnicy zamilkli. Ilu mogło ich być? Dziewczyna widziała zaledwie trzech, ale niemożliwe, żeby to byli wszyscy, reszta najprawdopodobniej przyczaiła się po kątach i czekała. Cztery nieruchome postacie – posągowo spokojny Remmuerish stał w otoczeniu nieszczęśliwych mu nawet do ramion zbirów – wyglądały jak kadr z niskobudżetowego spektaklu grozy. Przez długą sekundę nie działo się absolutnie nic, a potem ktoś przeciągle gwizdnął i scena momentalnie ożyła. Sygnał do rejterady – napastnicy pierzchli i prawie wszystkim udało się zniknąć w ciemnościach. Wszystkim prócz herszta, którego inżynier złapał, zanim tamten zrobił krok.

- Mówiłem, że chcę tylko pogadać.

Drań przewrócił oczami, wystraszony w stopniu odwrotnie proporcjonalnym do swego wcześniejszego chojractwa.

– Pogadać, a nie zabijać, nie bój się – rzekł Remmuerish spokojnym tonem, odniosło to jednak mizerny skutek. Potrzeba było czegoś więcej niż słów.

Trzymając zbója za szmaty, drugą, wolną ręką Hannibale sięgnął do kieszeni po trezor. Nie musiał go nawet wyjmować, gdyż odpowiadające poszczególnym nominałom wgłębienia były wyczuwalne bez trudu. Odszukał trzecie z lewej i przycisnął dwukrotnie.

– Widzisz? – spytał, machnąwszy tamtemu pięcioglossówką przed nosem. – To dla ciebie.

Zbir popatrzył niedowierzająco na bilon, na inżyniera i znowu na bilon.

- Piuntka?

– Tak, piątka. Twoja. – Remmuerish wcisnął mu monetę w dłoń.

- A tutaj mam jeszcze jedną. Chciałbyś?

Kot na widok cynaderek nie miałby równie głodnych ślepi.

Strach zniknął, odsunięty na bok przez żądzę.

– I dostaniesz, ale tym razem coś za coś. – Inżynier puścił go, wiedząc już, że zbój nie zwieje. Problemem mogło być raczej to, że teraz nie będzie się chciał od nich odczepić.

- Za co?

– Potrzebny nam transport.

- He!

– He? Co znaczy he?

– A bystry mo być? Do śrzodka, na auz? – Żul natychmiast puścił się w trajkot. – Za sta, za dwiesta? Ze znoczkiem, z papiórami? Wszisko, wszisko co chcesz, znom tu najfychniejszy skład, u Wajnla.

– No to prowadź – uciał Hannibale. – Beatrice?

– Nic mi nie jest, chodźmy.

* * *

To, co zobaczyli pod spodem, tak się miało do tego na górze, jak żywy człowiek do powiązanego drutami szkieletu. Ten sam kościec, taka sama, w cudzysłowie, architektura i urbanistyka, tyle że zanurzona w miększu społecznej tkanki. Tkanki rozległe i głęboko nekrotycznej, trzeba, niestety, dodać. Ze wszystkich miejsc odwiedzonych dotąd przez Beatrice temu należało się miano zdecydowanie najpodlejszego i najbardziej przygnębiającego. I było doprawdy jakimś haniebnym paradoksem, że nie znalazła go na żadnych cywilizacyjnych peryferiach, lecz właśnie tutaj. Ludzi cofniętych w rozwoju do poziomu pełzającego we własnych odchodach robactwa.

– Błagam, bo się pogubimy, jeśli ciągle będziesz przystawać.

Ale jak można było przejść obojętnie wobec tak niewyobrażalnych przejawów degrengolady i zezwierzęcenia własnego gatunku?

Dziecko pod ścianą, martwe, z oczami wyjedzonymi przez szczury i ze strzępem jakiejś brudnej szmaty w ustach... Kadłub, nie sposób powiedzieć czy męski czy żeński, bo głowy brakowało, a wszystko od bioder w dół było zgruchotane, zdeptane i rozniesione nogami przechodniów... Uliczna jatka z wierzgającymi na drażgu kundlami i rozwiartowaną ludzką półtuszą...

– Och, graw! – jęknęła przez palce.

Remmuerish natychmiast ją stamtąd odciągnął.

– To jest... to jest... – Zdjęta obrzydzeniem nie potrafiła się wysłowić.

– Tak, szambo, którego my na pewno teraz nie oczyścimy, więc chodź. Daleko jeszcze do tych twoich warsztatów?

– Kąsek – odparł szmaciarz, nie zwalniając. – Trza jednak dookoła, coby obniżyć ryjcorzy.

– Jacyś twoi nieprzyjaciele?

– Et! – Rzezimieszek machnął nerwowo ręką. – Trza ich obniżyć, i kunic.

– Tylko że już od ponad dziesięciu minut obchodzimy – zauważył zniecierpliwiony Remmuerish.

– Skrótu ni ma – uciał tamten szczekliwie, torując sobie drogę pomiędzy współziomkami. Pięścią, łokciem, obcasem, przekleństwem, cokolwiek odnosiło skutek i pozwalało mu posuwać się naprzód.

Tu i ówdzie uliczka rozdymała się w szerszy placyk, przez który było trudniej się precyzyjnie niż przez zaułki. Dziewczyna miała już serdecznie dosyć tej upiornej wycieczki, mdliło ją od fetoru, od smrodu niedomytych, ocierających się o nią bez przerwy ciał, od całego tutejszego ohydztwa. Wzbierał w niej też coraz większy gniew na Remmuerisha, gdy więc ni z tego, ni z owego inżynier przystanął, wypaliła bez zastanowienia:

– Najpierw wyrywasz mi rękę, żebym szła, a teraz...

– Stój! – krzyknął inżynier, ale nie do dziewczyny. Rozpędzony mały zbójnik przystopował momentalnie, myśl o pieniądzech była dla niego jak smycz.

Dziwna sprawa, i dotarło to do Beatrice dopiero po paru sekundach, ten plac był o wiele rozleglejszy i pusty, w odróżnieniu od wszystkich poprzednio mijanych. Pusty i „nieprzyozdobiony” żadną makabreską, o ile nie liczyć ciemnoczerwonego bajorka, w środku którego stał chłopiec. Mały, schludnie ubrany i zupełnie niepasujący do otoczenia.

– Przepraszam, ale chyba się zgubiłem. Czy ktoś z was mógłby mi wskazać drogę? Dobrze zapłacę – wyrecytował chłopczyk, uśmiechając się do nich miło.

Miło i całkowicie sztucznie. Obrzydliwie sztucznie, jak hologram ze sklepowej witryny, a nad tym uśmiechem widniała para szklanych kul zamiast oczu. Kul, które obracały się to w prawo, to w lewo, tik-tak, tik-tak, tik-tak... Już to gdzieś widziałam, przemknęło momentalnie przez myśl Bei, graw, przecież ja to martwe spojrzenie już gdzieś widziałam!

Natomiast ich cicerone z przypadku nigdy. I nie robiło mu najmniejszej różnicy, czy potencjalna ofiara jest dorosłym, czy dzieckiem, dogorywającym staruszką, czy słabą kobietą ściskającą w rękę ostatni grosz – złodziejski instynkt każdego nakazywał wydoić.

– A jak, pójdźże! Malusi... – Nogi same poderwały szmacciarza.

Nie zaniósł go jednak daleko.

– Fuksa twoja w zad maty prąchy, co jest?!

– Ani mi się waż do niego zbliżyć! – syknął inżynier i jednym szarpnięciem zawrócił go ku sobie.

– Ale... chciał płacić...

– Gównon on ci zapłaci, i gównon ja ci zapłacę, jeżeli najdalej za pięć minut nie dotrzemy na miejsce!

Właśnie wtedy chłopczyk odwrócił się do nich tyłem i zobaczyli ogromną karmazynową plamę krwi biegnącą od pośladków w dół spodenek. Czemu się odwrócił, Remmuerish nie próbował się nawet domyślać ani zastanawiać, czyja tak naprawdę była ta krew.

– Znikajmy stąd – szepnął, i już zdecydowanie głośniejszym głosem powiedział do rzezimieszka: – No idź, jasna twoja zaraza, na co się oglądasz? Idź!

* * *

– Chcesz, żebym złożył samokrytykę? W porządku, cały ten rajd okazał się idiotycznym pomysłem. – Remmuerish przerwał kłopotliwe milczenie. – Nieprzemyślanym, nieodpowiedzialnym i o wiele bardziej niebezpiecznym, niż mi się na początku zdawało. Errare humanum est, cóż mam rzec? Też jestem na siebie wściekły!

Dziewczyna była zła na niego. A w każdym razie tak interpretował jej zacięte usta i nieobecne spojrzenie. Podkurczyła nogi, objęła się rękoma i po prostu siedziała, nie zamieniwszy z nim dwóch słów od chwili opuszczenia slumsów. Nim jednak całkiem stracił nadzieję na powrót ich wzajemnych stosunków do poprzedniego stanu, Beatrice stwierdziła z czarnym humorem:

– Ale przynajmniej nasze finanse nie ucierpiały.

– No, nie wiem. – Hannibale odetchnął z ulgą. – Dziesięć gloss za szmelc niewart nawet pięciu? Też mi udany interes.

Bea popatrzyła na Remmuerisha, Remmuerish na nią, i nagle obydwójce ryknęli śmiechem. Wariackim, histerycznym śmiechem, nie dlatego że to, co powiedzieli, było jakoś specjalnie zabawne, lecz z potrzeby katharsis, odtrucia się, odreagowania koszmaru ostatnich kilkudziesięciu minut. Ta z pozoru lekka wymiana zdań odnosiła się w rzeczywistości do faktu, że za rozklekotaną półciężarówkę nie zapłacili paserowi ani grosza, a nie zapłacili, bo co po pieniądzech komuś, kto tuż przed ich wizytą odstrzelił sobie głowę? Skład znaleźli kompletnie zdemolowany i splądrowany, ze śladami morderczej walki. Ktokolwiek był sprawcą, zabrał z magazynu wszystko prócz tego cholernego wraku. Ale przecież mógł nie zostawić im nawet tyle, więc w gruncie rzeczy i tak mogli mówić o szczęściu.

– Do... dosyć już!! – wykrztusił w końcu inżynier. – Bo się rozsypujemy.

– My? – parsknęła Beatrice.

– Graw, nie my, tylko ten złom. – Remmuerish machnął wiązką przewodów dyndających mu na wprost oczu niczym krowi ogon.

– Jasna zemsta, tutaj też powyrywane... Kobieto, czy ty się wreszcie uspokoisz?

– Jeżeli przestaniesz mnie rozśmieszać.

– Ja cię rozśmieszam? Ja tu nie widzę nic...

– O, pizole!

– Nie mówi się pizole, mówi się gołębnie albo gargalce.

– Obsralce?

Z małym rozumem jest jak z czkawką. Upłynęła jeszcze dobra chwila, nim ich opuścił, problemy jednak zostały. Inżynier coraz poważniej wątpił, czy tym truchłem w ogóle dotaskają się do portu. Może, jakoś... pod warunkiem, że stery nie zatną się już na amen, że nie zdechną zipiące resztką mocy ogniwa, że wolant nie wypadnie razem z połową deski rozdzielczej przez dziurę w podwoziu i że nie zostaną zatrzymani przez służbę kontroli ruchu.

Zwłaszcza ostatnia ewentualność uświadamiała, jak marnie na całej tej eskapadzie wyszli. Zamiast zniknąć władzom z pola widzenia, jeszcze trafią na odwach.

- Szlag by trafił!
- Co? – zaniepokoiła się Beatrice.
- Nic...
- A nie da się trochę szybciej?
- Może i się da, nie będę jednak próbował. I tak cud, że to pudło leci.

I że jak dotąd żaden patrol nie usiadł im na tyłku. Po krótkiej walce z drążkiem Remmuerish wykonał skręt i odnalazłszy korytarz serwisowy – dla śmieciarek, platform dostawczych i temu podobnych wehikułów – ustawił furgonetkę na wznios. Będą się tu co prawda wlekli jak kulawy winniczek, ale przecież i tak się wloką, a zawsze to bezpieczniej niż na otwartej przestrzeni.

– Królestwo za kąpiel. – Beatrice westchnęła z utęsknieniem. –

Ty w ogóle pamiętasz, na którym poziomie był ten port?

– Na trzydziestym czwartym.

– Na trzydziestym czwartym? Graw, no to przecież nawet za godzinę nie dolecimy!

Dolecieli zdecydowanie szybciej, dzięki sprytnemu wykorzystaniu przez inżyniera energii odpadowej z pól nośnych innych pojazdów. Hannibale wylądował na znajomym parkingu, ciemnym teraz i, obiektywnie rzecz biorąc, ponurym. Dla dziewczyny jednak było to po niedawnej makabrze jak powrót na łono raju.

– Nareszcie... – wyszeptała, oddychając pełną piersią.

– Co mówisz?

– Że nareszcie pachnie inaczej niż gównem! O, matko... jak to czasami niewiele potrzeba człowiekowi do szczęścia!

– Mnie uszczęśliwi widok statku na swoim miejscu – odparł Hannibale. – Bo jeśli zniknął...

Obawy inżyniera okazały się bez pokrycia, koga bowiem czekała na nich dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawili. Żeby jednak nie było tak całkiem bez niespodzianek, czekała w towarzystwie. Remmuerish popatrzył ze zdziwieniem na szary kadłub frachtowca, na ogołoczone z kontenerów nabrzeże i kręcących się obok trapu mężczyzn, których przecież od dawna nie powinno już tutaj być. Rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami, dopóki jeden z nich nie zauważył Hannibale.

– Szypeeer! – ryknął marynarz w głąb luku.

– Przepraszam, dlaczego jeszcze nie odlecieliście? – spytał Remmuerish, momentalnie zaniepokojony. Jasna krew, czyżby przez niego? Sknocił coś, naprawiając im te cholerne przepustnice? Co za dzień, co za nieprawdopodobnie wredny, pechowy dzień!

Kapitan Celesty, jak Hannibale się niebawem przekonał, był dokładnie tego samego zdania.

Rozdział 13

– Jeden zasrany kontener – wycedził gniewnie Halversen. – Źle umocowana kłamra. Zawsze coś takiego, gdy człowiek się spieszy, no i gruchnął. Nie dość, że gruchnął, to jeszcze zaklinował się pomiędzy kotwą cumowniczą i odbojnikiem tak, że przez pół godziny nie potrafiliśmy go stamtąd wyciągnąć. A kiedy go w końcu wyciągnęliśmy, śluza była już zamknięta.

– I jak rozumiem, jest nadal – powiedział inżynier. – Próbowaliście coś zrobić?

– A cóż ja, u licha, mogę zrobić, panie Bremmer? Przerąbać się na zewnątrz siekierą? Chyba tylko to mi zostaje! Zwrócenie się o pomoc do służb technicznych odpada, złamałbym w ten sposób warunki kontraktu. Jak również zaangażowanie fachowców z jakiejś prywatnej firmy. Zresztą nie wiem, czy nawet oni coś by tu poradzili, bo sprawa wygląda na poważniejszą niż zwykła obstrukcja zastawek.

– Poważniejszą w jakim sensie? – Inżynier rzucił okiem na zgromadzonych przy trapie załogantów.

Już raz dokonał małego cudu, gdy reanimował ich strupieszalą Celestę i sądząc z ich min, najwyraźniej oczekiwali teraz po nim kolejnej magicznej sztuczki. Zdesperowany kapitan chyba również, a przynajmniej jakiegoś świeżego pomysłu, bo wszystkie własne dawno zdążył wyczerpać.

– Może po prostu podlecimy i sam pan zobaczy. – Wskazał na zaparkowany nieopodal kuter serwisowy.

Prawdę mówiąc, Halversen mógł mu to opisać jednym krótkim słowem: skrzep. Ewentualnie skleszcz, wstawka, sutura bądź zaciepka, określeń na to, co Hannibale ujrzał, istniało bowiem w Wierzchołkowych gwarach mnóstwo. Reflektory kutra ukazały tunel, który nie tylko zrobił się węższy, ale przede wszystkim krótszy o kilkanaście metrów. Zastawek w ogóle nie sposób już było dojrzeć, przesłoniętych trójwymiarową siecią włókien i chiazm.

Gęstszą i bardziej gąbczastą im dalej od doków, rzadszą im bliżej. I wciąż przyrastającą kolejnymi filamentami, które tryskały ze ścian w tempie dwóch, trzech na sekundę. Krótko mówiąc, śluza się zasklepiała, i wszystko w porządku, tylko że to przecież był port, a nie jakaś tam dziura po uderzeniu kosmicznym śmieciem.

No właśnie, pomyślał inżynier, był. A teraz jest ugór, gdzie diabli wiedzą od ilu już miesięcy albo nawet lat nikt niczego nie sprawdzał ani nie konserwował, pozwalając osłabnąć barierom nałożonym na regeneracyjne mechanizmy Drzewa, które prędzej czy później i tak doszłyby na powrót do głosu. A tylko ich zafajdane, garbate szczęście, że musiało się to zdarzyć akurat teraz.

Halversen dobrze powiedział: żaden wart swojej ceny formierz nie tknąłby tego nawet kijem. Nie, kiedy tworzył się skrzep i aktywność tkanek osiągała maksimum.

– Psiakrew – rzucił Hannibale. – Gdyby to tylko był zwieracz, moglibyśmy spróbować użyć lancy...

– Macierzowej? – Oczy kapitana momentalnie zrobiły się szersze. – Dysponuje pan lancą macierzową?! A jakiej klasy, jeśli wolno spytać?

– Nie wiem, i mało istotne, bo w tych warunkach i tak już raczej nici z mojego pomysłu.

– Jakiego pomysłu?

– Żebyście się przepakowali razem z towarem na galeon.

– Ha!

– Miejsca jest dosyć, ładownia pusta...

– Tylko po co? – przerwał mu podniecony Halversen. – Żeby mnie pan dobrze zrozumiał, jestem niezmiernie wdzięczny za propozycję. Nie ma jednak najmniejszej potrzeby robienia takich przekładanek.

– Ja, szczerze mówiąc, innego rozwiązania nie widzę. Pomijając demontaż i przeniesienie okrętu w kawałkach.

– Lanca, panie Bremmer!

– Nawet gdybyśmy jej użyli, nie otwierałyby drogi Celeście, frachtowiec jest jednostką zbyt masywną – odpowiedział rzeczowo Hannibale.

– A miałby pan coś przeciwko temu, żebym zerknął?

Inżynier nie miał. Zapoznanie się ze specyfikacją techniczną lancy zajęło kapitanowi parę minut, rozłączenie i przenosiny na Celestę dziesięć następnych, i tylko zmiana nastroju załogi z ponurego w ekstatyczny nastąpiła momentalnie.

– Pole działania lancy jest ograniczone zakresem jej parametrów, rozmiar statku nie ma z tym nic wspólnego – tłumaczył Halversen ze swadą konesera, podczas gdy pierwszy oficer z bosmanem kończyli diagnostykę. – Parametry z kolei definiują klasę, dlatego pytałem. Najniższa to P-Z, zaliczają się do niej na przykład wszelkiego typu dłuta i skalpele formierskie. Najwyższa, P-0, istnieje wyłącznie jako odnośnik, taki punkt na skali, wobec którego mierzy się wszystko inne, w dół.

– A ta moja, to jest, chciałem powiedzieć, anheloska?

– P-N.

– Czyli?

– Czyli że gdyby ją ustawić na pełną moc i wyłączyć bezpieczniki antyprogramatorów, przeleciałby pan przez pień na wylot.

– Celestą?!

– Liniowcem pasażerskim – odparł kapitan, zerkając pierwszemu oficerowi przez ramię:

– I jak? Z czym masz problemy?

– Z za słabym echem na dwóch kanałach. Wejścia i wyjścia są niby w porządku, więc nie wiem, o co tu chodzi.

– To je po prostu wyłącz i skompensuj pozostałymi czterema – doradził kapitan.

– A jak nas zniesie?

– Lepiej, żeby trochę zniosło, niż żeby nam flangi przyrosły do macierzy. Panie Bremmer?

– Tak?

– Za parę minut ruszamy. Gdybym mógł prosić o ustawienie galeonu na dziobie.

– Na dziobie? Nie z tyłu, za rufą? – zdziwił się inżynier.

– Nie. Będziemy wchodzić agresywnym profilem, a to oznacza głębokie otwarcie z przodu i szybkie zasklepienie się tkanki za nami. Rufa po prostu nie będzie bezpiecznym miejscem. Port dokujący już wysunąłem, tylko niech pan użyje miękkiego sprzęgu, bo trochę nas może skręcać.

Remmuerish wrócił do sterów i wkrótce galeon zawisł frachtowcowi na nosie jak wielka tłusta mucha. Halversen potwierdził kontakt i otworzył interkom.

– Mówi kapitan. Wszystkie ręce do sekcji dziobowej. Powtarzam: wszystkie ręce do sekcji dziobowej.

– A co z tym Kutshebą? – spytał pierwszy.

– A co ma być? – odparł Halversen takim tonem, jakby chodziło o niedojedzone resztki z obiadu.

– No, bo jak nam, nie daj los, Drzewo dupę ściśnie...

– To będziesz miał wtedy całą masę innych zmartwień. Zaharov?

– Cumy zwolnione, szyper, mamy powietrze pod stępką!

– Zrób sto osiemdziesiąt.

– Aye!

Celesta wykonała półobrót, ustawiając się dziobem w jednej linii z szarą plamą na ścianie. Port rzeczywiście umarł, skoro szabrownicy wzięli się już nawet do ochronnej wyściółki. W jednym miejscu naszarpali jej tyle, że zaczął wyłaniać się goły zręb. I tam Halversen postanowił, że zaatakuje.

– Manewrową naprzód, pięć stopni na bakburtę.

– Jest pięć na bakburtę!

– Zwolnij do półmanewrowej.

Dziesięć metrów przed ścianą Halversen zastopował okręt i dał znak Mikeszowi.

– Włącz.

Macierz zaczęła się przed nimi rozstępować, z początku ślamazarnie, w miarę jednak jak pierwszy zwiększał gęstość strumienia, coraz szybciej i głębiej, rozłaząc się na brzegach kryzą ameboidalnych wypustek. Taki widok zwykł poprawiać samopoczucie jednostkom niedowartościowanym oraz wyznawcom wiary w technologiczną niezwyciężoność człowieka, Halversen zbyt wiele się jednak w życiu naoglądał i osobiście doświadczył, żeby odczuwał przed Drzewem coś innego niż pokorny respekt.

Lanca nie lanca, z macierzą zawsze trzeba było mieć się na baczności.

– Zaharov, ponownie półmanewrową.

– Aye, szyper, jest półmanewrowa.

Okręt z wolna począł zagłębiać się w ścianę, jak dłoń w rękawiczkę. Niektórym mogły przyjść na myśl skojarzenia zupełnie innego rodzaju, nikt jednak nie wypowiedział ich na głos. Halversen skupił całą uwagę na tablicy przyrządów. Wolał nie patrzeć na zewnątrz. Pięćdziesiąt jeden metrów, pięćdziesiąt dwa...

– Mam lekki odchył.

– To skompensuj i trzymaj nas równolegle do normalnej.

Sześćdziesiąt...

– Gładko idzie – mruknął bosman.

– Stul dziób, bo jeszcze zapeszysz.

Połowa ściany za nimi...

– Jack? Parcie na kadłub wzrasta.

– No to dodajmy gazu. Zwiększyć prędkość do manewrowej – zakomenderował kapitan.

Rząd cyfr na tachometrze pozostał jednak bez zmian.

– Powiedziałem: manewrową, Zaharov. Śpisz, człowieku?

– Jest manewrowa!

– Co? Gdzie to jest manewrowa? Niecały metr na sekundę? Mikesz!

– Dałem już sześćdziesiąt procent. Tylko...

– To czemu tak się snujemy? Daj więcej.

– Tylko że coś mi się tu zaczyna desynchronizować!

– Daj więcej! – powtórzył z naciskiem kapitan. – Żeby nie wiadomo jak się zrobiła oporna, przy gęstości...

– Barografy za kreską!

– Co?! – Halversen popatrzył z niedowierzaniem na odczyt z czujników naprężenia kadłuba. – O, ty...

Alarm poderwał wszystkich obecnych na mostku.

– ...brejo stęchła! – dokończył. – Miko, wypruj z lancy ile możesz! Tropos, każdy niepotrzebny nam w tej chwili erg do stabilizacji tylnych żeber, muszą wytrzymać jeszcze parę minut! Panie Bremmer?

– Jestem, co tam się u was dzieje?

– Macierz, strup by ją pokrył! Nie przypuszczałem, że będzie aż tak nieustępliwa i agresywna. Ale damy radę, damy radę... tylko musimy teraz działać wspólnie.

– Słucham.

– Do próżni zostało nam najwyżej kilkadziesiąt metrów, niestety, coś się zaczęło knocić z lancą, bo gwałtownie spada tempo nadpisywania kodów. Póki działa, wyciśniemy z niej ostatnie soki, to jednak może się okazać niewystarczające.

– Graw, chyba nie zamierza pan taranować tkanek? – zaniepokoił się inżynier.

– Owszem, jeśli nie będę miał innego wyjścia – odparł twardo Halversen.

– I dlatego kazał nam się pan ustawić na dziobie? – spytał chłodno Remmuerish.

– Nie, panie Bremmer. Dlatego że na rufie byłoby już dawno po was – padła riposta Halversena.

– Dobrze. Chyba już rozumiem, o co panu chodzi. – Inżynier westchnął. – Żeby w razie potrzeby wsparł pana mocą swoich silników, tak?

– Tak – potwierdził kapitan. – Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale gdyby doszło, to proszę na mój znak włączyć wszystko, co pan ma.

Niestety, doszło, i to już kilkanaście sekund później. Kapitan zacisnął pięści, jakby chciał tym gestem dodać swojej leciwej łajbie wigoru, i wykrzyknął:

– Teraz, cała naprzód! – Zupełnie niepotrzebnie, bo nawigatora miał tuż obok. – Panie Bremmer, cała naprzód, ile ma pan pakunku pod nogami!

– Psiakrew, sprzęg z galeonem nie wytrzyma, a dupę i tak nam zgniecie. – Pierwszy przygryzł w zdenerwowaniu wargę.

– To rób tak, żeby wytrzymał, pilnuj synchronizacji wektorów!

Od czego cię tu w końcu mam, do szmaty matki?! – wypalił kapitan. – Tropos, wszystko co się da, w napęd, ale to absolutnie wszystko! Jasny splot, jeszcze tylko parę metrów... Idź, malutka! No słyszysz?! Idź, ty stara, spróchniała, niewdzięczna balio! Idź, albo zostaniesz tu na zawsze jako ornament!

– Wręgi puszczają!

– Idź!!

Byli już prawie u celu, w ostatniej, zewnętrznej powłoce otworzył się upragniony prześwit, i nagle pierwszy oficer, blednąc, wyszeptał:

– Ożeż ty... Jack, powiedz inżynierowi, żeby natychmiast oddokował!

– A to czemu? – Halversen rzucił się do przyrządów.

– Lanca! Nie wiem kiedy i w jaki sposób, ale się suka przebiegunowała! I dostaje instrukcje już nie z naszych repozytoriów, ale od tkanek!

– No to na co ty jeszcze czekasz, do ciężkiej twojej zapleśniałej, wyłącz ją, w tej chwili wyłącz mi to gówno!

– Dziób ma klar! – poinformował nawigator radośnie, tak skupiony na swoim, że nawet nie rejestrował podniesionych głosów.

– Powtarzam, dziób ma klar, delta siedem koma dwa metra na sekun...

Ostatnią sylabę stłamsił nagły zryw i gwałtowny skręt kadłuba o ponad sto osiemdziesiąt stopni. Tak gwałtowny, że pomimo wyrobionego refleksu kapitan nie zdążył niczego się chwycić i najpierw grzmotnął o sufit, a chwilę później szczęką w zagłówek fotela, kiedy automat przełączył zasilanie na pomocnicze i układ przeciwbezwładnościowy znów zaczął działać.

– O, ty mendo kuternogo! – wycharczał, spluwając krwią, czarną w karmazynowym świetle awaryjnych lamp.

– Rufa w potrzasku! – krzyknął nawigator, jakby odgłosy z maltretowanych tylnych sekcji okrętu nie mówiły same za siebie.

– Detonuj sworznie na grodziach czwartej i piątej!

– Ale przecież w ten sposób przepadną... – stęknął bosman.

– Już przepadły. Detonuj, powiedziałem!

– Aye – westchnął pierwszy, zrywając plomby z bezpieczników.

Znów nimi szarpnęło, tym razem zdecydowanie lżej i we właściwym kierunku.

– Sworznie zdetonowane!

– Panie Bremmer!

Huk, trzask, zgrzyt...

– Klar jest pełen!

...i gwiazdy, wirujące leniwie przed dziobem.

W ciszy, która nagle ogarnęła sterówkę, Halversen mógł już tylko patrzeć, jak ich stara, pocziwa Celesta dogorywa, jedna gasnąca kolumna wskaźników po drugiej. Agregat, stabilizatory, główny rozrząd strumienia, wielodział, połowa strun pędnych. Tyle oddali tkankom za ocalenie własnych dusz. Reszta nie nadawała się do jakiegokolwiek dalszej żeglugi o własnych siłach, a wkrótce zapewne i do utrzymania ich przy życiu. Żeby było weselej, stracili również obydwaj z zaparkowanych na rufie kutrów. Ładunek natomiast pozostał cały, i to już była ironia w najczystszej, najbardziej wrednej formie.

– Ludzie, co wyście zrobili?! – zaskrzeczał z interkomu głos mechanika.

– Daliśmy dupy jak najtańsza z portowych dziwek, ot co! – Bosman cisnął czapkę w kąt.
– To już koniec.

– Koniec będzie dopiero, kiedy ja tak powiem! – krzyknął kapitan. – Myśleć!

– A nad czym, do ciężkiej flegmy? – Bosman walnął kulakiem we wręg przy drzwiach. – Nad przemówieniem do pograniczników, którzy lada moment się tutaj zlecą? Nad tym, co zrobi nasz zleceniodawca, gdy się zorientuje, że wsadziliśmy go na sztyft?

– Może akurat nic nie robi – mruknął Vic, ssąc rozciętą wargę.

– Ha! – parsknął mat. – No to byłby jedynym znanym mi przypadkiem niewindykatywnego skurwiela.

– A ja wam mówię. – Pierwszy pokiwał głową. – Od początku cały ten kurs wydawał mi się śmierdzący.

– Zgodziłeś się – przypomniał mu Halversen.

– Nie bez zastrzeżeń. Co to znaczy, żebyśmy nie mogli sprawdzić towaru? Albo masz do przewoźnika zaufanie, albo nie przybijasz z nim blachy, proste. No i ten stary, kompletnie zapomniany port. Idealna dziura, żeby zorganizować w niej jakieś hokus-pokus. Sto do jednego, że incydent został zaplanowany.

– Tak, włącznie z kontenerem, który spadł z dźwigu i serią innych przypadków, pierdoły.
– Bosman skrzywił się. – Zresztą, gównu mnie to teraz obchodzi, bo tak czy siak wszystko stracone. Statek, urobek, reputacja, wszystko.

– Niekoniecznie. – Kapitan skrzyżował ręce na piersiach.

– A co możemy zrobić? Chyba tylko skrzynki na plecy i hopla wplaw siedemdziesiąt pięć milionów kilometrów.

– Dasz mi skończyć?

– Jasne. – Mat podniósł czapkę z podłogi. – Co proponujesz?

– Żebyśmy się podzielili udziałami z inżynierem. – Halversen powiódł wzrokiem po wypranych z kolorów twarzach.

– Ja nie mam nic przeciwko. – Pierwszy wzruszył ramionami. – Ale skąd wiesz, że byłby w ogóle zainteresowany?

– Porozmawiam. Jeśli nikt inny nie zgłasza zastrzeżeń.

Nikt nie zgłosił. Kapitan podszedł do konsoli.

– Panie Bremmer? Halo? Szlag trafił, wszystko już tu zdycha... panie Bremmer?

– Tak? Rany Ziemi, no wreszcie, bo już myślałem, że ciągnę za sobą wrak pełen trupów!

– Ekran zamigotał i zgasł.

– Mamy tylko jedną ofiarę śmiertelną.

– Ogromnie współczuję.

– Kutsheba.

– Ach... No cóż...

– Panie Bremmer, przede wszystkim chciałem w imieniu swoim oraz całej załogi podziękować za to, co pan zrobił.

– Drobiazg – odparł Hannibale. – Aczkolwiek gdyby posłuchał pan mojej wcześniejszej rady, sytuacja zapewne wyglądałaby inaczej.

– To prawda – przyznał ze skrucą kapitan.

– I co teraz? W jakim stanie jest okręt?

– W krytycznym.

– No tak... – westchnął Remmuerish. – Dobrze. Niech mi pan powie, do której śluzy mam przycumować.

– Powiem, ale pod jednym warunkiem.

– A mianowicie?

– Że przyjmie pan ofertę równorzędnego z nami wszystkimi uczestnictwa w zyskach.

– Co takiego?

– W przeciwnym wypadku...

– Później o tym porozmawiamy – uciął sucho inżynier. – Która śluza?

– Sprawdzę, proszę zaczekać.

* * *

– Ale ich pokieroszowało, całą sekcję rufową diabli wzięli – mruknął Hannibale, ustawiając galeon na równi ze śródokręciem Celesty.

– Diabli jak diabli. – Beatrice uniosła wzrok, usiłując znaleźć w pomarszczonej teksturze bąbla ślad wskazujący na to, że kiedykolwiek istniał tu jakiś port. Pouczająca lekcja dla tych wszystkich, którzy zapomnieli, czym jest megastruktura i jak groźnym potrafiło być drażnienie jej czułych miejsc. – Posłuchaj, a nie możemy ich po prostu gdzieś odholować?

– Z tego, co powiedział Halversen, rezerwy wystarczą im najwyżej na parę godzin. I w ogóle za duże ryzyko.

– A branie sobie na kark szmuglerów z kontrabandą to nie jest ryzyko? No wybacz!

– Na Marsa i z powrotem obrócimy w jakieś cztery dni...

– Nie chcę lecieć na żadnego Marsa! – przerwała mu kategorycznie. – My chyba mamy swoją własną sprawę do załatwienia, tu i teraz.

– Sprawę, która może od nas wymagać czegoś tak prozaicznego, jak łapówki – odparł Hannibale.

Chcąc nie chcąc, Bea musiała przyznać mu rację. Bez pieniędzy, i to sporych, nie mieli żadnych szans, by cokolwiek tu zdziałać w sprawie Thomasa. Dodając jeszcze zagrożenie ze strony Antydehu, te kilka dni z dala od Wierchołka nie było najgorszym pomysłem.

– Dok jest gotów, panie Bremmer – usłyszeli. – Przepraszam, że tyle to trwało, ale bez głównego zasilania wszystko musimy robić ręcznie.

– Rozumiem. – Inżynier podprowadził galeon do śluzy, włączył autobalans i zszedł pod pokład, bo tylko stamtąd można było wysunąć rampę towarową.

Syknęły reduktory, wrota odjechały na bok i Hannibale przeszedł do ładowni, rozświetlonej jedynie luminarami krzątających się ludzi.

– To ile jest tych kontenerów? – Podeszedł do kapitana.

– Co? Aa... dwadzieścia. – Halversen zwrócił ku inżynierowi mocno zafrasowaną twarz.

– Jakiś problem?

– Kilka się rozwalilo, szlag by trafil!

– Ale nie jakoś strasznie – stwierdził Remmuerish, oglądając jedną z uszkodzonych skrzyń. – Ładunek też raczej cały. Tak à propos, co to jest, jeśli wolno spytać?

– Nie wiem.

– Wygląda na sprzęt do laboratorium. – Inżynier zajrzał głębiej.

– Czy wasz zleceniodawca... A zresztą, przepraszam, nie moja sprawa. Zrebindujemy ścianki i powinno się trzymać.

– Nie w tym rzecz, panie Bremmer. – Kapitan westchnął.

– A w czym?

– W tym, że nie miałem prawa wiedzieć, co wiozę. Główna klauzula umowy. I jestem pewien, że druga strona zabezpieczyła się przed taką ewentualnością.

– Plombami?

– Podejrzewam, że w o wiele bardziej wyrafinowany sposób.

– To niedobrze. – Inżynier pokręcił głową. – Ale coś przez te dwa dni wymyślimy. Kontynuujcie przeładunek.

Uwinęli się z tym szybko, w niecałe dziesięć minut. Halversen, z dziennikiem pokładowym pod pachą i sercem ciężkim jak ołów, zszedł z pokładu jako ostatni.

– Smutna chwila – rzekł Remmuerish, rehermetyzując galeon.

– Bywały już smutniejsze w moim życiu – odparł kapitan pozornie obojętnym głosem. – Mam pytanie, czy ten statek jest uzbrojony?

Inżynier popatrzył z niepokojem na swego gościa.

– Przewiduje pan...?

– Och nie, nic z tych rzeczy – pospieszył go zapewnić Halversen. – Chcę tylko wyprawić staruszcze należyty pochówek. I przy okazji uniemożliwić wszczęcie przez straż graniczną dochodzenia. To tak, żebyśmy wszyscy byli spokojniejsi, panie Bremmer. A jak wszystko się dobrze skończy, to kupimy sobie nowy statek. Taka już nasza szmuglerska dola, nie ma nad czym wylewać łez.

– Słusznie, nie pomyślałem. – Inżynier skinął głową. – Wrak, opuszczony i dryfujący w pierwszej strefie celnej... Nie wiem tylko, czy arsenał kogi wystarczy.

Wystarczył, i to spektakularnie.

– Żegluj do Walhalli, stara przyjaciółko – wyszeptał kapitan. – Panie Bremmer?

– Możemy ruszać?

– Aye!

Galeon wykonał zwrot przez sterburtę i przyspieszył, zostawiwszy za sobą rozprasający się szybko obłok plazmy.

Rozdział 14

W odróżnieniu od laboratoriów, mnemozeów czy nawet sal konferencyjnych, instytutowa kafeateria świeciła o tej porze pustkami.

Nadawała się jak żadne inne miejsce do spokojnej rozmowy w cztery oczy. Mogli co prawda porozmawiać również w tutejszym biurze Yaniga, dyrektor jednak go nie lubił, było bowiem dla niego zbyt jasne, koszmarne modernistyczne i, co najważniejsze, nie był w nim wcale pewien swojej prywatności.

– Ty niczego nie chcesz? – spytał, odbierając z dystrybutora parujące espresso i przyrumienione rogaliki.

– Już jadłem – odparł Kriwczuk, formalnie inspektor średniego szczebla, *de facto* zaś prawa ręka Yaniga.

Gdy dyrektor nie mógł bądź nie chciał angażować się w coś osobiście, Kriwczuk angażował się za nich obydwu. Gdy jakaś sytuacja w terenie wymagała zaufanych uszu i oczu, Kriwczuk ekspediował się tam bez zwłoki. Gdy trzeba było ręce zanurzyć w gównie po łokcie, Kriwczuk... no, to akurat nie sprawiało mu jakiejś szczególnej uciechy, ale też się nie wzdrażał i zanurzał, dopóki szambo nie zostało wybrane. Łebski, kompetentny, operatywny i lojalny. Jak bez takiego człowieka można by było w ogóle dyrektorować?

Stół czekał w pogotowiu i podfrunął ku nim natychmiast, skulone we wnęce fotele musieli jednak obudzić.

– No dobra, to jaki masz problem z tymi jajogłowymi?

– Taki, że jeszcze dzień, dwa najdalej i dostanę szalu. – Dyrektor wgrzył się w pieczywo.
– Jasna krew, czy ja ich gnębię? Czy w jakikolwiek sposób ograniczam albo się wtrącam? Mają tutaj pełną swobodę pracy, mają najnowocześniejszy sprzęt, idealne warunki, ba, nawet porządne żarcie.

– A ty jak dotąd nie masz żadnych wyników? – domyślił się bez trudu inspektor.

– Ja przede wszystkim nie mam z nimi kontaktu, i to mnie najbardziej denerwuje. Nie wiem, czy już do czegoś doszli, czy wciąż się kręcą jak świder w odchodach. Nie wiem, bo nie potrafię się z nimi porozumieć! A nie potrafię dlatego, że...

– Że masz niewłaściwe podejście – wszedł mu w słowo Kriwczuk.

– Jakie zatem proponujesz? Żeby wlaź im do dupy już całkiem czy raczej wsadził w nią rozgrzany do czerwoności szurajzel?

– Przepraszam, co?

– Nic – mruknął Yanig. – Kontynuuj. Mam złe podejście.

– Bo taka jest prawda. – Inspektor pochylił się nad stołem. – Ty widzisz w nich jedynie specjalistów, zawodowych rozwiązywaczy łamigłówek, zakontraktowanych jak nie przymierzając ekipa formierska. A to jest zupełnie inny typ! To są wysokie intelekty, z natury niezależne, introwertyczne i żywiące głęboką odrazę do zdyscyplinowanej pracy zespołowej. Skoszarowani nie stają się efektywniejsi, rozkazy wywołują w nich instynktowny opór.

W dodatku zagoniono ich do roboty na rzecz Wydziału, instytucji nieszczególnie przez nich umiłowanej.

– I co w związku z tym sugerujesz? Powinienem ich wszystkich z powrotem rozesać do domów?

– Nie, zmień tylko taktykę – poradził inspektor. – Zaprzestań konfrontowania ich jako grupy, a zacznij traktować indywidualnie. Po prostu ich rozbij.

– Przecież nie mówimy tu o jakiejś bandzie konspiracyjnych szczeniaków!

– Grupa to grupa, ktokolwiek ją tworzy – odparł Kriwczuk beznamiętnie. – Wymusza solidarność, wzmacnia polaryzację i konformizuje. Ponadto istnieje jeszcze problem presji koleżeńskiej oraz czegoś, co ja nazywam terytorialnością intelektualną. Masz, dajmy na to, pięciu różnych ekspertów z tej samej dziedziny, przy czym czterech opowiada się za teorią A, piąty zaś jest zwolennikiem konkurencyjnej teorii B. Teoria A staje się konsensusem, teoria B apostazuje, jej samotny poplecznik natomiast ofiarą zmasowanego ataku pozostałych. Przy czym teoria A wcale nie musi być tą słuszniejszą bądź bardziej poprawną. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Chyba nie za bardzo – zawahał się Yanig.

– Do tego, że jeśli któryś z tych twoich mądrali coś jednak odkrył, a to coś nie pasuje do owego konsensusu, to zaręczam, że przy swoich kolegach nie piśnie o tym słowa. A przynajmniej nie przed zebraniem dostatecznie mocnych dowodów. Jeśli zatem chcesz cokolwiek z nich wyciągnąć, to tylko rozmowami w cztery oczy, z każdym z osobna.

– Kapitalny pomysł. – Dyrektor skrzywił się. – Sęk w tym, że nie mam aż tyle czasu.

– Mogę się tym zająć.

Yanig zmarszczył czoło.

– Wiem, jakie jest to dla ciebie ważne.

– No, jest... – Dyrektor westchnął. – Jest.

– Czyli?

– Dobra, przejmujesz kierownictwo projektu. Tylko zapamiętaj sobie, że będę od ciebie oczekiwał już normalnych i czytelnych sprawozdań.

– Skoro tak, to chciałbym zacząć od pewnych drobnych zmian personalnych. – Kriwczuk odchrząknął.

– Jakiego rodzaju?

– W zespole. Zauważyłem, że składa się on wyłącznie z teoretyków.

Yanig uniósł brew.

– Przecież wiesz, że lubię być przygotowany do rozmowy – kontynuował Kriwczuk. – No więc, sami teoretycy, i ani jednej osoby z praktycznym doświadczeniem.

– Chodzi ci o lekarza albo epidemiologa terenowego?

– Chodzi mi w tej chwili o jednego konkretnego człowieka.

* * *

Sash zagrał ryzykownie, ale nawet jedna szansa na milion była lepsza od zera. Antydeh nie budziłby takiego respektu, a w co poniektórych kręgach autentycznej grozy, gdyby kierowali nim idioci. Tak jak Gabardian, który przy całym swoim cynizmie na pewno nie był głupcem, tak i tutaj ktoś musiał szybko zorientować się co do wyjątkowego charakteru *casus Farquahartae*. Zadziwiająco szybko, gdyby przyjąć, że Thomas jest pierwszym, a nie już którymś z kolei tego typu przypadkiem zidentyfikowanym przez Wydział i że system wczesnego ostrzegania nie ma jeszcze uaktualnionych wzorców referencyjnych. Jednakże w takiej sytuacji zaskoczenie ordynatora byłoby prawdopodobnie o wiele mniejsze, działania agentów zdecydowanie bardziej rutynowe, a chłopak wylądowałby raczej w jednej z certyfikowanych lecznic zamiast w głównym ośrodku badawczym ADH.

Inna sprawa, że o wydarzeniach w klinice Antydeh mógł dowiedzieć się kanałami nieoficjalnymi. Na przykład, doniósł im ukrywający się wśród personelu informator. A nawet było do pomyślenia – choć jeszcze wczoraj Sash uznałby to za nonsens – że sprawcą swoich nagłych przenosin był sam Farquahart, który zaalarmował bezpośrednio pracowników Wydziału, z pominięciem normalnych dróg komunikacyjnych i systemów monitoringu.

W jakim celu miałby zrobić coś tak niemądrego, czy rzeczywiście zrobił, oraz do jakiego stopnia świadomie, nie miało w tym momencie dla Livansky'ego takiej wagi, jak kwestia priorytetu nadanego owej sprawie przez Wydział. Jeśli priorytet był wysoki i ludziom odpowiedzialnym za jej rozwiązanie zależało na czasie, to będą chcieli z nim porozmawiać.

A przynajmniej taką Sash łudził się nadzieją, zamknięty w celi-izolatce. Przestronnej, dość wygodnej i dorównującej wyposażeniem czterogwiazdkowemu apartamentowi, ale tak czy owak celi.

Nie mógł sobie nawet wsadzić rąk do kieszeni, bo zabrano mu jego stare ubranie, a w zamian dano jednorazową piżamę, gładką niczym worek. Jak długo już tutaj siedział? Optymistycznie na rzecz spoglądając, dopiero dwanaście godzin. Jednakże w takim beczynnym i niepewnym oczekiwaniu czas rozciąga się jak guma.

Wypuścić na pewno kiedyś go stąd wypuszczą, najdalej po trzech ustawowych dobach, o ile był „czysty”. A był, bez dwóch zdań. Byle tylko nie pokazali mu po prostu drzwi, mówiąc „do widzenia”.

Livansky podszedł do niszy serwisowej i otworzył menu. Może by jednak coś na ząb? Nie był głodny, ale czuł niejaki obowiązek wobec ciała, a poza tym trochę mu się nudziło. Co miał do wyboru? Mnóstwo – zestawy wegetariańskie, kuchnia tradycyjna, kuchnia rustykalna...

Gong! Gong u drzwi!

Doktor od razu stracił zainteresowanie jedzeniem. Sygnał rozległ się po raz drugi, anonsując wjazd jego starych ciuchów, czystych i poskładanych z zegarmistrzowską precyzją na jęzorze podawczym. Sash rzucił sterylne paskudztwo w kąt i z prawdziwą rozkoszą wskoczył na powrót w swoje drelichowe spodnie i kraciatą koszulę.

– Kiedy pan już będzie gotów, proszę przytknąć palec wskazujący do identyfikatora. Taki mały żółty kwadracik po prawej stronie – usłyszał.

– Wiem – odparł Livansky.

Owalna porcja ściany zniknęła i doktor stanął twarzą w twarz z młodą dziewczyną w laboratoryjnym chłacie. Nie kogoś takiego się spodziewał.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak. Tylko myślałem...

– W takim razie chodźmy.

– Przepraszam, a dokąd?

– Niech pan po prostu idzie za mną.

– Jest jeszcze kwestia moich rzeczy osobistych. – Sash odchrząknął. – Przy ubraniu ich nie znalazłem.

– Najprawdopodobniej są jeszcze w depozycie.

– I kiedy mógłbym się po nie zgłosić?

– Błagam – jęknęła dziewczyna. – Na pewno nie zginęły. A mnie za moment przejdzie czwarta seria próbek i jeśli natychmiast nie wstrzelę się z piętą, ostatnią, to wszystko będzie musiała zaczynać od nowa!

Livansky’ego na sekundę zatkało, dopóki sobie nie przypomniał, gdzie jest – w działającym pod auspicjami Antydehu, co prawda, ale jednak ośrodkiem badawczym.

Z białych, sterylnych pomieszczeń przeszli przez ogromny hall i skręcili w lewo, w mały, ciemny korytarzyk. Laborantka zapukała w masywne drzwi.

– Witam. – Mężczyzna, który im otworzył, uściśnił dłoń Livansky’ego. – Leon Kriwczuk. Proszę, niech pan usiądzie.

Sash usiadł, nawet się nie rozglądając. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin był w tylu różnych miejscach, że zubożniał na przeskokach między stylami, i to zarówno wystroju wnętrza, jak i prowadzenia dialogu przez kolejnych rozmówców. Interesowało go tylko, co ów

człowiek miał mu do przekazania, a nie jakimi figurami retorycznymi się posłuży czy na tle jakiej scenografii będzie przemawiał.

– Mam już swój wiek i dość trudno jest mi zaimponować – podjął Kriwczuk po chwili. – Pan jednak... nie będę ukrywał, jestem pod wrażeniem. Może nawet zbyt wielkim, ale to dlatego, że stykając się przez lata niemal wyłącznie z oszustami, kombinatorami, tchórzami, donosicielami i wariatami, coraz częściej zapominam, że oprócz tej ciemnej, istnieje również jaśniejsza strona człowieczeństwa. Nawiasem mówiąc, czy wie pan, ile w mojej karierze zanotowałem przypadków osób, normalnych i zdrowych, które dobrowolnie oddały się w nasze ręce? Zero.

– Inaczej nie mogłem postąpić – odparł półgłosem doktor.

– Teraz i ja to wiem, po przeanalizowaniu pańskich akt osobowych. – Kriwczuk pokręcił głową. – Indeks etyczny dziesięć na dziesięć, pięćset osiemdziesiąt siedem punktów Glocka, najwyższy, złoty z amarantową wstęgą certyfikat ONSERu. Tak więc to, co pan zrobił, już mnie nie dziwi. Jak również, dlaczego zrezygnował pan z nader obiecującej kariery naukowej. Laboratorium najwyraźniej nie jest pańskim naturalnym środowiskiem.

Sash chciał odpowiedzieć, inspektor parł jednak do przodu.

– Niemniej, jeśli trzeba, odnajduje się pan w nim natychmiast, nieprawdaż?

– Jeśli trzeba – przytaknął Livansky.

– Opinie są również zgodne co do tego, że jest pan człowiekiem nadzwyczaj rzetelnym i niepozbanionym talentów organizacyjnych. Oraz że potrafi pan myśleć syntetycznie. Krótko mówiąc, same plusy. I tylko ten jeden minus.

– Chodzi o moją licencję? – spytał Sash.

– O to, i w ogóle o pańskie ostatnie problemy z prawem – przypomniał Kriwczuk. – Ale któż z nas nie ma problemów? Ja, na przykład, jestem zwykłym pracownikiem funkcyjnym, którego z dnia na dzień uczyniono koordynatorem nie jednego, ale trzech różnych projektów badawczych. Moglibyśmy sobie jednak nawzajem pomóc.

– W jaki sposób?

– Powiem wprost: przejmie pan merytoryczne kierownictwo projektu – podkreślam, projektu, nie wszystkich trzech naraz, żeby się pan nie przestraszył – w zamian za co ja postaram się doprowadzić do oczyszczenia pana z zarzutów.

– Mój adwokat apelował trzykrotnie i nic to nie dało – odparł zrezygnowanym głosem Livansky.

– Adwokaci! – Kriwczuk skrzywił się wzgardliwie. – Nie znam takiego, który dbałby o czyjkolwiek interes poza swoim własnym. Niech mi pan wierzy, że tym razem interwencja będzie skuteczna. Nie wierzy pan? No tak, właściwie nic dziwnego. Ja na pańskim miejscu też byłbym nieufny. Sześć zmarnowanych lat...

– Wcale nie uważam ich za zmarnowane – zaprotestował gwałtownie doktor.

– Ale do najszcześliwszych też by ich pan chyba nie zaliczył.

I w dużym stopniu winą za to obarcza pan właśnie nas. Proszę jednak spytać samego siebie, jaką część swojej opinii zbudował pan na stereotypach, a jaką na faktach. Tak z ręką na sercu, ile razy przez te sześć lat miał pan z nami do czynienia? Nigdy. Mimo że przez cały czas, za wyjątkiem może kilku ostatnich miesięcy, wiedzieliśmy dokładnie, gdzie pan w danym momencie przebywa, co robi i z kim się kontaktuje. Nigdy, ponieważ wbrew powszechnemu mniemaniu nie jesteśmy ani bezduszną maszyną, ani zaślepionymi egzekutorami przepisów. Oczywiście, ma pan i zawsze będzie miał prawo do własnego zdania na ten temat. Ja chcę tylko, żeby spojrzął pan na rzecz obiektywnie. Przecież nie byłoby tej rozmowy, gdybym chciał pana po prostu zamknąć.

– Bądź przesłuchać?

– Jestem pewien, że był pan przygotowany na taką ewentualność i że ten nagły błysk w pańskich oczach wziął się z zupełnie czegoś innego. Pan się zaniepokoił, bo to, co zaproponowałem, wydaje się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Ani chybi jest w tym jakieś drugie dno, jakaś szatańska klauzula na ostatniej stronie, drobnym drukiem między wierszami.

– A jest?

– Zapewniam – odparł Kriwczuk z mocą – że nie ma żadnego drugiego dna.

– I ani jednej osoby spośród waszych własnych kadr, która lepiej ode mnie nadawałaby się na kierownicze stanowisko? W rzeczy samej, trudno mi uwierzyć!

– W to czy może raczej w siebie? Tak pan już przesiąkł marazmem Finkar Lou i podobnych miejsc? Niechże się pan w końcu z tego otrząśnie, niech pan znów zacznie spoglądać do przodu, a nie w tył. I niech pan zaakceptuje moją propozycję.

– Ale ja jestem tylko lekarzem! – Sash otarł czoło. Spocił się, mimo rewelacyjnej klimatyzacji w pomieszczeniu.

– Gdyby był pan zwykłym lekarzem, to nie rozmawialibyśmy teraz ze sobą – odrzekł Kriwczuk. – Zwykłych lekarzy to ja mogę mieć na pęczki, co niektórych nawet z całkiem zadowalającym *résumé*. Pan łączy w sobie profesjonalizm oraz lotny umysł z wieloletnim doświadczeniem terenowym. Zwłaszcza tym ostatnim wyróżnia się pan na tle swoich zblazowanych kolegów po fachu.

A mnie w tej chwili potrzebny jest właśnie taki mądry praktyk. I tu już mówię z absolutną szczerością: albo pan, albo za tydzień będę musiał spowiadać się zwierzchnikom z porażki. Więc jak?

Rozdział 15

Kreuff nigdy nie lubił Cytadeli, dopiero jednak wyjazd, powrót i próba zorganizowania w jej murach czegoś na kształt kryzysowej grupy roboczej uświadomiły mu, jak bardzo, a przede wszystkim, dlaczego. Bo tutaj nic nie wydawało się możliwe do zrobienia. Bo w tym cholernym bunkrze królował nieokiełznany i wirulentny jak dżuma chaos, który infekował każdy plan i doprowadzał do przyspieszonego rozkładu każdą inicjatywę.

Od ich przyjazdu minął tydzień i przez ten czas nie posunęli się nawet o krok. W jakimś stopniu Noel mógł za to winić siebie i swój samotniczy tryb życia, który mocno stępił jego już i tak niezbyt imponujące zdolności przywódcze. Liczył jednak, że po pierwszym zebraniu i puszczeniu trybów w ruch inni przejmą pałeczkę, a konkretnie Helen. Czyż nie była urodzoną liderką? Dociekliwą badaczką, dla której życie bez rozwiązywania trudnych łamigłówek byłoby życiem straconym? Fenomenalnym organizatorem i twardym jak gwóźdź szefem postępującym według motta „rzeczy niemożliwe załatwiamy od ręki, cuda zabierają nam trochę czasu”?

Najwidoczniej nie w obecnej wersji, poprawionej i uzupełnionej przez Oersteda. Od strony technicznej trudno było staremu cokolwiek zarzucić, „wybudzenie” przeprowadził z całą rzetelnością i na tyle kompletnie, że jeszcze tego samego dnia doszło pomiędzy Bjorg i Hansenem do ostrej wymiany zdań na tle jakichś proceduralnych kontrowersji z czasów, gdy obydwójce byli w MIT, ona jako zadziorna doktorantka, on jako świeżo upieczony lektor. Ale to był pierwszy i ostatni raz, kiedy Kreuff widział Helen dającą z takim zaangażowaniem nura w przeszłość. Jakby ten jeden moment wystarczył jej, żeby otworzyć, zaakceptować i ostatecznie zamknąć to, co było – i czym ona była – kiedyś. Prawda, lecz niezbyt już istotna i wyblakła niczym fotografie z rodzinnego albumu. Znikł gdzieś również cały jej naukowy żar, ta pasja, ten instynkt odkrywcy, ta łapczywość umysłu i drapieżność, z jaką w swoim pierwotnym wcieleniu rzucała się problemom do gardła.

I nie z powodu jakichś intelektualnych niedostatków, Linneus nie zełgał, mówiąc o jej inteligencji. Jednakże jakakolwiek próba wciągnięcia Helen w dyskusję na poziomie akademickim, czy to przez profesora, czy przez Kreuffa, kończyła się tak samo – znudzona Bjorg przeproszała i odchodziła, najczęściej do siebie, a czasem, by zamienić słowo lub dwa z Ofelią.

Kreuff poczuł zawód, ale już wcześniej miał wkalkulowaną możliwość podobnego obrotu spraw. Dla profesora jednak było to druzgocącym przeżyciem. Odnaleźć w okolicznościach tak nieprawdopodobnych jedną z bliskich osób tylko po to, żeby się przekonać, iż osoba ta nad starych przyjaciół przedkłada towarzystwo jakiegoś holograficznego *qui pro quo*? O jeden ciężar, o jeden afront i o jeden dowód, jak bardzo nieproszonym gościem był w tym świecie, za wiele. Urażony, załamany i w przeświadczeniu, że jest absolutnie nikomu niepotrzebny, Hansen zwinął się niczym jeź w kolczasty kłęb i odsunął od wszystkich.

I tak, jeszcze zanim dotarli na miejsce, Kreuff utracił dla swego planu dwóch najcenniejszych ludzi. A wliczając Oersteda, nawet trzech. Ekskustosz posiadał rozległą wiedzę biotechniczną, lecz i on, wydrenowany przez ostatnie zajścia z resztek wigoru, usunął się w cień, jak aktor, dla którego nie ma już w tej sztuce nic do odegrania.

W efekcie Noel został z grupką lokalnych „geniuszy”, zarekomendowanych mu w większości przez Herbst. Plivniak, wiecznie podenerwowany i obgryzający paznokcie chudzielec, zasługiwał na to miano bez cudzysłowu, tylko ciężko było się z nim dogadać, bo mówił prawie wyłącznie do siebie. Zunds z kolei był milczkiem, gdy się już jednak odzywał, słuchanie go stanowiło czystą rozkosz. Z całej tej zbieraniny był prawdopodobnie jedyną osobą, która byłaby zdolna do nawiązania równorzędnego dyskursu z Hansenem. To jest, o ile Hansen wyszedłby wreszcie ze swojego stuporu.

Wartość pozostałych członków grupy trudno mu było oszacować, bo albo zjawili się jak dotąd raz i znikli, albo ich uczestnictwo ograniczało się do siedzenia, przysłuchiwania się i sporządzania jakichś sekretnych notatek. Absolutny brak pomysłów, zero prawdziwego intelektualnego zaangażowania. I cóż on mógł z takimi ludźmi osiągnąć?

– Przepraszam, panie Kreuff...

Masz ci zmore, i jeszcze ten tutaj, Herbst. Co prawda Noel lubił go, bo człowiek był z niego w sumie porządny i dzięki rozległym znajomościom oraz kwalifikacjom niejednokrotnie bardzo użyteczny, jednak swym wszędobylstwem zaczynał już działać Kreuffowi na nerwy.

Wszystko przez von Klosky’ego, zaprzyjaźnionego z garderobianym od niepamiętnych czasów, który przy pierwszej nadarzającej się sposobności wypaplał staremu, kogo wszędolaz przywiózł z pustynnej eskapady. Odtąd Miro przyczepił się do towarzystwa jak kleszcz, a ściślej rzecz biorąc do Kreuffa, no bo z Hansenem wiadomo, jak się ostatnimi czasy miały sprawy, Bjorg natomiast była dla Herbst figurą takiego kalibru, że najzwyczajniej w świecie nie miał odwagi naruszać jej przestrzeni osobistej.

– Co tam? – mruknął Kreuff, zastanawiając się, jaki pretekst, by go niepokoić, wymyślił garderobiany tym razem.

– Niestety. – Znając dziadka, nieszczęściem mogło być wszystko, od pełnowymiarowej apokalipsy po zapodziały gdzieś w zagraconym atelier charakteryzatorski

pędzelek. Ze wskazaniem zazwyczaj na to drugie. – Aż brak mi słów, nie wiem, jak przekazać...

– Po prostu. – Noel podszedł do dystrybutora i wybrał gorącą yerba mate z przyprawami.

– Słońce przeszło w nową, na przykład.

Lub też, Hannibal *ante portas!* Bądź, umarł nam...

– Och, czyli że ktoś już panu powiedział?

Kreuff zerknął nań znad filiżanki, na jego nerwowo splecione palce i autentycznie zatroskaną twarz. Herbst, jak najbardziej trafnie, odebrał to jako odpowiedź przeczącą.

– Podobno był jakiś straszliwy tumult w starej galerii. – Odchrząknął. – Mnóstwo rannych, kilkudziesięciu zabitych...

– Cóż, źle się dzieje w państwie duńskim. – Noel dopił herbatę.

– Nie przyszedłeś tu jednak chyba tylko w celu poinformowania mnie o kolejnej potyczce laforzystów z kimkolwiek nienawidzą się teraz najbardziej. Która to już bijatyka sprowokowana przez tych warchołów w tym tygodniu, dziewiąta, dziesiąta? Zaczynam tracić rachubę.

– Jak wspomniałem, są ofiary śmiertelne.

– To, niestety, również nic nowego. – Kreuff westchnął.

– Tak, tylko że jedną z ofiar jest pan Oersted.

Ręka Noela, ta w której trzymał opróżnioną filiżankę, zamarła w pół drogi do zsyphu.

– Co ty opowiadasz, człowieku?!

– Jedynie to, co parę minut wcześniej usłyszałem od von Klosky'ego – odrzekł Herbst smętnie.

– I Gerhard jest pewien?

Garderobiany skinął głową.

– Jasna krew, kiedy to się stało?

– Przed południem.

– Dzisiaj?

– Tak.

– Może więc nie wszystko jeszcze stracone... – Kreuff zadumał się na moment, po czym rzucił do Herbsty: – Idź po sprzęt.

– Sprzęt? Jaki sprzęt?

– Po twoją czarną lejbmajsterską walizeczkę. I za pięć minut widzimy się koło cystern.

– Ale...

– Za pięć minut – powtórzył stanowczo Kreuff.

Z ociąganiem bo z ociąganiem, w końcu jednak staruszek oddreptał. Noel zaś, po chwili zastanowienia, otworzył kanał osobisty von Klosky'ego.

– Gerhard? Tak, właśnie mi przekazał. Słuchaj, wiem, że jesteś zajęty jak zawsze, ale musisz coś dla mnie zrobić. Nie jutro ani za godzinę, tylko teraz i zaraz. A oto, czego będę potrzebował...

* * *

– Jeśli chcą panowie, żebym im dalej towarzyszył...

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł Kreuff, co oddelegowanemu przez Gerharda sierżantowi sprawiło wyraźną ulgę.

Nie zatrzymywany dłużej, podoficer zasalutował i oddalił się, szybko znikając wśród przechodniów. Noel popatrzył na drzwi, małe, odrapane i kojarzące się bardziej z wejściem na zaplecze jakiegoś sklepiku bądź knajpki niż do prosektorium. I żeby było jeszcze ironiczniej, znajdowały się naprzeciwko placu zabaw. Kto jednak trochę pomieszkał w Cytadeli, tego podobne absurdy i dziwactwa szybko przestawały szokować.

– Nie wiem, tu się puka?

– Dzwoni. – Herbst wskazał na zagłębienie w murze.

– No, popatrz... – Kreuff przyłożył palec do okrytego zaskorupiałym brudem sensora. – I pewnie teraz będziemy jeszcze z godzinę czekać.

Nie okazało się to prawdą, gdyż po paru minutach drzwi skrzypnęły i wyrżał zza nich typ o prezencji rzeźnika.

– Czego? – zawarczał. – Jak z pakunkami, to na dół.

– A jeśli z czymś innym? – spytał uprzejmie Noel.

– To won.

– Chwileczkę...

– Won, powiedziałem! – wycedził typ. – Węszyflaki zasrane, ile wam można tłuc, że tu jest hurtownia, a nie bazar?

– Na pewno trafiliśmy pod właściwy adres? – szepnął do garderobianego Kreuff.

– Ja bym przysiągł – bąknął zza jego pleców staruszek, w wyraźnie niekonfrontacyjnym nastroju.

– A zatem ten człowiek najprawdopodobniej sobie żartuje. –

Kreuff spojrział na brudny chałat i identyfikator przyczepiony byle jak oraz zapačkany krwią, a w końcu na antypatyczną mordę. – Tak, panie... Zunawesi?

– Wynocha, gnojki, ale to już! – zazgrzytał tamten złowrogo.

W odpowiedzi na to Noel błysnął mu przed ślepiami urzędową sygilaturą.

– Mam dołączyć nakaz?

Z tym ostatnim zablefował, gdyż w ciągu godziny nawet Gerhard nie byłby w stanie załatwić mu odpowiednich papierów.

Rzeźnik nie był jednak typem pokerzysty. Wprost przeciwnie, zareagował jak przestraszony rak pustelnik. Kreuff chwycił drzwi, nim tamten zdążył zatrzaskać mu je przed nosem, i pociągnął ku sobie z taką siłą, że częściowo wysadził okucia z muru, a wciąż uczepony klamki Zunawesi wyprysnęły półsaltem na zewnątrz.

Trzeba przyznać, że miał chłop refleks, bo choć wzięty z zaskoczenia rąbnął zdrowo i przeszedł dupskiem dobre parę metrów po trotuarze, momentalnie był z powrotem na nogach. Rozumu jednak za grosz, co udowodnił już w następnej sekundzie, próbując rąbnąć Noela bykiem.

– Yaistt! – wrzasnął, odbiwszy się od Kreuffa jak od ściany.

– Tak, durniu, będziesz miał guza. – Noel złapał Zunawesiego za wszarz i przyciągnął ku sobie. – Ale na twoim miejscu w tej chwili tym martwiłbym się najmniej. Idziemy.

Wąska i słabo oświetlona klatka schodowa zaprowadziła ich do następnych, normalnych już termomorficznych drzwi. Zamiast prosektorium ujrzeni po drugiej stronie magazyn wypełniony kontenerami, jakich używa się zwykle do transportu artykułów spożywczych. Można było wydedukować, co w nich jest. Można było również nakazać Zunawesiemu otwarcie którejs z skrzyń. Kreuff obawiał się jednak, że na widok zawartości nie zdierży i sukinsyna zatłucze.

Zresztą nie przyszedł tu tępić pluskiew – niech zajmą się tym ci, którym za to płacą. Inna rzecz, czy płacono wystarczająco dobrze. Sądząc po liczbie kontenerów, handel ludzkim mięsem trwał nie od wczoraj i mało prawdopodobne, by odbywało się to przy całkowitej niewiedzy osób odpowiedzialnych za ściganie tego typu praktyk. Ktoś na górze udawał, że jest ślepy, o ile sam nie zorganizował całego procederu. A jeśli tak, to przykrych niespodzianek może być wkrótce więcej.

– Kto jeszcze tu jest? – spytał Zunawesiego, profilaktycznie wykręciwszy mu rękę, bo gad coś za bardzo zaczął się wiercić i strzelać ślepiami po kątach.

– Nikt.

– Jasne – mruknął Kreuff. – A co zrobiliście z ciałami przywiezionymi dzisiaj?

Cisza.

– Odpowiadaj albo wylądujesz w jednej z tych skrzynek jako porcja gratis!

– Na stazie...

– Nie dosłyszałem.

– Są jeszcze w szufladach. Świartowalibym, bo zamówień dość, ale za późno przyszły.

Nieszczęsny kabotyn, natura poskąpiła mu nawet instynktu samozachowawczego, o prawidłowym rozwoju emocjonalnym nie mówiąc. Przez moment Kreuffowi zrobiło się go trochę żal, bo gdy sprawa pęknie, prawdziwa sukinsyneria podetrze sobie nim tyłek. Nim, koronerem i kogo tam jeszcze udało im się skaptować do tego odrażającego interesu.

– Gdzie są te szuflady?

– Na dole.

Dół okazał się starym pseudokolumbarium zaadaptowanym do nowych celów. Cokolwiek spoczywało wcześniej w wykuszach, zostało usunięte i zastąpione lśniąca baterią czterystu negentropicznych boksów, jak szybko policzył Noel. I jeśli będzie musiał sprawdzić każdy z osobna, chyba trafi go szlag.

– W których?

– Ale co?

– Doprawdy, synu, nie udawaj głupszego, niż jesteś.

– Ee, od szesnastej do sześćdziesiątej drugiej.

– No to otwieraj. – Kreuff pchnął go ku pulpitowi sterownicemu.

– Wszystkie?

– Te, które wymienileś. Po kolei. Miro...

– Tak, tak, ja się tym zajmę, pan niech lepiej nie spuszcza drania z oczu, panie Kreuff – zaferował się garderobiany i już przy piątym z kolei boksie zakrzyknął: – Tutaj!

– Oersted? Na pewno?

– No, chyba że miał sobowtóra. – Herbst przeszedł do oględzin.

– Hm, nie ma żadnych widocznych obrażeń, nawet sińców.

– To źle?

– Jeszcze nie wiem – odparł Miro, szukając czegoś na obrzeżach szuflady. – Krew by tych instalatorów, dlaczego oni zawsze muszą tak wszystko poukrywać...

Rozległ się lekki szum i półprzezroczyste odwzorowanie zwłok Linneusa zawisło naprzeciw boksowi, wraz ze szczegółową patologią i tuzinem różnych diagramów na dokładkę.

– Jest bardzo dobrze. – Odetchnął. – Zgon nie nastąpił, jak się przez moment obawiałem, na skutek wylewu krwi do mózgu, ale przerwania rdzenia kręgowego. W porządku, wyjedźmy...

– Czekaj! – Noel powstrzymał staruszka, widząc, że ów zabiera się do przepaletowania szuflady.

Wrócił do Zunawesiego, który wciąż stał i gapił się na obydwu pomimo najlepszej jak dotąd okazji, by dać nogę. Może pewne rzeczy wreszcie dotarły do jego ciasnego umysłu, jak na przykład ta, że wpadł w gówno i że zwiewając, zamiast współpracować, upapra się jeszcze bardziej. Albo też ze zwykłego strachu przed bolesnymi konsekwencjami ewentualnie nieudanej próby ucieczki. To nie była dla Kreuffa decyzja przyjemna, bo bicie z zimną krwią półgłówków wystawiało człowiekowi raczej mało pochlebne świadectwo, szybszego jednak i bardziej humanitarnego sposobu nie widział.

Zunawesi nie zdążył nawet mrugnąć, cios spadł na niego jak grom. Noel złapał go, osuwającego się, i przeniósł pod boks.

– Zamiana miejsc – rzekł krótko, w odpowiedzi na pytające spojrzenie garderobianego. – Dobra, uruchom przenośnik.

– Tyle ceregieli, zamiast po prostu gnidę rozdeptać – mruknął z nieskrywaną pogardą Herbst. – Choć z drugiej strony, jako świadek...

– Otóż to. – Magnetyczne przewodnice wypchnęły szufladę na zewnątrz. – Gdzie teraz?

– Na stół sekcyjny.

Następne chwile upłynęły w prawdziwie grobowej ciszy, Herbst bowiem, choć normalnie gaduła, podczas pracy milkł kompletnie.

Pozostawało czekać na rezultat.

– Gotowe – sapnął w końcu. Cała operacja zajęła mu mniej niż dziesięć minut.

– I jak? – Noel oderwał plecy od ściany.

– Nie najgorzej, zważywszy na partyzantkę, którą przyszło mi tu uprawiać – odparł Herbst, składając instrumentarium. – Neurogram ma co prawda trochę luk, anoksja zrobiła swoje, ale żadna nie jest krytyczna.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że są do załatania.

* * *

Jako się rzekło, Herbst był człowiekiem lubiącym pogadać, nawet do siebie jeśli już nikogo innego nie było w pobliżu. Od opuszczenia kostnicy nie odezwał się jednak słowem.

– Sknociłeś coś podczas transferu? – spytał w końcu zaniepokojony Noel, taka małowówność bowiem zupełnie nie pasowała do dziadka.

– Nie, panie Kreuff – odrzekł półgębkiem Miro.

– To o co chodzi?

– O nic.

Na tym wymiana zdań mogłaby się urwać, gdyż rozterki garderobianego w gruncie rzeczy były Noelowi obojętne i nie zamierzał wiercić staremu dziury w brzuchu. Ten jednak sam po paru krokach przystanął i wyrzucił z siebie, ze wzrokiem wbitym w trotuar:

– Bo jest mi tak strasznie wstyd, panie Kreuff...

– Wstyd? – zdziwił się Noel.

– Że zamiast postępu, takie do cna zbydlęcenie nasze musi pan oglądać.

– A to ty myślisz, że ja dopiero wczoraj się obudziłem? – Noel zaśmiał się gorzko.

– Profesor...

– Profesor może tak, ja natomiast kręcę się po tej zaszranj Ziemi od wieków i naprawdę nic co ludzkie nie jest mi obce. Żadna podłość nie dziwi, w zbyt wielu wariacjach się jej naoglądałem.

Daj więc sobie spokój ze wstydem. I z tym wynoszeniem mnie na piedestał również.

– Ale bo ja, panie Kreuff...

– Powiedziałem: dość – uciął Noel. – Kogo ty we mnie widzisz Herbst, anioła jakiegoś? Demiurga, *übermenscha*? Jestem człowiekiem jak każdy, ułomnym, omylnym, samolubnym, bywało nawet, że niegodziwym. Tylko *curriculum vitae* mam nieco dłuższe, to wszystko. Tobie się zdaje, że ocaliłem Oersteda ze szlachetnych pobudek? Z egoizmu, mój przyjacielu, zrobiłem to z czystego egoizmu i wyrachowania. Linneus jako Linneus nic dla mnie nie znaczył, ale potrzebuję jego unikatowej lejbmajsterskiej wiedzy i tylko z tej przyczyny niesiesz teraz neurogram w torbie.

– Na moje oko, to pan go lubił.

– Lubilem, nie lubilem. – Kreuff przełożył zwłoki na prawy bark, by chociaż trochę osłonić swój smutny bagaż przed spojrzzeniami ciekawskich przechodniów. – Chcesz jeszcze o czymś podyskutować czy możemy iść?

– Nie, właściwie... – Garderobiany odchrząknął. – Nie.

I podreptał w milczeniu za Noelem. Tym razem jednak długo w owym milczeniu nie zdzierżył, zaledwie do najbliższego skrzyżowania.

– Ee... przepraszam, panie Kreuff? Bo, ten... bo jakby to była jakaś pilna sprawa, to ja przecież też mógłbym...

– Co mógłbyś?

– No, z lejbmajsterką.

– Dziękuję.

– Panu wiadomo, że się na tym znam. Źle mi wyszła Ofelia?

W rzeczy samej, Ofelia wyszła garderobianemu znakomicie.

Z delikatnym woalem piegów, złotowłosa, szmaragdowooka i w każdym detalu urocza dziewczyna, która prawie natychmiast po przebudzeniu się w swoim nowym ciele ruszyła na obchód okolicznych knajpek.

– Nie mówię, że się nie znasz – odrzekł pojednawczym tonem Noel. – Z całym jednak szacunkiem, ta robota nie jest dla ciebie.

– Za trudna?

– Powiedzmy.

– Bo, nie chwaląc się, panie Kreuff, ale jeszcze nie miałem takiej...

– Człowieku!

– Przepraszam. – Garderobiany zamilkł. Noel jednak rozbudził w nim teraz zbyt wielkie zainteresowanie, by wytrwał dłużej niż parę chwil. – A chociaż, jeśli wolno zapytać, jakiego charakteru?

– Nie twoja rzecz – uciął z irytacją Kreuff.

– No, nie moja, ja wiem – bąknął Miro. – Ale gdyby... To jest, ja tam żadnych problemów nie przewiduję, ale gdyby mimo wszystko coś z restytucją Oersteda miało pójść nie tak...

– Więc jednak spaprałeś? – Noel zająrzył staremu groźnie w oczy.

– Ależ skąd, panie Kreuff! – odparł z największą solennością Herbst. – Tak tylko się pytam, na wszelki wypadek.

– Pytasz, bo jesteś, draniu mały, zwyczajnie wścibski, a ja mam już tego powyżej uszu. – Zrezygnowany Noel westchnął. – I może faktycznie, jak ci powiem, to się w końcu przymkniesz. Jeden warunek: nikomu...

– ...ani słowa, rzecz jasna – dokończył garderobiany.

– Ja mówię serio, Herbst. Nikomu. Bo pożałujesz.

– Absolutnie nikomu, panie Kreuff, przyrzekam – zapewnił Miro, nadstawiając ucha.

Noel nachylił się ku niemu. Z każdym jego słowem oczy staruszka robiły się coraz większe.

– Matko niepokornych, co pan chce zrobić?! – wykrzyknął. – Dlaczego?

– To już naprawdę nie twoja sprawa.

– À rebours?

– Tak, w drugą stronę.

– No to ma pan rację, ja bym się czegoś takiego nie podjął – sapnął garderobiany. – Nikt by się czegoś takiego nie podjął. I Oersted też się czegoś takiego nie podejmie!

– Zobaczymy.

– Nikt, panie Kreuff, i to nawet...

– Usłyszałeś, co chciałeś usłyszeć? – przerwał kategoriycznym tonem Noel. – To idziemy, bo ludzie się gapią.

* * *

Kreuff miał nieco obaw, co poczną z ciałem. Zabrali je z kostnicy ze zrozumiałych względów, niemniej pracownia Herbstu nie była domem pogrzebowym i nie mógł trzymać u siebie trupa w nieskończoność. Ani nigdzie na wierzchu, bo raz, że to raczej nieprzyjemne dla każdej normalnej osoby towarzystwo, a po drugie, lepiej nie ryzykować, że przetransferowany zobaczy swoje doczesne szczątki. Czasem nie wynikało z tego nic, częściej jednak, szczególnie w takich jak ten, nagłych przypadkach, widok siebie samego martwego był szokiem, który potrafił zniweczyć cały lejbmajsterski wysiłek.

– Połóżmy go tam. – Herbst wskazał jedyny niezagracony stół w atelier.

– Nie chcę nic mówić, ale jest tu dość ciepło i za parę godzin...

– Spokojnie. – Garderobiany przetoczył z narożnika jakieś urządzenie, z szuflady wyjął kłęb rurek, a z szafki pod nią baniaczek, którym zachlupotał z dumą. – Mieszanka mojego przepisu. Inhibitory proteaz, środek przeciwdziałający rozpadowi błon komórkowych, koktajl antyseptyczny i jeszcze tam parę takich.

– Będziesz go balsamował?

– Tylko zakonserwuję, na jakiś czas.

- A co potem?
- Potem, panie Kreuff, to potem. Wszystkim się zajmę, proszę się o nic nie martwić.
- Na pewno?
- Absolutnie – zapewnił Herbst. – Może pan iść.

Rozdział 16

Pora zrobiła się późna, Noel nie miał jednak ochoty wracać do swoich pustych i zimnych czterech ścian. Może by tak pójść na spacer? Nie licząc wycieczki do prosektorium, kiedy to ostatnio ruszał się gdziekolwiek dalej niż te cholerne lochy? Kiedy, skoro już mowa o wiecznym odkładaniu rzeczy na później, rozmawiał z von Kloskym? Normalnie, w cztery oczy, jak przyjaciel z przyjacielem? Jedyńm zresztą prawdziwym, który mu pozostał? Miesiąc temu? W innej, zamierzchłej epoce... Tak, szczerza rozmowa przydałaby się im obu.

Ale nie dzisiaj, nie w środku nocy. Zatem jednak spacer? Albo może zająć się czymś bardziej produktywnym. Analizą wczorajszych próbek chociażby. Do ich sprawdzenia zobowiązał się, co prawda, ten przyszczaty technik z dziewiątki, Kreuff jednak mógł się założyć w ciemno, że smark leniwy nawet nie zajrzał do przechowalni, zgodnie z uświęconą zasadą wszystkich leserów pod słońcem – co masz zrobić dzisiaj, zrób jutro.

W drodze do laboratoriów postanowił jeszcze zahaczyć o salę konferencyjną. Głównie dla tamtejszego dystrybutora, który jako jedyny robił w miarę przyzwoite espresso. A przy okazji zerknie, czy a nuż, widelec jest ktoś z zespołu. Szanse na to były teoretycznie niewielkie, skoro większość z nich nie kwapiła się do uczestnictwa nawet w regularnych spotkaniach roboczych. Z drugiej jednak strony, prawie tych ludzi nie znał. Ilu było indywidualistami, którym praca grupowa zupełnie nie pasuje? Albo nocnymi markami, którzy w dzień wyglądają, jakby nie potrafili dodać dwóch do dwóch? Kto ich tam wie, żaden mu się nie zwierzał, a on nie pytał, zakładając – i chyba z gruntu niesłusznie – że jeden mundurek, jeden schemat działania będzie pasował wszystkim.

Kreuff wszedł i natychmiast rozpoznał osobę siedzącą naprzeciw aktywnego terminalu. Osobę, której najmniej się w tym miejscu spodziewał, bo nigdy tutaj nie przychodziła. A może po prostu nigdy o takich porach, kiedy pomieszczenie było okupowane przez innych? Może zakradała się tutaj każdej nocy w godzinach dających pewność, że sala jest pusta i nikt jej nie będzie przeszkadzał.

W czym? W badaniach prowadzonych na własną rękę? Czy tylko w byciu sam na sam ze sobą i własnymi myślami?

Z jej reakcji, z rzuconego mu i momentalnie, bez słów, odwróconego spojrzenia wywiódł, że Helen oczekiwała kogoś i że tym kimś raczej nie był on. Schadzka? Przeglądała więc

informacyjne zasoby Cytadeli tylko dla zabicia czasu? W obszarach notabene dalekich od naukowości, co mimowolnie zarejestrował jego wzrok.

Bjorg i płomienny romans, myśl ta wydała się Noelowi tak niedorzeczna, że w pierwszym odruchu chciał wyjść i sprawdzić, czy aby nie pomylił drzwi z symulatorką 4D. Zatrzymała go jednak następna i zdecydowanie trzeźwiejsza refleksja: że on jej po prostu nie widział. Aż do tego momentu patrzył bowiem na Helen wyłącznie przez pryzmat zafiksowanego w swej neuromacierzy obrazu, z uporem jakiejś sztywno zaprogramowanej maszyny usiłując wtłoczyć rzeczywistość do jego starych ram. Pomimo przewalkowania tej kwestii z Ofelią, pomimo ostrzeżeń Linneusa i pomimo, co najsmutniejsze, świadectwa własnych zmysłów oraz rozumu.

Rozczarowanie i frustrację można było wybaczyć profesorowi, dla którego Helen była częścią świata subiektywnie teraźniejszego. Jednakże Kreuff nie potrafił żadnych usprawiedliwień znaleźć dla własnej tępoty. Dawnej Bjorg nie ma, koniec. I czas najwyższy, by się z tym wreszcie pogodził.

– Ja tylko do dystrybutora – oznajmił, żeby przerwać kłopotliwą ciszę.

Nie odpowiedziała. Kiedy jednak był już jedną nogą za drzwiami, usłyszał:

– Kreuff! Zaczekaj...

Odwrócił się. Czy sprawił to panujący w sali półmrok, czy raczej było to efektem zmiany w jego nastawieniu, że wydała mu się teraz zdecydowanie niższa i drobniejsza?

– Chciałabym przeprosić.

Przeprosić... No i jakich jeszcze potrzebował dowodów? Dawnej Helen taki tekst nie przeszedłby przez gardło.

– Za co?

– Że się nie angażuję, tak jak widziałbyś to ty, czy Hansen.

– Hansen? – Noel usiadł. – Nie wiem, jak widzi rzecz Hansen, bo od czasu waszej ostatniej sprzeczki nie odezwał się do mnie słowem.

– A myślałam, że tylko ze mną nie rozmawia. – Westchnęła. – No więc ty.

– Ja byłbym kontent nawet z karteczki, którą podawałabyś mi raz dziennie przez szparę w drzwiach.

– Oczekiwałeś jednak po mnie o wiele więcej.

– Nie zaprzeczę. – Kreuff podniósł filiżankę do ust.

– Że znów zacznę rządzić, tak? Planować, organizować, koordynować i generalnie walczyć z każdym detalem jak jakaś sturęka hydra.

– Czytasz w moich myślach? – Noel uśmiechnął się mimo woli.

– Żadna telepatia nie była potrzebna, oczy i uszy dostarczyły mi aż nadto wskazówek – odparła ze zdecydowanie poważniejszą miną. – No więc, zapomnij.

Kreuff przysunął się do niej razem z krzesłem.

– Ale powiedz, dlaczego? Dałbym sobie spokój, gdybym nie widział twojego zachowania w Orlim Gnieździe. Kiedy, niczym Wolność z obrazu Delacroix, wyskoczyłaś na czubek zanzura i paroma gestami zaledwie, paroma banalnymi zdaniem rozproszyłaś gotowy do pozabijania się nawzajem tłum. Nikt ci tego nie kazał robić, to był twój własny odruch, instynktowna potrzeba, zew płynący głęboko stąd. – Noel uderzył się kułakiem w pierś. – To jest sedno twojego charakteru, niemodyfikowalne, niezniszczalne...

– I w tym momencie nieistotne – przerwała mu. – Tamto stało się, zanim mój... zanim Linneus otworzył w mojej głowie tę cholerną puszkę Pandory. Zanim ujrzałam na powrót swoje poprzednie życie. Zdewastowane, przegrane i jeszcze mi w dodatku skradzione! Proszę!

Wzrok Noela podążył za jej palcem wskazującym terminal. I dopiero teraz pojął, co studiowała oraz jak daleko udało się jej w tych studiach zabnąć.

– To, to i to. Moje fotografie, zapiski, moje idiotycznie rozanielone konterfekty nad wejściami do świątyni, których tylko w tych murach znalazłam już trzy! Grandessa, psiakrew! Dlaczego o tym mi nikt nie powiedział? Nikt!

Noel milczał.

– I to jest sedno, Kreuff. Że ilekroć zaczynam jako ja, tylekroć kończę ubezwłasnowolniona. Tak było z moją dysertacją, tak było z instytutem metatechnologicznym w Hornsbee Lake, tak było z projektem Yggdrasil. A ta... szopka, ten kabotyński kult, to już absolutny szczyt szczytów. Ale koniec. Żebyś nie wiem jak mnie namawiał, żeby chodziło o nie wiadomo jak szlachetne cele. Koniec. Nie dam się po raz kolejny zapędzić do tej samej pułapki i nie stanę na czele pochodu, który mnie stratuje.

– Co zatem zrobisz, odizolujesz się czterema ścianami od świata jak Nils? – spytał, spoglądając z nową mieszanką uczuć na jej zaciśnięte w determinacji wargi i skrzyżowane ręce. Jakby tą ostentacyjną pozą sama siebie próbowała przekonać, że to co mówi jest prawdą, samą prawdą i tylko prawdą, a nie jedynie chciejstwem.

– Może zniknę w inny sposób – odparła. – Rozmawiałam wczoraj z Ofelią. Podobno wybiera się nad ocean i szuka jakiegoś godziwego *compagnon du voyage*.

– Z Ofelią? No, to chyba tylko po to...

Skrzypnęły drzwi i usłyszeli w ciemnościach znajomy głos:

– Panie Kreuff?! Halo, jest pan tutaj? Hal... och, całe szczęście, bo ja już myślałem... – Zasapany jak lokomotywa Miro dostrzegł Helen i język momentalnie utkwiał mu między zębami.

– Herbst, co znowu? – szepnął Noel, odciągając staruszka na bok. – Jednak jakiś problem z zapisem?

– Nie, nie ma żadnego. Jak dotąd.

– No to o co chodzi? Ludzie dobrzy, czy ten człowiek nie da mi odetchnąć?

– Ale... bo, panie Kreuff, tam zaczęła się najprawdziwsza, regularna wojna! Ja już zacząłem co nieco pakować i, ten... Pan ma jakąś broń? Jeżeli nie, to ja poszukam. Znalazłem też plan sztolni, jakby zaszła konieczność...

– Zaraz, o czym ty mówisz, jaka wojna? Przecież nic się nie działo, kiedy szliśmy.

– A teraz się dzieje – odparował Herbst. – Strzelanina, barykady, wybuchy...

– I kto walczy tym razem z kim?

– Wygląda na to, że tym razem to już wszyscy ze wszystkimi. – Miro przetarł rękawem spoconą skroń. – Kompletny chaos, panie Kreuff, kompletne szaleństwo!

Noel popatrzył na Bjorg, która z rosnącą grozą przysłuchiwała się tym rewelacjom, i z powrotem na garderobianego.

– Kontaktowałeś się z von Kloskym?

– Próbowałem. Niestety, bezskutecznie.

– Mimo że ma ten twój superkomplant?

– Też nie rozumiem, panie Kreuff. – Staruszek rozłożył ręce. – Może po prostu nie ma w tej chwili czasu, żeby gadać? Oby nic gorszego...

– Oby – powtórzył Noel. – Dobra, podzielimy się tak: my spróbujemy dotrzeć do Gerharda, a ty odszukaj Niona.

– Tego, ee... z tych takich tam, z dołu?

– Tego z tych takich, właśnie.

– Ale, znaczy, że co? – Herbst potrząsnął głową. – Mam tam do nich zejść? Sam?

– Nie musisz. Nion ma przenośny komunikator, który dałem mu przed wyjazdem. Masz coś do notowania?

– Chwileczkę. – Herbst pogrzebał w kieszeni. – Mam!

– To jego kod. – Kreuff podyktował ciąg dwunastu cyfr. – Kiedy... jeśli go znajdziesz, poproś, żeby zaczekał u ciebie. Może się okazać, że będziemy potrzebowali jego pomocy.

– A jakby, no, ten...

– Idź, człowieku!

– Tak, idę, idę. Ma poczekać u mnie, zrozumiałem.

Gdy garderobiany zniknął, Helen stwierdziła stanowczo:

– Nie.

– Nie?

– Użyłeś liczby mnogiej, „spróbujemy dotrzeć do Gerharda”. A ja chyba coś powiedziałam.

– Że wybierasz się nad ocean, tak.

– Sarkazmem też niczego nie wskórasz.

– Ale jaki sarkazm? – Kreuff uniósł brwi. – Chcesz iść? Proszę bardzo. Z Ofelią? Jeszcze lepiej. Nikt tak jak ona nie pomoże w rozwiązaniu twoich dylematów. Wiesz to, bo zdążyłaś już poznać jej profesjonalizm i szczerłość. A skoro wiesz, to znaczy, że cała ta twoja gadanina

o ucieczce nie ma sensu. Tak naprawdę chodzi jedynie o to, by ktoś pchnął cię, niezdecydowaną i wciąż rozdartą pomiędzy dwoma światami, w odpowiednim kierunku. Pytanie: czy jest ci to w ogóle potrzebne, taka siła z zewnątrz? Moim zdaniem ani trochę. Stracisz tylko czas. Ale, oczywiście, zrobisz po swojemu. Ja idę.

To rzekłszy, zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom.

I tym razem wcale nie był zaskoczony, kiedy w pół drogi do nich usłyszał:

– Kreuff! Zaczekaj!

* * *

Upchanie półtora miliona ludzi w przepastnym, bo przepastnym, ale jednak gmaszysku, to jedna z lepszych recept na konflikt. I to nawet we względnie spokojnych, normalnych czasach. A ostatnie dni trudno było określić mianem normalnych. Na zewnątrz murów rozgrywały się sceny jakby wyjęte żywcem z malowideł Hieronima Boscha. Wewnątrz, za zamkniętymi do odwołania bramami panował stary bajzel, wzbogacony jednak o parę dodatkowych elementów grozy, których skumulowanym efektem był wzrost napięcia do takiego poziomu, że najmniejsza iskierka mogła spowodować wybuch. I ktoś tę iskierkę skrzesał. Kto i dlaczego? Jakiś kabotyn zapewne (Cytadela miała ich pod dostatkiem), nieświadom lub, co gorsza, świadom w całej rozciągłości tego, co czyni, wznecając pożar w azylu dla obłąkanych.

Ze słów, jakich użył Herbst, „wojna” była określeniem zdecydowanie mniej adekwatnym do sytuacji niż „szaleństwo”. Szaleństwo furiatów z bronią (akcja musiała być przygotowywana od dłuższego czasu, bo skąd mieliby jej aż takie ilości) i kompletny amok bezbronych, za wszelką cenę pragnących umknąć morderczemu zaślepieniu tych pierwszych. Ci, którzy nie zostali stratowani, zaszlachtowani maczetą albo ścięci przez rykoszetujące pociski i którym udało się wyrwać z ciasnych korytarzy na względnie otwartą przestrzeń rotund i promenad, trafiali natychmiast w krzyżowy ogień zwalczających się stron. Tylko, do diabła, gdzie tu były jakieś strony?

Tak, Herbst nie łąał. W Cytadeli rozpętało się najprawdziwsze piekło. Zapoczątkowane starciem konkretnych ugrupowań, być może. Teraz jednak wszyscy walili do wszystkich, z czego kto miał i nie patrząc już, czy do przyjaciela, czy do wroga. Napompowani po czubek nosa adrenaliną, zdezorientowani, pozbawieni jakiegokolwiek struktury dowódczej oraz celu poza jednym – zabić, nim sam zostaną zabity.

Całe szczęście, że o starych tunelach serwisowych wiedzieli nieliczni, dzięki nim bowiem mieli z Helen szansę przedrzeć się do kwater von Klosky’ego. Inna sprawa, czy w nich kogokolwiek zastaną? I czy zdążą, nim większość z tych imbecyli się wymorduje?

– Gerhard, człowieku, odezwij się!

Nic, głucha cisza na wszystkich pasmach. Co sugerowało, że von Klosky został albo pojmany i skutecznie odcięty od świata, albo też... Zaraz, do czyich prywatnych kodów miał jeszcze dostęp? Varilieva. Ale tej oportunistycznej kanalii nie można było ufać. Kreuff wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że jednym z inspiratorów całego zamieszania jest właśnie on. Seso M'Gabuti? Szef ochrony kancelarii Gerharda był człowiekiem ze wszech miar solidnym, jeśli jednak doszło do przewrotu, to jako osoba w ostatnich dniach von Klosky'emu najbliższa prawdopodobnie podzielił jego los. I tak samo deputowany Ellison. Kto oprócz nich? Sanger? Sanger mogli przeczytać, formalnie nie pełnił przecież żadnej istotnej funkcji.

Mimo to Kreuff zaczął od próby skomunikowania się z M'Gabutim, bo pucz był tylko domysłem, a M'Gabuti człowiekiem potencjalnie najlepiej zorientowanym w sytuacji. Ku niewymownej uldze Noela, szef ochrony odezwał się za pierwszym podejściem.

– Pan Kreuff?

– Tak. Posłuchaj...

– Gdzie pan jest?

– Gdzie jestem? Moment... – Noel cofnął się parę kroków do najbliższej z nisz inspekcyjnych i wyjrzał przez niewielki, zakratowany lufcik. – Koło amfiteatru, drugi poziom.

– I tam to samo?

– Masz na myśli, czy się piorą? Chyba wszędzie się piorą.

– Psiakrew! – Oddech M'Gabutiego był ciężki i chrapliwy, jak po wyczerpującym biegu lub walce wręcz. – My... Ragast, bielmo oczom twoim, na galerię miałeś uważać! My utknęliśmy pod arkadami w Rudym Miasteczku.

– Co z Gerhardem?

– Ranny i nieprzytomny.

– Ale żyje?

– I to jest na razie jedyna dobra wiadomość. – M'Gabuti westchnął.

– A zła?

– Że bez fachowej pomocy medycznej...

– Rozumiem – przerwał mu Noel, świadom uciekających minut. – Powiedz mi jeszcze, jaki jest rozkład tuneli serwisowych w waszej okolicy?

– Odradzałbym tę drogę, panie Kreuff.

– Dlaczego?

– Bo w promieniu dwudziestu metrów od nas są tylko trzy włazy i z któregośkolwiek się pan wychyli, natychmiast odstrzelą panu łeb.

– A dalej niż te dwadzieścia metrów?

– To już po drugiej stronie barykad. Albo na innych kondygnacjach, od których, po zdemolowaniu wind, też zostaliśmy skutecznie odcięci.

– Użyjcie więc schodów.

– Jakich schodów? – zdziwił się M'Gabuti.

– No przecież jakieś muszą być.

– Chwileczkę... – Dłuższa pauza. – Tak, są jedne, którymi moglibyśmy przedostać się do arboretum. Ale wyjść z tuneli jest tam zaledwie kilka i wszystkie daleko od naszej pozycji.

– Zaryzykuję.

– Tu jest naprawdę gorąco, panie Kreuff.

– Tym bardziej.

– Jak pan uważa. Proszę kierować się na mój transponder, dwa-zero-zero-dwa-siedem.

Do arboretum dotarli bez niespodzianek, od wjazdu do zakamuflowanej w chaszczach klatki schodowej również udało im się jakoś przebiec, chociaż parokrotnie kule świsnęły im mimo uszu.

Walczący nie byli jednak ślepi; ktoś ich dostrzegł, jak schyleni pomykają na przełaj, wydedukował cel ich biegu i natychmiast zmobilizował swych kompanów, by podążyli tym śladem. Kreuff był już jedną nogą na schodach, kiedy usłyszał przeraźliwy krzyk Helen. Odwrócił się błyskawicznie, złapał ją, nim którykolwiek ze ścigających zdążył oddać następny strzał, i przeciągnął za osłonę muru.

– Och... – jęknęła, spoglądając na swój bark i na zębaty, okrwawiony grot, który z niego wystawał.

– Spokojnie, to drobiazg. – Noel posadził ją na stopniu i zerknął zza węgła.

Wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie i ci, którzy jeszcze przed sekundą ich ścigali, stawali się już ściganymi, wobec nowego zagrożenia momentalnie tracąc z oczu poprzedni cel.

– Jak to drobiazg?!

– No bo drobiazg. – Kreuff popatrzył na jej pobladłą, przerażoną twarz. – Odczuwasz ból?

– Co za głupie pytanie!

– Czy tylko szok? Odpowiedź brzmi: tak naprawdę to tylko szok.

Na długą uświadamiającą pogadankę nie było czasu; Noel po prostu złapał za belt i jednym zdecydowanym ruchem wyszarpał go z barku Helen.

– Aaaa!!

– Przestań! – Co jeszcze Linneus przed nią zataił? – Taką wykałaczką nikt nie zrobi ci krzywdy. I ty już od dawna powinnaś to wiedzieć, a nie, żebym dopiero ja...

Błysnęło, huknęło, zagrzechotały kawałki muru.

– Na dół, no prędzej! – ponaglił ją Kreuff.

Nastąpiła kolejna eksplozja, niepozostawiająca już cienia złudzeń co do zamiarów tych z arboretum. Nie chodziło im o zdobycie przyczółka na niższy poziom, lecz o zablokowanie

drogi ucieczki swym przeciwnikom. Kim byli ci ostatni, nie interesowało Noela w najmniejszym stopniu, a jedynie, jak teraz wydostać się z potrzasku, w który dał się zapędzić.

M'Gabuti czekał na nich u wylotu schodów, potwornie zmęczony, z krwawą szramą na czole i zaimprovizowanym opatrunkiem na ramieniu.

– Panie Kreuff..

– Teraz to już chyba naprawdę utknęliśmy – wpadł mu w słowo Noel. – Gdzie Gerhard?

– Tam. – Szef ochrony wskazał w głąb arkad, osmolonych, pokancerowanych i co parę sekund tryskających nową fontanną odłamków. – Przenieśliśmy go do jednej z kafejek. Dosłownie przed chwilą się ocknął, jakby wyczuł, że pan nadchodzi.

– Jedno mnie zastanawia, jaki wicher go tu w ogóle przywiął?

– Nie wicher, panie Kreuff, tylko laforzystowscy bojówkarze – wyjaśnił M'Gabuti. – Dopiero w tym miejscu udało się nam go odbić, przy niemałych stratach po obu stronach. Pyrrusowe zwycięstwo zresztą, jak sam pan widzi. Jedyna dobra rzecz, jaką w całej tej sytuacji dostrzegam, to koniec La Forge'a.

– E, tam, koniec. – Noel machnął ręką. – Sukinsyn na pewno zaszył się w jakiejś bezpiecznej norze i tylko czeka, kiedy będzie mógł z niej wyleźć, żeby pozamiatać i ogłosić się tryumfotorem.

– Bez obaw. La Forge nie żyje.

– Nie żyje?

– Informacja z całkowicie pewnego źródła.

– No to faktycznie, jedna dobra rzecz. – Kreuff odsunął kotarę i wszedł do środka. Von Klosky leżał na ławie pod ścianą, nieruchomy, jedynie jego oczy zwróciły się ku Noelowi, gdy ten tylko przekroczył próg.

– Hej, stary druhu, ty to zawsze musisz mi dostarczyć mocnych rozrywek – zagadał lekkim tonem Kreuff.

Uśmiech, o ile to był uśmiech, a nie grymas bólu, pojawił się na mgnienie, jak cień ważki i znikł.

– Wyciągnę cię stąd. – Noel pochylił się nad nim.

Bandaż na głowie von Klosky'ego zakrywał ranę, która musiała być wielka i głęboka, sądząc po ilości krwi i zakłębieniu nad skronią.

– Ne hyh ahem. – Wargi Gerharda poruszyły się prawie niezauważalnie.

– Nie tym razem? Tym razem i następnym. Jeszcze nie było takiego gówna, z którego byśmy się nie wykaraskali. Zaczekaj chwilę.

Kreuff minął wyraźnie poruszoną Helen i podszedł do M'Gabutiego.

– Pokaż mi, gdzie są te włazy.

– Dwa na środku rynku, zaraz koło fontanny, a trzeci w tamtej uliczce.

– Ja przy fontannie widzę tylko ciała.

– I chyba nie chce pan do nich dołączyć. – M’Gabuti pokręcił głową. – Rynek jest pod ostrzałem snajperów, o kanonadzie z barykad nie mówiąc.

– Mnie tak łatwo nie zabijają.

– Może nie tak łatwo, ale w końcu zabijają. *Nec Hercules contra plures*, panie Kreuff. Zresztą, co nam po tym, jeśli nawet prześlizgnie się pan do wjazdu?

– A biała flaga?

– Flaga! – parsknął z nieukrywaną pogardą M’Gabuti. – Przecież to niecywilizowane dzikusy z pustyni, na dodatek w bitewnym transie. W bitewno-religijnym, bo głowę dam, że wielu z nich tutaj to świeże przechrzty na mahometanizm albo helenizm.

– Trzeba więc ich z tego transu wyprowadzić.

– Jak? Tupnie pan nogą, panie Kreuff?

– Jakimś bardziej dramatycznym aktem.

– Mnie żaden, poza nagłą interwencją sił nadprzyrodzonych, nie przychodzi na myśl. Zaraz, chyba nie zamierza pan...

Noel bez słowa zostawił go z niedokończonym zdaniem i wrócił do środka.

– On coś powiedział – szepnęła Helen.

– Gerhard?

– Tak. Ale nie zrozumiałam.

Kreuff podszedł do przyjaciela i pochylił się nad nim.

– Ehen... – wyrzęził von Klosky.

– Co?

– Ehen – powtórzył tamten, próbując wskazać coś ręką.

– Kieszeń? – domyślił się w końcu Noel.

Gerhard skinął nieznacznie głową na znak, że dokładnie o to mu chodziło.

– Która, ta? Nie? Ta też nie? W wewnętrznej? W wewnętrznej.

Kreuff wsunął ostrożnie dłoń i wyciągnął nieduży płaski przedmiot. Bordowo laminowany z holograficzną trójrozetą Apex Nos.

– I co chcesz, żebym z tym zrobił?

– Oszczytaj.

– Dobrze, jak już cię stąd...

– Heras!

– Teraz mamy mnóstwo o wiele ważniejszych spraw.

– E ma... ahnehej. – Słowa z coraz większym trudem przeciskały się von Klosky’emu przez gardło, walczył już o wyartykułowanie pojedynczych sylab. – To la...teho Lafosh siał... E olno... Uhisie y, usisie y hohroasiś...

– Poprowadzimy, Gerhard, poprowadzimy dokąd tylko zechcesz, we dwójkę.

– Aiodhuem... wah... yhhih...

– Nikogo nie zawiodłeś, już prędzej...

– Nayh! – Von Klosky złapał go z nieoczekiwaną siłą za przegub. – Nay...tkh!

– Co? Gerhard... – Uścisk zwiotczał. – Gerhard! Och, szlag!

Noel wybiegł na zewnątrz.

– M'Gabuti! Dawaj mi jakąś broń, jakąkolwiek.

– Panie Kreuff...

– Masz czy nie masz?

– Owszem...

– To dawaj!

Pistolet, zwykły półautomat, był muzealnym zabytkiem, ale i tak lepszym od gołych rąk. Noel sprawdził stan magazynka, przełączył ogień z ciągłego na pojedynczy, odwrócił się... i stanął twarzą w twarz z Helen.

– Nie będziesz go potrzebował – rzekła, wyciągając otwartą dłoń.

– Odejdź.

– Nic z tego, Kreuff.

– Powiedziałem, żebyś się odsunęła!

– To po co ja tutaj jestem? – Kiedy uczynił krok, by ją wyminąć, błyskawicznie zagroziła mu drogę. – Gdzie twoja konsekwencja? Gdzie ten wcześniejszy upór, z jakim mnie przekonywałeś do tego, żebym się zaangażowała?

– Nie w wojnę.

– Ależ tak.

– No więc popełniłem błąd.

– Przeciwnie, to ja się myliłam. I to ty mi lepiej ustąp.

Jej manewr okrążający był bardziej udany. Noel złapał ją za rękę.

– Zaczekaj! Rozumiem, co chcesz zrobić, ale to nie wypali. Helena-Opiekunka to nie ty, lecz mit, który z tobą prawdziwą nie ma absolutnie nic wspólnego!

– Tak. – Uśmiechnęła się, jednak w tym łagodnym z pozoru uśmiechu było więcej stanowczości niż w marsowej minie niejednego generalissimusa. – I ja ten mit wykorzystam. A potem całkowicie i raz na zawsze zdekonstruuje.

– Lecz jaką cenę za to zapłacisz? Powiedziałem, że prymitywną bronią nie można cię skrzywdzić, ale to wcale nie znaczy, że jesteś nieśmiertelna i niezniszczalna!

– Wolność, Kreuff, jest dla mnie warta każdej ceny.

Noel nie mógłby już jej teraz powstrzymać, nawet gdyby oplątał się Helen wokół nóg. Nikt i nic nie mogło, ale w tej chwili wiedział o tym jedynie on. Dla M'Gabutiego sytuacja taka jak ta nie miała precedensu w karierze i wzięty w dwa ognie sprzecznych odruchów po prostu skamieniał, tyleż przerażony, co zafascynowany samobójczą brawurą nieznajomej. Widok tryskającej z jej barku krwi szybko go jednak otrzeźwił i przywrócił motorykę kończynom.

– Ragast, Faulkner, osłaniajcie mnie! – krzyknął i ruszył zwariowanemu dziewczęciu na odsiecz.

Ręka Kreuffa przystopowała go niczym szlaban.

– Zostań.

– Co?

– Jeszcze możesz być jej potrzebny.

Pierwsze trafienie zachwiało nią, drugie powaliło na bruk. Ale podniosła się natychmiast i gdy uderzył w nią kolejny pocisk, przyjęła go, niemal nie zwalniając. Ktoś coś krzyknął – komendę, przekleństwo? – i ogień zza najbliższej barykady wyraźnie zelżał, chwilowo zrekompensowany intensywniejszym ostrzałem z dwóch innych stron. Lecz wkrótce i ten złagodniał, a potem ucichł, kiedy Helen, dotarwszy na środek placu rozpostarła ramiona i zaczęła śpiewać. Czystym, donośnym i nadspodziewanie melodyjnym altem wiodąc słowa, na dźwięk których nawet Kreuff momentalnie oniemiał:

*Wyobraź sobie, że nie ma Niebios
To łatwe, jeśli chcesz
Nad tobą tylko błękit
I to, że piekła nie ma też
Wyobraź sobie wszystkich nas
żyjących tylko chwilą tą
Wyobraź sobie świat bez granic
Nietrudna wcale rzecz
Nic, za co umarłbyś lub zabił
Żadnej religii nie ma też
Wyobraź sobie pokój
Dany wszystkim nam
Możesz mnie nazwać marzycielką
Lecz takich ludzi więcej jest
Wierzę, że kiedyś przyjdiesz do nas
I zbudujemy lepszy świat...*

– Żeby tak jutra nie doczekał... – Noel uśmiechnął się, w połowie drugiej zwrotki, sam niemal gotów jej i Lennonowi uwierzyć.

– Kto to jest? – zapytał szeptem M'Gabuti, opuszczając karabin. – Panie Kreuff?

Głowy – niepewnie, ostrożnie – zaczęły wychylać się to tu, to tam, spoza szanćów, zza drzwi, znad pokancerowanych attyk i balustrad. Słowa zrozumiało zapewne niewielu, bo implantacja wśród ludzi pustyni nie była zjawiskiem powszednim. Żar i moc w głosie Helen nikogo jednak nie mogły zostawić nieporuszoną.

Co śmielsi albo co pod większym wrażeniem – nie wiadomo, czy bardziej jej śpiewu, czy straceńczej odwagi – postanowili wyleźć z kryjówek. I nim przebrzmiała ostatnia nuta, na placu stało już kilkanaście osób, z bronią, która jakoś dziwnie im teraz zawadzała, wymęczonych, oklapłych i spoglądających na siebie takim wzrokiem, jakby jeden drugiego chciał spytać: co ty tu robisz? Co ja tu robię? I o co właściwie była ta awantura?

– Kto? Sam już chyba nie wiem. – Noel westchnął. – Ale czasy nadchodzą ciekawe, to nie ulega wątpliwości.

Nad Rudym Miasteczkiem zapadła cisza, głęboka i wstydliva. Koniec pierwszego aktu dla jednych, *finale grande* dla innych.

Kreuff wrócił do Gerharda, lecz już po to tylko, by zamknąć biedakowi oczy.

– I kto tu kogo zawiódł, mój przyjacielu – szepnął, obracając w palcach bordowy prostokąt. – I kto tu kogo zawiódł...

M'Gabuti, z miną wyrażającą więcej niż jakiegokolwiek słowa, odłożył karabin na kontuar. Nawet nie podniósł wzroku, gdy zbliżył się do niego Noel. Zbyt bolesną była dla niego ta śmierć i świadomość, że wina za nią spoczywa przede wszystkim na jego barkach. Gdybyż tylko wykazał się większą ofiarnością, przemyślnością, profesjonalizmem...

– Seso...

– Powiniennem palnąć sobie w łeb – wymamrotał, wciąż nie spoglądając na Kreuffa.

– Ale nie teraz. – Noel położył mu dłoń na ramieniu. – Bo teraz musisz zrobić jeszcze parę rzeczy.

– Tak?

– Po pierwsze, zaopiekuj się Gerhardem.

– Nie ma potrzeby używać eufemizmów, panie Kreuff.

– To nie jest eufemizm – przerwał mu Noel. – Mózg został uszkodzony rozległe, ale może wprawna ręka zdoła coś uratować.

– Ma pan na myśli...

– Owszem. I to jest twoje zadanie numer jeden. Po drugie – bordowa pursa dyplomatyczna wylądowała na ręce M'Gabutiego – oddasz to Helen.

– Komu?

– Twojej nowej przełożonej. – Kreuff uśmiechnął się enigmatycznie. – To jej słuchaliśmy przed chwilą. Oddaj z przypomnieniem, że to bardzo ważna i niecierpiąca zwłoki wiadomość.

– Ale czemu pan sam...?

– Bo ja już zrobiłem wszystko, co miałem do zrobienia – odparł Noel, odwracając się ku drzwiom. – Poza jedną, ostatnią rzeczą.

– Jaką?

– To już osobista sprawa. – Kreuff popatrzył na znieruchomiałego von Klosky'ego, na tłum, który zdążył zebrać się wokół Bjorg, na zniszczone fasady i, nie mówiąc już nic więcej, wyszedł z kafejki.

Rozdział 17

Hansen trafnie rzecz podsumował, przedobrzyli z tą adaptacyjną elastycznością nanomaszyn, zostawiając im zbyt duży margines swobody. Wówczas jednak wydawało się to jedynym sensownym rozwiązaniem. Jako że nie sposób przewidzieć, ani tym bardziej zakodować odpowiedzi na wszystkie możliwe sytuacje, program nanokonstruktorów oparto na zbiorze prostych i wzajemnie niesprzecznych reguł, które stanowiły absolutny punkt odniesienia, swoistą „ustawę zasadniczą” dla tworzących megastrukturę pod-jednostek elementarnych. Coś na kształt słynnych trzech praw robotyki, tyle że z szerszą wykładnią, obejmującą nie tylko ludzi. Bezwzględny nakaz ochrony życia we wszelkich jego formach i przejawach oraz w każdych warunkach. Dobro samych budowniczych było sprawą drugorzędną.

Aby jednak ów imperatyw miał w ogóle sens, należało go pozbawić jakiegokolwiek ambiwalencji. Tak, by nanomaszyny wiedziały bezbłędnie, co chronią, i jak odróżnić materię żywą od martwej.

Jaką jednak spośród kilkunastu oficjalnych definicji życia przyjąć tu za podstawę? Która z nich umożliwiała parametryzację zjawisk i ocenę na podstawie mierzalnych wartości, czy dany obiekt jest tworem *par excellence* żywym?

Ostatecznie wybrnięto z impasu, formułując definicję nową i dla celów Projektu zdecydowanie bardziej praktyczną, która tak się miała do wszystkich poprzednich, jak wzorzec metra i sekundy do ontologicznych rozważań nad naturą czasoprzestrzeni. Z filozoficznych gdybań został goły szkielet, i dano sobie spokój z biologiami opartymi na pierwiastkach innych niż węgiel, poprzestając jedynie na znanym i swojskim. A temu można już było przypisać zestaw konkretnych atrybutów, takich jak kompartmentalizacja, replikacja kwasów nukleinowych, aktywny metabolizm czy nierównowaga termodynamiczna. Atrybutów łatwych do ustalenia i zapisania w postaci zer oraz jedynek. Krótko mówiąc, życie zredukowane do tabelki, w której wszystkie rubryczki muszą być odfajkowane.

Z początku stosunek nanokonstruktorów do materii ożywionej przypominał zachowanie klienta baru go-go, któremu wolno jedynie patrzeć. Szybko jednak samo obserwowanie przestało nanokonstruktorom wystarczać. Imperatyw okazał się popędem zbyt silnym, a hamulce nałożone zmienności zbyt słabe, co razem wzięte spowodowało przyspieszenie

ewolucji mikroskopijnych maszynek. Trudno to nawet nazwać błędem w sztuce ze strony Projektantów, oni pragnęli tylko udowodnić, i to chyba głównie sobie, że są od matki natury lepsi i sprytniejsi. No i w tym udowadnianiu poszli o jeden most za daleko, tworząc system nie dość że ewoluujący w zawrotnym tempie, to jeszcze pod dyktando jasno sprecyzowanego celu, jakim było możliwie najefektywniejsze wywiązanie się z narzuconych przez imperatyw zobowiązań.

W nieustannej pogoni za tym celem prędzej czy później musiała runąć niewidzialna bariera pomiędzy megastrukturą i światem istot żywych. Zaczęła się epoka przenikania biologicznego z cybernetycznym; nowy etap współzawodnictwa pomiędzy populacjami niezmordowanych nanomaszyn, którego areną były już nie tylko żywogrunty czy żywoskłon, lecz również mycelia grzybów, źdźbła traw i korzenie tamaryszków, a w następnej kolejności ciała zwierząt z ich rozwiniętym systemem nerwowym i narządami zmysłów.

A w końcu nafaszerowany implantami ludzki mózg.

Dostęp do tego biologicznego superkomputera, poza dramatycznym zwiększeniem obliczeniowego potencjału nanomaszyn, miał jeszcze jedną i o wiele ważniejszą konsekwencję. Dotąd bowiem ich podstawową jednostkę organizacyjno-wykonawczą stanowił lokalny klaster, łącznikiem zaś pomiędzy poszczególnymi klastrami były stosunkowo powolne infoganglia. Komplanty zaś otwały przed nanomaszynami ludzką sieć informacyjną, dzięki czemu Drzewo, które dotąd bardziej przypominało swoim poziomem organizacyjnym gąbkę albo koralowiec, zaczęło szybko przeistaczać się w naprawdę jednolity i globalnie skoordynowany system.

O ile jednak to wydarzenie można było porównać z cywilizacyjnym przeskokiem od sygnałów dymnych do radia, to podłączenie się elementów do komplantu EPR w głowie Thomasa stanowiło dla tego procesu odpowiednik fazy inflacyjnej po Wielkim Wybuchu. Niemal z dnia na dzień wszyscy ludzie, w których ciałach znajdował się bodaj jeden element – a była ich wbrew pozorom całkiem pokaźna liczba – stali się częścią ogromnego konglomeratu, elektroniczno-neuralnego porostu w najwcześniejszym, dalekim jeszcze od pełnej symbiozy stadium.

A Farquahart w tym wszystkim? Cóż, takie jego psie szczęście, że był pierwszym z tak zaawansowaną technologią komunikacyjną, którego nanomaszyny dopadły. Że dopadłszy, odnalazły w jego szarych komórkach nieprzebrane zasoby informacji z archiwum.

I że nie były jakimiś tam sobie nanomaszynami do łatania dziur w tkankach, lecz wyspecjalizowaną, eksploracyjną elitą. Elitą, której jeszcze do niedawna w ogóle w Drzewie nie było.

* * *

Nazywano ją starą różą pośród chwastów. Ewentualnie starą żmiją, zależy z kim się rozmawiało. Wiktoria McGregor, żywa legenda wierzchołkowej sceny politycznej i chodzące zaprzeczenie stereotypów. Nigdy, przez całe czterdzieści sześć lat swojej parlamentarnej kariery niezwiązana z żadnym ugrupowaniem, niezmanierowana jakąkolwiek ideologią, nieprzekupna, gardząca pustosłowiem, bez śladu narcystycznych ciągotek, o nadludzkiej wręcz pracowitości (ponad osiemset zgłoszonych i – z wyjątkiem zaledwie czterech, wszystkich przyjętych! – inicjatyw ustawodawczych) oraz energii, niesłabnącej pomimo dość już podeszłego, jakkolwiek by na to patrzeć, wieku. Tworzenie prawa było jej pasją: ambicją – by było ono możliwie najlepsze, a cichym pragnieniem – żeby wszyscy namawiający ją do ubiegania się o najwyższy urząd dali jej wreszcie święty spokój. Jednakże parlament to nie tylko legislatura, lecz i inne obowiązki, do których, na nieszczęście Yaniga, Wiktoria podchodziła równie rzetelnie i kompetentnie, jak do wszystkiego w swoim życiu.

– *Madame?* – Dyrektor wyciągnął szarmancko dłoń.

McGregor wyskoczyła z rządowego surfera, ignorując ten gest.

A za nią jeszcze jedna osoba, którą Yanig obrzucił szybkim, taksującym spojrzeniem, nie rozpoznając jednak twarzy.

– To dość nieoczekiwana wizyta. Czemu ją zawdzięczam?

– *De facto*, sądząc po tym, co jak dotąd udało się nam ustalić, zawdzięcza ją pan samemu sobie – odparła, prezentując formatablet. – *De iure* zaś, decyzji Rady Ministerialnej o powołaniu specjalnego zespołu dla wyjaśnienia przyczyn ostatnich wydarzeń. Ze mną w roli koordynatorki, nawiasem mówiąc, ale to już szczegóły.

– Oho, czyli sprawa jest oficjalna. – Dyrektor chciał być miły, przeszarżował jednak z akcentem i wyszło, że jest po prostu arogancki. Reakcja była natychmiastowa:

– Jacques de Molay.

– Ee... słucham?

– Ostatni wielki mistrz zakonu świątynników. Też myślał, że jest nie do ruszenia, a spłonął na stosie – rzekła McGregor tonem z pozoru lekkim, ale jej wzrok był jak lufy plutonu egzekucyjnego. – Jeśli chce się pan śmiać w twarz wyborcom, to oświadczam, że odpowiednie dokumenty o przekazaniu Wydziału pod tymczasowy zarząd komisji parlamentarnej są już gotowe, brak na nich tylko podpisu.

– Ależ pani elekt źle mnie zrozumiała! – wykrzyknął Yanig. – Jestem całkowicie otwarty i absolutnie nie zamierzam przeszkadzać w pracy pani zespołu. Łatwiej jednak byłoby mi wyjść naprzeciw, gdybym wiedział, o czym konkretnie mówimy. Bo „ostatnie wydarzenia” to określenie raczej mgliste.

– Mówimy o idącej już w setki tysięcy liczbie zachorowań, o chaosie komunikacyjnym, o coraz powszechniej raportowanych malfenestracjach, epneufemiach i innych przejawach anomalnego zachowania więźby gron – wtrącił się towarzyszący Wiktorii mężczyzna. – Jednym słowem o skutkach waszych, czego jestem dziś niemal pewien, skrajnie

nieodpowiedzialnych, by nie powiedzieć zbrodniczych, działań! Co wy sobie myślicie, że Apeks jest waszym prywatnym ogródkiem...

– Kolego Rudnick! – McGregor przerwała mu ostrym tonem.

Yanig momentalnie zeszytywniał na dźwięk znajomego i nader źle przezeń zapamiętanego nazwiska z czasów obrad senackiej komisji rewizyjnej numer 574. Ich wyniki zostały zakwestionowane i ostatecznie anulowane ze względu na zarzut stronnictwa jej członków, z których ponad połowa, w tym Rudnick, wywodziła się bądź sympatyzowała z najbardziej ortodoksyjnym odłamek probiotystów. A więc to tak wygląda gęba tego zaplutego turkucia podjadka!

– No bo przecież ten człowiek kpi sobie z nas w żywe oczy!

– Jest pan w błędzie – odparł dyrektor. – Chociaż przyznam, że wobec tak absurdalnych zarzutów, zachowanie powagi sporo mnie kosztuje. Problemy z komunikacją? Fanaberie tkanek? Jakim cudem Wydział mógłby mieć z tym cokolwiek wspólnego?

– Aha! – zakrzyknął Rudnick z oskarżycielsko wycelowanym weń palcem. – Czyli tym samym przyznaje pan, że wybuch tej koszarnej zarazy to już wasza sprawka?

– W najmniejszym stopniu – zaprzeczył Yanig i, odwracając się do McGregor, rzekł: – Prawdą jest, pani elekt, że jesteśmy tak jak wszyscy, o ile nie bardziej, zaniepokojeni skalą, symptomatyką oraz tempem rozszerzania się epidemii. Zwyczajnie, po ludzku, ale również urzędowo. I zapewniam, że robimy co w naszej mocy, by rzecz opanować. Zaangażowaliśmy najlepszych ekspertów, którzy pracują nad rozwiązaniem tego problemu dwadzieścia pięć godzin na dobę.

– Bardzo dobrze, i właśnie od obecnego stanu tych badań byśmy zaczęli.

– Pozwolą zatem państwo do mojego gab...

– Nie, nie, u źródeł – przerwała dyrektorowi McGregor. – Proszę nas zabrać do Centralnego Ośrodka Badań Teoretycznych.

* * *

– Kiedy miałem dziesięć lat, ojciec wziął mnie na ryby.

– Słucham? – Sash podniósł wzrok znad notatek.

– W Mar Gauria mieliśmy sztuczne jezioro – ciągnął Kriwczuk niezrażony tym, że najwyraźniej przeszkadza Livansky'emu w pracy. – I klub miłośników rozrywek dawnych, takich jak na przykład wędkowanie. Bez ichtiofauny jest to jednak aktywność kompletnie pozbawiona sensu, dlatego klub, sporym zresztą nakładem, zasiedlił zbiornik. Nie przewidziano jednak zainteresowania wykraczającego poza wąskie grono ekscentryków. A zainteresowanie okazało się ogromne, chociaż bardziej w rozumieniu spożywczym niż sportowo-rekreacyjnym, w krótkim czasie ryby zostały bowiem wylapane co do sztuki. Klub zasiedlił jezioro po raz drugi, lecz już gatunkami o zdecydowanie mniejszych walorach

kulinarnych. Zaczął również wydawać płatne zezwolenia na odlów, wprowadził całodobowy monitoring oraz wysokie grzywny za nieprzestrzeganie regulaminu. Co osiągnęło tylko ten skutek, że tym razem wytrzebiecie całej populacji zajęło kłusownikom dwakroć więcej czasu. Amatorów uczciwego moczenia kija doprowadziło to na skraj rozpacz. I w efekcie do pomysłu, by ryby prawdziwe zastąpić odpowiednio zaprojektowaną galanterią formierską. Żeby frajdę mieli już tylko ci, którzy łowili dla sportu. No i owszem, frajda była, przez pewien czas. Dopóki pseudookonie i tilapie dawały się złapać. To jest, przez kilka tygodni. Bo potem haczyki znowu były puste.

– Czy to jest historyjka z jakąś puentą? – przerwał mu doktor, usiłujący skupić się na porządkowaniu notatek.

– Sztuczne ryby okazały się znacznie trudniejszym przeciwnikiem – odrzekł inspektor, po czym, zmieniając temat, spytał: – Przez te sześć lat, ile pan wykonał neurotransferów?

– Tyle, ile musiałem – odparł Sash asekuracyjnie. – I tylko w przypadkach, gdy nie widziałem innego wyjścia.

– Nie wątpię – przytaknął inspektor. – Ale to pan, chodząca wykładnia etyki zawodowej. Bo w przytłaczającej większości nielegalnych i półlegalnych pracowni mają etykę za nic. A wie pan, ile tych pracowni jest? Ponad osiem tysięcy. I to na chwilę obecną, gdyż pomimo naszych działań ich liczba z roku na rok zwiększa się. W każdej zaś przeprowadza się rocznie co najmniej po kilkaset debiotyzacji, średnio. Ostatnia mediana wyszła nam w okolicy czterystu sześćdziesięciu transferów na lejbwerk. To już nie są wykroczenia, ale istna powódź, której nie da się powstrzymać żadnym impotentnym aktem prawnym ani zaostrzonymi środkami przymusu.

– I dopiero w tej chwili to do was dotarło? – zapytał medyk.

Inspektor zamilkł, zmieszany, a może tylko zmagając się ze swoją awersją do szczyrych rozmów, Sash nie potrafił wyczuć.

– Prawdę mówiąc, ja od dawna wiedziałem, że tocymy przegraną bitwę – odezwał się w końcu tonem odmiennym od wcześniejszego. – Że idziemy pod prąd ludzkich pragnień i zwykłych, nieubłaganych praw rynku. Jak kretyni, co chcą ręką zatrzymać lodowiec.

– Dlaczego zatem pan to robił?

– A dlaczego pan, doktorze, nigdy nie przeprowadził mannekenizacji normalnego, zdrowego człowieka? – odparował inspektor.

– Bo to byłoby z gruntu nieetyczne – oburzył się Livansky.

– Ale dlaczego? – nalegał Kriwczuk. – Niech mi to pan w prostych słowach wyjaśni, odkładając na moment kodeks lekarski do szuflady. Przecież mottem pańskiego zawodu jest „primum non nocere”. A jakaż to szkoda w obdarowaniu kogoś wieczną młodością, umysłem nieporównanie sprawniejszym od galaretowatej szarej masy i ciałem, nad którym rozum ma wreszcie pełną kontrolę, a nie jak dotąd, na odwrót? Albo inaczej, co jest tak naprawdę dobrego w odmawianiu ludziom tych wszystkich dobrodziejstw, z powodów stricte i

wyłącznie pryncypialnych? Wielu mogłoby nawet zarzucić panu obskurantyzm i porównać do religijnych fanatyków, którzy nie pozwalają zaszcześcić swojego dziecka lub przeprowadzić transfuzji, bo to też jest sprzeczne z ich moralnymi zasadami.

– Co mi pan imputuje?! – Medyk podniósł głos.

– Ależ nic – uspokoił go Kriwczuk. – Chcę tylko powiedzieć, że pan i ja wcale tak bardzo się od siebie nie różnimy. Z jednym może wyjątkiem, że to właśnie pan nie jest tak chyba do końca świadom, dlaczego robi to, co robi. Ja jestem tego świadom w stu procentach. I nawet teraz, kiedy nasze pozycje wydają się już stracone, nie mam wątpliwości, że idea, dla której tyle lat poświęciłem, jest słuszna. Nie, złe słowo, to nie jest po prostu idea, ani tym bardziej pusta ideologia, lecz kwestia naszego być albo nie być!

Tu inspektor znów zrobił pauzę, w oczach jednak, poszarzałych jeszcze przed chwilą i smętnych, zabłysła iskierka żaru.

– Tak jak w przypadku tych ryb, które przegrały w konkurencji ze swoimi nanomechanicznymi odpowiednikami. I przyznam, jestem trochę zdziwiony, że pan, ze wszystkich osób, tego nie rozumie.

– A kto mówi, że nie rozumiem? – zdziwił się Livansky.

– Czemu zatem wciąż widzi pan w nas swoich wrogów?

– Powiedziałem, że rozumiem, a nie, że się zgadzam z waszą linią oraz metodami.

– Bo jesteśmy zbyt ortodoksyjni? Zbyt bezkompromisowi w walce o przetrwanie własnego gatunku?

Medyk zwiesił głowę, już mu się nie chciało ripostować. Całą minioną noc spędził na wprowadzaniu ostatnich zmian w raporcie, sprawdzaniu po raz n-ty poprawności wyników i ogólnie rzecz biorąc, na przygotowaniu się zarówno pod względem werbalnym, jak i psychicznym do jednej z najważniejszych rozmów w swoim życiu. Oka nie zmrużył, i mimo zaaplikowanego sobie zestawu ćwiczeń relaksacyjnych nadal był spięty jak żak przed pierwszym egzaminem, a ten go jeszcze tu wciążą w jakąś słowną szermierkę. W porównaniu z nadchodzącą burzą, źródło inspektorskich utyskiwań i zarazem dumy wydawało się czymś bladym, przedatowanym i prawie nieistotnym. Albo też po prostu gada, żeby gadać i siebie samego tym gadaniem uspokoić.

– Kiedy gra toczy się o stawkę taką jak tutaj, nie ma już miejsca dla kwantifikatorów, dla stopniowania, jest tylko „albo, albo” – kontynuował inspektor ni to do Livansky’ego, ni to do symulakrum Spinozy, które akurat wylazło zza krzaków, podciągając pludry. – Ja wiem, że nieśmiertelność jest nadzwyczaj kusząca, że wszyscy chcieliby być idealni, wiecznie młodzi, bosko piękni i raz na zawsze wyswobodzeni z pęt zwierzęcego dziedzictwa, spod dyktatury genów, popędów i hormonów. I tylko głupiec, mając wybór, optowałby za niezrzucaniem tego jarzma, nieprawdaż? Sęk w tym, że nie bylibyśmy ludźmi, gdyby nie te ograniczenia, że one nas definiują! Że źródło ludzkiego geniuszu tkwi tak naprawdę w naszych słabościach, w defektach tego nieszczęsnego, ewolucyjnie zaśmieconego mechanizmu zwanego

człowiekiem. Idziemy naprzód, bo jesteśmy ułomni i tworzymy rzeczy wielkie, jako antidotum przeciwko tym ułomnościom. Z grozy niebytu wzięły się największe dzieła sztuki, technologię zrodziło nasze lenistwo, wiedzę zdobywamy, pchając się zazwyczaj tam, gdzie świat nas nie chce. Doskonałość, długowieczność, w porządku, jakiś niewielki ułamek niech się tym rozkoszuje. Ale dla rasy ludzkiej jako takiej byłaby to najprawdziwsza tragedia, koniec drogi, śmierć bez pogrzebu. Stagnacja, alienacja i indyferentyzm. Z tym też pan się nie zgodzi?

– Nie w tym rzecz, że się nie zgadzam, bo w wielu punktach ma pan słuszość, ale...

– Moment. – Inspektor uniósł palec, przerywając Livansky'emu.

I po kilkunastu sekundach: – Już tu lecą.

– Ach! – Sash poderwał się z ławki, jakby zamiast „już tu lecą” usłyszał „już tu są”. – Kto?

– Wiktoria McGregor, jeśli coś panu mówi to nazwisko.

– Owszem. – Medyk pokiwał głową. – Czyli jednak potraktowali rzecz serio.

– Dołożyłem starań.

* * *

– Uch, aleście zaniedbali to miejsce! – Wiktoria załamała rękę na widok wymizerowanych drzewek oliwnych i pożółkłych, miejscami wyłysiałych trawników. – A tak tu kiedyś było pięknie!

– Skutki cięć budżetowych. – Dyrektor zerknął na Rudnicka, elekt puścił jednak aluzję mimo uszu.

– Raz na tydzień dać trochę wody tym biedactwom to chyba nie jest jakiś ogromny koszt? – zapytała McGregor.

– Lykeion ma ponad sześć hektarów i system irygacyjny z poprzedniego stulecia. W naszej obecnej sytuacji finansowej to jest koszt, *madame* – powiedział Yanig, mocniej akcentując kilka ostatnich słów.

– Rozumiem. – Westchnęła, niby to z ciężkim sercem. – To jest smutne. Ale nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, prawda?

– W rzeczy samej – zgodził się z nią dyrektor. – Przejdźmy w takim razie do audytorium. Inspektor Kriwczuk, który z mojego polecenia koordynuje prace naszego zespołu specjalistów, już tam powinien być.

– A mnie się wydawało, że tutaj.

– Tu? Nie, pani elekt, tutaj możemy co najwyżej...

– No i dobrze mi się wydawało – przerwała Yanigowi z delikatnym uśmiechem. – Pan inspektor to, o ile się nie mylę, ten niższy?

– Tak... – To było wszystko, co dyrektor odmruknął: wściekłość nie pozwoliła mu na więcej.

Kriwczuk minął szefa z kamiennym wyrazem twarzy i podszedł do gości.

– *Madame*. – Ukłonił się elegancko. – Dziękuję, że znalazła pani czas na rozmowę.

– Nie musi pan dziękować, to wchodzi w zakres moich konstytucyjnych obowiązków.

– Niemniej dziękuję. Dyrektor Yanig zapewne już wspomniał, że jestem koordynatorem badań. Ale to tylko funkcja administracyjna, rzeczywistym kierownikiem naukowym jest doktor Aleksander Livansky.

– Chwileczkę, pani elekt, jeszcze momencik... Pozwól na słowo.

– Yanig nie wytrzymał, złapał inspektora pod bok i odciągnąwszy na stronę, wycedził przez zaciśnięte zęby: – Co ty, do diabła, wyprawiasz?! Przecież powiedziałem chyba wyraźnie, żebyś czekał w audytorium. Sam! Kazałem ci jeszcze kogoś ze sobą wlec? Nie.

Mówiłem coś o przekazaniu pałeczki Livansky'emu? Jak przyjdzie pora, osobiście dam łapiduchowi zielone światło...

– Czyli kiedy? – przerwał mu Kriwczuk. – Wiedziałbyś, gdybyś przeczytał mój raport.

– Nie mam czasu – warknął dyrektor.

– Nie masz czasu? Na coś, co jeszcze przedwczoraj było podobno dla ciebie czymś tak cholernie ważnym?

– Mam ostatnio na głowie setki ważnych spraw.

– Ale z tą nic nie może się równać. Żadne twoje prywatne rozgrywki ani inne...

– Uważaj, bo przekroczysz granicę!

– Już ją przekroczyłem – odparł Kriwczuk. – I tylko strach mnie ogarnia na myśl, że może za późno.

Yanig chciał mu odpalić, zamilkł jednak na widok zbliżającej się do nich Wiktorii.

– Czyżby drobne różnice zdań? – spytała z nutką sarkazmu McGregor.

– Bardzo drobne, wręcz nieistotne, pani elekt – zapewnił dyrektor pośpiesznie, uprzedzając Kriwczuka. – Ale może byśmy usiedli? Tam, pod platanem?

– Nie mam nic przeciwko.

Livansky też nie miał, podobnie jak Rudnick ani dyrektor.

– Możemy zaczynać doktorze? – spytała Wiktorii, gdy już spoczęli pod rozłożystym drzewem.

– Tak... – Livansky sięgnął po czytnik, który niewiele brakowało, a wypadłby mu z rąk. – Tutaj przygotowałem kilka wykresów i taką zbiorczą tabelę, która... której... masz ci los, no nie mogę znaleźć... Co jest? Przepraszam.

– Młody człowieku...

– Chyba jej nie wykasowałem?! Na pewno nie. Musi tu być...

– Młody człowieku – powtórzyła McGregor ciepłym, niemal matczynym tonem. – Jestem pewna, że bez tych tabel też pan sobie świetnie poradzi. I niech się pan tak nie denerwuje,

proszę sobie pomyśleć, że to pan jest tu najmądrzejszy, a ja jestem tylko głupią, starą babą, do której trzeba mówić prosto.

– Prosto. – Medyk odchrząknął dyskretnie. – I krótko.

– Tego nie powiedziałam – zastrzegła leciwa parlamentariuszka.

– Zależy mi na uzyskaniu możliwie kompletnego obrazu i jeżeli jakieś kwestie wymagają tu szerszego rozwinięcia, to ja mam czas.

– Z tym kompletnym obrazem kłopot będzie o tyle, pani elekt, że sami go jeszcze nie mamy – rzekł Sash, wzdychając.

– Doszłście jednak do jakichś wniosków, nieprawdaż? I to, powtarzając za panem inspektorem, szokujących. – Spojrzała na Kriwczuka. – Dlaczego? Czy ta epidemia...

– To nie jest epidemia – sprostował doktor. – Przynajmniej nie w wąskim, medycznym rozumieniu tego terminu.

– Jak zatem inaczej by pan to nazwał?

– Procesem.

– Procesem? – McGregor przekrzywiła głowę.

– A ściślej, jednym z ostatnich etapów procesu, który rozpoczął się na afrykańskiej sawannie i po milionach lat doprowadził nas do komplantów, neurotransferów oraz wszechobecnych nanomaszyn. Wymieniłem te konkretne aspekty, bo chyba jak żadne inne określają one i symbolizują naszą współczesność. Lecz przede wszystkim dlatego, że to właśnie ich mariaż doprowadził do sytuacji, o której rozmawiamy.

– No, zaczyna się! – parsknął Rudnick z miną kota srającego na ściernisku. – Bełkot zamiast faktów.

– Kolego Rudnick! – Livansky aż podskoczył, tak niespodziewany był widok drobnej, pomarszczonej dłoni parlamentariuszki uderzającej w stół. – Bo ja już sama zaczynam mieć dosyć pańskich jęków i wiecznie napastliwego tonu. Albo zacznie się pan wreszcie zachowywać jak reprezentant godzien swoich wyborców, albo koniec z pańskim udziałem w tej komisji.

Wyraźnie zaniepokojony tą groźbą Rudnick natychmiast zamilkł i jakby się o parę centymetrów skurczył.

– Proszę, niech pan kontynuuje, pan elekt nie będzie już przeszkadzał.

– Tak. – Livansky odchrząknął, usiłując odnaleźć zgubiony wątek. – A zatem te aspekty przenikały się już nawzajem od dawna. Lecz jak dotąd owo przenikanie ograniczało się tylko do pewnych wąskich i kontrolowanych stref, takich na przykład, jak mannekeny albo działania formierzy. Poza nimi związek ze stworzonym przez nas sztucznym środowiskiem był wbrew pozorom raczej luźny. Megastruktura to po prostu nasz dom – tak właśnie przyzwyczailiśmy się myśleć. Naszpikowany życiodajną maszyną, w nie większym jednak stopniu niż księżycowe biostaty albo marsjańskie ekopolis. I zasadniczo obojętny na ludzką obecność.

– Przyzwyczajaliśmy się myśleć, powiedział pan... A jest inaczej? – spytała z ledwie wyczuwalną nutką niepokoju McGregor.

– Może być, pani elekt, i to bardzo.

– Jak bardzo?

– Zademonstruję.

Doktor wstał z ławki, prowadzony zaintrygowanymi spojrzeniami obszedł trawnik pod platanem i wrócił z garścią pełną wyschniętych, włochatych owocników, gałązek oraz listowia.

– Powiedzmy, że te łupiny są ludźmi – podjął, wykładając swój śmietnik na stół – patyczki pozostałymi istotami żywymi, liście natomiast, najogólniej rzecz biorąc, Drzewem. To, w kolosalnym uproszczeniu, jest nasz świat. Zbiór mniej lub bardziej ze sobą powiązanych, ale jednak odrębnych bytów. Obecny świat, bo już wkrótce może on wyglądać w ten sposób.

Sash zagarnął na powrót całe to potpourri, rozkruszył w dłoniach, wymieszał i rozprowadził równomiernie w granicach narysowanego wcześniej okręgu.

Przez kilka długich sekund McGregor wpatrywała się w rozdrobniony susz, jakby to był heksagram z Księgi Przemian.

– Chyba się pogubiłam – powiedziała w końcu, pocierając w zamyśleniu brew. – Stwierdził pan wcześniej, że to jest proces, a teraz przedstawia pan perspektywę jakiegoś nagłego, globalnego kataklizmu.

– Nie jestem pewien, czy użyłbym tutaj słowa kataklizm, madame – zaproponował delikatnie Sash. – Ani czy zjawisko będzie mieć zasięg globalny. Większość ludzi na Ziemi, zwłaszcza tych, którzy nie mieszkają w megastrukturach, wciąż obywa się bez jakichkolwiek wszczepów komunikacyjnych.

– Ale jakie zjawisko? Mógłby pan wreszcie przejść do sedna? – zniecierpliwił się Yanig. – I co wspólnego mają z tym wszystkim komplanty?

– Mówię, najogólniej rzecz biorąc, o zjawisku neurotransferu. *En masse*, na odległość, bezpośrednio do strukturalnego zrębu Drzewa i pod dyktando elementów.

– Co takiego?! – Dyrektor wybałuszył oczy.

– Pamięta pan chłopca, z którym zostałem tu przywieziony?

– Oczywiście. Fan... Fahq...

– Farquahart – podsunął doktor. – Pacjent-zagadka, z syndromem, który od pierwszych chwil sprawiał diagnostyczne trudności. I nic dziwnego, zważywszy na to, że nanomaszyny w jego organizmie okazały się niekompatybilne z jakimkolwiek znanym nam wzorcem. W istocie są tak różne od wszystkich sklasyfikowanych dotąd typów, zarówno pod względem mechanistycznym, jak i heurystycznym oraz deontologicznym, że trzeba było ustalić dla nich zupełnie nowy takson, kolektomorfy.

– Przepraszam, powiedział pan deontologicznie? – Tym razem zdziwienie odmalowało się we wzroku McGregor.

– Tak, i zdaję sobie sprawę, jak to brzmi. Proszę mi jednak wierzyć, że nie mówię o czymś znanym państwu ze szkoleń, ani nawet mnie ze studiów oraz całej późniejszej praktyki lekarskiej.

Normalne elementy tak się nie zachowują, nie tworzą superklastrów, których połączona moc obliczeniowa i szybkość przetwarzania danych dorównuje niejednej uniwersyteckiej mnemotece, nie powielają się praktycznie *ad infinitum* w ciele gospodarza bez unicestwiania go, a już na pewno nie są zdolne do samoistnego przeprowadzania wysoce skomplikowanych procedur holoneurograficznych. I jeśli te kolektomorfy są ostatecznym rezultatem stochastycznego tasowania algorytmów, ewolucji po prostu, a nie czyichś świadomych, celowych działań...

Rudnick drgnął, dyrektor wykonał taki ruch, jakby ławka ugryzła go nagle w cztery litery, McGregor zaś odchyliła się do tyłu, splatając nerwowo dłonie. Z całej czwórki jeden Kriwczuk zachował kamienną twarz. On już to wszystko słyszał, i z posępną rezygnacją czekał na znajomy ciąg dalszy.

– Ehem – odchrząknął Yanig. – Jakich procedur?

– Przepisywania osobowości, panie dyrektorze – sprecyzował Sash. – Chociaż to nawet bardziej zawile. W ciągu zaledwie paru dni kolektomorfy w organizmie Thomasa przeszły od stadium luźnych, rozproszonych i niczym niewyróżniających się skupisk do sieci będącej wierną, a nawet bardziej niż wierną, i w pełni funkcjonalną repliką centralnego układu nerwowego. A w dalszej kolejności wszystkich pozostałych systemów. Ujmując to inaczej, Farquahart został przez kolektomorfy zeskanowany, odczytany i w końcu zduplikowany *in situ*, w tym samym miejscu, to znaczy w swoim własnym ciele. Precyzyjniej i kompletniej, niż kiedykolwiek udałoby się to zrobić nam, z pełnym garniturem informacji. Genetycznych, biochemicznych, dynamicznych i auralnych. Wszystko, od A do Z.

– Rozumiem, że pański pacjent tego nie przeżył – rzekła w zamyśleniu parlamentariuszka.

– Nie biologiczny oryginał – potwierdził Livansky. – Nic nie mogliśmy zrobić, to był wyścig, w którym nanomaszyny wygrały z nami, że tak powiem, o długość stadionu.

– Pozostawiając stworzoną przez swój zbiorowy intelekt superkukłę, uwielbiam takie fantastyczne historyjki – wpadł mu w słowo Rudnick, jak zwykle nieuprzejmie i z napastliwym sarkazmem.

– Nie do końca. – Sash mógł mu z łatwością przygadać, ale byłoby to tylko marnowanie słów. Chciał być sobie pan elekt cynicznym, protekcyjnym i w dodatku rasistowskim bufonem, jego rzecz, faktom nie czyniło to najmniejszej różnicy. – Jeśli mogę spytać, bo na pewno dysponują państwo takimi statystykami, ilu z owych, aa... zakażonych zniknęło, przepadło bez śladu?

– Kolego Rudnick? – Starsza dama odwróciła się do swojego towarzysza.
– Wydział powinien być chyba w tych sprawach znacznie lepiej poinformowany.
– Niechże pan po prostu odpowie!
– Ehem... no więc, na chwilę obecną wiemy o potwierdzonych sześciu tysiącach ośmiuset dwudziestu trzech takich przypadkach.

Sprawdzacie, czy wystarczająco rzetelnie przygotowaliśmy się do rozmowy?

– Czyli że w rzeczywistości ich liczba może być co najmniej dwukrotnie wyższa. – Doktor ostentacyjnie zignorował drugi człon wypowiedzi Rudnicka. – Ludzi odczytanych i, z braku lepszego słowa, zasekwestrowanych przez nanomechanicznych skrybów, podług schematu dostarczonego kolektomorfom przez organizm Farquaharta. Nie był on pierwszym opanowanym przez nie człowiekiem, w rzeczy samej od jednej z takich zasekwestrowanych osób się zaraził, o ile jednak wszystkie wcześniejsze przypadki można uznać za swego rodzaju poligon doświadczalny dla kolektomorfów, o tyle Farquahart był najprawdopodobniej tym, u którego jako u pierwszego cały proces osiągnął stadium doskonałości. No więc ci ludzie, czy też raczej perfekcyjne w każdym detalu ludzkie kopie, których liczba będzie rosła lawinowo już nawet nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę, nie zginęli, tylko odeszli, gnani nieznanym sobie dotąd imperatywem, ku holisferze.

– Ku czemu? – Dyrektor najwyraźniej nie nadał.

– To nie mój neologizm. – Livansky wzruszył ramionami. – Thomas nam go podsunął, kiedy w ostatnich chwilach spytaliśmy, dokąd tak bardzo pragnie odejść. Bo pragnął, jak oni wszyscy, fizycznie nie mógł jednak tego uczynić ze względu na kuratelę, pod jaką był przetrzymywany. Po kilku bezskutecznych próbach przebicia się z izolatki na zewnątrz zrobił więc coś innego.

– Tak, już pan mówił, umarł. – Cynizm Rudnicka stawał się coraz bardziej męczący.

– Nie powiedziałem, że umarł – zaprotestował Sash.

– Ależ owszem. Przed chwilą.

– Że zniszczeniu uległa tylko jego pierwotna, biologiczna matryca.

– Ocalał natomiast duch w maszynie?

– Co, zapomniałem, jest nie do przyjęcia przez takich radykalnych probiotystów jak...

– Chwileczkę!

– Panowie! – przerwała McGregor. – Wróćmy do sedna, jeśli mogłabym prosić. No więc, co się stało z owym Farquahartem?

– Dokonał autotransferu, *madame* – odparł Livansky, usiłując nie zwracać uwagi na wzburzonego elekta. – Zasekwestrowani reagują na zew kolektomorfów w jeden i ten sam sposób, to jest szukając najbliższego nagiego skrawka aktywnej macierzy, z którym ich nowe ciała oraz zawarta w nich informacja mogłyby się zespolić. Thomas, w szczelnym pudle i monitorowany dwadzieścia pięć godzin na dobę, nie miał szans na kontakt fizyczny z Drzewem.

Przeniósł się więc do niego w formie zer i jedynek.

Zapadła dramatyczna cisza. Nawet Rudnick wyglądał, jakby coś w końcu zrobiło na nim wrażenie, nie mówiąc o McGregor.

– Boże słodki – szepnęła parlamentariuszka. – Nie wymyśla pan sobie tego wszystkiego, prawda?

– Jakież miałbym ku temu powód, pani elekt? Absolutnie żaden – zapewnił ją medyk solennie.

– Gdyby jeszcze był pan doktor łaskaw wyjaśnić, jak to jest w ogóle możliwe – poprosił mocno sceptycznym tonem dyrektor. – Bo chyba nie powie mi pan, że skorzystał w tym celu z komplantu.

– Owszem.

– Niedorzeczność!

– Gdyby chodziło o standardowy wszczep, zgoda – odparł niezbity z tropu Livansky. – Thomas posiadał jednak komunikator EPR. Ultranowoczesny, szerokopasmowy i sygnałowo niepodchwytliwy przekaźnik, który umożliwia inicjację wielokierunkowej sieci bezpiecznych połączeń oraz równoczesną kontrolę do kilku tysięcy węzłów, zarówno pracujących w standardzie, jak i w wyższych, niedostępnych zwykłym obywatelom trybach komunikacyjnych. Inspektor Kriwczuk był uprzejmy mi to wszystko wyklarować. Wspomniał również o szczególnym przeznaczeniu tego typu komunikatorów, o grupach infiltracyjnych, które dzięki tej technice potrafią działać w kompletnym rozproszeniu i zarazem perfekcyjnie skoordynowane, niczym jedna osoba z tysiącem par oczu i uszu. Rzecz jasna, potrzebny jest do tego specjalny trening, którego ja nigdy nie przeszedłem, i stąd szok, jakiego doznałem w gabinecie... Ale to już dygresja, istotne jest tylko to, że Farquahart transmigrował, jakkolwiek niewiarygodne by się to państwu wydawało, do Drzewa. Po drugie, takich jak on jest coraz więcej i bez podjęcia naprawdę radykalnych kroków podobny los może czekać wszystkich. Po trzecie, kwestia owego niefortunnego komunikatora EPR. Sekwestrując Thomasa, kolektomorfy nie pominęły niczego, wszczepów również. Skopiowały je, i tak jak z resztą potencjalnych możliwości ludzkiego mózgu, zaadaptowały do swoich celów. Aczkolwiek, może powinniśmy już zacząć określać je jako nasze cele... Tak czy owak, proszę być świadomym jak szybko, dzięki inkorporowaniu do swojego arsenału tej technologii, będą one mogły teraz się ze sobą komunikować i w konsekwencji przejmować kolejne jednostki.

– Jak szybko? – Czy to było złudzenie, czy w ciągu ostatniej minuty elekt Rudnick faktycznie pobladł?

– Ekstrapolując z dotychczasowej krzywej, najdalej do siedemdziesięciu dwóch godzin od tego momentu cała populacja Wierzchołka przetransferuje się do holisfery – odparł z nutą fatalizmu Sash. – Trudniej określić dynamikę zmian dla pozostałych regionów Drzewa, ale i tam oczekujemy wykładniczego wzrostu liczby zasekwestrowanych. Nie tylko zresztą ludzi, ale także innych organizmów żywych, kolektomorfy mają najwyraźniej chętkę na cały nasz

biom. Ten etap będzie przebiegał znacznie wolniej, bo klasycznymi drogami infekcyjnymi. Nie ma jednak wątpliwości, że się tak stanie, dla kolektomorfów bowiem tworzenie holisfery to coś jak popęd, niezwykle silny i jedyny, jaki mają.

– Trzy dni?! – Wiktoria McGregor, jak dotąd przyjmująca wszystko raczej ze stoickim spokojem, nagle poderwała się na nogi. – Według tegorocznego spisu jest nas w Apeksie ponad sześćset milionów. Chce mi pan powiedzieć, że w ciągu trzech dni te sześćset milionów po prostu zniknie?

– Nie zniknie, lecz przejdzie...

– Przejdzie, zniknie, semantyczne dzielenie włosa na czworo. – Starsza pani machnęła ręką. – Boże drogi... I według pana to nie jest kataklizm?!

– Nikt tak naprawdę nie umrze.

– I nikt tak naprawdę nie będzie już żył!

– Popieram – bąknął z ponurą miną Rudnick.

– Czym więc jest dla szanownej pani manneken, chodzącym trupem?

– To co innego. – Elekta uniosła dłoń.

– Przeciwnie, to samo, tylko w dwóch różnych wymiarach, jednostkowym oraz zbiorowym.

– W takim razie ja jestem zdecydowanie za pierwszym – skonstratowała McGregor. – I za wyjątkiem jakichś religijnych fanatyków, pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości, jak miemam, również.

– Mogą nie mieć wyboru – stwierdził Sash.

– Fanatycy?

– Te pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Zawsze jest jakiś wybór – stwierdziła z przekonaniem parlamentarzystka. – I jakiś lek na każdą chorobę. Wspomniał pan wcześniej o radykalnych krokach, nieprawdaż? I gdyby mógł pan rozwinąć ten wątek...

* * *

– Nie i jeszcze raz, nie!

– Ale, panie premierze...

– Wie pani, czego ode mnie żąda? – Voisson przystanął, po czym znów wrócił do nerwowego wydeptywania trawy, co najmniej od tygodnia niekoszonej i pożółkłej jak na zaniedbanym municypalnym skwerku, chociaż znajdowali się w rządowym centrum rekreacyjnym. Oszczędność oszczędnością, pomyślał zgryźliwie Sash, ale ogrodnika mogliby zatrudnić. – Żebyśmy popełnił polityczne samobójstwo. I to na bazie właściwie jakich przesłanek? Sprawozdania z prac jednej grupy badawczej?

– Przecież zgodził się pan co do wagi zawartych w nim wniosków. – McGregor westchnęła.

– Nie mogę się jednak zgodzić na rekomendowane środki zaradcze – odparł zdecydowanie premier. – A nie mogę, ponieważ, primo, wymagałoby to zmiany konstytucji, secundo, wymagałoby to zmiany konstytucji i tertio, wymagałoby to zmiany tej w jasny rozdział niezmienniczej w żadnym pozaparlamentarnym trybie konstytucji! Co ja mówię, to by wymagało zmiany ustroju na dyktaturę albo monarchię absolutną! Wtedy, a i to z ogromnym znakiem zapytania, miałbym być może jakieś szanse wprowadzenia waszego planu w życie.

– Myślałem, że w sytuacjach nadzwyczajnych uprawnienia premiera są mimo wszystko dość szerokie – wtrącił nieśmiało doktor.

– No to źle pan myślał. – Voisson uśmiechnął się blade. – Tylko zgromadzenie federalne ma prawo do wprowadzenia tak drakońskich ograniczeń swobód obywatelskich, i tylko ono może zdecydować o redyspozycji finansów. Ja jestem wyłącznie od koordynowania. Mógłbym na przykład zarządzić stan ogólnowierzchołkowej kwarantanny i przekierować wszystkie służby, nawet te niepodległe w normalnych warunkach rządowej kontroli, do działań sanitacyjnych. Ale nie mogę, nie zamierzam i nawet nie mam ochoty myśleć, co by się działo, gdybym zarządził bezzwłoczną, obowiązkową, masową deimplantację wszystkich mieszkańców Apeksu. Ten chaos, to, używając najłagodniejszego z określeń, społeczne niezadowolenie, ten pomnożony kilkaset milionów razy krzyk sprzeciwu. Jest pan to sobie w stanie wyobrazić?

– Z całą przejrzystością – odparł nie do końca szczerze medyk.

– I na wszystko zaledwie trzy dni. Nawet mniej!

– Rozumiem, że to może być trudne...

– To jest po prostu niewykonalne, panie doktorze. Z politycznych, technicznych, logistycznych, ekonomicznych i społecznych względów nie-wy-ko-nal-ne!

– Ale to również jedyny sposób na zahamowanie pochodu holisfery i ocalenia przed nią przynajmniej jakiejś części ludzi. – Livansky nie dawał za wygraną. – Gruntowna dekontaminacja i zneutralizowanie wszczepów komunikacyjnych u tych, u których jest to jeszcze możliwe.

– Odmawiam.

– To znaczy, że się pan poddaje? – McGregor popatrzyła na premiera zbulwersowana.

– To znaczy, że nie zgadzam się, jakoby zasugerowana przez doktora opcja była jedynym wyjściem z kryzysu. Przyznaję, sam już widzę, że na uratowanie wszystkich, czy nawet większego procentu, nie ma szans. Ale resztę... wyjawię wam, bo to i tak wkrótce będzie tajemnicą poliszynela: kilka tygodni temu odkryliśmy secesjonistyczny spis. Bardzo rozległy, w który zaangażowanych jest wiele znanych osób, między innymi Ava Staarlan, trzech najbogatszych armatorów, naczelny intendent Olaf Soeronson i minister Heinrich

Rothe, jak również prominentni naukowcy z kilku różnych ośrodków. Żeby się nie rozwodzić, powiem tylko, że drogą inżynierii wstecznej udało im się odtworzyć proces zarodkowania megastruktur. I usprawnić go tak dalece, że teraz Drzewa, czy też, używając określenia konspiratorów, arki, będzie można germinować bez kontaktu z jakimkolwiek ciałem planetarnym, w próżni. Co więcej, miałyby to być twory mobilne, zdolne do pokonywania znacznych, międzygwiazdnych dystansów z komfortowo ulokowanym w ich wnętrzach wielomilionowym kontyngentem ludzkim.

– Grzebali w algorytmach... – szepnął doktor.

– Nie wiem, ja się na takich rzeczach nie znam. – Voisson przeniósł wzrok na McGregor.

– Ważne, że kilkadziesiąt takich struktur może być gotowych już za parę miesięcy.

– Pan premier żartuje.

– Bynajmniej, zostałem zapewniony, przy okazji innych rozmów, że jest to jak najbardziej możliwe.

– Za parę miesięcy nie będzie stąd kogo ewakuować, jeżeli taką opcję miał pan premier na myśli – odparowała wzburzona parlamentariuszka.

– Czas wykluwania się arek możemy przeczekać na Dole.

– Na powierzchni?

– Tak, gdzieś na półkuli południowej, z dala od Yggdrasill.

– Niewykluczone, że kolektoromorfy są już i tam – rzekł Sash.

– Och? – Voisson zmarszczył brwi. – No to w takim razie gdzieś dalej, poza Ziemią, w pasie asteroid na prz...

Słowa zamarły premierowi na ustach, gdy trawnik dwa metry od niego nagle się wybrzuszył i spod rozharatanej darni wychynęła naga ludzka postać z krótko przystryżoną ryżą grzywką.

– Przed teleporterem kwantowym nie można uciec, panie premierze – rzekł... człowiek, manneken, zjawa? Kto, albo co właściwie? – Ale bez obaw. Sytuacja jest już pod naszą pełną, świadomą kontrolą. Ekspansja holisfery została tymczasowo wstrzymana.

E pluribus unum brzmi słodko, pora jednak skończyć z egzekwowaniem tej maksymy bezmyślnie i na siłę. Wolność wyboru jest ważna, różnorodność jest ważna, przyszłość jest ważna. I o tym chcielibyśmy porozmawiać. Ze wszystkimi, z Góry i z Dołów, stąd i z kolonii Zewnątrz. W miejscu zwanym New Cheshire – pan doktor je zna. Za tydzień. Proszę dopilnować wszystkich kwestii organizacyjnych, panie premierze. *Adieu*.

– Thomas? Niewiarygodne, Thomas, zaczekaj! – Livansky poderwał się z krzesła i zrobił krok w kierunku mannekena-awatara, ale ten tylko powtórzył z łagodnym uśmiechem:

– W New Cheshire, za tydzień.

I zniknął, tak jak się pojawił, rozplywając się w strukturalnym zrębie latającej wyspy.

Rozdział 18

Trzech krzepkich mężczyzn, którzy nie potrafią dogonić jednego podagrycznego staruszka, to mogło wydawać się komiczne. Kovacsowi jednak, wściekłemu i zziąjanemu niczym uliczny kundel, wcale nie było do śmiechu. Sytuację należało raczej określić mianem wybitnie ambarasującej, by nie powiedzieć koszarnej, jak ze złego, uporczywego snu. W ciągu ostatniego tygodnia zniknęło prawie czterdzieści osób. Może nawet więcej, trzydzieści dziewięć było liczbą oficjalnie zgłoszonych przypadków. Trzydziestu dziewięciu normalnych, zdrowych na umyśle obywateli Keshe, których łączyło tylko to, że pewnego dnia wyszli za próg swojego domu i wszelki śluch o nich zaginął.

Do wczoraj nikt w konstablaturze nie miał nawet cienia pomysłu, jak tę zagadkę ugryźć. Zero śladów, zero poszlak i ani jednego odnalezionego pomimo przeczesania metr po metrze całego segmentu. Bonske wzmocniła patrole, sięgając do wszystkich dostępnych rezerw, czego jedynym efektem były dwa meldunki o osobnikach, których zauważono, jak biegną na złamanie karku do Lasu. Ich tożsamość nie została ustalona, w obu bowiem przypadkach pościg zakończył się niepowodzeniem. I także tym razem, gdyby mecenas Kaplan nie zatrzymał się nagle pośrodku Lasu sam, to znów, oprócz przekleństw na ustach, wróciliby z niczym.

– Matko wszechzieleni... – wydyszał Kovacs, opierając się ręką o pień drzewa. – Co jest, co wam się ludziom nagle na mózg rzuciło? Może mi pan mecenas odpowiedzieć?

Niewykłuczone, że mógł, lecz zamiast tego Kaplan po prostu rymnął na tyłek pod drzewem i rozplakawszy się jak dziecko, wyszlochał:

– Nie wolno mi, nie pozwolono mi...

– Święta prawda, że panu nie wolno, nie w tym wieku i na dodatek z chorym sercem. – Kovacs wyciągnął dłoń, by pomóc mu wstać. – I jeśli nic sobie mecenas nie uszkodził – mam nadzieję, bo wolałbym nie taszczyć pana w dół Ryftu na plecach – to chodźmy.

– Dokąd?

– Procedury nakazują mi odprowadzić pana do strażnicy.

– Zamknąć? Chcecie mnie zamknąć?! – Kaplan, z przestraczem w oczach, poderwał się na nogi.

– Tylko tymczasowo, panie mecenasie, dla pańskiego własnego dobra.

* * *

– Weźcie go na piętro – rozkazał Kovacs dwojgu podkomendnym.

– Nie do celi? – zdziwił się wyższy z nich, który zaciągnął się zaledwie przed paroma dniami i miał tak pokrętne, egzotyczne nazwisko, że nie sposób było je zapamiętać.

– To nasz świadek, a nie aresztant – wyjaśnił konstabl i odwrócił się do wyraźnie znudzonego dyżurem Mrazka: – Gdzie Sylwia?

– Nie ma jej. – Tamten ziewnął szeroko, po czym wstał i się przeciągnął.

– No przecież widzę, że jej nie ma, dlatego cię pytam, gdzie jest! – zirytował się Kovacs.

– Wezwali ją do magistratu.

– Ożeż w próchno! – zaklął konstabl pod nosem. Zapewne na dywanik. A on się spóźnił z taką ważną informacją, że wreszcie wpadli na trop! – Kiedy?

– Będzie z godzinę temu. Przepraszam, ale jeśli to świadek, to chyba nie powinien być skutny.

– Nie mędrkuj, tylko bierz się do wypełniania papierów.

– Po służbie?

– Po jakiej służbie, masz wachtę do trzeciej.

– Właśnie, a jest już piąta.

– Piąta? – Kovacs popatrzył zdziwiony na chronofikusa pod oknem.

– No, piąta – potwierdził Mrazek. – Więc protokół spisujcie sobie sami, bo ja idę.

– Zaraz!

– Mnie już tu nie ma. – Młodzieniec zasalutował z nonszalancją i wyszedł.

By zaledwie po paru minutach wrócić.

– ...ja na dzisiaj skończyłem!

– Mrazek... – westchnęła Bonske, zamykając drzwi.

– No co, mam z głodu paść? Od rana nawet kromki...

– Pół godziny jeszcze wytrzymasz.

– Ale...

– Nie dyskutuj ze mną. – Sylwia rzuciła na stół atlasową kopertę z herbem Rady Grodzkiej.

Kovacs nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział ją tak przygnębioną. Musiał się ten konwentykiel nadętych trutki zdrowo po pani arcykonstabl przejechać, a znając jej temperament i krnąbrność, nie pozostała dłużna i pewnie też powiedziała im parę mocnych słów. Wcale by się nie zdziwił, gdyby atlasowa koperta zawierała dokument zwalniający jego szefową z pełnionych obowiązków.

– Może ci to poprawi nastrój. – Odchrząknął. – Otóż nasz plan okazał się...

– Sprawa jest zamknięta – mruknęła, wyjmując z szafki zaparzakę, pudełko z mate i drugie z wiórkami lukrecji.

– Jak to zamknięta?

– Po prostu. Mamy się już tym dłużej nie zajmować.

– I kto tak zdecydował? Te stare dziady?

Bonske nasypała suszu do kubka i zalała wrzątkiem.

– A tak naprawdę to o co chodzi? – podjął konstabl dyskretnym szeptem po chwili milczenia. – Podziękowali ci za dalszą współpracę? Mnie możesz powiedzieć. Ba, nawet powinnaś.

– Chciałabym. – Sylwia wykrzywiła usta w sardonicznym uśmiechu. – Słowo honoru, uszczęśliwiliby mnie, wywalając dzisiaj na zbity pysk. Ale gdzie tam. Banda narcystycznych gerontozaurów!

Gównu robią, mają wszystko w dupie i jeszcze każą się utrzymywać z publicznej kasy.

– Tak. – W podnieceniu Bonske nie cackała się ze słownictwem, Kovacs już się z tą jej cechą oswoił. – Za von Klosky’ego...

– Nawet mi nie mów, bo to głównie jego wina – zgrzytnęła. –

To on tak tych herbowych darmozjadów rozpuścił. Perfekcjonista cholerny, wszystko tylko sam i sam, no i przywykły gnojki do nicnierobienia, do tego, że od harówki, od trzymania całego tego burdelu w kupie są tacy jak my, a oni wyłącznie od podawania rączek i paradowania w strojnych szatach z okazji tak zwanych okazji. Dlaczego my im jeszcze w ogóle pozwalamy egzystować, Gyorg?

Do czego oni są potrzebni? Jako atrakcja turystyczna?

– No dobrze, wyjaśnisz mi jednak w końcu, co cię tak wkurzyło? Oprócz ich wrednych gąb, ma się rozumieć.

– Przeczytaj – odparła, przesuwając ku niemu kopertę. – A ty, Mrazek, co tak sterczysz? Do komunikacyjnego, zawiadom ludzi, że jest odprawa. Żeby mi tu byli na jednej nodze! Przeczytałeś?

I powiedz, Gyorg, ty byś się nie wkurzył?

* * *

Dla kesheńskiego establishmentu utrata twarzy była największym z możliwych nieszczęść i by ją zachować, gotowi byli na daleko idące ustępstwa. Jak daleko, Bonske przekonała się jeszcze tego samego wieczoru, czytając dostarczoną przez magistrackiego posłańca uchwałę Rady. „Tymczasowa dyktatura” była chyba najbardziej adekwatnym określeniem na to, co jej zaproponowano. Rób, co chcesz, wywróc miasto do góry nogami, jeśli trzeba, ale nie pozwól, żebyśmy się skompromitowali.

Tylko co jej po szerokich pełnomocnictwach, skoro brakowało rzeczy najważniejszej, a mianowicie czasu? Co mogła zrobić w ciągu zaledwie trzech dni? Gdyby jeszcze był w mieście inżynier, to sytuacja nie wyglądałaby aż tak źle, ale ten znowu gdzieś zniknął, na dodatek zabierając ze sobą Livansky'ego.

– Przecież nikt z nas się o to nie prosił. To jest pomysł Wierchołkowców, więc niech oni sobie sami cały ten cyrk organizują – stwierdził podczas odprawy Kovacs.

– A dla nas żeby był wstyd? – spytał ktoś z obecnych.

– Wstyd i tak będzie, bo do czwartku nie zdążymy z niczym, nawet z posprzątaniem psich górien – odpalił mu gorzko konstabl.

Tu odrobinę przerysował, miasto nie było już taką kloaką jak kiedyś. Ale kurortem gotowym na przyjęcie tłumu oficjeli z całego świata również nie, i miał człowiek prawo zastanawiać się, co kierowało Apeksem, że wybrał akurat ich peryferyjny grajdołek na miejsce spotkania tej wagi. Sylwia nie miała jednak najmniejszego zamiaru tracić cennych godzin na jałowe spekulacje. Chcą, niech przylatują, ona zrobi, co w jej mocy, żeby wszystko przyzwoicie wypadło, a jeśli im się nie spodoba, to trudno. Mogli uprzedzić wcześniej.

Szybko rozdzieliła zadania. Kovacsowi przypadł najmniej wdzięczny obowiązek, to jest oczyszczenie głównych ulic ze straganiarzy, żebraków, bezdomnych, kurew oraz wszystkich innych elementów kesheńskiego „folkloru”. Villard i nowy z egzotycznym nazwiskiem zostali naganianymi do straży obywatelskiej, Mrazek zaś awansował na kwaterunkowego. Resztę zapędziła do przenosin służbowego majdanu ze strażnicy na rynek, pod dach zaanektowanej na tymczasowe centrum dowodzenia cukierenki.

Ciasnej i ciut zatechłej, ale mającej ten niezaprzeczalny walor, że stała pusta i nie trzeba było z niej nikogo w trybie nadzwyczajnym eksmitować. Ani też taszczyć się do niej tam i z powrotem po kilkudziesięciu stromych stopniach.

Bilans pierwszego dnia okazał się nadspodziewanie pozytywny.

Po stronie strat zdarte gardło pani arcykonstabl i guz na głowie Kovacsa, który zarobił podczas egzekwowania poleceń służbowych w jednej z tawern. A po stronie zysków? Tu lista była dłuższa. Bonske najbardziej obawiała się tego, że będzie musiała z miastem walczyć. Że ludzie będą na każdym kroku stawali jej opór – bo nie chcą, bo nie mogą, bo dynda mi to, jak troki od kalesonów, bo władza o coś mnie prosi, więc z czystej przekory powiem „nie” i będę utrudniał. Na szczęście, i prawdę mówiąc, ku jej szczeremu zdziwieniu (znała wszak swoich ziomeków nie od wczoraj) obawy te nie znalazły potwierdzenia w realiach. Wręcz przeciwnie. Pomijając początkowy opór najstarszej, najbardziej konserwatywnej i niechętej obcym części społeczeństwa, większość kesheńczyków zareagowała niedowierzaniem, które w krótkim czasie przerodziło się w entuzjazm.

Już po paru godzinach sztab przeniósł się z małej cukierenki do znacznie większej restauracji u podnóża Schodów Centralnych. Nie stało się to wskutek odwołania się przez Bonske do jej specjalnych uprawnień – właściciel jednego z najznamienitszych lokali w

mieście sam im go zaoferował. Jednakże nawet to przestronne, jak na kesheńskie standardy, pomieszczenie też okazało się wkrótce zbyt ciasne dla tłumu zainteresowanych, którzy przychodzili i pytali „Jak mogę pomóc?”, „Co mam robić?” i „Gdzie mam się zgłosić?”.

Mrazek, bestia tyleż leniwa, co sprytna, raz dwa sobie przekalkulował, że więcej i zdecydowanie mniejszym nakładem sił osiągnie, wystawiając na placu stolik, niż łażeniem jak domokrażca od drzwi do drzwi. I miał absolutną słuszość, co udowodnił, zebrawszy w godzinę ponad sto parafek. Sylwii bardzo się ów pomysł spodobał i niebawem kolejki zaczęły się ustawiać do czterech innych zaimprovizowanych punktów rejestracyjnych z napisami

„Zaopatrzenie”, „Sprzątanie”, „Transport” oraz „Gwardia Obywatelska”. Jedno, co mogło ją martwić w kwestii logistyki, to to, że działali po omacku. Nikt nie wiedział, z Radą na czele, ilu ostatecznie miało przybyć tych ważnych gości, na jak długo i jakich wymagań można było z ich strony oczekiwać. A co za tym idzie, ile będzie potrzebnych miejsc noclegowych, ile jedzenia, ilu ludzi do ochrony, etc. Z liczbą rzędu kilkudziesięciu osób jeszcze powinni dać sobie radę, ale jeśli miałyby się ich tu zwalić w jednej chwili kilkaset?

Chyba jednak największą niespodziankę tego dnia sprawili anheloscy kupcy. Nie tyle samą swą obecnością, bo widok ich strojnych, kolorowych żupanów i paradnych cinquedei zdążył już spowszednieć, ile ofertą współdziałania w przygotowaniach do szczytu. Na pytanie Sylwii, dlaczego chcą pomagać, odparli z bezpretensjonalną szczerością, że w dużym stopniu podyktowane jest to ich własnym interesem.

– Nasz zysk, *senhora*, jest pochodną zainwestowanego kapitału, a reputacja i dobre stosunki z rynkiem to również kapitał, którego wpływu na ostateczny handlowy sukces nie sposób przecenić.

Pomagając wam, pomagamy sobie, to jeden z głównych filarów rynkowej strategii rodziny Buenechristo, którą tu w naszych skromnych osobach reprezentujemy.

W kwestii zasadniczej, czyli przygotowania sali obrad, jak dotąd nie pojawił się żaden dobry pomysł. Przecież nie upchnie tych wszystkich VIP-ów oraz towarzyszących im osób w magistrackiej świetlicy, bo to by dopiero był skandal. Z formierzami jeszcze nie miała okazji porozmawiać, ale już teraz domyślała się, co jej odrzekną: „wyciągnięcie ze zrębu struktury o odpowiednich gabarytach i w tak krótkim czasie jest po prostu niemożliwe, pani arcykonstabl”. Jakie inne rozwiązania wchodziły w grę? Prowizoryczna platforma nad Rzeką, od mostu do mostu? Zadaszenie rynku płótnem? O, tak, pięknie by się zaprezentowali przed światem!

Prymitywna kultura, której nie stać na nic więcej, prócz rozpiętego na patykach samodzielnego w szlaczki. Teraz jednak, za pomocą anheloskiej technologii można było nareszcie zacząć myśleć o czymś rozsądnym.

Nadciągał wieczór, a plac nie pustoszał. Parę minut przed szóstą wrócił Kovacs ze sprawozdaniem o postępach i Sylwia natychmiast kazała mu usiąść na swoim miejscu.

– Muszę zrobić przerwę – wychrypiała, prostując plecy. – Tylko mi list nie pogub. W tamtym pudle są kotyliony dla gwardzistów, a tutaj masz...

– Dam sobie radę, idź. – Konstabl pchnął ją delikatnie ku wyjściu. – I koniecznie coś zjedz, bo wyglądasz jak, nie przymierzając, żebrak spod mostu.

– Taki mam zamiar. Aha, jeszcze jedno, gdyby zjawił się Trancourt...

– Idź!

– Pani konstabl, bo mój syn też by chciał, tylko że on na jedno rękę trochę bezwładny...

– To już proszę rozmawiać z moim zastępcą. – Sylwia przecisnęła się ku drzwiom.

W drodze przez rynek zahaczyła jeszcze o Mrazka – chłopak powinien być intendentem albo kimś w tym rodzaju, a nie stróżem Prawa, bo z o wiele większą łatwością odnajdywał się w tej pierwszej roli – i kazała mu się zamienić z Villardem. Z rynku w zaułek Tamary, stamtąd schodkami dookoła magazynów i w końcu na wyludniony Bulwar. Ani śladu spacerowiczów, łakomych dam ani pochrapujących we własnych siuśkach pijaczków. Gyorg jak zwykle nie zawiódł. I cisza, podkreślona jedynie dyskretnym szmerem Rzeki.

Cisza, której Bonske potrzebowała w tej chwili najbardziej.

Od świtu aż do teraz nie miała nawet kiedy pozbierać myśli. Obrót spraw zupełnie jej na to nie pozwolił, żywioł ludzkiego entuzjazmu otepił, jak przybój, który poleruje kawałek szkła.

Znalazła ławeczkę, usiadła i zapatrzona w nurt zaczęła się zastanawiać, a im dłużej się zastanawiała, tym mniej optymistyczne wylaziły na wierzch kwestie. Czemu, zadała sobie po raz nie wiadomo który pytanie, wybrano akurat nas, senne i nic nieznaczące miasteczko w pół drogi pomiędzy ziemią a niebem? Może właśnie dlatego, że byli taką małą, neutralną i niezaangażowaną w cokolwiek dziurą. Idealny grunt do rozmów. Albo ktoś rzucał strzałkami i trafił na dendrografie w New Cheshire. Ludzie na ulicach szaleją, bo myślą, że z dnia na dzień stali się narodem wybranym, nowym pępkiem świata. A rzeczywistość będzie pewnie tak wyglądać, że goście po prostu pogadają sobie i znikną. I to będzie koniec. Nie szczytu, lecz miasta. Gorycz zajmie miejsce euforii, duma przerodzi się w upokorzenie. Wszyscy, a przynajmniej zdecydowana większość, poczują się oszukani, wydrwieni i okradzeni.

– Witaj, Sylwio.

Głos był znajomy. Podniosła wzrok i jej ponury sen na jawie od razu się rozwiął.

– Thomas! Kiedy... ehm, przepraszam, ledwo mogę mówić. Kiedy wróciliście?!

– Tylko ja.

– Co? Jak to? – Bonske momentalnie poczuła ukłucie w piersiach. – Nie mów, że jesteś sam!

Chwila wahania z jego strony.

– Tak, teraz tak.

– A co z inżynierem i Livanskym?

– Niestety, jeśli chodzi o Hannibale oraz o Beatrice, to nie dysponuję wystarczającymi danymi i nie potrafiłbym odpowiedzieć precyzyjnie. Wątpię jednak, czy ich jeszcze kiedykolwiek ujrzysz.

Są bardzo daleko stąd.

– Wybrali Wierzchołek, hm? – Westchnęła. – No, szkoda. Choć, z drugiej strony, czemu się dziwić, inżynier zawsze miał tę swoją obsesję. Czeka, czeka, ale ta dziewczyna...

– Beatrice.

– Beatrice, właśnie. Czy ona nie była... to jest, czy wy nie byliście ze sobą?

– Beatrice – powtórzył jak echo, nie patrząc na nią.

– W porządku, nie wnika, nie moja sprawa. – Sylwia uniosła rękę. – Taki grajdoł, kto by się nie chciał stąd wyrwać. Nawet Sash...

– Doktor wkrótce się tutaj zjawi.

– Och, tak? – Natychmiast się rozpromieniła. – Ale mam nadzieję, że nie tylko po to, żeby zabrać resztę swoich rzeczy. Nie stójmy tu jednak. Ja muszę się czegoś napić, najlepiej grzanego piwa z jajkiem, a ty wszystko mi opowiedzieć.

– Przyszedłem, by ci pomóc.

Jego twarz stawała się dla Sylwii coraz większą zagadką. Nietypowo jak na Farquaharta bezekspresyjna, wyjąwszy enigmatyczny uśmiech, za którym nie kryła się jednak bez troska czy radość, lecz raczej ogromny ciężar, zaledwie przysłonięty muślinem swobodnego zachowania.

– No i fantastycznie, ale za pół godziny też możesz.

– Teraz, Sylwio. Muszę to zrobić teraz, dopóki moja indywidualna bramka jest otwarta.

– Nie rozumiem.

– Spójrz – odparł Farquahart i znieruchomiał z odrzuconą do tyłu głową i zamkniętymi oczyma.

Spójrzeć? Tylko na co? Wzrok Bonske, zdziwionej i z lekka już przestraszonej jego zachowaniem, powędrował w górę. Na mleczną nieokreśloność skondensowanej pary wodnej? Pojazdy, których się spodziewał Thomas? Na tęczę?

– Matko wszechzieleni...

Dwa kolorowe łuki, jak przęśła mostu z jakiejś baśniowej krainy z dziecięcych marzeń, rozpostarły się nagle ponad dachami New Cheshire. Nigdy jeszcze Sylwia nie widziała czegoś równie urzekającego, a był to dopiero początek cudów. Z każdym oddechem pani arcykonstabl przybywało tej fatamorganie substancji oraz trójwymiarowej konkretności. Tęcza zmieniała się w strukturę, w most całkowicie już materialny, w napowietrzne dzieło sztuki nieznanego dotąd ludzkim zmysłom. Z otwartymi bezwiednie ustami patrzyła, jak z krystalicznie rozmiętanego substratu wyrastają jeden po drugim smukłe filary, kręte schody, finezyjne krużganki i podobne do motyli skrzydeł tarasy. Sen, który na jej oczach przeradzał się w rzeczywistość.

– O, matko – wyszeptała. – Nie, to jest niemożliwe, jak on to mógł zrobić? Jak tyś to...? Thomas? Tom, zaczekaj, dokąd idziesz? Zostań!

Farquahart przystanął.

– Nie odchódź!

– Bez obaw – odrzekł z tym samym enigmatycznym uśmiechem.

– Ja już nigdy stąd nie odejdę.

– Ale przynajmniej mi wytłumacz...

– Do zobaczenia, Sylwio.

* * *

Jak te mlaskwy, zadumał się Voisson, spoglądając z wyżyn kryształowego foyer na nieregularną szachownicę dachów i soczystą zieleń dzikiego boru, którym ta niesamowita miejscina była otoczona zewsząd. Dusimy się w zaśmierdłych habitoriach jak te mlaskwy w rondlu, kiedy pod nami jest tyle wolnego miejsca. Dlaczego nie poszliśmy w dół? Z przyczyn historycznych. A teraz już jest za późno.

– Ehem...

Premier odwrócił wzrok od sielskiej panoramy.

– Tak, Duvall?

– Wszyscy delegaci są już na miejscu – poinformował go szef kancelarii. – Gildia, SelKon, PFT, Lagrange Terminus, Da Tao Mu, RNRO, Synod oraz Siedmiozwiązek.

– Wspaniale.

Tylko czy aby na pewno? Voisson, jak każdy zawodowy polityk, panicznie bał się sytuacji burzących rutynę i takich, które wykazywały tendencję do rozwijania się w sposób niepodległy jego kontroli. Czy też, ujmując rzecz kwiecistiej, poker *à la morte* i w dodatku talią znaczonych kart nie należał do ulubionych rozrywek pana premiera.

A właśnie do takiej gry został zmuszony zasiąść. Bez wyboru, z lufą przyłożoną do skroni. Tylko kto w takie tłumaczenie uwierzy? Który z obecnych tu dziś przywódców nie będzie za fasadą niby-to-zrozumienia i kurtuazyjnej frazeologii skrywać podejrzeń co do prawdziwych (czytaj: hegemonistycznych) zamiarów Wierzchołka?

Voisson dołożył wszelkich starań, aby treść zaproszenia nie zawierała grama fałszu bądź jakichkolwiek dwuznaczności, nic, co mogłoby dać asumpt interpretatorom, nieustannie i we wszystkim szukającym drugiego dna. Co mógł wykorzystać dla wzmocnienia przekazu, to wykorzystał, nawet fakt, że spotkanie miałyby się odbyć w takim, a nie innym miejscu. Miejscu jeszcze przed tygodniem absolutnie panu premierowi nieznanym i narzuconym właściwie siłą, bez prawa weta. Ale też przepięknie neutralnym.

Wszystko ładnie i w teorii przynajmniej właściwie z dyplomatycznego punktu widzenia, wiadomo jednak, że na paranoików nie ma sposobu. Jeśli problem tej w macierz przekłętej

holisfery jest problemem endemicznym dla Apeksu, to w najlepszym razie wszyscy się od nich dosłownie oraz w przenośni odetną jak od trędowatych, a w najgorszym... Voisson nie chciał w tej chwili rozważać innych ponurych scenariuszy, ten jeden już w wystarczającym stopniu psuł mu humor. Chociaż nie, była myśl, która gryzła go nawet bardziej. Myśl o całym tym szczycie jako pułapce zastawionej przez holisferę na decydentów starego świata. Ten nieziemski most-pałac, który tak go w pierwszych chwilach zdumiał i zachwyił, coraz bardziej zaczynał się premierowi kojarzyć z więcierzą, szacowne delegacje zaś z zagnanymi do środka rybami. Ośmieszenie, izolację Apeksu, nawet wojenne ultimatum mógł wziąć na swoje barki, ale tytuł największego zbrodniarza w historii ludzkości...

– Co? Przepraszam, co mówiłeś? – ocknął się Voisson.

– Mówię – powtórzył z cierpliwą uprzejmością Duvall – że najlepiej, gdybyśmy zaczęli od bankietu.

– Bankietu?

– Tak. Luźna, swobodna i przyjazna atmosfera, trochę trunków.

To nam pozwoli bezpiecznie wysondować akwen, zanim przejdziemy do bardziej oficjalnych rozmów, do pańskiego przemówienia, do prezentacji doktora Livansky'ego, i tak dalej. Duża część z przybyłych, zwłaszcza tych reprezentujących Dół, to prymitywy bez doświadczenia i dyplomatycznego sztychu, którzy w takich warunkach z łatwością...

– Duvall!

– Słucham, panie premierze?

– To nie są żadne prymitywy, tylko ludzkie istoty, których uratowanie od zatracenia się w holisferze jest tu naszym pierwszym i zasadniczym celem.

– Tak, oczywiście.

– Staraj się o tym nie zapominać. – Voisson uniósł groźnie palec. – Ale pomysł z bankietem jest dobry.

* * *

Dyskusja zaplanowana na godzinę przeciągnęła się do dwóch i trwałaby dalej, gdyby Voisson nie zarządził przerwy. Sash spodziewał się pytań, jednak nie aż tylu. Nie przypuszczał, że holisfera zdążyła się rozprzestrzenić do tego stopnia, że w ciągu tego krótkiego czasu zdobyła tak wiele przyczółków, i że awatary podobne małemu Kudlichce wzbudziły panikę w społecznościach rozsianych od bieguna do bieguna. Najprawdziwszy blitzkrieg, przyhamowany dopiero przez zogniskowaną wokół Farquaharta kooperatywę odcieleśnionych umysłów. Jak długo jednak miał potrwać ów rozejm? Na to pytanie Livansky nie potrafił odpowiedzieć. Na wiele innych, zwłaszcza tych, które zahaczały o kwestie polityczne, finansowe bądź militarne nawet nie zamierzał – to było zadanie premiera oraz jego sztabu.

Przerwa czy nie przerwa, był pewien, że nie zostawią go w spokoju. Kto nie zdołał przebić się ze swymi interpelacjami podczas owych dwóch godzin, będzie chciał złapać go teraz. „Ja tylko na moment, panie doktorze, interesuje mnie jedna taka sprawa...”, i przez te „momenty” dla wszystkich chętnych, nawet nie zdąży się napić wody. Gdzie w tym brzuchu lewiatana było jakieś naprawdę ustronne miejsce? Sash ruszył slalomem przez archipelag rozdyskutowanych delegatów, próby przechwycenia go neutralizując skuteczną wymówką „przepraszam, wzywają mnie pilnie gdzie indziej”. Po drodze udało mu się jeszcze złapać talerzyk z jakimiś przekąskami i w końcu usiadł przy pustym stole, w najodleglejszym kącie.

Na niewiele jednak ów manewr się zdał.

– Przepraszam...

O, masz! Doktor westchnął. Żeby jeszcze ze wszystkich akurat tego tu przyniosło. Absolutnie nie czuł się w tej chwili na siłach, by kontynuować dyskurs z tym niewątpliwie inteligentnym, ale też nadludzko gadatliwym osobnikiem. Na marginesie, ciekawe skąd przybył? Tak elokwentnych osób i zarazem znawców tematu próżno by szukać na zacofanym Dole, czy też, pomijając Apeks, w Drzewie. Ergo, pewnie z Zewnątrz, z którejś z księżycowych wszechnic, na przykład. Do tamtejszego intelektualnego zoo pasowałby jak ulał.

– Tak? – Livansky odłożył napoczęty filet a’ malabar.

– Wie pan, panie doktorze, ogromnie mnie zainteresowała ta pańska metoda reiteratywnej ablacji kodów pierwszego poziomu.

– Nie jest moja. Została opublikowana przez zespół profesora Leitera ponad dwadzieścia lat temu.

– A czy...?

– Nils...

Sash przeniósł wzrok na towarzyszkę kędzierzawego. Przeciętnie urodziwą i na pierwszy rzut oka jakieś czterdzieści lat odeń młodszą, która pomimo swoich dziewczęcych rysów sprawiała wrażenie o wiele starszej. Coś było w jej spojrzeniu, w oszczędności ruchów oraz gestów, coś bardziej znamiennego dla człowieka dojrzałego aniżeli dzierlatki, która dopiero wkracza w dorosły wiek.

– Co?

– Później o to zapytasz – odparła dziewczyna. – Teraz mamy przerwę i może pozwólmy doktorowi Livansky’emu choć chwilę odpocząć. Mówił przecież przez bite dwie godziny.

– Ależ drobiazg, jeśli tylko mogę w czymś panu pomóc... przepraszam...

– Hansen, Nils Hansen. – Kędzierzawy wyciągnął dłoń.

Sashowi momentalnie zrobiło się ciepło. Ten Hansen? Nie, niemożliwe. Pewnie zbieżność nazwisk.

Choć, z drugiej strony, dlaczego nie? Temu, że był wstrząśnięty, stając nagle twarzą w twarz ze swym własnym Pinokiem, trudno się dziwić, jednak już sama obecność tego

człowieka w tym miejscu wcale nie musiała być czymś nadzwyczajnym. Remmuerish zostawił przecież Hansena na Ziemi pod opieką osoby ze wszech miar kompetentnej i dobrze ustosunkowanej wśród tamtejszych prominentów. Projektant zaś to Projektant i raz się na jego wartości poznawszy, mało który decydent oparłby się pokusie wykorzystania go w ten czy inny sposób.

– Tak... – Livansky odwzajemnił uścisk cokolwiek sztywną ręką.

– A zatem, odpowiadając na pana pytanie...

– A może przenieśliśmy tę rozmowę na wieczór? – kolejny raz wtrąciła się do rozmowy blondynka. – W trochę już większym, kilkunastoosobowym gronie? To oczywiście tylko propozycja, czy też, jeżeli pan doktor woli, prośba.

– Bardzo dziękuję – odparł nieco zdziwiony. – Rozumieją jednak państwo, że nie jestem tu sam i że nie w pełni dysponuję własnym czasem.

– Tak – przytaknęła. – Niemniej jest to dla nas nadzwyczaj ważna sprawa. Nie tylko dla nas, jest ważna dla wszystkich. Dla pana, panie doktorze, również, o ile udało mi się poprawnie wywnioskować.

– Jaka sprawa? – Medyk popatrzył na nią podejrzliwie.

– Przyszłość, najkrócej mówiąc.

* * *

– Masz, podobno z prawdziwych winorośli. – Stern podał swojemu towarzyszowi, mistrzowi protokołu, kieliszek. – I co? Sprawdziłeś z kim przyjechał?

– Tak – odparł półgłosem prałat. – Nie uwierzysz. Jest na liście delegatów RNRO.

– Tych kretów sparszywiałych?

– Mhm.

– No to już żart! – prychnął sekretarz gniewnie, po raz nie wiadomo który zerkając ukradkiem na rozmawiającego z Wierzchołkowcem Hansena. – Jak im się udało położyć na nim swoje brudne łapy? Jak on się tam znalazł? Jakim prawem w ogóle przeżył? Śmigacz został zniszczony, nie miał prawa!

– A jednak. – Prałat westchnął. – I co z tym robimy?

– Jeszcze nie wiem, muszę pomyśleć. – Stern odstawił opróżnione szkło.

Kiedy przekazano Sternowi przesyłkę dyplomatyczną z zaproszeniem na szczyt, uznał to nieomal za dar niebios. Oto nareszcie pojawia się szansa na to, by wyciągnąć Synod z lamusa, w którym tkwił od ponad stu lat, jak jakiś stary i nikomu już niepotrzebny mebel. Szansa na powrót, jeśli nie do dawnej glorii – Stern był zbytnim realistą, żeby się oddawać takim przedwczesnym marzeniom – to przynajmniej na pozycję jednego z pierwszoligowych rozgrywających. Jak trudnym mogło się to okazać zadaniem, przekonywał się z każdą kolejną godziną pobytu tutaj. Zaproszenie nie precyzowało problemu, który miał być tematem

rozmów, a jedynie, że jest on ekstremalnej wagi i wymaga zaangażowania wszystkich głównych sił polityczno-społecznych.

Synod doceniony jako „główna siła polityczno-społeczna”, to mogło schlebiać, gdyby nie parę drobiazgów. Przede wszystkim, Stern został skonfrontowany z rzeczywistością. A rzeczywistość była taka, że po przywitaniu nikt go tu nie potraktował z taką powagą, jakiej oczekiwał. Zaproszenie, co prędko zrozumiał, było gestem kurtuazyjnym, symbolicznym wyrazem szacunku dla instytucji niegdyś znaczącej, ale we współczesnym świecie anachronicznej i pozbawionej realnego wpływu na bieg spraw. Właściwie trudno było się temu dziwić, zważywszy na to, że większość delegatów reprezentowała społeczeństwa zsekularyzowane do szpiku kości. Jednakże po początkowym rozczarowaniu sekretarz doszedł do wniosku, że właśnie to może się okazać jego największym atutem.

Ta arogancja, to lekceważenie potęgi wiary czy też przez pokolenia wpajanych masom odruchów warunkowych – dla cynicznego Sterna nie stanowiło większej różnicy. Rząd dusz, oto karta, którą powinien rozegrać.

Ale już w trakcie wykładu Stern zaczął tracić pewność co do swojego asa w rękawie. A nawet co do tego, czy uprzejme *désintéressment* okazywane mu zwłaszcza przez technokratów nie jest w pełni usprawiedliwione, bo to żadną miarą nie wyglądało na problem, w którego rozwiązaniu mógł pomóc. Ba, zgodnie z ortodoksyjną wykładnią reprezentowanego przezeń oficjalnie kultu, holisfera była czymś tak bliskim wizji helenistycznego rajy, że sekretarzowi przeszły po plecach ciarki. Raz dlatego, że sam nigdy w ten od początku do końca zmyślony stek bzdur nie wierzył i nie spodziewał się doświadczyć epifanii. A dwa, że jako oficjalny przedstawiciel Synodu powinien teraz gromkim głosem opowiedzieć się za holisferą i protestować przeciw jakimkolwiek próbom jej demontażu. Jako człowiek rozsądny i bardzo przywiązany do swego indywidualnego jestestwa instynktownie się przed tym wzdrażał i całym sercem był teraz gotów poprzeć każdego, kto zaproponowałby sposób na powstrzymanie tego monstrum.

Ot i dylemat, ot i masz tę swoją silną kartę, którą chciałeś rzucić na stół. Technologicznie Synod nie miał nic do zaoferowania, a tylko technologią i głęboką wiedzą można było w tej sprawie cokolwiek zdziałać. A rząd dusz i ta armia wyznawców, którą w teorii dowodził? Komu za parę dni będzie to potrzebne? Kto z tych technokratów będzie chciał brać sobie na plecy dodatkowy bagaż w postaci grubo ponad miliarda prostych, głęboko religijnych ludzi? To była sytuacja absolutnie wyjątkowa, zagrożenie najwyższego stopnia i Stern, prymus w szkole historii, właściwie nie miał już złudzeń, jak cały ten szczyt się skończy.

– Rozchmurz się – przerwał jego rozmyślania prałat. Usta miał pełne trufli importowanych z kosmicznych plantacji. – Przecież to dopiero pierwszy dzień, wszyscy się jak na razie obmacują, pole manewru wciąż mamy otwarte i stosunkowo szerokie.

– Bez naprawdę mocnych atutów to my sobie możemy co najwyżej pomanewrować wykałaczką w zębach – odparł sekretarz. – Bez Projektanta, na przykład. Jak mogliśmy w tak głupi sposób go stracić? Jak ja mogłem... ech!

– Hansen ma miękki i podatny na manipulację charakter – przekonywał prałat. – Nie słyszałem zaś, żeby RNRO służył z wyszkolonych kadr, więc gdybyśmy umiejętnie zarzucili haczyk, ryba mogłaby z powrotem być nasza. A gdyby się nie udało, to w ostateczności zawsze dysponujemy piątą kolumną.

– Na Księżycu i w orbitalach również? – spytał z przekąsem Stern.

– No...

– No. Więc myśl bardziej konstruktywnie – przerwał prałatowi rozdrażniony. – Primo, szantaż jest bronią obosieczną, a w tym towarzystwie zgoła samobójczą. Secundo... Czekaj, bo chyba przerwa się skończyła.

W istocie. Miejsca w muszlowatym, akustycznie perfekcyjnym amfiteatrze znów zappełniły się ludźmi poszeptującymi jeszcze między sobą o tym i o owym.

– Witam ponownie szanownych zebranych – zaczął Voisson, gdy już towarzystwo jako tako się usadowiło. – Chciałbym, żebyśmy tę część obrad przeznaczyli na wymianę uwag – bo z pewnością mamy ich wszyscy wiele – oraz na propozycje ze strony szanownych delegatów.

– Uwagę to ja mam tylko jedną – zagrział z górnych rzędów przedstawiciel Transmarsjańskiej Wspólnoty Wydobywczej. Chudy jak trzcina i utrzymywany w pionie bardziej przez egzozskiolet niż własne mięśnie i odwapniony kręgosłup, ale z głosem donośnym jak taraban. – Żebyśmy nie tracili tlenu na próżne gadki, bo tu już nie ma o czym gadać. Wiadomo, z jakim wrogiem mamy do czynienia, i wiadomo, że jeśli nie będziemy działać szybko, zdecydowanie oraz bezwzględnie, to ze wszystkich nas zrobi pudding. I propozycja też może być tylko jedna. Wyrażę ją tutaj prostym, górniczym językiem: Kartagina musi być zniszczona!

Voisson chciał mu wytknąć naruszenia procedur, ale został zagłuszony przez nadspodziewanie liczną grupę, która nagrodziła tę agresywną przemowę aplauzem. W kilku miejscach natychmiast podniosły się głosy sprzeciwu.

– I jak szanowny delegat to sobie wyobraża, że wysterylizujemy całą Ziemię z orbity geostacjonarnej?

– Proszę w ogóle z tym żużlem nie dyskutować! – zakrzyknął ktoś inny. – Nie od dziś wiemy, że nasza kultura jest solą w oku dla tych pariasów. Widok jej leżącej w gruzach bez wątplenia napełniłby ich radością!

– To jest oszczerstwo!

– No, jeśli tak się zaczyna, od wyzwisk...

– Drodzy państwo, zachowajmy *decorum!* – Voisson też potrafił wysilić gardło, gdy trzeba było. – Rozdrapywaniem zadawnionych ran nie osiągniemy absolutnie niczego. I bardzo bym prosił wszystkich zebranych o trzymanie się ustalonych reguł dyskusji.

– Jak można zachować *decorum* wobec otwartych nawoływań do ludobójstwa. I to na jaką skalę! – zaripostował wzburzonym tonem rektor Collegium Aristrachos.

Premier poczuł coś na kształt rozpacz. Nie minęło pięć minut, a na wyimaginowanym przezeń gmachu już zarysowała się potężna rysa. I w niemałym stopniu sam był temu winien. Jego ambicje.

Bo zapragnął zapisać się w historii jako pierwszy z przywódców, któremu udało się z powodzeniem przyprowadzić do jednego stołu – mniejsza o to, pod jaką egidą – wszystkich. No i faktycznie, przyprowadził. Lecz z jakim skutkiem?

– Mimo to wykażę się uprzejmością i zasugeruję – kontynuował rektor – że szanowny pan Fitzpatrick, reprezentant luźnego związku małych, ksenofobicznych enklaw na rubieżach, jest owej skali po prostu nieświadom. Że dla kogoś mieszkającego pięć jednostek astronomicznych stąd i dumnego ze swych pionierskich korzeni, Ziemia może się wydawać starym i na wpół opustoszałym teatrykiem dekadentów, tak czy siak przeznaczonym do rozbiórki. I obym się w tej sugestii nie mylił. Bo jaka jest alternatywa? Że delegat Fitzpatrick jednak w istocie, i z całym rozmysłem żąda unicestwienia blisko pięciu miliardów ludzi?!

– Lepiej pięć miliardów teraz niż cały nasz gatunek jutro! – odkrzyknął buńczucznie Fitzpatrick, ani chybi rozzuchwalony wcześniejszym poparciem sporej grupy obecnych.

Oklasków zebrał tym razem grubo mniej i na dodatek bardzo anemicznych.

Nieoczekiwanie jednak w sukurs przyszła mu część sali zajmowana przez zachowujących jak dotąd milczenie delegatów z Marsa – z głosem których Voisson w każdych okolicznościach musiał się liczyć – oraz merytokratycznych Lunarian. I to był już dla premiera prawdziwy cios, bo takiego aliansu nie spodziewałby się w najgorszych snach.

– Można? – Marrat, główny koordynator największej marsjańskiej Cesji podniósł rękę. – Dziękuję, panie przewodniczący. Dziękuję również reprezentantowi Fitzpatrickowi za podjęcie kwestii, której bez jego wstępu wielu z nas zapewne nie miałyby odwagi dotknąć. Że lepiej poświęcić tych, którzy i tak są już straceni dla ratowania reszty, niżli pozwolić, by zostało nam odebrane wszystko, co definiuje każdego z nas jako człowieka! Mieliśmy już w historii najprzeróżniejszych despotów i tyranów, mieliśmy ustroje polityczne, które dążyły do stłamszenia jakichkolwiek przejawów indywidualizmu i intelektualnej samodzielności, mieliśmy już aż nadto wiele prób przemienienia wolnych i swobodnie myślących ludzi w bezimienną rzeszę ślepych termitów, ale to, co zagraża nam dziś, jest nieporównywalne, szanowni delegaci, absolutnie z niczym! To jest apoteoza i kwintesencja zniewolenia, to lochy, z których już nikt nigdy nie zdoła się wydostać, to koszmar, którego nie strząśniemy już z siebie żadnym buntem, żadną rewoltą, żadnym obywatelskim ruchem na rzecz obrony praw jednostki do samostanowienia! I jeżeli takiej perspektywie nie uważacie za słuszne z

całą, powtarzam raz jeszcze: z całą mocą i bezwzględnością się przeciwstawić, to znaczy, że nikt z was własnej skóry niewart i rozmowa z wami jest marnowaniem, jak to ujął delegat Fitzpatrick, tlenu.

– Z wami? – poderwała się z miejsca Wiktoria McGregor. – Przepraszam, ale co właściwie chce pan delegat osiągnąć tą próbą sztucznego spolaryzowania obrad? Sztucznego, podkreślam, bo przecież wszyscy, drodzy państwo, stoimy po jednej i tej samej stronie. Słowa, których pan Marrat użył w odniesieniu do holisfery, mogłyby równie dobrze popłynąć z moich ust, do tego stopnia się z nimi zgadzam. I w tej zasadniczej kwestii nie ma, bo być nie może, żadnego między nami konfliktu. Trudno jednak pozostać obojętnym na forsowanie uproszczeń i stawianie znaku równości pomiędzy holisferą i Ziemią. Pomiędzy tymi, którzy, chcąc nie chcąc, zostali do holisfery wcieleni, oraz tymi – a jest to zdecydowana większość – którzy wciąż są ludźmi takimi samymi jak ja czy pan, panie Marrat.

– Tak, wciąż – przytaknął cierpko Marsjanin. – Lecz jak długo? Według szacunków doktora Livansky'ego holisfera inkorporowała do tej pory nie mniej niż jeden i nie więcej niż trzy procent całej populacji Ziemi. Usłyszeliśmy również, że jej rozprzestrzenianie się ma charakter reakcji łańcuchowej. Ile więc jej zajmie inkorporacja pozostałych dziewięćdziesięciu siedmiu procent? Dni? Tygodnie, jeśli będzie wyjątkowo ślamazarna? Co i tak jest tempem błyskawicznym, jak na owe pięć miliardów, o czym ktoś tu wspomniał.

– Z których wielu nadal jesteśmy w stanie uratować – podjął Voisson.

– Jak wielu, kilkadziesiąt tysięcy?

– Myślałem raczej o co najmniej kilkuset milionach.

Przez salę przeszedł pomruk niedowierzania, ktoś nawet roześmiał się w głos, a Marrat pokręcił głową z taką miną, jakby pan premier oznajmił niniejszym, iż dwa plus dwa równa się trzy i pięć szóstych.

– Nie wiem, co odpowiedzieć, żeby pan premier nie poczuł się urażony – rzekł z przekąsem. – Już choćby z technicznego punktu widzenia nie jest to możliwe, nie w tak krótkim czasie, jaki wam został.

– Jest możliwe, pod warunkiem, że wszyscy solidarnie pomogliby w tym przedsięwzięciu.

– Ale nie pomogą – stwierdził Marrat, nie bez wyrazu szczerzego przygnębienia w oczach.

– Proszę się postawić na naszym miejscu.

Co by pan zrobił? Wzięłyby pan na siebie ryzyko całkowitego unicestwienia rasy ludzkiej?

– Przepraszam, jeśli mógłbym słowo... – Z dolnego rzędu podniósł się niepozorny człowieczek, mały, pomarszczony jak figa i siwy niczym gołąbek. – Jestem tylko starym filozofem, więc nie muszą sobie państwo brać moich słów do serca, ale wydaje mi się, że mieszanie wyższej memetyki z debatą stricte polityczną nigdy nie wychodzi na dobre zarówno jednej, jak i drugiej. To uwaga ogólna. Przed wszystkim zaś chciałbym się ustosunkować do lamentu, jaki się tu podniósł. Do stwierdzeń wypowiedzianych tonem

nieomal eschatologicznym. O końcu, o unicestwieniu, o zagładzie ludzkości. Stwierzeń podyktowanych irracjonalnym, choć jakże ludzkim strachem przed zmianą. Pytanie, czy ten strach ma uzasadnienie w jakichś głębszych, merytorycznych przesłankach?

Spójrzmy. Z tego, co zostało powiedziane o holisferze, można wyciągnąć co najmniej jeden wniosek: że mamy tu wyraźnie do czynienia z siłą raczej skrajnie zachowawczą niż z destruktywną.

O unicestwieniu zatem nie sposób mówić, przynajmniej z czysto formalnego punktu widzenia. Ale kogo z tu zebranych interesuje formalizm? Jestem pewien, że oprócz mnie i może jeszcze paru innych osób, absolutnie nikogo. Bo tym, co w tej chwili zaprzęta wasze umysły najbardziej i przeraża najgłębiej, jest to ów koncept holisfery jako *ultima Thule* dla człowieka, jako granicy, poza którą słowa *ecce homo* stracą wszelki sens. Jako czarnej dziury, w której człowieczeństwo przepadnie raz na zawsze. Czym jednak jest owo człowieczeństwo, którego z takim zapałem bronicie? Kto mi je precyzyjnie zdefiniuje i kto z was potrafi wyliczyć, ile już takich granic człowiek w swojej historii przekroczył? Czy określają je geny? Swego czasu panowie też nie uznawali swych niewolników za ludzi. Standard budowy ciała? Wobec tego reprezentant Fitzpatrick nie powinien w ogóle zabierać głosu. Nasze biologiczne dziedzictwo? Cóż zatem z powszechną akceptacją mannekenów?

Uczucia wyższe? Jak zatem wytłumaczyć obecność w życiu publicznym osób z gruntu ich pozbawionych? Świadomość? Mądrość?

Poczucie piękna? Intelpekt? Co, szanowni zebrani, co tak naprawdę wyznacza, że jeszcze się jest bądź już się nie jest człowiekiem?

Przy ostatnich słowach siwowłosa zaczął się zmieniać, rosnać i młodnieć jak na filmie puszczonego od tyłu. Schodząc w dół ku prezydialnemu pulpitowi, wciąż mówił:

– Nikt na to pytanie mi nie odpowie, bo nikt z was nie wie.

A skoro nikt z was nie wie, to nikt również nie może twierdzić, że holisfera jest końcem. Holisfera nie jest końcem, jest tylko następnym krokiem w kierunku, którego nawet ona sama jeszcze nie dookreśliła. I rozumiem, że wielu z was nie ma na ten krok ochoty.

Jak również że cały ten eksperyment, bądź co bądź zainicjowany serią przypadków, może zakończyć się fiaskiem. Dlatego postaram się nie stawiać przeszkód tym, którzy zamiast zintegrowania wybiorą exodus. Nie będę nikogo do niczego zmuszał. Ale holisfera i tak będzie rosnać, na sam proces nie mam wpływu i nie proście, bym odpowiedział, ile zostało wam czasu. To nie jest pytanie do mnie, lecz do wszechświata, marionetkarza perfekcyjnie obojętnego i nieskończonego w swym cierpliwym czekaniu na każdego z nas. Ja mogę wam tylko wszystkim życzyć powodzenia na jego wodach, wiatrów jednak i prądów nie uczynię łaskawszymi dla nikogo, bo ani w mojej, ani w niczyjej nie jest to mocy. *Navigare necesse est, vivere non est necess'e.*

Epilog

Pod wieczór wiatr przybrał na mocy i fale stały się śmielsze.

Mógł zrejterować przed nimi na suchsze grzbiety wydm, ale wołał już delikatne muśnięcia słonych kropli na twarzy i rozchlapującą się wokół kostek wodę od piekielnej pustyni, która objęła we władanie cały glob. Wszędzie, na każdym z kontynentów jedynie rumosz i piach, redystrybuowane wedle niepojętego dlań harmonogramu przez oswojone tornada.

Martwy, ukatrupiony wreszcie na dobre świat, ale to przecież tylko jego ekstrawagancki i jakże odosobniony punkt widzenia. Albowiem dla holisfery taka Ziemia była rajskim ogrodem.

Krzem i węgiel, tlen, wodór, żelazo, wolfram... Cała tablica Mendelejewa w miążkiej i łatwo dostępnej postaci, jak ciepłutki bulion podstawiony prosto pod nos. Nie było nawet sensu się przejmować, co najwyżej „Umarł król, niech żyje król”. Dlaczego jednak nie zostawiła mu chociaż jednego zielonego źdźbła, chociażby niesionego bryzą odoru gnijących ryb i rozkładających się wodorostów?

Nie bacząc na przybój, uklęknął, zagarnął w dłonie wilgotny piach i wolno przesiał go między palcami, w nadziei że znajdzie jakiegoś ocalałego z konwersji robaczka lub bodaj zbutwiały kawałek drewna, niewykorzystany przez wszędobylskie nanoblasty.

W mokrych grudkach nie było jednak śladu po pierwotnym biomie, tak jak nie było go nigdzie indziej. Ostatnia pecynka spadła z cichym pluśnięciem do wody, zapewne równie sterylnej, jak lądy i powietrze, i rozplynęła się, porwana falą.

– Powinienem dać już sobie spokój – stęknął, dźwigając się z kolan i otrzepując ręce o spodnie.

Wiatr uderzał coraz zajadlej, szarpał jego przemoczonym ubraniem i pędził ku brzegom grzywacze, wyższe z każdą minutą.

Sztorm? Ciekawe, w jakim celu holisfera wznieca go tym razem.

Ciekawe również, czy rzeczywiście zintegrowała ze sobą każdy organizm i każdą, ostatnią nawet drobinę organicznej materii. Być może w głębiach oceanu coś się mimo wszystko ostało?

Biedny ocean, który przez przez tyle długich epok hołubił kruche życie i bronił go przed niebezpieczeństwami. Nawet wówczas, gdy wyszło na ląd, każdą słońcą łzą i każdą uronioną kropelką krwi przypominając o czterech miliardach ewolucyjnej ciągłości i wspólnoty wszystkich swoich dzieci. Wszystkich, poza jedną wyrodną małpą.

Ruszył dalej. Z zaplanowanych na dzisiaj czterdziestu kilometrów parę mu jeszcze zostało, ale przede wszystkim chciał znaleźć jakieś przyzwoitsze miejsce na nocleg, nim zapadnie zmrok. Jakiś w miarę solidny schron przed chłodem i wilgocią, odczuwanymi z roku na rok coraz dotkliwiej przez jego starzejące się ciało.

– I coś wreszcie przekąsić – dodał, odpowiadając swym burczącym kiszkom.

Może po drugiej stronie tego skalistego cypla? Wydawał się zresztą jakby znajomy, ale polegać jak dawniej na swojej pamięci już nie mógł. Z wiadomych przyczyn, lecz również dlatego, że przez te siedemnaście lat włóczęgi naoglądał się mnóstwa podobnych widoków i powoli przestawał je od siebie odróżniać.

Bryza stawała się coraz ostrzejsza, zapowiadając szkwał i niosąc znad morskiego przestworu rdzawo-oleiste wonie. Zupełnie jakby nieopodal znajdował się jakiś port z brudnymi dokami i redą pełną nieszczęśliwych tankowców. Nowy wspaniały nanoświat pracował pełną parą i śmierdział, ale znów, pewnie tylko jemu. Śmierdział jednak również mocno znajomo. Ale czy to możliwe, by po tak długim czasie? Że w swojej tyleż upartej, co bezcelowej peregrynacji zatoczył wielkie koło i wrócił do miejsca nieobcego wspomnieniom? Te wydmy i cała linia brzegowa mogły powstać w ciągu zaledwie kilku ostatnich miesięcy jako wynik sztucznej, przyspieszonej erozji. Im bardziej się jednak zbliżał do majaczącego w oddali klifu i szerokiej, kamienistej mierzei u jego stóp, tym większa rosła w nim pewność, że już tu był.

Nie pragnął przypominać sobie niczego z tamtych dni, ale wspomnienia ożyły same i oczyma wyobraźni znów ujrzał operetkową flotę żaglowców i zdesperowanych nieszczęśników walczących o każdy statek, każdy trap i każdą unoszącą się na falach deskę.

Dunkierka przeklętych, beznadziejna rzeź o nic, bo po przeciwnej stronie Atlantyku czekało ich dokładnie to samo, przed czym stąd chcieli salwować się ucieczką.

Upiorne obrazy przesunęły się przed jego oczami zarazem ostre i wypłowiałe, jak diorama z dwóch różnych projektorów. Tak, to się działo dokładnie tutaj, za tym cyplem powinien ujrzeć zatokę z niedokończonymi instalacjami portowymi. To znaczy, nic nie powinien, bo przez ten czas holisfera z pewnością zdążyła już wszystko wchłonąć i zutylizować. Jeśli cokolwiek z przystani ocalało, to najwyżej falochron i wyciosane w skałach baseny przeładunkowe. Materiał organiczny i rektyfikowany metal były dla niej zbyt łakomymi kąskami, żeby tak po prostu pozwoliła gnić trupom i rdzewieć żelazu.

Jakież więc było jego zdziwienie – i radość – gdy, minąwszy ostatni skalny załom, zobaczył wszystko na swoim miejscu. Ażurowe pylony suwnic nadal sterczały wyzywająco ku niebu, łańcuchy korodowały z godnością na jęczorach ramp, a budynki kapitanatu i wieża

latarni morskiej wciąż odbijały promienie zachodzącego słońca resztkami szyb w oknach. Nawet posępne wrakowisko trwało nietknięte, jak jakiś skansen wyjęty poza nawias historii.

Połamane maszty i czarne szkielety kadłubów przypominały dziwną rafę, którą odsłonił przypływ, a na wpół zagrzebane w piasku powrozy wyrzuconą na brzeg morską faunę. Wszystko, jak wtedy, minus ciała zabitych, rżenie konających i karmazynowy od krwi ocean. I wszystko jego!

– Żarcie! – wykrzyknął, zbiegając ze skarpy na plażę. – Och, matko, ile tu jest żarcia!

Natychmiast zawadził sandałem o coś miękkiego i upadł, ale zamiast się podnieść, przepelzł na czworakach do wyzierających spod piachu lin. Najprawdziwszych, konopnych sznurów, sparciałych i wypłowiałych od słońca, które poza tym jednak sprawiały wrażenie dobrze zakonserwowanego eksponatu. Więc to było muzeum? Pomnik? Tylko po co i dla kogo zachowany? I dlaczego wybrała akurat to szczególne miejsce?

Ech, do diabła z zagadkami. Dość się ich przez całe życie narozwijał, a odpowiedź na tę konkretną do niczego mu nie była potrzebna. I jeśli, z jakiegokolwiek powodu, holisferze zachciało się ocalić ten skrawek minionego świata, tym lepiej. Bo był cholernie głodny i już mu obmierzło codzienne przesiewanie setek litrów jałowej ziemi.

Processor CHOW uruchomił z wprawą, jakiej nabywa się przez lata, skrojenie zeszywniałego od morskiej soli takielunku zajęło mu trochę dłużej. Ale czy dokąds się spieszył? Absolutnie donikąd. Może nawet w ogóle tutaj zostanie. Co miał zobaczyć, zobaczył, kilometrą przez siedemnaście lat wyrobił nadludzki i, bez ironii, należała mu się za tę mordęgę jakaś spokojna przystań. Solidnie zaopatrzona, przestronna i z widokiem na ocean, choćby nawet wysterylizowany.

– No i popatrzmy, jak wyszło.

Pięć aromatycznych brykietów z kilograma zapeklowanych powróseł. Prawdziwa uczta. Przydałby się jeszcze do tych delicji łyk czegoś mokrego i chłodnego. Wstał więc, z bocznej kieszeni plecaka wyciągnął odsalacz i ruszył ku wodzie, płosząc stadko ektomorów.

W bezruchu były nawet trochę podobne do mew, jak poukładane na piasku ptaki origami. W ich zygzakowatych powietrznych ewolucjach i romboidalnych sylwetkach nie było już jednak nic ptasiego. Zawsze to jednak jakieś urozmaicenie, więc wzrok wędrowca śledził je dopóty, dopóki jeden po drugim ektomorfy nie zapikowały ku ziemi, znikając w niej jak wielkie krople deszczu.

– To jest życie, Jim, tylko nie takie, jakie znamy – westchnął.

I zamarł, ujrawszy, że ktoś zmierza w jego stronę.

Ktoś lub raczej coś, co jedynie imitowało ludzką postać, aczkolwiek nieporównanie wierniej, niż pseudomewa imitowała ptaka.

Postać, kiedy już zobaczył ją dostatecznie wyraźnie, aż nadto znajomą.

– Witaj.

Starzec zrobił krok w tył.

– Bez obaw, nie przyszedłem po twoją duszę. – Awatar uniósł rękę w uspokajającym geście. – Nasza umowa wciąż pozostaje aktualna.

– No to po co? – Wędrowiec wzruszył ramionami. – Pilnujesz tu czegoś? Pobierasz od przechodniów opłaty za wstęp?

– Chcę porozmawiać.

– A to dobre! – parsknął stary. – Ze mną? O czym holisfera miałaby ze mną rozmawiać?

– Nie holisfera, tylko ja.

– Czyli kto?

– Twój niegdysiejszy przyjaciel.

– Mój niegdysiejszy przyjaciel skończył byt jako indywiduum siedemnaście lat temu – odpowiedział wędrowiec kostycznie. – A ty jesteś tylko jakąś bezosobową maską, która przerwała mi wieczorny posiłek.

– Tak na mnie patrzysz?

– A jak, do cholery, mam patrzeć? Ja w ogóle nie mam ochoty na ciebie patrzeć!

– Moja osobowość wcale nie uległa destrukcji, wciąż jestem tym, kim byłem. – Awatar wydawał się niewzruszony jego wybuchem.

– Jedyna różnica, że teraz, jak by to ująć... znacznie poszerzyły się moje horyzonty. I otwarły się przede mną nowe tryby percepcji.

Nie mów, że tak trudno ci to zrozumieć i zaakceptować, zwłaszcza tobie.

– Mnie, mój ty niegdysiejszy przyjacielu, to jest już wszystko jedno.

– Nie wierzę.

– Mam to gdzieś – prychnął stary i rozstawił ostentacyjnie trójnog odsalarki. – Mów, co masz do powiedzenia, i żegnam.

Przez długą chwilę rudowłosa milczał, zapatrzony w bezmiar wód. Jakby się zastanawiał, co powiedzieć. Albo konsultował to z pozostałymi „nieuległymi destrukcji osobowościami”.

– Ostatnia arka ma już wyznaczony kurs i pełen kontyngent pasażerów – rzekł w końcu, cichszym niż poprzednio głosem. – Prawie pełen. Jest jeszcze kilka wolnych miejsc.

– Dzięki za informację – odmruknął wędrowiec.

– Wyruszają niebawem.

– Bon voyage.

– Nawet nie spytasz, dokąd?

– A po co? – Starzec wzruszył ramionami. – Gdziekolwiek polecą, ty też tam będziesz. Przed nimi, czy po nich, ale będziesz.

Za sto, tysiąc czy milion lat, ale będziesz. Napierając, spychając do rogów, ścigając, dopóki wszyscy inni nie ulegną albo nie padną z wyczerpania. I nie mów mi o jakichś okresach karencyjnych, o bezkonfliktowym współistnieniu, o tym, że nie chcesz monokultury jednego biomu ani o ograniczeniu się wyłącznie do martwych planet, bo to wszystko guzik prawda. Prędeż czy później wygnasz człowieka w pustkę z każdej Ziemi.

– Wbrew pozorom pustka ma do zaoferowania niezmierny potencjał, o ile dysponuje się odpowiednio zaawansowaną technologią. Nawet bez uciekania się do naszych – awatar zawiesił na moment głos – algorytmów diaspora będzie w stanie zamienić molekularne obłoki i dyski proto-planetarne w kwitnące oazy. Nawiasem mówiąc, Helen zabiera ich właśnie do jednego z takich obłoków, Barnard 59.

– A gdy już będzie zaorany i udomowiony, odbierzecie im go tak samo, jak ten glob – stwierdził pogardliwie wędrowiec. – Po co mi to wszystko opowiadasz?

– Na prośbę Helen. Chciała, bym cię odszukał i spytał, czy jednak nie zechciałbyś przyłączyć się do ich wielkiej przygody.

– Nie – odparł starzec krótko.

– To twoja ostateczna decyzja?

– Tak.

– No cóż, przekażę – rzekł awatar, odwracając się na pięcie.

– Czeka! Powiedz jej jeszcze, że... że...

Wiatr, który podczas rozmowy ucichł, poderwał się nagle i zmiotł ostatnie sylaby z warg wędrowca. I dobrze, bo zabrzmiałyby idiotycznie.

– Chciałeś coś rzec?

– Nie, nic – bąknął. – Rozmyśliłem się.

Tamten jednak nie odszedł. Stary człowiek opatulił się szczelniej opończą, gdyż ziąb stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Ale przed chłodem innego rodzaju, jaki naraz owionął go od stóp do głów, nie miał się gdzie ukryć. Cała uluda, której wbrew rozsądkowi na moment uległ, cały ten pozór lekkiej pogawędki z dawno niewidzianym znajomym prysł, zostawiając przejmującą świadomość faktów. To mógł być naprawdę on, z tą rudą jak płomień grzywą i wypiekami na policzkach, ciałem i umysłem na krótki czas samowyodrębniony z monolitu. Ale wędrowiec znów widział jedynie sztuczne rumieńce oraz perukę, a w oczach bezmiar i anonimowość. Jak relief, który, gdy raz tylko spojrzy się nań pod nieco innym kątem, zamienia się we wklęsłość.

Ów „chłopak” nie szukał go; on był pewien, że znajdzie go właśnie w tym miejscu. I nie dlatego, że holisfera prowadziła jakąś nieustanną inwigilację. Nie musiała. Korzystając ze skumulowanej mocy wszystkich współuczestniczących w niej bytów, ekstrapolowała odpowiedzi szybciej niż jakikolwiek superkomputer. Rudowłosy, który tak przenikliwie się weń wpatrywał – a poprzez niego miliony innych, jeśli taka akurat była ich wola – mógł czerpać z tej mocy bez ograniczeń.

Wędrowiec cofnął się, nieoczekiwanie przelękniony. Nie chciał już patrzeć na tę fałszywie znajomą twarz, za którą kryło się o wiele więcej niż zwykła suma jednostek i życiorysów.

– No, to... ja już sobie pójdę – wymamrotał niewiele głośniejszy od szeptu. – Zimno mi się robi.

– A zatem nie chcesz, żebym jej coś przekazał?

– Ech, do licha i z nią, i z tobą! – Zamachał z irytacją rękami. – Nie chcę. Powiedziałem ci, że jest mi wszystko jedno.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego jest ci wszystko jedno? I czemu wybrałeś dla siebie taki los? Przecież mogłeś jeszcze tyle zrobić, tyle zobaczyć i przeżyć, tylu osobom pomóc. Mylisz się, sądząc, że nikomu już nie jesteś potrzebny.

– Kto powiedział, że tak sędzę? – Wędrowiec zaśmiał się chrapliwie. – Wprost przeciwnie, jestem bardzo potrzebny. Jak kropka.

– Tego nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie. I nigdy nie zdołasz.

– Spróbuj mi wytłumaczyć.

– A jak można wytłumaczyć głuchemu Piątą Symfonię? – Siwe włosy starca zatańczyły w podmuchach wiatru. – Jak wytłumaczyć istocie nieludzkiej, co to znaczy być człowiekiem?

– Zapominasz...

– Nie, nie zapominam, że reprezentujesz kilkaset milionów połączonych umysłów. Ale człowieczeństwa w całym tym waszym syncytium jest mniej niż w moim jednym, słabym i kruchym ciele. Człowieczeństwa określonego przez strach, znikomość i przemijalność, terminów dla was już zgoła abstrakcyjnych i obcych.

I którego jest mi po prostu cholernie żal.

– Wciąż nie rozumiem.

– Bo jesteś martwy! Myślisz, czujesz, poruszasz się i nawet tworzysz, lecz jak długo potrwa, zanim to tworzenie zmienisz najpierw w próżną sztukę przed lustrem, a później w bezcelowe trwanie, bo przecież skoro wszystko można odkładać *ad infinitum*, to po diabła robić cokolwiek? Pieprzę taką pustą i nudną wieczność, pieprzę ten wasz świat bez jutra i wczoraj, bez strachu i trudu, bez porażek i zwycięstw, bez niepewności i tajemnic! Wolę już swój krótki i bolesny, ale prawdziwy żywot, a po nim śmierć! Tu, nie w żadnych odległych mgławicach, na tej ziemi, która, dopóki po niej stąpam, wciąż jeszcze jest moją!

Upadł na kolana, nabrał piasku i zaciskając go w pięściach, wyszeptał:

– Cztery miliardy lat, przez cztery miliardy lat troszczyła się o was i karmiła was, a wy ją tak po prostu zostawiliście. Nie walcząc o nią, nie oglądając się za siebie, nie machnąwszy nawet na pożegnanie ręką! I gdzie tu, do ciężkiej cholery, klasa? Gdzie szacunek dla matki, dla siebie, dla tego, co było i czym się było? Dla tej małej, słabej, wiecznie przestraszonej i śmiertelnej istoty, dla tego najbardziej paradoksalnego ze stworzeń, bo gdyby ewolucja uczyniła je choć trochę lepszym i mniej neurotycznym, to nie osiągnęłoby nic? Jakiś gest chyba się temu genialnemu kalece należy! I ja go uczyniłem, skoro nikt inny nie chciał. Czy teraz...?

Jego ostatnie słowa trafiły w pustkę. Wędrowiec znów stał nad brzegiem sam, lecz była to samotność aktora przed widownią, która miała mu sekundować w milczeniu do ostatniej kwestii, dopóki nie opadnie kurtyna i nie zgasną światła. Bez kwiatów i braw.

Żadnych się jednak nie spodziewał.

Koniec